

BRIGID KEMMERER

Kontynuacja losów Tessy i Corricka
bohaterów powieści *Na przekór nocy*.

W

OBRONIE
ŚWIATU

Na przekór nocy #2



BRIGID KEMMERER

W OBRONIE ŚWITU

NA PRZEKÓR NOCY #2

**TŁUMACZENIE
SYLWIA GOŁOFIT-LENDĄ**

OŚWIĘCIM 2023

Tytuł oryginału

Defend the Dawn

Copyright © 2022 by Brigid Kemmerer

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Alicja Chybińska

Korekta:

Agata Bogusławska

Edyta Giersz

Katarzyna Olchowy

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-678-3

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY
ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY
ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY
PODZIĘKOWANIA

Dla Jonathana i Kary

Liderzy polityczni Kandali		
Godność	Rola	Sektor
Harristan	Król	Królewski
Corrick	Książę, Najwyższy Sędzia Królewski	Królewski
Barnard Montague (zmarły)	Konsul	Nabrzeże Kupców*
Allisander Sallister	Konsul	Księżycowe Równiny
Leander Craft (zmarły)	Konsul	Stalowe Miasto
Jonas Beeching	Konsul	Artis
Lissa Marpetta	Konsul	Emberridge
Roydan Pelham	Konsul	Kraina Smutku
Arella Cherry	Konsul	Sunkeep
Jasper Gold	Konsul	Mosswell

*Zwane także Nabrzeżem Zdrajców po tym, jak poprzedni król i królowa zostali zamordowani przez Konsula Montague, pozostawiając władzę w ręku Harristana i jego młodszego brata Corricka.

Buntownicy	
Godność	Rola
Tessa	zielarka*
Karri	zielarka
Lochlan	pracownik kuźni

* Obecnie pracująca dla króla

Najważniejsi członkowie załogi Ścigacza Świtu	
Godność	Rola

Rian Blakemore	Kapitan
Gwyn Tagas	Porucznik
Sablo	Podporucznik
Marchon	nawigator i kwatermistrz
Dabriel	kucharka

Lek

Jedyny znany lek na chorobę nazywaną „gorączką” to eliksir sporządzany z suszonych płatków Księżycowego Kwiatu rosnącego tylko w dwóch sektorach – na Księżycowych Równinach i w Emberridge. Każdy sektor dostaje ograniczony przydział płatków Księżycowego Kwiatu.

Ci, których na to stać, mogą je kupić.

Ci, których nie stać – pozostają z niczym.

ROZDZIAŁ 1

Wyjęty spod prawa

Kiedy byłem jeszcze chłopcem, letnie noce w głuszy pachniały przygodą. Młodymi sosnami. Mdlą słodyczą wiciokrzewu. Zawsze gdzieś paliło się jakieś ognisko, a przy nim nie brakowało kwaśnego piwa. Powietrze przepełniały ożywione rozmowy albo sprośne pijackie piosenki, albo przekleństwa mężczyzn, którzy właśnie przegrali ostatnie pieniądze.

Dziś letnie noce niosą woń gnijących zwłok. Większość płonących ognisk to stosy pogrzebowe. Rzadko gdziekolwiek słychać śpiew. Piwo nadal jest dość powszechne, może teraz nawet bardziej niż kiedyś.

Obiecano dodatkowe dostawy płatków Księżycowego Kwiatu, ale nadchodzą one wolno. Tutaj nikt już nie ufa nikomu w pałacu. Niewielu ufa konsulom. Nawet buntownicy, rzekomo negocjujący lepszą dostępność leku, stają się obiektem podejrzeń.

Krążące plotki – a krąży ich wiele – są oburzające.

Gdy jestem tu, w Dzikim, staram się nie rzucać w oczy i robię, co mogę.

O tej porze kręte leśne ścieżki są opustoszałe, mimo to staram się trzymać w cieniu, niczym duch. Nie chcę się natknąć na nocny patrol. Przy pasku mam sakiewkę ciężką od miedziaków, na oczach czerwoną maskę, a na głowie kapelusz, nisko opuszczony na czoło. W takim stroju, o takiej porze na pewno by mnie aresztowali. Do tego trafiłbym do Twierdzy i czekał na przesłuchanie, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

Schodzę ze ścieżki i wyjmuję kilka monet. Pierwszy dom jest mniejszy niż pozostałe. Wygląda, jakby wewnątrz znajdowała się tylko jedna izba, ale z tyłu jest kurnik i klatka dla królików. Nigdy nie spotkałem mieszkańca tego domostwa, jednak zwierzęta wyglądają na zadbane. Właśnie mam położyć kilka miedziaków na beczce ze zbożem, kiedy dostrzegam małe zawiniątko, a obok wiadomość, błędnie napisaną palcem na zakurzonej wieku.

DZIENKUJE

Odwijam muślin, a w nim znajduję dwa nieduże herbatniki pachnące serem i czosnkiem.

To nie pierwszy prezent, jaki dostaję, ale za każdym razem czuję dziwny skurcz w żołądku. Mam ochotę nie przyjąć podarku, bo nie potrzebuję niczego od tych ludzi. Nie robię tego dla zapłaty. Ale ten prezent znaczył wiele dla osoby, która go zostawiła, a ja nie chcę być niegrzeczny, więc zawijam herbatniki z powrotem w muślin i chowam do kieszeni, po czym zostawiam kilka monet na beczce i idę dalej.

W drugim domu mieszka kilkoro dzieci, w tym noworodek. Czasem słyszę płacz w środku nocy, dlatego staram się poruszać jak najciszej, żeby nikt mnie nie zauważył. Wsuwam monety do kieszeni ubrań suszących się na sznurze.

W następnym domu zostawiam monety na progu.

W kolejnym na parapecie.

W piątym kładę je na pieńku, tuż obok wbitej w niego siekiery.

Nagle dostrzegam w mroku jakąś postać.

– Ha! – rozlega się szept. – Mam cię!

Jest tak zaskakujący, że upuszczam monety w trawę. Chwytam za trzonek siekiery i odwracam się szybko. Nie wiem, co zrobię, jeśli to nocny patrol. Siekiera na niewiele się zda przeciwko kuszy. Nie powinni strzelać bez ostrzeżenia, jednak od buntowników i wyjętych spod prawa nasłuchiwałem się dość opowieści, by wiedzieć, że to, co powinni i co faktycznie robią, to często dwie różne sprawy.

Tak czy siak, stoję z siekierą w rękach, gotowy jej użyć.

Postać odskakuje i podnosi rękę.

– Jejku!

To jednak nie nocny patrol, tylko... dziewczyna. Jest wysoka, prawie mojego wzrostu, więc w pierwszej chwili myślę, że może być starsza ode mnie, ale rysy jej twarzy są jeszcze dziecięce, a ręce smukłe i wiotkie. Ma na sobie jasną nocną koszulę odsłaniającą ramiona, a brzeg materiału ciągnie się po trawie. Blond włosy zebrała w rozpadający się warkocz, sięgający poniżej talii.

– Nie chcę kłopotów – mówię.

– Masz siekiere – odpowiada szeptem, w którym jednak nie słychać strachu. – Z mojej strony nic ci nie grozi.

Opuszczam siekiere ostrzem w dół.

– Więc wracaj tam, skąd przyszedłeś, i pozwól mi iść swoją drogą.

Teraz, gdy już nie mam „broni”, dziewczyna opuszcza rękę, ale się nie odwraca. Mruży oczy i wpatruje się we mnie uważnie, a po chwili patrzy w ciemność za moimi plecami.

– Jesteś sam.

– Tak.

– Kiedy zaczęły pojawiać się monety, mój kuzyn myślał, że to Weston i Tessa wrócili. Ale ty nie jesteś Wes, prawda?

– Nie.

Wpatruję się w ciemność i zastanawiam, czy ktoś jeszcze skrywa się między drzewami. Moje serce wali jak szalone od chwili, gdy ta dziewczyna pojawiła się znikąd.

– Cóż... – mówi dalej ściszym głosem – i tak ludzie gadają, że Weston Lark był tak naprawdę księciem Corrickiem, bratem króla.

– Też o tym słyszałem.

– Jeden z buntowników go złapał – ciągnie. – Chyba w Artis. Wes był przebrany za wyjętego spod prawa. Miał maskę i w ogóle. Uratowała go dopiero armia królewska.

Wszędzie słyhać te plotki.

Spoglądam na niebo – jeszcze nie jaśnieje, ale niedługo zacznie. Wkrótce nadejdzie świt, więc muszę wracać. Waham się, zastanawiam, wreszcie wbijam siekierę w pień. Dźwięk rozchodzi się echem po lesie, a ja się krzywię.

Oczy dziewczyny błyszczą jak płomień, gdy bierze gwałtowny wdech.

Zostawiam kilka monet na pieńku i odwracam się, żeby odejść. Ramiona mam spięte. Staram się zachować gotowość, na wypadek gdyby wszczęła alarm. Chyba zapominam, że ludzie w Dzikim trószczą się o siebie.

Dziewczyna podbiega i zaczyna iść obok mnie.

– Jeśli nie jesteś Westonem Larkiem, to kim jesteś? – dopytuje.

– To bez znaczenia.

– Masz czerwoną maskę – trajkocze dalej, nie zważając na nic.

Myślałem, że może mieć czternaście, może piętnaście lat, ale teraz wydaje mi się, że jest jeszcze młodsza.

– Wyglądasz w niej jak lis. Słyszałam, że Weston miał czarną.

– Idź do domu.

Nie słucha.

– Niektórzy myślą, że te twoje monety to podstęp – kontynuuje, dotrzymując mi kroku. – Mój wujek nazywa cię...

– Podstęp! – Odwracam się gwałtownie, żeby się jej przyjrzeć. – Na czym niby miałyby polegać podstęp z zostawianiem monet w środku nocy?

– Gadają, że książę Corrick udawał Westona Larka, żeby wyciągać z ludzi informacje o przemytnikach. – Jej szeroko otwarte oczy przepełnia szczerłość. – Żeby mógł ich potem zabić.

Prycham tylko i idę dalej.

– Po co miałyby zadawać sobie tyle trudu, skoro i tak może skazać na śmierć każdego, kogo zechce?

– Więc myślisz, że to nieprawda?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że brat króla potajemnie przebiera się za wyjętego spod prawa, żeby łapać przemytników.

– Cóż, nie bez powodu nazywają go Krwawym Corrickiem. A może myślisz, że to król jest okrutnym... Auć!

Potyka się i chwyta moje ramię, żeby utrzymać równowagę, podskakując na jednej nodze. Robi tyle hałasu, że mam ochotę wyrwać się jej i uciec, ale nie jestem bez serca.

Wzdycham bezgłośnie i spoglądam w dół – jest bosa. Jedną stopę trzyma w górze, a z jej pięty spływa cieniutka strużka krwi.

– Bardzo źle to wygląda? – pyta, a w jej głosie pobrzmiwa delikatna nuta strachu.

– Nie wiem, usiądź.

Siada, wsuwając drugą nogę pod kolano tej skaleczonej. Krople krwi kapią na trawę, a ja zauważam, że w ranie coś się błyszczy – ostry kawałek skały albo metalu.

Dziewczyna się krzywi.

– Mama mnie zabije.

– Narobiłaś takiego rabanu, że nocny patrol może ją wyręczyć. – Kładę swoją torbę na trawie i przykucam przy nieznajomej, żeby obejrzeć ranę. – Mówiłem, żebyś wracała do domu.

– Chciałam wiedzieć, kim jesteś. Mój kuzyn nie uwierzy, że cię przyłapałam.

– Nie „przyłapałaś” mnie. Nie wierć się. – Wyjmuję z kieszeni zapakowane w muślin herbatniki, odwijam i podaję jej. – Trzymaj.

Marszczy czoło, ale bierze ode mnie poczęstunek.

Już mam wyciągnąć przedmiot wbity w ranę, ale się waham.

Patrzę na nią poważnie.

– Może zabołec. Musisz być cicho.

Zaciska zęby i gwałtownie potakuje głową.

Ujmuję w palce wystający kawałek i pociągam. Rozlega się pisk, a dziewczyna niemal wrywa stopę z mojej ręki, ale udaje mi się ją utrzymać. Posyłam jej gniewne ostrzegawcze spojrzenie, na co bierze głośny wdech i zastyga w bezruchu.

Krwawiącą ranę owijam kawałkiem muślinu. Koniec rozdieram na dwie części i zawiązuję na supełek.

Mruga, żeby przegonić z oczu łzy. Żadna nie spływa.

– Co to było? Kawałek skały?

Kręcę głową i odpowiadam:

- Grot strzały.
- Nocnego patrolu? – docieka.
- Na pewno kogoś, kto chodzi w butach. – Wzruszam ramionami.
- To ma być żart?

– Musisz obmyć ranę, gdy wrócisz do domu – mówię, po czym prostuję się i przewieszam torbę przez ramię. Po tym wszystkim będę musiał zmienić trasę. Nie mam ochoty spotykać ludzi czających się na mnie w ciemnościach, nawet jeśli to dziewczyna, która ledwo przestała być dzieckiem. – Uważaj na siebie – rzucam. – Na mnie już pora.

Nieznajoma z trudem wstaje, utykając na zranioną nogę.

- Nadal nie wiem, jak się nazywasz!
- Możesz mnie nazwać, jak chcesz – odpowiadam. – Już tu nie wrócę.
- Nie! – woła za mną. – Zaczekaj. Proszę. To moja wina... Nie wiesz... – Głos zaczyna jej się łamać, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem. – Nie wiesz, jak bardzo wszyscy potrzebujemy...

Odwracam się i zakrywam jej usta.

- Naprawdę chcesz ściągnąć na nas nocny patrol?
- Szybko kręci głową, jest już nieco spokojniejsza.
- Jedzenie – mamrocze mimo mojej dłoni wciąż spoczywającej na jej ustach i wyciąga przed siebie herbatniki, które jej dałem.

Nie wiesz, jak bardzo wszyscy potrzebujemy...

Doskonale wiem, jak bardzo potrzebują. Wyjęci spod prawa Wes i Tessa kiedyś pomagali tym ludziom. Słyszałem tak wiele historii, że aż kręci mi się od nich w głowie. Nie zdołałem wypełnić pozostałej po nich wyrwy kilkoma monetami podrzuconymi tu czy tam. Nie jestem nawet pewien, dlaczego próbuję.

- Zatrzymaj je. – Opuszczam rękę i szukam w kieszeni jeszcze kilku monet. – I nikomu nic nie mów. – Podaję jej monety.

Patrzy na nie, potem szybko potakuje głową i chowa pieniądze.

W Sektorze Królewskim rozlega się dźwięk alarmu, na co dziewczyna podskakuje, a ja wzdycham.

- Idź już do domu.
- Wrócisz jeszcze? – pyta.

Posyłam jej surowe spojrzenie.

- Tylko jeśli następnym razem nikt nie będzie na mnie czyhał w ciemności.

Jej twarz rozpromienia uśmiech.

- Obiecuję.
- A jak ty się nazywasz?

– Violet.

– Uważaj na tę stopę, Violet.

Kiwa głową w odpowiedzi i szepcze:

– Dziękuję, Lisie.

Uśmiecham się na te słowa. Lekko dotykam runda kapelusza na pożegnanie i znikam w ciemności.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tessa

Przy stole siedzi pięciu mężczyzn, a większość z nich ma ochotę się wzajemnie pozabijać. To zdecydowanie utrudnia negocjacje.

Oprócz mnie przebywa tu jeszcze jedna młoda kobieta i żadna z nas raczej nie ma morderczych myśli. Karri wydaje się przytłoczona faktem, że znajduje się w pałacu. Brązowe oczy ma szeroko otwarte, a smukłymi palcami cały czas dłubie przy szwie sukni. Jeszcze miesiąc temu szeptałybyśmy między sobą o całej tej sytuacji, dzieliły się obawami i próbowały pomóc sobie nawzajem przejść przez to spotkanie, ale teraz Karri jest zakochana w jednym z przywódców buntowników, a ja w bracie króla. To wzniosło między nami mur i choć z tego powodu pęka mi serce, nie potrafię zburzyć bariery. Tu i teraz ta ściana wydaje się potężniejsza niż granica otaczająca Sektor Królewski.

Quint też raczej nie chce nikogo zabić. Marszałek Dworu siedzi po przeciwnej stronie stołu – ponoć po to, by protokołować wszystko, co zostanie tu powiedziane. Połowa guzików jego kaftana jest rozpięta, a nad czołem zwisa mu luźny kosmyk rudych włosów. Cały czas notuje coś wiecznym piórem w oprawionym w skórę notatniku.

Lochlan, przywódca buntowników, siedzi po mojej lewej. Co kilka chwil rzuca gniewne spojrzenie w stronę Quinta. Najchętniej pozabijałby wszystkich wokół. Raz już próbował.

– Co on zapisuje? – pyta Lochlan. – Co robisz?

Quint przerywa sporządzanie notatek i podnosi wzrok.

– Jestem tutaj, żeby spisać wasze żądania i odpowiedzi na nie – oznajmia spokojnie.

– Jeszcze nie przedstawiłem żadnych żądań – oświadcza gardłowym głosem Lochlan.

Quinta niełatwo zastraszyć. Widziałam, że potrafił zachować zimną krew, kiedy Sektor Królewski dosłownie palił się do gołej ziemi. Ledwo zauważa taką delikatną agresję słowną. Jest też jednym z najbardziej taktownych ludzi, jakich znam, i ma niezwykły talent do sprawiania, że inni czują się przy nim swobodnie. Nawet w najbardziej drażliwych momentach.

Odkłada pióro i odwraca kartkę, żeby była lepiej widoczna.

– Właśnie notowałem nazwiska obecnych – odpowiada bez cienia protekcjonalności – oraz datę i miejsce naszego spotkania. Mogę kazać przygotować kopię protokołu, jeśli sobie życzysz.

Lochlan rzuca okiem na kartkę, później z powrotem kieruje wzrok na Quinta. Na jego twarzy widoczne jest napięcie.

– On tylko robi notatki – mówi delikatnym głosem Karri i zerka na mnie przepaszająco. Kładzie rękę na ramieniu Lochlana, ale mężczyzna nie sprawia wrażenia, jakby go to rozluźniło.

Naprzeciw Karri siedzi Allisander Sallister, konsul Księżycowych Równin. Powinien być teraz w więzieniu, albo raczej wisieć na szubienicy. Uniknął jednak stryczka, bo zdołał przekonać króla, że tylko on może zebrać i dostarczyć płatki Księżycowego Kwiatu w takiej ilości i takim czasie, jakich wymagają warunki zawieszenia broni wynegocjowane z buntownikami. Osiem tygodni to niewiele na rozproszanie leku. Już samo zebranie wszystkich w jednym pokoju zajęło dwa tygodnie.

Na twarzy Alissandra maluje się mieszanka znudzenia i arogancji. Z westchnieniem wyjmuje spod stołu zegarek kieszonkowy w złotej kopercie, żeby sprawdzić godzinę.

– Spieszysz się dokądś, konsulu? – pyta siedzący po mojej prawej stronie Corrick.

Jego głos jest zimny, a niebieskie oczy przywodzą na myśl bryły lodu. To Książę Corrick, który kiedyś wzbudzał moje przerażenie. Ten sam, który nadal wzbudza przerażenie wielu mieszkańców Kandali.

Gdyby mógł, podpaliłby konsula Sallistera tu i teraz.

Mężczyzna podnosi na niego wzrok.

– Jest wiele miejsc, gdzie wolałbym teraz być. Mogłeś poczekać z wezwaniem mnie, aż ci ignoranci zostaną pouczeni, jak odbywa się takie spotkania.

Rozlega się skrzypnięcie krzesła, kiedy Lochlan zrywa się z miejsca.

– Próbujesz mnie obrazić, ty zepsuty...

– Jeszcze pytasz? – Konsul Sallister gładzi bezczelnie swoją kozią bródkę. – W sumie chyba nie powinienem być zdziwiony.

– Dość – wtrąca się król Harristan.

Nie jestem pewna, czy kieruje te słowa do konsula Sallistera, Lochlana czy strażników, którzy podeszli bliżej, by zapobiec ewentualnym kłopotom. Głos króla jest niski, chłodny, ale spokojny. To polecenie wydane przez człowieka przywykłego do zyskiwania posłuchu. Kieruje na mnie spojrzenie błękitnych oczu, ciemniejszych niż oczy jego brata.

– Myślę, Tesso, że to ty powinnaś rozpocząć.

– Tak – zaczynam. – Oczywiście.

Przeciągam dłońmi wzdłuż sukni, po spódnicy, żeby uspokoić nerwy, jednak dotyk gładkiego jedwabiu nie studzi emocji. Pewnie spocone z nerwów dłonie zostawiają ślady na materiale.

Wolałabym być teraz w infirmerii, odmierzać dawki leku z pałacowymi medykami. Wagi, miarki i fiolki nie przejmują się dyplomacją. Gdybym naprawdę mogła wybierać, najbardziej chciałabym jednak wrócić do Dżicy, przemykać w ciemności z Wesem. Wyłamywanie zamków i kradzież leku były może niebezpieczne i niezgodne z prawem, ale przynajmniej miałam wtedy poczucie, że robię coś dobrego. Będąc w pałacu i starając się przekonać wszystkich, do współpracy, mam wrażenie, że tylko pogarszam sprawę. Król Harristan i Księżę Corrick tak długo byli uważani za okrutnych i bezwzględnych, że trudno będzie dojść przy tym stole do porozumienia.

Allisander wzdycha i znów zerka na swój kieszonkowy zegarek. Harristan odchrząkuje.

Corrick nie patrzy na mnie, ale podnosi pióro i pisze kilka słów na okładce swojego notatnika, następnie je odkłada, a ten ruch zwraca moją uwagę.

Zerkam na słowa, które napisał:

NIE TRAC DUCHA.

Niemal oblewam się rumieńcem. Mówił tak do mnie, gdy byliśmy wyjętymi spod prawa, kiedy groziło nam niebezpieczeństwo albo kiedy czułam się przytłoczona. Zawsze mi to pomagało.

Nie inaczej jest teraz.

Odpowiadam mu delikatnym skinieniem głowy i przebiegam wzrokiem po twarzach zebranych przy stole.

– Konsul Sallister obiecał dostarczyć zapas leku na osiem tygodni, jednak po tym czasie...

– Powinno było być dwa – wtrąca konsul.

– Ale ustalono osiem – mówi Harristan.

– Powinno było być dwa. Mówiłem Corrickowi, kiedy składał tę idiotyczną obietnicę, że zapas na osiem tygodni jest niemożliwy. Jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło, mówiłem, że wiosenne deszcze wpłynęły na zbiory...

– Mówiłeś, że mogą wpłynąć – wchodzi mu w słowo Corrick.

– I wpłynęły – odpowiada Allisander. – Jeśli wy nie płaciecie za osiem tygodni dostaw leku, ja nie mam zagwarantowanych przychodów, żeby opłacić moich robotników. Trudno w takiej sytuacji mieć do nich pretensje, że porzucają pracę.

– To znaczy... że nie będzie zapasu leku na osiem tygodni? – pyta Karri.

– Będzie – odpowiada król tonem kończącym dyskusję. – Konsul Sallister złożył obietnicę przy świadkach i do protokołu. Jeśli przestałeś płacić swoim robotnikom, konsulu, możesz sam pracować w polu. Mów dalej, Tesso.

Biorę głęboki wdech.

– Podzieliłam się swoimi odkryciami z pałacowymi medykami i wydaje nam się, że połączenie księżycowego kwiatu z olejkami z nasion róży pozwala stworzyć eliksir, który działa dłużej i skuteczniej przy zmniejszonej dawce.

– Albo który doprowadzi do śmierci jeszcze większej liczby ludzi – wtrąca się konsul Sallister obojętnym tonem.

– Może wolałbyś poczekać w Twierdzy? – rzuca lodowato Corrick. – Jestem pewien, że Quint chętnie dostarczy ci kopię protokołu z dzisiejszego posiedzenia.

– Tesso – rozlega się stanowczy głos Harristana, jakby żaden z mężczyzn się nie odzywał – mów dalej.

– Gdybyśmy zmodyfikowali dawkę, zapas leku na osiem tygodni mógłby nam wystarczyć na dwanaście.

– Czy on ma rację? – pyta Lochlan. – Czy może przez to umrzeć więcej ludzi?

– Nie sądzę – odpowiadam szczerze. – Lek, który dostarczałam ludziom w Dzikim, był w podobnej dawce i wszyscy widzieliśmy, że działał.

Mężczyzna wpatruje się we mnie intensywnie.

– Ty tak twierdzisz.

Nie wzdragam się od jego spojrzenia.

– Widziałeś to na własne oczy. Wiesz, że ludzie nam ufali.

– Ufali tobie. – Kieruje gniewne spojrzenie na Corricka. – Nikt nie ufa Najwyższemu Sędziemu Królewskiemu, kiedy nie nosi maski.

Spodziewam się, że Corrick mu odpyskuje, tak jak Allisandrowi, ale wytrzymuje spojrzenie Lochlana.

– Chcę to zmienić. – Przerywa. – Nie oczekuję od ciebie zaufania w tych kwestiach, nie jestem zielarzem. Ale Tessa ma rację, widziałem, że lekarstwo działało.

Lochlan zastyga w bezruchu. Widać, że nie ufa nikomu.

Quint cały czas notuje. W tej ciszy skrzywienie jego pióra wydaje się potwornie głośne. Zastanawiam się, czy zapisuje tylko to, co zostaje powiedziane, czy może coś więcej. Jest bardzo spostrzegawczy. Myślę, że protokołuje każde spojrzenie, każdą zmianę ułożenia ciała.

– Ja ufam Tessie – mówi cicho Karri.

Lochlan zerka na nią, a jego spojrzenie łagodnieje. Po tym, jak podburzył tłum, który omal nie zabił Corricka, i jak poprowadził żądnych krwi buntowników do Sektora Królewskiego, trudno mi znaleźć w nim cokolwiek, za co można by go lubić.

Ale ilekroć patrzy na Karri w ten sposób, coś chwyta mnie za serce. Przypominam sobie, że kieruje nim troska. Nie tylko o nią. O wszystkich.

Ale mną także.

– Dobrze, w ten sposób zyskujemy trochę więcej czasu – zgadza się wreszcie Lochlan. – A co później? Co po tych dwunastu tygodniach?

– Jeśli zdołamy przekonać innych, że mniejsza dawka okazała się skuteczna w Dziczy, możemy przekonać więcej ludzi w sektorach do stosowania mniejszych dawek i dzięki temu leku wystarczy dla większej liczby ludzi – oświadczam.

– A więc testujesz swój lek na biedocie, by nabrać świadomości, jak wielkie jest ryzyko – podpuszcza mnie Lochlan.

– Nie! Nie określiłabym tego w ten sposób...

– Tak – wtrąca się Allisander.

– Na nim też go testujemy – mówi Corrick – tylko on jeszcze o tym nie wie.

Konsul bierze gwałtowny wdech, a jego oczy ciskają błyskawice.

– Co? – pyta Corrick. – Myślałeś, że nabieramy wszystkich dookoła, a sami przyjmujemy pełną dawkę?

– To absurd! – krzyczy konsul Sallister. – Kupujecie... Kupujecie przydziały pełnych dawek, a później...

– Sprawiamy, że wystarcza na dłużej – odpowiada król Harristan.

Karri się uśmiecha, po czym zerka na Lochlana.

– Widzisz?! – woła radośnie. – Ja ufam Tessie.

Uśmiecham się do niej z wdzięcznością, ale twarz Lochlana pozostaje jak wykuta z kamienia.

– Ja nie ufam żadnemu z nich. Nie mogę zanieść takiej odpowiedzi ludziom. Oni także temu nie zaufają. Dajcie nam pełną dawkę, a testy przeprowadzajcie na sobie.

– Zaufanie musi działać w obie strony – mówi Harristan.

– Nadal nie odpowiedziałeś, co się stanie po tych dwunastu tygodniach – przypomina Lochlan.

– Mamy nadzieję, że ludzie przekonają się, że mniejsza dawka pozwoli nam zachować w zdrowiu większą liczbę ludzi, i zechcą...

Lochlan prychnął, patrzy na mnie gniewnie i podejmuje na nowo:

– Czy ty nic nie rozumiesz? Połowa ludzi w tym sektorze siedzi na zapasach płatków Księżycowego Kwiatu, które gromadzili od miesięcy, a wy macie nadzieję, że w kilka tygodni przekonacie ich, by zmniejszyli dawki? Bo powiecie im, że w Dziczy mniejsze dawki były skuteczne? – Teraz spogląda gniewnie na Allisandra. – Po tobie nie widać, żebyś miał wielkie nadzieje.

– Nie obchodzi mnie, co się stanie z ludźmi w Dzikcy – odpowiada. – Jeśli chcesz więcej leku niż to, co zostałem zobowiązany dostarczyć, to go kup. – Zerka na lewe ramię buntownika, nadal spoczywające na temblaku i zabandażowane od dnia, kiedy Corrick złamał je w więzieniu. – A! Pewnie nie możesz teraz pracować w kuźni, co? Musisz żebrać, więc postanowiłeś udawać, że troszczysz się o innych...

Lochlan rzuca się w jego stronę przez stół... A raczej próbuje, bo dwóch strażników chwyta go, nim zdoła dopaść konsula. Przewraca dwie szklanki, z których woda rozlewa się na wypolerowany drewniany stół.

Allisander unosi gniewnie brew i odsuwa krzesło o kilka centymetrów, ale poza tym nie robi nic, by zatrzymać rozlaną wodę.

Spod ściany rusza służący ze ścierką.

Strażnicy szarpią się z przeklinającym Lochlanem. Pewnie wykręcili mu złamaną rękę, bo nagle zamiast jego krzyków rozlega się gwałtowny wdech i mogę dostrzec, że na jego czoło wstępują kropelki potu.

– Zrób coś – szepczę do Corricka.

Spojrzenie jego niebieskich oczu napotyka moje.

– Mam ich obu powiesić?

– Corrick – szepczę. Nie jestem pewna, czy to był żart.

– Obaj są w błędzie – mówi stanowczym tonem, aby usłyszeli go wszyscy zebrani przy stole. – Nigdy do niczego nie dojdziemy, jeśli wy dwaj stale będziecie sobie skakać do gardeł.

– Dobra – cedzi przez zęby Lochlan. – Puśćcie mnie.

Karri wstaje ze swojego krzesła i zerka to na mnie, to na Lochlana.

Wzrok strażników jest wbity w króla.

– Puścić go – rozkazuje Harristan i spogląda na Allisandra. – Ani słowa więcej, konsulu. Jeśli nie potrafisz mówić w dobrej wierze, nie będziesz mówił wcale.

– Ależ ja mówię w dobrej wierze, wasza królewska mość. – W głosie mężczyzny słyhać pogardę. – Możesz mnie wykluczyć ze spotkania, zmniejszyć moją dawkę leku, zrobić wszystko, co zechcesz, ale w tym jednym zgadzam się z tym prostakiem. Sektory nie przyjmą hipotezy weryfikowanej na tych, którzy nie mają nic do stracenia, którzy nie zawahają się skłamać, by tylko otrzymać kolejną dawkę. Potrzebujesz zaufania nie tylko buntowników.

Corrick i Harristan wymieniają spojrzenia, a Quint nie przestaje notować.

– Ludzie nie będą kłamać – wtrąca Karii rozgorączkowanym tonem.

Allisander patrzy na nią z pogardą.

– Dopiero co chcieliście spalić do gołej ziemi cały sektor. Wątpię, aby „kłamanie” wykraczało poza czyjekolwiek możliwości.

Choć szczerze nienawidzę konsula Sallistera, nie można mu tu odmówić racji. Nie chodzi tylko o to, by buntownicy zaufali Harristanowi i Corrickowi, no i... mnie. Muszą nam zaufać także wszyscy pozostali.

Lochlan nerwowo poprawia ubranie i siada z powrotem na krześle.

– Nikt nie będzie kłamał. My także przyszliśmy tutaj w dobrej wierze, pamiętasz?

– Bo ledwo wywinąłeś się od stryczka? – prycha Allisander.

– Tak jak ty – odcina mu się Lochlan.

– Dość – Głos Harristana przecina powietrze, wyraźnie słychać w nim gniew.

Bierze krótki wdech i odkrztusza. Dwukrotnie.

Widzę, że Corrick skupia całą uwagę na bracie. Król od miesięcy ukrywa kaszel. Na początku myślałam, że może ze względu na wrodzoną chorowitość, przejawianą już od czasów dzieciństwa, naprawdę potrzebuje więcej leku niż inni. Wprawdzie Allisander przyznał się do oszukiwania na dostawach i dostarczania do pałacu płatków Księżycowego Kwiatu wymieszanych z innymi, ale ten problem rozwiązano już kilka tygodni temu. Kaszel powinien być ustąpić.

A jednak nie ustąpił.

Pióro Quinta się zatrzymuje. Marszałek unosi wzrok, w mgnieniu oka ocenia sytuację i zwraca się do służby:

– Finn, myślę, że wszystkim nam przydałoby się coś do jedzenia i picia.

Służący rusza spod ściany, a kaszel króla zostaje zagłuszony nagłym szczękaniem porcelany i srebra.

Biorę pióro, wyciągam rękę i zakreślam słowa, które Corrick napisał wcześniej.

Nie trać ducha.

Zerka na mnie i lekko kiwa głową, ale z jego oczu nie znika obawa. Chciałabym móc położyć mu rękę na ramieniu albo wyszeptać do ucha jakieś podnoszące na duchu słowa, ale żadna z tych rzeczy nie byłaby dobrze widziana. Wszystko jest tak niepewne. Nie chcę dodatkowo osłabiać jego pozycji.

Finn stawia przed każdą z osób filiżankę herbaty i mały talerzyk z delikatnym ciastem polanym czekoladą, kawałkiem jabłka, obok którego stoi małeńka miseczka z miodem, i cienko pokrojonymi truskawkami oprószonymi cukrem pudrem.

Karri wpatruje się w talerz szeroko otwartymi oczami. Na początku robiłam to samo. Lochlan natomiast patrzy gniewnie na jedzenie.

Allisander wygląda na znudzonego.

Król sączy łyk herbaty, co wydaje się na chwilę powstrzymać jego kaszel.

Wolałabym, żeby go nie ukrywał. Rozumiem, że nie chce okazywać słabości, ale wydaje mi się, że efekt byłby zupełnie przeciwny. To zbliżyłoby go do ludzi.

Zobaczyliby, że wobec choroby jest równie bezbronny, jak oni. Jednak z drugiej strony rozumiem, dlaczego nie chce tego pokazać. Rodziców Harristana i Corricka zamordowano na ich oczach, więc nie można się dziwić obawom braci.

Moich także zamordowano na moich oczach.

Karri wygląda, jakby bała się tknąć jedzenia, więc uśmiecham się do niej, biorę kawałek jabłka i zanurzam w miodzie.

– Jabłka są najlepsze – mówię do niej.

Odpowiada uśmiechem i także bierze ten owoc.

Lochlan się waha, jednak pokusa, jaką stanowi to wykwintne jedzenie, jest chyba zbyt silna, bo idzie w nasze ślady. To żadne ustępstwo z jego strony, ale takie sprawia wrażenie.

W korytarzu na zewnątrz rozlegają się głosy, jednak przez zamknięte drzwi nie sposób zrozumieć, o co chodzi. To dość nietypowe, by ktoś podnosił głos w pobliżu komnaty, w której przebywa król. Oprócz strażników w środku, co najmniej sześciu kolejnych stoi za drzwiami.

Harristan zerka na Corricka siedzącego po drugiej stronie stołu. Ten posyła spojrzenie strażnikom, a później Quintowi – odbywa się między nimi przedziwna niema komunikacja, która nagle wydaje się przeraźliwie głośna.

Quint odkłada pióro i wstaje od stołu.

– Proszę mi wybaczyć. Zaraz wracam.

Jeden ze strażników idzie z nim do drzwi, a Karri zerka na mnie.

– Co się dzieje? – pyta szeptem.

Chciałabym zachować spokój, ale moje serce zaczyna walić jak oszalałe. Byłam tu, kiedy buntownicy po raz pierwszy zaatakowali pałac.

– Ja... nie wiem...

Corrick kładzie rękę na mojej.

– Sprawy pałacowe – mówi spokojnie. – Nie masz się czym przejmować.

Mimo tych słów czuję napięcie w jego ciele.

Nikt nie je. Nawet konsul Allister wydaje się zaniepokojony.

Na szczęście Quint wraca po chwili i pochyla się, żeby powiedzieć coś do króla.

Harristan jest zbyt obyty z dworską polityką, żeby wyraz jego twarzy cokolwiek zdradził, ale jego oczy znów zwracają się w stronę Corricka.

– Zdaje się, że będziemy musieli przełożyć nasze spotkanie – oświadcza spokojnym głosem Quint. – Zaistniała okoliczność, która wymaga uwagi króla.

– Jaka okoliczność? – pyta Lochlan.

– Obawiam się, że nie mogę zdradzić.

– Zorganizowanie tego spotkania zajęło dwa tygodnie. Nie nabiorę się na żadne podstępny, żeby czekać dłużej – patrzy na przeciwległą stronę stołu – zwłaszcza w sytuacji, kiedy jestem pewien, że wszyscy inni tu obecni dowiedzą się, o co chodzi.

Quint bierze gwałtowny wdech, ale Harristan unosi rękę.

– Masz rację. I to nie tylko tu obecni. Skoro statek zacumował kilka godzin temu, plotki na pewno już się rozeszły po Sektorze Królewskim.

– Statek? – pyta Corrick. – Jaki statek?

– Właśnie przybył emisariusz – odpowiada Harristan. – Z Ostriarii.

Gwałtownie odwracam głowę w stronę Corricka.

Ostriaria to zachodni sąsiad Kandali, leżący po drugiej stronie niebezpiecznej szerokiej rzeki. Ze względu na trudności w podróżowaniu oraz chorobę pomiędzy krajami nie istnieje żadna umowa handlowa.

Wiele tygodni temu pytałam Corricka, czy nie byłoby jakiegokolwiek możliwości sprowadzenia leku z Ostriarii. Odpowiedział, że dowiedzenie się tego jest w zasadzie niemożliwe. Już sama próba byłaby bardzo kosztowna.

Corrick zerka na mnie i widzę, że przypomina sobie naszą rozmowę.

– Ostriaria wysłała emisariusza?

– Niezupełnie – mówi Quint.

– Oni nie wysłali emisariusza. – Harristan przeciąga ręką po karku. To pierwsza oznaka napięcia, jaką okazuje. – Okazuje się, że my wysłaliśmy. Sześć lat temu...

ROZDZIAŁ TRZECI

Corrick

W dzieciństwie chroniono mnie, ale nie tak bardzo jak Harristana. Był następcą tronu, a przy tym wątłego zdrowia, więc chuchano na niego i dmuchano, otaczano opieką pielęgniarek i lekarzy. Ogień w kominku w komnatach Harristana zawsze płonął mocnym płomieniem, to on zawsze dostawał najbardziej przewidywalnego konia oraz powóz, w którym były najmniejsze przeciagi, najlepszych nauczycieli i instruktorów. Jako drugi syn – zdrowy syn – nie byłem tak pilnie strzeżony. Mogłem wyruszać na polowania w lasach Kandali, galopować z innymi szlachcicami na koniach aż nazbyt narowistych, jak na wierzchowce należące do rodziny królewskiej. Podróżowanie powozem? To nie dla mnie. Nauka? Nauczyciele mogli dawać mi po łapach. Na placu treningowym mogłem pojedynkować się, z kim chciałem, bo żaden zbrojmistrz nigdy nie musiał się martwić, że nabiję sobie siniaka.

Mimo to byłem chroniony, otoczony strażnikami i doradcami trzymającymi mnie na krótkiej smyczy, choć czasem nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jednak Harristan o tym wiedział. To on nauczył mnie wymykać się z pałacu i zatracać w Dziczy. Między innymi dlatego tak trudno było mi utrzymywać w tajemnicy nocne eskapady z Tessą.

Często się zastanawiam, jak to możliwe, że on ich nie odkrył. Był zawsze sprytniejszy, niż wydawało się naszym rodzicom.

Teraz też jest sprytny. Myślałem, że będzie chciał natychmiast iść do sali tronowej, żeby przywitać gościa, ale kazał Quintowi zająć się „emisariuszem”, a mnie wezwał do swoich prywatnych komnat.

– Myślisz, że to może być prawdą? – pytam.

Opada ciężko na krzesło i spogląda w okno.

– Jeśli to prawda, wysłał go ojciec.

– Sześć lat temu miałeś siedemnaście lat. Pamiętasz, by ktokolwiek wspominał o jakichś statkach wysyłanych do Ostriarii?

Spodziewam się karcącego spojrzenia i przeciągłego westchnienia, w stylu: „Wiem, ile miałem lat, Cory”, ale on milczy. Wpatruje się w smugę światła słonecznego, wpadającą przez okno, i zastanawia. Między jego brwiami pojawia się głęboka bruzda. Wiem, że jest niespokojny.

– Nie – mówi wreszcie. – Ojciec nie wprowadził mnie we wszystkie sprawy Królestwa.

Ale w większość tak. Pamiętam. Dołączyłem do nich dopiero, gdy skończyłem czternaście lat. Najpierw nie mogłem się tego doczekać. Byłem ciekaw, jakież to fascynujące rzeczy dzieją się na tych spotkaniach. Szybko jednak się przekonałem, że wielogodzinne posiedzenia polityczne są przeraźliwie nudne. A w każdym razie były takie do czasu, kiedy rok później zamachowcy wtargnęli do komnaty i zamordowali rodziców na naszych oczach.

– Allisander pamięta, że rozmawiano o emisariuszach, ale nie wie nic o tym, by kogokolwiek wysłano do Ostriarii – mówi Harristan. – Ale wtedy stanowisko konsula obejmował jego ojciec. Posłałem wiadomość do pozostałych, żeby się dowiedzieć, czy ktokolwiek pamięta, by nasz ojciec organizował taką wyprawę.

– Nic o tym nie słyszałem, odkąd zasiadłeś na tronie. Od tamtej pory jest już kilku nowych konsulów, ale zaginiony dyplomata wydaje się tematem, który raczej wypłynąłby w rozmowie.

– Też tak uważam. – Harristan zastanawia się przez chwilę. – I nie mam pojęcia, kogo mógł wysłać. Większość naszych szkutników uważa, że Ognistej Rzeki w zasadzie nie da się przepłynąć. Nic mi nie wiadomo, jakobyśmy mieli jakichś żeglarzy chętnych zaryzykować przeprawę bez szkatułki srebra, która wynagrodziłaby im ryzyko.

To prawda. Kilka tygodni temu Tessa zapytała mnie wprost, czy Ostriaria nie mogłaby stać się naszym nowym źródłem Księżycowego Kwiatu. Pamiętam nadzieję płonąca w jej oczach, i pamiętam, ile kosztowało mnie zgaszenie tego płomienia. W Dzicy potrafiłem być bohaterem. Jako ksiązę Corrick często mam ręce związane tuzinem różnych węzłów zobowiązań.

Powiedziałem jej, że znalezienie chętnych na wyprawę do Ostriarii byłoby kosztowne i trudne. Rzekę już przekraczano, ale były to rzadkie przypadki. Po jej północnej stronie są strome wodospady, a po południowej – kryjące się tuż pod powierzchnią skały, rozdzierające burty statków. Powstała nawet pijacka piosenka o tym, jak Ognista Rzeka zamienia stęsknionych kochanków we wdowców i wdowy.

– Emisariusz zacumował w Artis – przypominam. – Nie przeprawił się więc przez Ognistą Rzekę. Musiał płynąć Rzeką Królowej.

– Więc uważasz, że przybył z Ostriarii drogą morską? W tę wersję jeszcze trudniej mi uwierzyć. A nawet jeśli, to po co płynął do Artis? Są porty w Sunkeep i Nabrzeżu Kupców. Z Ostriarii musiałby opłynąć pół Kandali, a potem w górę Rzeki Królowej, żeby dotrzeć do Artis.

Wszystko to prawda. Zastanawiam się przez chwilę.

– Z portu w Artis jest najbliżej do Sektora Królewskiego. Quint powiedział, że emisariusz po prostu wpłynął do portu i się zaanonsował. To dość śmiałe zachowanie, jak na kogoś, kto miałby nieczne zamiary.

– Posłałem strażników po dzienniki pokładowe – poinformował mnie brat. – No i jest jeszcze kwestia bandery. Powinna być zniszczona po tak długim czasie. Powinien być jakiś dowód, że faktycznie wypłynął z Kandali.

Bierze wdech, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego kaszle w łokieć. Marszczy czoło.

– Nadal kaszlesz. Zauważyłem podczas spotkania.

– Nic mi nie jest

– Przyprawdę Tessę. Może ona przemówi ci do rozsądku. – Wstaję z krzesła.

– A ja ją natychmiast odeślę. Mamy teraz pilniejsze sprawy.

Znów pokasłuje delikatnie i posyła mi gniewne spojrzenie, kiedy nie siadam z powrotem.

– Naprawdę, Corricku. Ten emisariusz nie mógł się zjawić w gorszym momencie. Po tym, jak Allisander zachował się wobec buntowników, Lochlan wróci do Dżicy z opowieściami, jak to chcemy testować szalone teorie na biedakach.

– Nie sądzę, by Lochlan powiedział coś takiego – odpowiadam.

Brat podnosi na mnie wzrok.

– Nie sądzisz?

– Nie. Myślę, że będzie dużo gorzej. – Splatam ręce na piersi i opieram się o stół. – Rozpowie wszystkim, że nic nas nie obchodzi ich trudna sytuacja, że ich wysiłki były próżne, że nie mamy zamiaru wprowadzić żadnej prawdziwej zmiany, że to tylko oszustwo i podstęp.

Harristan wygląda na zirytowanego.

– Coś jeszcze?

– Oczywiście. Na pewno już nawołuje do rewolucji.

Brat wzdycha i przeciąga ręką po włosach.

– Wrócimy do punktu wyjścia.

Powinienem zaprotestować, ale nie mogę, bo ma rację.

Tessa jest pełna nadziei, ale nic w tej sytuacji nie jest ani proste, ani łatwe. Gdyby było, problem zostałby rozwiązany już dawno temu, Tessa sugerowała kiedyś, że wszystko, czego zechce mój brat, może stać się obowiązującym prawem na skinienie jego palca. Szkoda, że rzeczywiście nie ma takiej mocy. Szkoda, że ja jej nie mam. Nie chcę, żeby życie w pałacu pozbawiło ją nadziei, tak jak to uczyniło w przypadku wielu innych.

Wyraz twarzy Harristana jest poważny. Mojej na pewno także.

– Idziemy sprawdzić, jakie wieści ma dla nas emisariusz? – pytam. – Może ma ładownie wypełnione po brzegi płatkami Księżycowego Kwiatu i będziemy mogli zepchnąć Allisandra z dachu pałacu.

Harristan nie śmieje się z mojego żartu. Nie wstaje, tylko znów patrzy w okno.

Ktoś mógłby pomyśleć, że gra na zwłokę, ale ja wiem lepiej. Jest królem. Ma wpływ na wiele rzeczy, ale nigdy nie wykorzystuje swojej pozycji do manipulowania. Cisza gęstnieje, a ja się zastanawiam, czy decyzja mojego brata, byśmy przyszli najpierw tutaj, zamiast iść prosto do przybyłych, nie ma drugiego dna.

– Nie chcesz się spotkać z tym emisariuszem? – pytam cicho.

– Coś mi tu nie pasuje – oświadcza.

– Co?

Delikatnie kręci głową.

– Minęło zbyt wiele czasu. To zbyt... niespodziewane. Dlaczego właśnie teraz? – Przerzywa. – Już raz nas zaatakowano. Ojciec i matka także niczego się nie spodziewali.

Nic nie odpowiadam, dobrze to pamiętam.

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazuje Harristan.

Drzwi otwierają się szeroko i rozlega się głos służącego:

– Marszałek Quint prosi o audiencję, wasza królewska mość.

– Niech wejdzie, Thorinie.

Harristan mówi łagodnym tonem, co nie powinno być zaskoczeniem, a jednak jest. Quint jest moim bliskim przyjacielem od lat i tylko dlatego brat go toleruje, acz niechętnie. Między nimi nigdy nie zrodziła się przyjaźń. Nieraz byłem świadkiem, jak Harristan po prostu wyrzucał Quinta za drzwi. Przyjaciel sprawia czasem wrażenie trochę niepozbitanego i melodramatycznego. Wiele osób w pałacu uważa, że jest... męczący.

Na palcach jednej ręki mogę policzyć sytuacje, kiedy mój brat powiedział: „Niech wejdzie”, nie pytając przynajmniej, czego tym razem chce od niego marszałek dworu.

Przybycie tego statku z Ostriarii musiało mocno wytrącić Harristana z równowagi.

Quint wchodzi do komnaty. Jeśli jest zaskoczony, nie daje tego po sobie poznać.

– Kapitan Rian Blakemore i jego pierwsza oficer zostali zakwaterowani w Białej Komnacie. – Otwiera mały notesik, który zawsze nosi przy sobie. – Porucznik Gwyn Tagas.

Kapitan Rian Blakemore.

Pierwszy raz słyszę to nazwisko, a znam wszystkich, którzy liczą się w Sektorze Królewskim. Spoglądam na Harristana, żeby zobaczyć, czy jemu to nazwisko wydaje

się znajome.

Kiedy nasze oczy się spotykają, kręci głową. Chwilę później odwraca się do Quinta.

– Strażnicy wrócili z dziennikami pokładowymi?

– Nie, wasza królewska mość. – Quint zamyka notes. – Kapitan Blakemore wskazuje, że ma małą załogę, która pozostała na statku. Kazałem strażom to sprawdzić.

– Czy wydaje ci się szczerzy? – pytam.

– Prawdę mówiąc, tak. Cały czas podtrzymuje swoją pierwotną wersję. Wyruszył z misją do Ostriarii sześć lat temu. Miał sprawdzić, czy można nawiązać stosunki z tamtejszym dworem. Teraz powraca z wiadomościami.

– Jakimi wiadomościami? – pyta Harristan.

Quint odchrząkuje.

– Mówi, że polecono mu spotkać się tylko z królem.

– Nie ma mowy – szybko protestuję.

– Strażnicy go przeszukali i nie znaleźli żadnej broni. Nie przedstawił żadnych żądań. Wykazuje się cierpliwością i ogłada. Szczerze mówiąc, jest dość serdeczny.

– Konsul Bernard nigdy nawet nie podniósł głosu – przypomina Harristan – a stał na czele spisku, w wyniku którego zginęli nasi rodzice.

– Najpierw ja się z nim spotkam – oznajmiam. – Cóż to za wiadomości, których dostarczenie zajmuje sześć lat?

– Na pewno ojciec nie spodziewał się, że ta podróż potrwa tak długo – dodaje Harristan. – Jak to tłumaczy?

– Cóż, król Lucas nie wysłał konkretnie kapitana Blakemora. Ten mężczyzna był częścią większej grupy. Ze względu na niestabilność na dworze królewskim Ostriarii przez długi czas nie mógł wyruszyć w drogę powrotną – informuje nas Quint.

Wymieniam spojrzenia z Harristanem.

– A to niby co znaczy?

– To znaczy, że kiedy opuszczał Kandalę, był jeszcze młody. Dyplomata, którego wysłał król Lucas, był jego ojciec.

Mimo tego, co usłyszeliśmy od Quinta, spodziewałem się zobaczyć kogoś starszego. Określenie „młody” i fakt, że jest kapitanem statku, składało mi się na obraz kogoś około trzydziestki. Ale kiedy wchodzę do białej komnaty okazuje się jednak, że kapitan Blakemore jest niewiele starszy ode mnie. Na pewno nie jest starszy od Harristana. Ma gęste czarne włosy, jasne oczy – raczej szare niż niebieskie – wyraźnie zarysowaną i dokładnie ogoloną szczękę, opaloną skórę człowieka, który wiele dni

spędził na słońcu. Gdybym nie wiedział, uznałbym, że kapitanem jest towarzysząca mu kobieta. Porucznik Gwyn Tagas jest dobrze po czterdziestce. Jej skóra jest ciemna i pokryta bruzdami jak dryfujące drewno, a jej krótkie ciemne włosy lekko przyprószyła siwizna.

Gdy wchodzimy z Quintem do komnaty, oboje wstają. Ich wzrok zatrzymuje się na sześciu strażnikach, którzy wchodzą za nami i stają przy ścianie.

Przyglądam się uważnie, czy kapitan i jego pierwsza oficer nie sprawiają wrażenia przestraszonych, czy zaniepokojonych, ale nie dostrzegam tego u żadnego z nich. Może oboje potrafią się świetnie maskować. Ubrani są, jakby właśnie zeszli z pokładu – w ciężkie płócienne spodnie i tuniki z grubego sukna. Kapitan ma na sobie jeszcze luźno zapięty kaftan. Nie widać po nich bogactwa ani statusu dyplomatycznego. Z drugiej strony stoją w najładniejszym pokoju na najwyższym piętrze pałacu, a żadne z nich nie wydaje się oszołomione otaczającym ich przepychem. Tymczasem Lochlan i Karri podczas naszego niedawnego nieudanego spotkania wyglądali, jakby mieli zemdleć już na sam widok sposobu, w jaki podano jedzenie.

– Kapitanie Blakemore – zaczyna Quint – przedstawiam najwyższego sędziego królewskiego, księcia Corricka.

Jeśli jest zawiedziony, że zjawiłem się ja, a nie mój brat, nie daje tego po sobie poznać. Unosi przed sobą rękę na wysokość pasa i kłania się, jakby całe życie spędził na królewskim dworze.

– Wasza wysokość – mówi.

– Kapitanie.

Spoglądam na kobietę stojącą tuż za nim.

– Porucznik Tagas, jak mniemam?

– Tak, wasza wysokość.

Ona także się kłania, choć nie z taką wprawą jak kapitan Blakemore. W jej oczach widać ostrożność i napięcie, których brak w spojrzeniu kapitana. Ale przecież to nie ona jest rzekomym emisariuszem. Może po prostu przywykła do ostrożności.

Wskazuję ręką krzesła.

– Usiądziemy?

Zajmujemy miejsca, a Quint odchodzi na bok, by wydać dyspozycje służbie. Jestem pewien, że posłał po jedzenie. Nie jestem głodny, ale wspólny posiłek pomaga przełamywać lody, więc zjem, co przyniosą.

– Macie za sobą długą podróż, jak mniemam – zaczynam. – Marszałek Quint mówi, że byliście w podróży sześć lat. Musicie być głodni.

W moim głosie słyhać lekki wyrzut. Dostrzegam moment, kiedy kapitan Blakemore go zauważa, bo unosi kącik ust.

- Widzę, że nasza opowieść budzi pewne wątpliwości.
- Owszem. Rzekłbym nawet, że całkiem spore.
- Odpowiem na wszelkie pytania – obiecuje. – Wasza ostrożność jest w pełni zrozumiała.

Teraz rozumiem, co miał na myśli Quint, mówiąc o jego serdeczności i ogładzie. Trudno dostrzec w nim coś podejrzanego. Co najwyżej jest bardziej bezpośredni niż konsulowie i inni dworzanie, których gładkie słówka są zawsze podszyte wieloznacznościami.

Skoro chce być bezpośredni, ja także będę.

– Jak rozumiem, kapitanie, do Ostriarii popłynął pana ojciec z rozkazu króla Lucasa?

– Tak jest.

– A gdzie on teraz jest?

– Nie żyje. – Oznajmia to tak po prostu, bez emocji. – Tak jak twój, wasza wysokość.

Quint szedł właśnie w stronę stołu, ale na te słowa zastygł w miejscu. Na pewno zastanawia się, jak to przyjmę.

Porucznik Tagas wzdycha nerwowo.

– Rian – upomina go szeptem.

– Przecież to prawda – zauważa kapitan Blakemore. Nie odrywa spojrzenia od mojej twarzy. Wzrusza ramionami. – Obaj nie żyją.

Nie potrafię się zdecydować, czy lubię tego człowieka, czy wolałbym zepchnąć go z dachu pałacu razem z konsulem Sallisterem.

– I pan przejął jego obowiązki? – pytam.

– Oczywiście. Syn ma obowiązek przejąć dziedzictwo po swoim ojcu, czyż nie?

Mówi to z takim samym spokojem jak wszystko inne, jednak w jego tonie pobrzmiwa przytyk, taki sam jak ten, który brzmiał w moim. Zawiesza na chwilę głos, żeby mieć pewność, że go dostrzegłem, a później kontynuuje, jakby nie oczekiwał odpowiedzi:

– Wiedziałem, że przygotowanie tej wyprawy było dość kosztowne. Może byłem wtedy młody, ale nie głupi. Byłem świadom wagi misji powierzonej mojemu ojcu.

– Wygląda na to, że ja zupełnie nie jestem świadom tej wagi – odpowiadam. – Pana nazwisko rodowe, kapitanie Blakemore, zupełnie nic mi nie mówi. Mój brat także go sobie nie przypomina.

– Rian – wtrąca. – Proszę mówić mi Rian, wasza wysokość.

To oczywiście zaproszenie, żebym także zaproponował mu zwracanie się do mnie po imieniu. Postanawiam je zignorować.

– Będę mówił do pana „więźniu”, jeśli nie przedstawi mi pan bardziej przekonujących wyjaśnień.

Obok siebie słyszę westchnienie Quinta, bardzo podobne do westchnienia porucznik Tagas sprzed chwili. Nie powie ani słowa, ale mogę sobie wyobrazić jego ton. „Naprawdę, Corrick?”

Rian się uśmiecha.

– Chciałem być tylko uprzejmy, nie było w tym żadnych złych intencji. Fakt, że nasi ojcowie nie żyją, wpędza nas w ślepy zaułek. Rozumiem, że strażę przeszukują mój statek. Znajdą tam dziennik pokładowy mojego ojca z wyprawy do Ostriarii, a także mój z drogi powrotnej. Przyznaję, że moja załoga w całości składa się z Ostriarian, więc nie będzie w stanie udzielić zbyt wielu odpowiedzi, ale proszę ich pytać, o co tylko wasza wysokość zechce.

– Tak zrobię – odpowiadam.

– Dobrze – potakuje i zawiesza głos. – To porządni ludzie. Odpowiedzą szczerze. Jednak nie powinno ich spotkać nic złego, gdyby waszej wysokości nie spodobało się to, co mają do powiedzenia.

Unoszę brwi.

– Dlaczego miałyby ich spotkać coś złego?

– Słyszałem to i owo na temat reputacji waszej wysokości – mówi spokojnie. Powiedział to cicho, ale równie dobrze mógłby wystrzelić z armaty.

Quint odchrząkuje.

– Myślę, że wszystkim nam dobrze zrobi filizanka...

Podnoszę rękę, na co Quint milknie. Nie odwracam wzroku od Riana.

– Jest pan tu ledwie od pięciu minut i już słyszał o mojej reputacji?

– To tylko świadczy o tym, jak jest imponująca.

Mówi „imponująca”, jakby znaczyło to coś zupełnie innego. Ale pokazał mi swoją słabość, choć może niewielką – troszczy się o swoją załogę, a sądząc z tonu, jakim porucznik Tagas wymawiała jego imię – oni troszczą się o niego.

– Cały czas odnoszę wrażenie, że nie jest pan ze mną szczerzy, kapitanie – zauważam. – Jeśli nie chce pan, by coś złego spotkało pana ludzi, proszę po prostu powiedzieć prawdę. Jeśli pana ojciec był emisariuszem, jeśli był członkiem tego dworu, powinienem znać pana nazwisko. Mój brat powinien je znać. Tymczasem tak nie jest.

W jego oczach rozbłyska dziwne światło.

– No cóż, proszę mi pozwolić rozwiać te wątpliwości. Nie powiedziałem, że mój ojciec był emisariuszem, wasza wysokość. Nie był dyplomatą ani członkiem dworu. A ponieważ wasza wysokość był wtedy dzieckiem, nic dziwnego, że go nie pamięta. –

Rozgląda się po pokoju. – Domyślam się, że nie ma w tym pałacu zbyt wielu osób, które znały go z nazwiska.

Marszczę brwi i zerkam na Quinta, który wygląda na równie zadziwionego, jak ja.

– W takim razie... kim był?

Rian się uśmiecha.

– Szpiegiem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Corrick

Posyłam po Harristana. Jeśli relacje kapitana Blakemore'a mają się zamienić w rozmowę o tajnych szpiegach wysłanych przez mojego ojca, to mój brat powinien w niej uczestniczyć.

Pojawia się w towarzystwie osobistych strażników, a za nimi podąża dwóch służących, dźwigając ciężką drewnianą skrzynię z dużą kłódką, na której wieku leży złożona wyblakła błękitno-fioletowa tkanina i kilka cienkich, oprawionych w skórę notatników.

Rian i jego porucznik natychmiast wstają i kłaniają się Harristanowi z zachowaniem takiej samej dworskiej etykiety jak przedtem w stosunku do mnie.

Służący zostawiają przedmioty na stole. Jestem zdziwiony, że skrzynia ląduje na blacie w całkowitej ciszy. Notatniki zostają położone obok, a złożony kawałek materiału okazuje się poszarpaną na brzegach flagą Kandali. Wszystko to ma zapach morskiej wody i czegoś kwaśnego.

Wyraz twarzy Harristana jest chłodny i nieodgadniony.

Po chwili napięcia Quint przerywa ciszę:

– Wasza królewska mość, pozwól, że przedstawię kapitanu Riana Blakemore'a i jego pierwszą oficer porucznik Gwyn Tagas.

Ledwo wybrzmiała ostatnia sylaba, a Harristan się odzywa:

– Nie jest pan żadnym emisariuszem, kapitanie Blakemore.

Nie mam pojęcia, skąd to wie, ale Harristan nigdy nie robi drobnych przytyków. Zamiast wbijać komuś szpilę, rzuca wirujące sztylety i czeka, czy ten ktoś zdoła je złapać, czy też się na nie nadzieje.

Na Rianie najwyraźniej nie robi to wrażenia.

– Rzeczywiście. Cieszę się, że wszyscy są zorientowani w temacie.

– Mimo to powiedział pan kapitanowi portu w Artis, że pan nim jest. W ten sposób dostał się pan do pałacu.

– Ponieważ misja mojego ojca była raczej poufna, uznałem, że przedstawienie się w porcie jako szpieg raczej nie ujdzie za rozsądne, wasza królewska mość. – Przerywa.

– Niezwłocznie wyjaśniłem wszystko księciu Corrickowi.

– Doprawdy uważa pan, że zrobił to pan „niezwłocznie”? – wtrącam.

– Tak. A dowód wasza wysokość znajdzie już w pierwszym dzienniku pokładowym leżącym na stole.

Sięgam do stołu i otwieram pierwszy z notatników. Skórzana okładka jest miękka i zużyta. Pierwszą stronę pokrywają elegancko wykaligrafowane litery, jednak nie rozpoznaję charakteru pisma. Spod okładki wystaje złożony kawałek pergaminu. Wyciągam go, a gdy tylko to robię, czuję na sobie wzrok wszystkich obecnych, szczególnie brata.

– Proszę przeczytać – mówi kapitan.

Z jego tonu wnioskuję, że zna treść.

Ostrożnie rozkładam kartkę. Na zgięciach jest mocno zniszczona, u dołu widać ciemną plamę. Nim zdołam przeczytać treść, mój wzrok zatrzymuje się na podpisie i królewskiej pieczęci – to herb i nazwisko mojego ojca. Są nawet maleńkie inicjały, które wpisywał w zawijasie „S” jako zabezpieczenie przed fałszowaniem. Widziałem je na setkach różnych dokumentów, przechodzących mi przez ręce w ciągu ostatnich lat. Na ten widok moje serce podskakuje. Dokument opatrzony jest datą sprzed sześciu lat.

Niniejszym oświadczam, że kapitan Jarell Blakemore jest przedstawicielem królestwa Kandali w służbie jego królewskiej mości Lucasa Ramseya Southwella, króla Kandali, i posiada wszelkie pełnomocnictwa Korony. Ktokolwiek posiada ten list w imieniu kapitana Blakemore’a oraz pierścień przedstawiający poniższą pieczęć, winien być uznany za osobę działającą z łaski jego królewskiej mości króla Kandali, posiadającą wszelkie plenipotencje przyznane przez Koronę.

Pod podpisem mojego ojca znajduje się królewska pieczęć odcisnięta w granatowym laku, który mamy tylko ja i Harristan, oraz druga pieczęć, odcisnięta w jaśniejszym fioletowym laku – trochę popękana, ale nadal czytelna.

Podnoszę wzrok i biorę wdech, żeby zapytać o pierścień.

Rian już trzyma w górze lewą dłoń, a na jego palcu wskazującym błyszczy złoty sygnet z takim samym wzorem pieczęci, jaki jest odcisnięty na piśmie.

Cóż.

Nie jest to dowód, nie do końca, ale prawie. List przyznający pełne plenipotencje Korony daje olbrzymią władzę. O ile mi wiadomo, Harristan nigdy nikomu nie dał takiego listu. Ja, jako brat króla, go nie potrzebuję. Dotąd jedyną znaną mi osobą, której mój ojciec przyznał taką władzę, był Micah Clarke – poprzedni najwyższy sędzia królewski. Zginął razem z naszymi rodzicami.

Sięgam po flagę leżącą na wieku skrzyni i ją rozwijam. Brzegi są poszarpane i zniszczone, błękit i fiolet wyblakłe, a stalowe pierścienie pokrywa rdza. Kiedy

przeciągam palcami po szwach, czuję efekt działania morskiego powietrza.

– Nie mamy oficjalnych stosunków z Ostriarią – mówię. – Dlaczego wyprawa pańskiego ojca, kapitanie, była utrzymana w tajemnicy?

Rian zaczyna bić się z myślami, a w jego wahaniu widać napięcie. Spogląda to na mnie, to na Harristana, uważnie obserwując naszą reakcję.

– Teraz nie macie oficjalnych stosunków, wasza wysokość, ale kiedyś mieliście.

– Nie przypominam sobie żadnych kontaktów z Ostriarią – oświadczam stanowczym tonem Harristan.

Rian rozkłada ręce, w jego spojrzeniu również widać nieugiętość.

– Jak mówiłem, znaleźliśmy się w ślepym zaułku. Mam tylko te dzienniki i moją załogę.

Porucznik Tagas stoi u jego boku w milczeniu, nieruchomo, z kamienną twarzą.

– Mamy sporo do wyjaśnienia – odzywa się Quint. – Może to dobry moment na herbatę i poczęstunek? Jestem pewien, że nasi goście chętnie by coś przekąsili.

Spoglądam na brata. Ta sytuacja mocno wytrąciła go z równowagi. Zastanawiam się, czy nadal tak jest, a może list od ojca dodał mu trochę pewności siebie? Część mnie chciałaby rozdzielić dwójkę przybyszów, żeby sprawdzić, co powie pani porucznik, gdy nie będą razem. To ta sama część mnie, która kiedyś wymuszała zeznania ze złodziei i buntowników.

Nikt nie ufa najwyższemu sędziemu królewskiemu, kiedy nie nosi maski.

Obiecałem Tessie, że się zmienię. Powiedziałem Lochlanowi, że chcę to zmienić. Gryzę się więc w język i milczę, choć to okazuje się trudniejsze, niż powinno.

– Tak – wreszcie przerywa ciszę Harristan i wskazuje ręką na stół. – Proszę siadać.

Zajmujemy miejsca, a gdy służący podają jedzenie, Rian pochyla się do porucznik Tagas i mówi jej coś do ucha, na co ona potakuje głową. Stukanie naczyń i sztućców jest wystarczająco głośne, bym nie dosłyszał ich słów. Jestem pewien, że to celowy zabieg.

– Jakiś problem? – pytam.

Służący położyli przed każdą osobą tuzin różnych sztućców. Wiem od Tessy, że zasady pałacowej etykiety mogą sprawić wiele kłopotu niezaznajomionym. Rian podnosi właściwy widelec i trzyma go w palcach, jakby czekał, aż król zacznie pierwszy.

– Nie, wasza wysokość.

– W takim razie niech pan się podzieli z nami wszystkimi swoją uwagą, kapitanie.

– Gwyn martwi się o resztę załogi – mówi Rian. – Czy pozwolono im zostać na statku?

Jego głos jest spokojny, nie słyhać w nim napięcia. Jednak już drugi raz wspomina o swojej załodze. Znow nie jestem pewien, czy wzburzenie jest po naszej stronie, czy po jego.

– Tak – odpowiada Harristan. – Posłałem strażę do portu, by dopilnowali, by nikt nie zakłócał im spokoju. – Nie tyka jedzenia, ale pociąga łyk herbaty.

– Więc nie mogą opuścić statku? – docieka Rian. To kolejna drobna zaczepka, ale Harristan nie chwytą przynęty.

– Nie mogą.

– Nadal niewiele nam wyjaśniłeś – mówię do Riana. – Mam wrażenie, że nasze rozumienie słowa „niezwłocznie” bardzo się różni.

Uśmiecha się, choć nieco nerwowo, następnie wbija widelec w kawałek wieprzowiny zawinięty w plasterek marynowanego imbiru i sera.

– Zastanawiam się, od czego zacząć. Nie byłem przygotowany na konieczność wygłoszenia wykładu z historii Kandali jej królowi.

Harristan odstawia filiżankę i przeciąga palcem po krawędzi porcelany.

– W takim razie coś nas łączy, bo ja nie przybyłem tutaj, żeby słuchać wykładu. Mówisz, że kiedyś łączyły nas stosunki z Ostriarią. – Spogląda na towarzyszkę Riana.

– Być może przedstawiciel tego kraju może wypowiedzieć się za swoich rodaków. Czy to prawda, pani porucznik?

– Wasza królewska mość – zaczyna i teraz, kiedy nie syczy ostrzeżeń w stronę swojego kapitana, słyszę jej delikatny akcent. – O ile mi wiadomo, Ostriaria miała kiedyś umowę handlową z Kandalą, ale ten traktat został zerwany.

– Kiedy? – pyta Harristan. – Nie za mojego życia.

– W rzeczy samej – odpowiada Rian. – Wydaje mi się...

Harristan podnosi rękę, żeby go uciszyć.

– Pytałem panią porucznik.

Choć kobieta dotąd milczała, nie wydaje się speszona. Mało tego, wytrzymuje wzrok Harristana.

– Statek kapitana Blakemore’a, który zawiął do Ostriarii sześć lat temu, był pierwszym statkiem z Kandali od przeszło trzydziestu lat. Byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam ostatnie przybycie floty. – Sięga ręką w stronę poszarpanej flagi. – Pamiętam barwy na głównym żaglu.

– To musiało być co najmniej trzydzieści sześć lat temu. – Próbuję policzyć to w głowie. Wtedy jeszcze krajem rządził mój dziadek.

Quint siedzący po drugiej stronie stołu uważnie notuje. Jestem pewien, że gdy tylko skończymy, każe przynieść sobie dokumenty portowe. Artis jest niedaleko, więc

szybko do nas dotrą, jednak jeśli statki wypłynęły z któregoś z dwóch innych portów, może to potrwać kilka dni.

Z drugiej strony trzydzieści sześć lat to nie jest aż tak dużo. Ja mam prawie dwadzieścia. Wydaje mi się, że pamiętałbym opowieści o statkach, które przepływały na drugi brzeg rzeki. Na pewno znaleźliby się pamiętający te wydarzenia żeglarze.

Wtedy przypominam sobie o pierścieniu na palcu Riana. O liście, o którym nie mieliśmy pojęcia.

A może jednak nie? Może ten statek wysłany trzydzieści sześć lat temu także odbywał swoją misję w tajemnicy?

– Co się stało z tamtym statkiem? – chce wiedzieć Harristan.

Porucznik Tagas się waha.

– Został podpalony – odpowiada Rian głosem ciężkim od emocji. – Nikt z załogi nie ocalał.

Na te słowa Quint podnosi wzrok znad swoich notatek.

– Doszło do sporów – wtrąca porucznik Tagas – między naszymi królestwami. Jak mówiłam, byłam wtedy dzieckiem. Moja matka pełniła funkcję kwatermistrza na statku handlowym, więc nie wszystkie dworskie plotki do nas docierały, ale pamiętam, jak tamten statek wpłynął na nasze wody, ponieważ nasza flota natychmiast wyruszyła mu naprzeciw. Strzelali w żagle płonącymi strzałami. Na marynarzy spadł deszcz ognia. Każdego, kto próbował się ratować, skacząc do wody, zastrzelono. – Jej głos jest cichy i, podobnie jak głos Riana przed chwilą, pełen emocji.

Harristan wpatruje się w nią uważnie.

– Dlaczego? – pyta.

– Moja matka mówiła o jakimś skandalu między waszym a naszym królem. W porcie plotkowano o niedotrzymanej umowie handlowej.

– Umowie handlowej? – dopytuje Harristan. – Dotyczącej czego?

Kobieta bierze głęboki wdech, ale Rian podnosi rękę. To ledwie zauważalny gest, w zasadzie tylko lekkie uniesienie palców, ale Gwyn przerywa.

Rian spogląda na Harristana i znów na mnie.

– Obawiam się, czy aby na pewno ta rozmowa jest całkowicie prywatna.

Harristan spogląda na niego przez stół.

– Quint. Wyproś służbę. – Wydaje polecenie spokojnym tonem.

Wszyscy służący natychmiast wychodzą, podobnie jak większość straży z wyjątkiem czterech osobistych strażników Harristana. Rocco i Thorin stoją pod ścianą za stołem, w pobliżu mojego brata i mnie, a Kilbourne i Grier bliżej naszych gości.

Quint także wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Za godzinę i tak dowie się wszystkiego ode mnie, jeśli nie od samego Harristana. Quint wie o wszystkim, co dzieje się w pałacu.

W komnacie zapada kompletna cisza. Rian nie odwraca wzroku od Harristana.

– Ufasz swoim strażom, wasza królewska mość?

– Tak.

– Ufasz swojemu bratu?

– Tak – odpowiada Harristan, ale to pytanie wwierca się w moje myśli i tam zostaje. Dopiero po chwili uświadamiam sobie dlaczego.

Wracam pamięcią do chwili, gdy siedziałem zamknięty w Twierdzy po tym, jak złapano mnie jako wyjętego spod prawa Westona. Przyszedł tam Allisander. Groził mi. Prawił złośliwości, byle tylko zaleźć mi za skórę. Ale poruszył też temat moich relacji z Harristanem. Zawsze uważałem, że jestem blisko ze swoim bratem, ale było coś w słowach Allisandra, co prześladowało mnie tygodniami.

Popatrz tylko, bez mrugnięcia okiem zostawił cię w więzieniu na cały dzień.

Harristan odchrząkuje. Doskonale wiem, że w ten sposób maskuje kaszel. Mrugam i próbuję skupić myśli na bieżących sprawach.

– Wyjaśnij, czego dotyczyła umowa handlowa – proszę.

– Najpierw muszę przybliżyć, jak wygląda królestwo Ostriarii – oświadcza Rian. – Na większości kandalskich map wschodnia część Ostriarii przedstawiana jest jako szeroki na ponad trzysta kilometrów pas bagien i moczarów, za którym rozciągają się tereny o bujnej roślinności. Jestem pewien, że nadal uważa się tu przekroczenie Ognistej Rzeki za nie lada wyzwanie. – Unosi brwi.

– Owszem, ale pan, kapitanie, jej nie przekroczył, skoro przypłynął pan do Artis – zauważa Harristan.

– Nie – potwierdza Rian. – Jeśli minie się południowy cypel, można dopłynąć do Ostriarii od zachodu.

– Południowy cypel jest niezamieszkały – wtrąca Harristan. – Mamy relacje o statkach, które próbowały płynąć tym szlakiem. Od południa zachodnia linia brzegowa to piaszczyste plaże ciągnące się przez setki kilometrów. Cypel północny to klify. Mam dziesiątki dzienników pokładowych opisujących prądy tak silne, że nie sposób ich przekroczyć, i gęste mgły ciągnące się w nieskończoność. Nawet gdyby komuś udało się pokonać prądy, zacumowanie tam jest niemożliwe.

– Polemizowałbym z twoją definicją „niemożliwego”, wasza królewska mość. Idę o zakład, że kandalscy marynarze są przyzwyczajeni do otwartych wód między Artis a waszymi portami w Sunkeep i Nabrzeżu Kupców. Nawet dziecko poradziłoby sobie na tych wodach.

– Przepraszam za naszych niedouczonej marynarzy – mówię beznamiętnym tonem. – A więc pan, kapitanie, przepłynął za południowy cypel i znalazł pan tam... co? Więcej piasku?

– Nie. Łańcuch sześciu wysp. Odległość między trzema z nich w niektórych miejscach nie przekracza kilometra, więc połączono je mostami. Jeden dłuższy most prowadzi na główny ląd, ale tylko jeden.

Harristan wzdycha.

– W naszych dokumentach nie ma mowy o Wyspach, kapitanie Blakemore.

– Spędziłem w Ostriarii sześć lat, wasza królewska mość. Osobiście chodziłem tymi mostami. – Wyciąga rękę i stuka palcem w dziennik pokładowy swojego ojca. – Ojciec dokładnie opisał tu Ostriarię.

– Warunki pogodowe i spowijająca te wody mgła sprawiły, że nasze królestwo jest raczej odizolowane i chronione – zauważa porucznik Tagas.

– Przed kim? – pytam.

– Przed wszystkimi – odpowiada. – Na wyspach znajdują się zaskakująco duże ilości...

Rian znów podnosi rękę, a ona przerywa.

– Ta komnata nie będzie już bardziej pusta, niż jest – uprzedzam.

Uśmiecha się, ale jego spojrzenie jest nie tyle pogodne, co zamyślane.

– Kiedy wypływaliśmy z Ostriarii, jej władcy nie wiedzieli, że Kandalą ma nowego króla. – Przerywa na chwilę. – Jej rząd jest nieco niestabilny. Mają za sobą lata korupcji i wewnętrznej walki politycznej. Awantury o tron doprowadziły do wojny domowej, i to jeden z powodów, dla których powrót zajął mi aż sześć lat. Wielu Ostrian nie chce umowy handlowej z Kandalą.

– Dlaczego? – pyta Harristan.

– Bo twój dziadek, wasza królewska mość, był postrzegany jako człowiek przebiegły i nieuczciwy, niedotrzymujący umów. Ta opinia nie zmieniła się po objęciu tronu przez twojego ojca, wasza królewska mość.

Zastygam w bezruchu.

– Mówi pan o swoim byłym królu, kapitanie.

– Ja tylko odpowiadałem na pytania. Nie bez powodu pierwszy kapitan Blakemore został wysłany jako szpieg, nie jako emisariusz.

– Może spędziłeś zbyt wiele czasu w Ostriarii – wtrąca Harristan. – Mój ojciec był powszechnie szanowany przez swoich poddanych.

Rian rozkłada rękę.

– Wasza królewska mość pytał o powody. Mogę tylko przedstawić własne spostrzeżenia.

Harristan spogląda na porucznik Tagas.

– Jest pani Ostrianką. Jakie jest pani zdanie?

Kobieta zerka na Riana.

– Jestem marynarzem. Nie obracałam się w królewskich kręgach, ale Rian ma rację. W przeszłości król Kandali nie był postrzegany jako dobry sojusznik. Krążyły też plotki, że dostarczano nam wadliwy materiał w zamian za nasze... – przerywa na moment i znów zerka na Riana – zasoby. Handel nie przebiegał pomyślnie, dlatego ostatni statek został zaatakowany.

– Jakie zasoby? – pytam stanowczym głosem.

Rian wzrusza jednym ramieniem.

– Wolałbym nie mówić.

Unoszę brwi. Jest albo bezgranicznie zuchwały, albo po prostu bezczelny.

– Wolałby pan nie mówić? Twierdzi pan, kapitanie, że reprezentuje króla, ale wolałby pan nie mówić, czego się dowiedział?

Jego wzrok wędruje na Harristana.

– Nie reprezentowałem tego króla.

Prostuję się, gotów do... do... Nie jestem pewien do czego. Żeby kazać strażnikom go stąd zabrać. Żeby rzucić go na podłogę i domagać się odpowiedzi. Żeby przypalać jego stopy ogniem, dosłownie.

Jego twarz przybiera mroczny wyraz. Widzę, że myśli o chwili, kiedy wspomniał o mojej reputacji. Ramiona ma spięte, wzrok wbity w moją twarz.

Nie boi się. Jest gotów.

Wtedy myślę o Tessie, o tym, że obiecałem jej być lepszy. Czuję, że mięśnie napinają mi się z potrzeby działania.

Gdybym był Westonem Larkiem, walczyłbym. Żądałbym odpowiedzi. Czegokolwiek. Ale Weston Lark nie żyje, a najwyższy sędzia królewski nie może wdawać się w bójkę z powodu kilku zaczepki.

Ciszę przerywa Harristan.

– Więc nie powiesz, co miała do zaoferowania Ostriaria? Co zrobiła Kandala?

– Stal – odpowiada Rian.

Rzuca to tak po prostu, jakbyśmy przed chwilą nie wbijali w siebie nawzajem spojrzeń niczym wrogowie gotowi stoczyć pojedynek.

– Ostraria ma niewielkie zasoby rud żelaza, a tutaj kopalni nie brakuje. Jest nawet sektor, który wziął od tego swoją nazwę.

– Stalowe miasto – mamrocę pod nosem.

Potakuje, a następnie podejmuje na nowo:

– Mosty między wyspami powstały z kandalskiej stali. W wielu miejscach wadliwej. Zaczynają się walić.

– Więc Ostriaria potrzebuje więcej stali – zauważam.

– Tak – odpowiada porucznik Tagas. – Całkiem sporo.

Rian zerka na nią wymownie, a ona wzrusza ramionami.

– Przecież to prawda.

– Jaki jest więc cel tej podróży? Reprezentuje pan teraz Ostriarię? Stąd te wszystkie tajemnice?

– Byłbym głupcem, gdybym tak powiedział, chyba wasza wysokość się ze mną zgodzi? – odpowiada. – Jednakże spędziłem tam sześć lat i rozumiem ich ostrożność. Mają swoje problemy – nie odwraca ode mnie wzroku – tak jak wy.

Nie. Zdecydowanie go nie lubię.

– W porządku – wtrąca się znów Harristan. – Ostriaria potrzebuje stali, ale nie ma do zaoferowania nic w zamian. Nie wysłali własnego emisariusza, tylko syna szpiega, który nie przejawia szczególnej lojalności wobec ojczystego kraju. Niezależnie od listu, który pan posiada, kapitanie, nie mam powodu wierzyć w ani jedno pana słowo. Proszę mnie przekonać, dlaczego nie powinienem wtrącić pana do Twierdzy, a ostriańskich marynarzy odesłać tam, skąd przybyli.

– Ależ ja nie powiedziałem, że Ostriaria nie ma nic do zaoferowania w zamian za stal – oświadcza Rian, po czym wstaje.

Wszyscy czterej strażnicy Harristana natychmiast ruszają spod ściany. Dwóch z nich trzyma rękę na broni.

Rian zastyga w bezruchu na kilka sekund, a po ich upływie podnosi rękę.

– Jestem nieuzbrojony – informuje cichym głosem strażników. – Mam tylko klucz do skrzyni. Pozwólcie mi go pokazać.

Napięcie w komnacie wzrosło dwukrotnie.

– Połóż klucz na stole – rozkazuje mój brat.

Rian marszczy brwi, ale wyjmuje z kieszeni klucz i rzuca go na stół. Metal upada z brzękiem na drewniany blat.

– Rocco, otwórz skrzynię – wydaje polecenie Harristan.

Strażnik bierze klucz, odsuwa skrzynię na bok, pod ścianę. Szybko otwiera kłódkę, jakby spodziewał się zasadzki, ale zamek puszcza ze szczękiem, a strażnik podnosi wieko. Na widok zawartości skrzyni bierze gwałtowny wdech.

Rocco to jeden z najbardziej opanowanych strażników Harristana. Trudno wywołać u niego taką reakcję.

– Co to? Co tam jest? – docieka niecierpliwie król.

Rocco odwraca skrzynię, jest wypełniona białymi płatkami. Spokojnie wystarczyłyby na kilka tygodni dla całego pałacu, może nawet dla całego Sektora Królewskiego.

– Księżycowy Kwiat – mówi strażnik ściszym głosem.

– Tak – odpowiada Rian. – Słyszałem, że możecie go potrzebować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tessa

Jestem bardzo ciekawa, co to za statek przyłynął do Artis, ale każdy, kogo mogę zapytać, jest w tej chwili zbyt zajęty właśnie tą sprawą. Jedną z najtrudniejszych rzeczy w przebywaniu z Corrickiem jako księciem, a nie wyjętym spod prawa Westonem Larkiem, jest fakt, że jego funkcja wiąże się z całą masą obowiązków i ograniczeń. Skończyły się czasy spotkań w sekretnej chacie tuż przed świtem. Teraz jesteśmy w pałacu, w otoczeniu strażników, służących i dworzan żądnych plotek o najwyższym sędzi królewskim.

Muszę więc czekać. Na szczęście ja nie mam już dzisiaj żadnych oficjalnych obowiązków, więc mogę zdjąć tę sukienkę.

Kiedy wracam do swojej komnaty, ku mojemu zdumieniu, czeka na mnie wiadomość, którą dostarczył jeden z odźwiernych z frontowej bramy. Żadnej pieczęci, tylko znajomy charakter pisma.

Tesso,

żałuję, że tak to wyszło. Nie wiem, czy możesz opuścić pałac, ale miałam nadzieję, że może uda nam się ponownie spotkać, jako starym przyjaciółkom. Będę czekać w cukierni pani Woolfrey licząc, że może dasz radę się tam ze mną zobaczyć. Dawno nie piłyśmy razem czekolady. Tęsknię za tobą.

*Uściski,
K*

Och, Karri.

Muszę przycisnąć rękę do piersi.

Karri ma rację. Ja też żałuję, że tak się to wszystko potoczyło.

Cukiernia pani Woolfrey mieści się w Artis, niedaleko sklepu pani Solomon, gdzie pracowałam z Karri, ucierając zioła i przyrządzając mikstury oraz napary. Przynajmniej raz w miesiącu chodziłyśmy na gorącą czekoladę i chichotałyśmy nad nią, rozprawiając szeptem o niektórych mało poważnych stałych klientach pani Solomon.

Te wspomnienia ściskają mnie za serce.

Może to znak? Może ja i Karri zdołamy znaleźć sposób, by przekonać księcia Corricka i Lochlana do znalezienia jakiejś płaszczyzny porozumienia?

Muszę wezwać służącą, żeby pomogła mi zdjąć tę suknię, ale jeśli Karri zostawiła tę wiadomość przy frontowej bramie, musiało minąć sporo czasu, nim do mnie dotarła. Nie chcę, żeby pomyślała, że nie przyjdę.

Spoglądam na jedwabną kreację. Chyba mogę jeszcze pocierpieć kilka godzin w gorszej. Wyglądam więc materiał i ruszam do pałacowych schodów, gdzie proszę jednego z lokajów o wezwanie dla mnie powozu.

– Oczywiście, panno Tesso – mówi z lekkim ukłonem.

Czuję, że policzki zaczynają mi się czerwienić. Jeszcze kilka tygodni temu nawet nie myślałam, że mogłabym jechać powozem, a teraz mam go na skinienie ręki.

– Dziękuję – odpowiadam, ale lokaj już popędził wysłuchać życzeń innego dworzanina.

Ponieważ jestem sama, nie spodziewam się niczego wystawnego. Mimo to jestem zaskoczona widokiem dwumiejscowej odkrytej bryczki z ciemnofioletowymi drzwiczkami ze złotą lamówką i zaprzęgniętym do niej jabłkowitym koniem w skórzanej uprzęży, o lśniących w słońcu paskach i klamerkach. Woźnica uchyla kapelusza, po czym opuszcza dla mnie drewniany schodek.

– Na rynek w Artis, panienko?

Przez chwilę się waham. Wiem, jak taki powóz – nawet mały – będzie odebrany w Artis. Wiem, jak odebrana będzie młoda kobieta w pięknej sukni.

Pamiętam, jak sama patrzyłam na kogoś takiego.

Woźnica się we mnie wpatruje.

– Panienko?

– Yyy... tak – odpowiadam i z pewnym wahaniem wsiadam do bryczki.

Woźnica cmoka na konia i odjeżdżamy, podskakując na kocich łbach.

W Sektorze Królewskim nikt nie zwraca na mnie uwagi, bo takie powozy nie są tu niczym niezwykłym. Dopiero kiedy wyjeżdżamy za główną bramę, przejeżdżamy przez biedne wioski w Dzicy, dociera do mnie, że ludzie zatrzymują się, by się gapić i przyglądać bez skrępowania.

W większości spojrzeń widać ciekawość. Uwagę ludzi przyciąga coś błyszczącego i szybkiego. Ale wzrok niektórych jest wrogi. Kilka osób kręci z niesmakiem głową. Matka szcypie córkę w ramię za wpatrywanie się, a potem sama patrzy na mnie gniewnie, wieszając pranie.

Mam ochotę zawołać: „Nie! Nie! Nie jestem jedną z nich! Jestem jedną z was!”, ale oczywiście nie mogę.

Woźnica źle interpretuje moje milczenie.

– Proszę się nie martwić, panienko! – przekrzykuje dudnienie końskich kopyt o drogę. – Nikt panienki nie zaczepi.

– Nie martwię się – oświadczam, ale moje słowa zagłusza szum powietrza i stukot podków.

Gdy zostawiamy za sobą gęste lasy Dżicy, ulice Artis robią się coraz bardziej zatłoczone, dlatego koń musi zwolnić do stępu. Jest tu więcej powozów i wozów towarowych z ładunkami z doków. Dzień jest ciepły, więc wiele dzieci zebrało się przy fontannie na rynku – chlapią się wodą, piszcząc i śmiejąc się. Tu także niektórzy mi się przyglądają, ale bez takiej wrogości jak w Dżicy.

Zatrzymujemy się przed wejściem do cukierni pani Woolfrey. Po raz pierwszy dostrzegam, że różowa farba na framudze drzwi się łuszczy, że cegły otaczające wejście są popękane, że futryny okien są stare i zniszczone, a szyba w rogu pęknięta. Drobne niedoskonałości, których wcześniej nie zauważałam, a które nagle wydają się uderzające w porównaniu z wszechobecną w okolicy pałacu doskonałością.

Woźnica zeskakuje z kozła i podaje mi rękę. Jest mi trochę głupio, że korzystam z jego pomocy. Przecież bez trudu wspinałam się na mur otaczający Sektor Królewski, a teraz potrzebuję czyjeś pomocy, żeby wysiąść z bryczki. Wszystko, co dotyczy Sektora Królewskiego, sprawia wrażenie iluzji.

– Mam przywiązać konia i poczekać, panienko? – pyta woźnica.

– Och! Ja... – urywam. Wewnątrz cukierni dostrzegam zarys postaci Karri.

Mężczyzna nieopodal wzdycha głośno, próbując ominąć mocno przeładowanym wozem bryczkę, która tarasuje przejazd.

– Nie – odpowiadam. – Poradzę sobie.

Woźnica patrzy z powątpiewaniem.

– Jest panienka pewna?

– Tak – odpowiadam zdecydowanym głosem. Mogę wrócić pieszo. Teraz, kiedy czuję na sobie wszystkie te spojrzenia, prawie żałuję że w tę stronę też nie przyszedłam piechotą.

W drzwiach cukierni pojawia się Karri.

– Tesso! – woła, a w jej głosie słycać szczerą radość. – Jesteś!

Podbiega do mnie, a ja z wdzięcznością przyjmuję jej uścisk. Jest ciepły i pachnie znajomo – wanilią i brązowym cukrem, to zapach z cukierni.

– Oczywiście, że jestem – odpowiadam.

Karri robi krok w tył i kładzie ręce na moich ramionach.

– Wyglądasz tak elegancko. Ledwo cię poznałam w pałacu.

Rumienię się. Ta uwaga wprawiła mnie raczej w zakłopotanie, niż sprawiła przyjemność.

– Powinnam była się przebrać, ale nie chciałam, żebyś czekała.

– Nie! Wyglądasz pięknie. Zresztą ja też dopiero przyszłam.

Rany, jaka ze mnie idiotka. Przecież ona musiała przebyć tę drogę pieszo.

Zaczynam skubać sukienkę, czując się jeszcze bardziej zakłopotana.

– Próbuję się jakoś dopasować. Pałacowi medycy i bez tego nie traktują mnie zbyt poważnie.

Karri waha się przez chwilę. Mam wrażenie, że atmosfera między nami będzie niezręczna, jednak po chwili dziewczyna zdecydowanie kiwa głową.

– Ich strata. Wejdźmy do środka, mają świeżą czekoladę. – Bierze mnie pod rękę – Tak się cieszę, że przyszłaś... – Zawiesza głos. – Bardzo się martwiłam.

– Nadal jestem twoją przyjaciółką – oznajmiam cicho.

– A ja twoją.

Ściska mnie za ramię, a ja odwzajemniam uścisk i się uśmiecham.

Nerwowy ucisk w piersi trochę ustępuje. Miałam rację. Możemy znaleźć sposób, żeby to wszystko się udało. Ona i ja. Razem. Nie potrzebujemy tych aroganckich mężczyzn, którzy tylko przeszkadzają i nie dają nam naprawdę pomóc ludziom.

Karri prowadzi mnie do stolika, przy którym siedzi Lochlan.

Na ten widok przeszywa mnie dreszcz i puszczam jej ramię.

On też raczej nie cieszy się na mój widok.

– Przyszłaś – mówi bezbarwnym głosem. – Wygląda na to, że będę musiał postawić ci czekoladę.

– Słucham?

– Nie wierzył, że przyjdiesz – informuje mnie cicho Karri – więc się o to założyliśmy.

Cudownie.

Widząc jego stosunek do mnie, czuję, jakbym właśnie zderzyła się ze ścianą.

– Nie musisz za mnie płacić – wykrztuszam przez ściśnięte gardło. – Za nikogo. Ja mogę kupić nam wszystkim czekoladę.

– Nie wątpię.

– Masz zamiar przeganiać każdego, kto ci coś proponuje? – pytam. – W pałacu ta strategia świetnie się sprawdziła.

Odważnie wytrzymuje mój wzrok.

– Właśnie mówiłem Karri, że możecie sobie dalej być przyjaciółkami, ale ty jesteś teraz po przeciwnej stronie. – Mierzy mnie zimnym wzrokiem od stóp do głów. – Niewiele zostało w tobie wyjętej spod prawa, co? – Patrzy wymownie na drzwi prowadzące na ulicę. – Ładny powóz. Jesteś teraz taka ważna, że chodzić już nie łaska?

– Nie jestem ważna. Po prostu minęło trochę czasu, nim wiadomość od Karri do mnie dotarła. Nie chciałam, żeby zbyt długo czekała.

Bierze wdech, jego wzrok staje się mroczny, ale Karri wymierza mu silnego szturchańca w ramię.

– Przestań się kłócić – mówi. – Może już nie jest wyjętą spod prawa, ale nadal jest moją przyjaciółką.

– Ty tak twierdzisz. – Lochlan wstaje, udając przy tym, że się kłania. – Proszę o wybaczenie, panno Tesso. Panie pozwolą, że przyniosę czekoladę.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale Karri chwytą mnie za rękę.

– Nie – wtrąca się. – Niech idzie. Może odrobina słodczy poprawi mu nastrój.

Wzdycham, ale zostaję na swoim miejscu, podczas gdy Lochlan idzie w stronę lady.

Ku mojemu zdumieniu, między mną a Karri zapada kłopotliwa cisza. To dla mnie coś zupełnie nowego, gdyż kiedyś potrafiłyśmy gadać godzinami. Do dziś pamiętam dzień, kiedy odgadła, że wzdycham do wyjętego spod prawa Westona Larka, zanim jeszcze dowiedziałam się, że jest księciem Corrickiem. Uśmiecham się na to wspomnienie.

„Opowiedz o jego dłoniach”, powiedziała, a ja zarumieniłam się jak pensjonariuszka.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że zostawiłaś mi ten liścik – mówię.

Wydaje się, że te słowa przełamują trochę lody, bo Karri odpowiada uśmiechem.

– Ja też. – Przerywa i zerka na Lochlana stojącego przy kontuarze. – On im w ogóle nie ufa, Tesso. Ten konsul był okropny. To oczywiste, że nic go to wszystko nie obchodzi. – Waha się. Słyszę w jej głosie strach. – Dziś rano Lochlan bał się, że to spotkanie to pułapka, że tylko chcieliście nas zwabić do pałacu. Przez cały czas, gdy tam byliśmy, czekał, aż za chwilę zaciągną nas do Twierdzy.

– To nie była żadna pułapka – odpowiadam. – Karri, nigdy bym cię nigdzie nie zwabiła.

– Wiem, ale niektórzy nadal wierzą, że Weston Lark był tylko szpiegiem, który miał za zadanie znaleźć więcej przestępców do powieszenia.

Marszczę brwi.

– Nie. On naprawdę się przejmuje. My się zajmujemy. Król naprawdę chce znaleźć sposób, żeby zapewnić wystarczającą ilość leku dla wszystkich w Kandali. Ale na to wszyscy muszą się zgodzić. Nie tylko elity, nie tylko ludzie w Dzikim. Wszyscy. To dotyczy nas wszystkich.

– Wiem. – Zawiesza głos. – Lochlan myślał, że nawet te plotki o statku z Ostriarii zostały zmyślane. Myślał, że to taka sztuczka, żeby zakończyć spotkanie, aż usłyszał, co ludzie gadają na ulicy.

– To nie jest żadna sztuczka, Karri. Harristan i Corrick nie zrobiliby czegoś takiego. Wpatruje się we mnie uważnie, a jej głos robi się odrobinę chłodniejszy.

– Jeszcze nie tak dawno stałaś obok mnie przed bramami do sektora i mówiłaś, jak bardzo ich nienawidzisz.

Czuję, jakby wymierzyła mi policzek. To prawda. I to ona upominała mnie za słowa oznaczające zdradę. Ale to było, zanim się dowiedziałam, kim jest Weston. Zanim się dowiedziałam, co stoi na szali, czym ryzykują król i jego brat. Zanim Corrick i ja zostaliśmy schwytani przez buntowników. Zanim go torturowali. Zanim buntownicy podpalili cały sektor, żeby pokazać Harristanowi, jak bardzo są zdesperowani.

I oto teraz znaleźliśmy się tutaj.

– Masz rację – kładę dłoń na jej rękę – wszystkim nam jest trudno.

Na chwilę zastyga w bezruchu, a ja zaczynam się bać, że jednak za bardzo się od siebie oddaliłyśmy. Wtedy odwraca rękę i klepie moją.

– Dopilnujemy, żeby to wszystko się udało – szepcze.

Potakuję głową z zaangażowaniem, ściskając jej rękę, i w tej chwili do stolika wraca Lochlan.

– Pani czekolada, panno Karri. – Następnie kieruje wojownicze spojrzenie w moją stronę – I pani, panno Tesso.

Przedrzeźnia mnie, próbuje sprowokować, ale nie mam zamiaru dać mu się wciągnąć w tę grę.

– Dziękuję panu uprzejmie, Lochlanie.

Mogłabym to powiedzieć sucho, ale tak nie robię. Mówię szczerze, a na jego twarzy pojawia się zaskoczenie. Siada obok Karri. Na jego obliczu nadal wymalowane jest napięcie, ale nie wypowiada już ani jednego słowa.

– Jesteś nieufny – zauważam – rozumiem to. Ja też byłam. Mają wiele do nadrobienia.

Przygląda mi się uważnie.

– Ty im ufasz.

Nie jestem pewna, czy to oskarżenie, czy pytanie, ale potakuję.

– Tak.

– Dlaczego? – pyta. – Dlaczego? Wiesz, co zrobili. – Zerka na Karri. – Obie byłyście w tłumie, kiedy mieli nas wszystkich zabić.

– Widziałeś konsula Sallistera – odpowiadam. – Widzisz, jaką ma władzę. Groził, że wstrzyma dostawy Księżycowego Kwiatu, jeśli ksiązę Corrick nie spełni jego żądań...

– I to ma mnie uspokoić? To, że król nie ma władzy nad własnymi konsulami? Że on nadal grozi wstrzymaniem dostaw? Słyszałem, co mówił o problemach z dostawami i robotnikami, ale to nadal tylko jeden człowiek.

– Nic nie rozumiesz. Oni nie... To nie...

– Nie. – Podnosi się z krzesła i opiera o stół. – To ty nie rozumiesz. Dla nas to kwestia życia lub śmierci. – Wpatruje się we mnie gniewnie. – Zachowują się, jakby to była zabawa. Możni myślą, że mogą przekonać głupców z Dzicy, by brali mniej leku niż wcześniej.

Patrzy na mnie z góry, przytłaczając swoją obecnością.

Przełykam z trudem ślinę. Nie chcę odwracać wzroku, kiedy patrzy na mnie, jakby mi groził, ale wzbudzamy już wystarczająco duże zainteresowanie. Wokół nas zaczynają podnosić się szepty. Piękna młoda dama w szykownej sukni łajana przez kogoś, kto pewnie w życiu nie miał więcej niż garść monet.

Jestem też pewna, że większość z nich słyszała, co powiedział Lochlan.

– Lochlan, Tessa jest moją przyjaciółką. Zostaw ją w spokoju. – zaczyna cicho Karri, ale nie zaprzecza jego słowom.

Lochlan się nie rusza. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Może kiedyś była twoją przyjaciółką – rzuca oskarżycielsko – ale teraz lepiej na nią uważaj, Kar.

Rozumiem, że się martwią, ale trudno o empatię, kiedy Lochlan stoi nade mną, tak jak teraz. Nie chcę się go bać. Gdybyśmy byli w pałacu, nie czułabym zagrożenia, ale jesteśmy w małej cukierni, a ja przypominam sobie moment, kiedy ten mężczyzna chciał zaatakować konsula Sallistera siedzącego naprzeciw niego.

– Po co mnie tu zaprosiliście, skoro nie chcecie rozmawiać? – pytam spokojnym tonem.

– To Karri cię zaprosiła, nie ja.

– W takim razie może powinieneś pozwolić nam porozmawiać? – zauważam, a mój głos robi się drżący. Nie potrafię nad tym zapanować.

Dostrzegam w jego oczach moment, kiedy rejestruje mój strach. Odsuwa się gwałtownie, szeroko otwierając oczy.

– Boisz się mnie? Dzielisz łożę z najwyższym sędzią królewskim, a boisz się mnie?

Karri chwyta go za nadgarstek.

– Lochlan.

Teraz moje policzki na pewno są już czerwone.

– Niczego z nikim nie dzielę – odpowiadam gardłowo.

– To dlatego nie mogę ci ufać – wyjaśnia bardzo cicho. – Bo nie ufam jemu. Książę nie jest głupcem. Przekonał cię, że był buntownikiem w Dzicy, bo było mu to potrzebne jako najwyższemu sędziemu królewskiemu. Teraz znalazł sposób, żeby dać ludziom jeszcze mniej, i przekonał cię, że tak będzie dobrze dla wszystkich.

Całe moje pole widzenia wypełniają jego oczy, ale nie odwracam spojrzenia.

– Moje lekarstwo działa – protestuję przeciwko jego oskarżeniom. – To nie jest żadna sztuczka, Lochlan. Możesz patrzeć, jak odmierzam eliksir. Mogę ci pokazać.

– Może ci to wmówił. Może wszyscy oni biorą podwójne dawki, kiedy nie patrzysz, żebyś tylko miała swój dowód. – Przygląda mi się uważnie. – Na pewno udało mu się wmówić ci, że komuś pomagasz. Biedny torturowany książę, który nie był w stanie nic zrobić. A ty dałaś się na to nabrać, prawda?

Czuję ucisk w piersi i boję się, że zaraz zacznę płakać.

– Mówię ci tylko, żebyś miała oczy szeroko otwarte – ciągnie. – Mówię ci, jak to wygląda stąd, z naszej perspektywy. Jeśli nie ty dzielisz z nim łożę, robi to ktoś inny. Jest bratem króla. Gdy tylko przestaniesz być mu potrzebna, zawiśniesz na stryczku.

– Mylisz się – odpieram szeptem, jednak jego słowa wbijają się w moją głowę, zasiewając wątpliwości, których nie jestem w stanie przegnać.

Musi to widzieć na mojej twarzy.

– Nie rozumiesz? Że mogłabyś dzisiaj zniknąć i dosłownie wszystko byłoby znów po staremu? – Jego głos brzmi napastliwie.

Teraz strach atakuje moje serce z dwóch stron.

– To ostrzeżenie to groźba?

Lochlan uśmiecha się złośliwie.

– Może nie powinnaś była wychodzić z pałacu bez straży – mówi.

– Może faktycznie nie powinna była – słyszę za plecami – ale ja mam ich ze sobą więcej, niż trzeba.

Moje serce podskakuje na dźwięk głosu Corricka.

Lochlan odskakuje w tył, a do mnie nagle dociera cisza, jaka zapanowała w cukierni. Wszyscy się nam przyglądają. Zastanawiam się, ile z naszej rozmowy słyszeli. Zastanawiam się, ile słyszał Corrick.

Jeśli nie ty dzielisz z nim łożę, robi to ktoś inny. Jest bratem króla.

Tych słów nie mógł słyszeć, w przeciwnym razie Lochlan nie stałby już o własnych siłach.

Ludzie za kontuarem wyglądają zza stosów zawiniętych w papierki cukierków i innych słodczy. Starsza kobieta przy stoliku nieopodal otwarcie gapi się na księcia, za którym faktycznie stoi sześciu strażników.

Żrenice Lochlana rozszerzają się z nienawiści, ale zerka na zbrojnych wypełniających przestrzeń za księciem.

– Dziewczyny chciały tylko miło spędzić razem czas – mówi. – Wasza wysokość – dodaje przez zaciśnięte zęby.

Corrick mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Niezwykłe. – Jego głos brzmi serdecznie, niemal ciepło, ale doskonale wiem, że to pozory. – Dobrze się bawisz, Tesso?

Nie. Bynajmniej.

Ale nie mogę tego powiedzieć, bo co bym nie myślała o Lochlanie, nie chcę dodatkowo podbijać napięcia pomiędzy nimi.

– Karri przysłała mi wiadomość po naszym dzisiejszym spotkaniu – informuję. – Tylko piłyśmy czekoladę – zmuszam się do uśmiechu – jak za dawnych czasów.

Karri znów wygląda niepewnie, jak wtedy, gdy była w pałacu. Zerka to na mnie, to na Corricka, po czym odkrztusza.

– Tak, przysłałam. Piłyśmy, wasza wysokość.

Corrick znów patrzy na mnie, a ja odpowiadam mu lekkim skinieniem głowy.

– Doskonale – mamrocze. – W takim razie kontynuujcie swoją przyjacielską pogawędkę. Przepraszam, że przeszkodziłem. – Zimnym wzrokiem patrzy na Lochlana, ale jego głos pozostaje serdeczny. – Dziękuję za mądrą radę. Pozostawię strażników. – Spogląda na stolik. – Może też napiję się czekolady, żeby umilić sobie czekanie?

Karri zerka na mnie, jej ręce drżą, po czym zrywa się z miejsca. Wstaje tak gwałtownie, że krzesło szoruje po podłodze.

– Nie ma potrzeby, wasza wysokość. My już wychodzimy. Wasza wysokość może wypić moją czekoladę, jeszcze nie zdążyłam zacząć.

Wstaję, żeby ją zatrzymać.

– Karri – proszę delikatnie.

Waha się przez chwilę, wreszcie pochyla się w moją stronę, żeby pocałować mnie w policzek.

– Nadal jest przerażający – szepcze mi do ucha, zanim się prostuje. – I czy cię to obchodzi, czy nie, zgadzam się z Lochlanem.

Nie wiem, co mam odpowiedzieć, zresztą nie mam czasu. Karri bierze Lochlana za rękę i wychodzą.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tessa

Spodziewam się, że Corrick zaoferuje mi ramię i poprowadzi do swojego powozu, ale on tylko wskazuje ręką na moje krzesło i patrzy wyczekująco.

– Usiądziemy?

Nie wiem, co powiedzieć. Kilku strażników ustawiło się pod ścianą. Jeden został na zewnątrz, a dwóch kolejnych stoi w pobliżu naszego stolika, przez co nadal jesteśmy w centrum uwagi. Nie chcę się gapić z uchylonymi ustami na księcia jak połowa ludzi w cukierni, więc zaciskam wargi. Odebrałam już wystarczająco dużo lekcji etykiety, żeby uniknąć publicznej kompromitacji, łamiąc królewski protokół.

Podnoszę brzeg sukni i dygam delikatnie.

– Oczywiście. Dziękuję, wasza wysokość.

Siadam na krześle.

Wyraz jego twarzy się nie zmienia, ale w oczach rozbłyska iskra, jakby był rozbawiony. Siada naprzeciw mnie i odwraca ucho kubka Karri w swoją stronę.

– Wyglądasz na bardzo zaskoczoną – zauważa.

– Bo jestem zaskoczona.

Do stolika już pędzi pani Woolfrey. To wysoka, postawna kobieta o śniadej cerze i kędzierzawych warkoczach upiętych na czubku głowy. Zawsze ją lubiłam, więc się do niej uśmiecham, ale ona – tak jak wszyscy wokół – patrzy tylko na Corricka. Niektórzy wbijają w niego wzrok z przerażeniem, inni z podziwem. Być może on i jego brat nie są szczególnie lubiani, ale wzbudzają szacunek, nawet jeżeli jest on podszyty strachem. Opowieści, jak to najwyższy sędzia królewski siedział w zwykłej cukierni, będą krążyć wśród ludzi tygodniami.

Muszę przyznać, że pomijając jego reputację, księżę Corrick jest wdzięcznym obiektem obserwacji. Żywe błękitne oczy ładnie osadzone w twarzy o wyrazistych rysach. Odrobina piegów, które nieco ujmują mu surowości, choć wąska blizna nad łukiem brwiowym dodaje jej na nowo. Jest dość późne popołudnie, więc na jego twarzy pojawiły się już ślady zarostu. Srebrne guziki na brokatowym kaftanie błyszczą w słońcu, a przy pasku widać wysadzaną kamieniami rękojeść sztyletu. Wiem, że Corrick wiele godzin spędza na treningach ze zbrojmistrzem, więc wysiłek fizyczny nie jest mu obcy, ale jego dłonie są czyste, palce długie i smukłe, wewnętrzna strona rąk gładka i bez odcisków. Zupełnie nie pasuje do towarzystwa robotników

i pracowników doków, którzy wstąpili do cukierni, żeby osłodzić sobie życie po ciężkim dniu pracy.

– Wasza wysokość – mówi pośpiesznie właścicielka cukierni, dygając przy tym. – Jedna z dziewcząt zaraz poda waszej wysokości świeżą czekoladę.

– Nie ma takiej potrzeby – oświadcza Corrick.

– Ależ nalegam – naciska usłużnie, wyciągając rękę po kubek.

Corrick podnosi wzrok.

– A ja nalegam, żeby pani nie nalegała.

Jego głos nie jest władczy, ale nie musi taki być. Jest w nim chłodna pewność siebie; niewzruszone przekonanie, że wszystko będzie tak, jak on tego chce. Nie różni się pod tym względem od króla.

Pani Woolfrey zastyga na chwilę w bezruchu, z ręką wyciągniętą w powietrzu, a następnie gwałtownie ją cofa. Porusza ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie jest pewna co.

– Damy znać, gdybyśmy czegośkolwiek potrzebowali – dodaje Corrick.

– Tak, oczywiście. – Kobieta znów dyga pośpiesznie i wraca za kontuar.

Ludzie powoli zaczynają wracać do swoich rozmów.

Corrick bierze łyżeczkę i miesza czekoladę, jakby zupełnie nie obchodziło go wszystko dookoła.

– Dlaczego jesteś zaskoczona? – wraca do tematu, jakby nikt nam nie przerwał.

– To ostatnie miejsce, w którym można by się spodziewać najwyższego sędziego królewskiego – oznajmiam cicho. – Ludzie będą o tym plotkować przez tydzień.

– Tylko tydzień? – Podnosi kubek i pociąga łyk czekolady, po czym unosi brwi. – To jest całkiem dobre. Najwyższy sędzia królewski powinien pić to częściej.

– Nie jestem pewna, czy pani Woolfrey przeżyłaby taki szok. – Ja jeszcze nie tknęłam swojego kubka. – Dlaczego nie chciałeś, żeby zrobiła ci nową?

– Bo mam pewność że ta, którą zrobiła dla twojej przyjaciółki Karri, nie jest zatruta.

– Mówi to z takim samym spokojem jak wszystko inne, ale jego słowa sprawiają, że zaczynam się wahać, czy sięgnąć po swój kubek.

Znam *dobrą* stronę Corricka – człowieka, chcącego pomóc swoim poddanym. Zapominam, że dla wszystkich pozostałych jest tylko Krwawym Corrickiem – jednym z najbardziej przerażających ludzi w Kandali.

– No tak – mówię niepewnie. Teraz naprawdę obawiam się zawartości kubka, który Lochlan postawił przede mną. Odstawiam go.

– Proszę – mówi Corrick z delikatnością, której nie słyszy nikt inny, i przesuwa swój kubek w moją stronę.

Patrzę w jego oczy i widzę w nich ciepło. Życzliwość. Ostrożność.

To, czego nie pozwala zobaczyć nikomu innemu.

To, co powinni zobaczyć ludzie tacy jak Lochlan.

– Dziękuję – mówię tak głośno, żeby wszyscy słyszeli. Biorę łyk.

Smakuje bosko.

– Wiesz, że Lochlan miał rację – wtrąca Corrick. – Nie powinnaś opuszczać pałacu bez eskorty.

– Nie jestem nikiem ważnym – odpowiadam.

– Pozwolę sobie się z tym nie zgodzić. Masz szczęście, że nie kazałem strażnikowi przebić go strzałą za to, że nad tobą stał.

Krztuszę się drugim łykiem.

– Cóż... Dzięki temu drugie spotkanie byłoby na pewno bardzo interesujące.

Stawiam kubek na stole. Kiedy podnoszę wzrok, moją uwagę zwraca delikatny ruch za Corrickiem. Przy oknie siedzą kobieta i mężczyzna; on patrzy gniewnie na księcia. Jest starszy, lekko łysiejący, z gęstą siwą brodą, a mimo to mocno umięśniony. Na jego koszuli widać plamy potu, a na ramionach kilka przetarć. Po stanie jego skóry można się domyślić, że dużo czasu spędza na słońcu i wietrze. Pewnie pracuje w dokach. Na kolanie trzyma mocno zaciśniętą pięść.

Corrick leniwie pociąga łyk czekolady.

– Wyglądasz na zaniepokojoną.

– Tamten nieznajomy patrzy na ciebie gniewnie – informuję go ściszym głosem.

– Aha.

Zerkam na strażników, żeby sprawdzić, czy to zauważyli, ale nie potrafię ocenić. Przynajmniej wyglądają na czujnych. Kiedy znowu spoglądam na starszego faceta, ten zauważa moje spojrzenie i wygląda, jakby się przestraszył. Rozprostowuje zaciśniętą dłoń, po czym odwraca głowę w stronę okna.

Znów spoglądam na Corricka.

– Ty nie jesteś zaniepokojony?

Wzrusza ramieniem.

– Kiedy znalazłem tę wiadomość w swoim pokoju, owszem, byłem zaniepokojony. Kiedy odźwierni powiedzieli mi, że odjechałaś sama, także byłem zaniepokojony. – Rzuca mi wymowne spojrzenie. – Do gniewnych spojrzeń rzucanych w moim kierunku jestem przyzwyczajony, Tesso.

– Niepotrzebnie się martwiłeś. Wszystko było w porządku. Wiedziałam, że jesteś zajęty innymi sprawami.

– Ludzie wiedzą, że jesteś ważna dla króla. Że jesteś ważna dla mnie. – Przemawia przez niego pragmatyzm, ale w jego słowach słyhać także odrobinę ciepła.

Ręką delikatnie muska moją. Zwykle nie robi takich gestów publicznie, dlatego się rumienię.

– Cóż...

Uśmiecha się, a ja czuję, jak całą mnie wypełnia ciepło, od czubka głowy aż po koniuszki palców. Spędziłam w pałacu wystarczająco dużo czasu, by wiedzieć, że szczerzy uśmiech na twarzy księcia to rzadkość. Kiedy był Westonem Larkiem, często się uśmiechał. Każdy uśmiech, jaki otrzymuję od Corricka, to przypomnienie tego, kim naprawdę jest i kim nie może już być.

Mężczyzna znów na niego patrzy, odbierając mi część tego ciepła.

Chrząkam.

– O co chodzi z tym... – Zawieszam głos, ale zaraz przypominam sobie, że jesteśmy na tyle blisko nabrzeża Artis, by wiadomość o statku z Ostriarii już się tu rozeszła. – O co chodzi z tym statkiem? – pytam. – Możesz mi powiedzieć?

– Nie tutaj. To jeden z powodów, dla których po ciebie przyjechałem.

– Naprawdę!? – Unoszę brwi ze zdziwienia. – Co...

Przerywa mi wściekły ryk. Mężczyzna zrywa się ze swojego miejsca i pędzi jak strzała w kierunku księcia. Ostrze błyszczy w słońcu, a ja robię gwałtowny wdech.

Nie wiem, czy Corrick widzi moją reakcję, czy słyszy atakującego mężczyznę, ale błyskawicznie wstaje i jednym gładkim ruchem popycha mnie w stronę strażników, nim w ogóle dotrze do mnie, że poderwał mnie z krzesła.

Mężczyzna wpada na niego i obaj padają na podłogę, potrącając stół. Kubki przewracają się i turlają ze stukotem, po czym spadają na posadzkę. Tam roztrzaskują się na kawałki, a czekolada rozpryskuje się po mojej sukni.

– Gdyby nie oni, byłoby lepiej! – krzyczy mężczyzna. Podnosi sztylet, a moje serce się zatrzymuje. – Dokończyć rewolucję! Zabić go! Zabić...

Corrick wymierza napastnikowi cios w gardło, przez co jego słowa zamieniają się w gardłowy jęk, ale i tak unosi sztylet. Strażnicy nie zdążą go powstrzymać.

Nie muszą.

Corrick blokuje atak, a później odwraca mężczyznę na plecy. Ostrze spada na podłogę. Nawet nie widzę, kiedy książę wyciąga swój sztylet, a już trzyma go przy gardle mężczyzny, kiedy strażnicy podbiegają z kuszami gotowymi do strzału. Jeden przytrzymuje towarzyszkę mężczyzny, piszczącą z bólu, gdy wykręca jej rękę. Inny strażnik naciąga kuszę i celuje prosto w głowę mężczyzny.

Wciążam ze świstem powietrze. Jednej z dziewcząt za kontuarem wrywa się krzyk.

– Nie – mówi Corrick, głosem równie cichym i spokojnym, jak wtedy, kiedy mówił do pani Woolfrey, że nie potrzebuje kubka świeżej czekolady.

Strażnik z kuszą się waha, podnosi wzrok, czekając na rozkaz.

Ostrze Corricka nadal znajduje się przy gardle napastnika. Oddech mężczyzny jest drżący, mimo to mruży oczy i pluje księżciu w twarz.

Wokół ostrza pojawia się krew, która zaczyna kapać na podłogę.

– Odcinałem ludziom języki za mniejsze przewiny – ostrzega Corrick głosem niskim i przepełnionym takim okrucieństwem, jakiego jeszcze nie słyszałam.

Zastygam w bezruchu, tak jak każdy w cukierni. Spodziewam się, że księżę go puści i każe strażom wyprowadzić, ale on się nie rusza.

Strużka krwi robi się ciemniejsza i szersza. Ostrze weszło głębiej.

Mężczyzna bierze świszczący wdech, zaczyna szlochać. Bunt zamienia się w strach.

– Proszę – wykrztusza, dysząc. – Proszę.

Te same słowa powtarzam w głowie. *Proszę, Corricku, proszę.* Muszę przygryźć język, żeby nie wypowiedzieć ich na głos.

Corrick pochyla się niżej, a krew nadal płynie.

– Teraz, kiedy to twoje życie wisi na włosku, błagasz.

Z oka mężczyzny spływa łza i łączy się ze strużką krwi ciekącą z szyi.

Mam ściśnięty żołądek. Nie wiem, co robić. Kimkolwiek Corrick nie byłby dla mnie, dla innych jest najwyższym sędzią królewskim. Nie mogę się wtrącać. Ale nie mogę też patrzeć, jak kogoś zabija. Nie mogę. Wbijam paznokcie w wewnętrzną stronę rąk.

Całą wieczność później rozlega się głos Corricka:

– Zabierzcie go do Twierdzy. Zostanie osądzony jak inni.

Następnie wyciera ostrze o koszulę mężczyzny i wsuwa sztylet do pochwy.

Serce wali mi jak oszalałe, nie chce się uspokoić. Myślałam, że zobaczę egzekucję. Z gęstej ciszy, jaka zapanowała w cukierni, wnioskuję, że wszyscy inni też tak myśleli. Łącznie z mężczyzną, którego strażnicy stawiają teraz na nogi.

Wszyscy nadal patrzą na Corricka z przerażeniem i zafascynowaniem, jakby oczekiwali, że ten powie „żartowałem” i podetnie mężczyźnie gardło.

Kiedy księżę odwraca się do mnie, przez chwilę wpatruje się w moje oczy. Jestem pewna, że dostrzega w nich panikę, bo ta jeszcze nie zniknęła.

Strażnicy wyprowadzają mężczyznę z cukierni. Jeden z pozostałych zaczyna przesłuchiwać kobietę, która pociera zbolące dłonie i rzuca przerażone spojrzenia w stronę Corricka.

On jednak ignoruje ich wszystkich i podaje mi ramię.

– Zdaje się, że już nie mamy co pić. Jesteś potrzebna w pałacu. Pozwolisz?

Muszę się otrząsnąć.

– Tak... oczywiście. – Kładę drżącą rękę na jego ramieniu. Daleko mi do Corricka potrafiącego doskonale ukrywać emocje.

Prowadzi mnie w stronę drzwi, ale zanim przekroczymy próg, zatrzymuje się i odwraca w stronę kontuaru.

– Pani Woolfrey – zaczyna, a twarz kobiety blednie.

Jestem przekonana, że spodziewa się oskarżenia o współudział w tym zajściu.

– Tak... Tak, wasza wysokość? – odpowiada drżącym głosem.

Corrick wyjmuje garść monet i podaje jej.

– Czekolada była wyśmienita. Strażnicy pomogą uporządkować cukiernię. Proszę przygotować rachunek za ewentualne szkody, a ja przyślę kogoś z pałacu, żeby pokrył koszty.

Patrzę na oniemiałą z wrażenia właścicielkę szeroko otwartymi oczami, kiedy Corrick wręcza jej srebrne monety, które pewnie wystarczyłyby na pokrycie miesięcznego kosztu utrzymania cukierni.

– Wasza wysokość... to... Nic takiego się nie stało.

– W takim razie... – odpowiada ze skinieniem głowy. – W takim razie niech to będzie rekompensata za zamieszanie. Bardzo dziękuję.

Następnie prowadzi mnie przez drzwi i wsiadamy do jego powozu.

Kiedy jechałam do cukierni, wiele osób zwróciło na mnie uwagę, ale to nic w porównaniu ze spojrzeniami, jakie są nam posyłane w drodze powrotnej, gdy jedziemy księżęcym powozem w kolorze burgundu, w obstawie sześciu strażników.

Serce nadal wali mi w piersi, a palce drżą, nawet gdy zaciskam je na materiale sukni. Wpatruję się w okno, więc widzę każde gniewne spojrzenie.

Obcinałem ludziom języki za mniejsze przewiny.

Ilekoć próbuję zapomnieć, kim był Corrick, świat za wszelką cenę stara się mi o tym przypomnieć. Chcę zapytać, czy te słowa są prawdziwe, czy powiedział je tylko po to, by spotęgować efekt. Boję się jednak, że już znam odpowiedź.

Corrick siedzi naprzeciwko.

Część mnie chciałaby usiąść obok niego, skryć się w jego ramionach w trakcie tej krótkiej podróży do pałacu. Inna część mnie chce uciec jak najdalej od tego, co właśnie się stało. Nie mogę jednak zrobić żadnej z tych rzeczy. Nasze relacje są teraz potwornie skomplikowane.

Kiedy zamieszkałam w pałacu, wszystko wydawało mi się proste. Łatwe. Mogliśmy chodzić na spacer, grać w gry, jeść późne obiady na tarasie. Mógł kraść mi pocałunki w świetle księżyca, mogłam smakować jego oddech i przypominać sobie ten czas, kiedy byliśmy w Dzicy – tylko my dwoje ścigający się z nadchodzącym świtem.

Później się dowiedziałam, że w naszym życiu nic nie jest łatwe. Jestem zielarką pracującą dla króla, a on jest drugi w kolejce do tronu. Jestem dziewczyną z Dzicy, a on jest najwyższym sędzią królewskim. Wszelkie zaloty byłyby uważnie obserwowane, analizowane, osądzone.

Raz przy kolacji usłyszałam kobietę mówiącą swojemu towarzyszowi, jakie to słodkie, że książe pozwolił swojej maskotce bawić się w zielarkę. Słowa Lochlana też to potwierdzają. „Jeśli nie ty dzielisz z nim łożę, robi to ktoś inny. Jest bratem króla”.

Nasze wysiłki, aby zapewnić lekarstwo wszystkim mieszkańcom Kandali, są zbyt ważne, by zaprzepaścić je przez plotki, że jestem w pałacu tylko z powodu kaprysu księcia.

I tak nasze nocne spacery się skończyły, podobnie jak wykradane pocałunki i kolacje we dwoje. Zostałam z poczuciem zagubienia. Niepewności. I nie podoba mi się podawanie w wątpliwość moich umiejętności. Twierdzenie, że moje teorie, badania i leki są mniej wartościowe tylko dlatego, że pochodzę z Dzicy i nie uczyłam się w Sektorze Królewskim. Albo że jestem w pałacu tylko z powodu Corricka, a nie dlatego, że mam coś do zaoferowania.

Może nie pomagaliśmy wszystkim mieszkańcom Kandali, kiedy jako wyjęci spod prawa dostarczaliśmy lek, ale przynajmniej miałam poczucie, że pomagam jakiejś ich części.

Więc siedzę po swojej stronie, a Corrick po swojej i szukam pocieszenia w widoku za oknem, tęskniąc za dotykiem tego mężczyzny. Kiedy wreszcie odrywam wzrok od okna, spodziewam się, że zastanę go także wpatzonego w zieleń, a tymczasem on przygląda się mnie.

– Nie martw się – mówi. – Powóz wytrzyma kilka strzałów z kuszy.

Cóż, nie martwiłam się tym aż do teraz.

– Myślisz, że ktoś może do nas strzelać?

– Nie. Ale nie myślałam też, że ktoś wyskoczy na mnie ze sztyletem w cukierni.

– Boisz się? – Staram się być tak samo opanowana jak on, ale mój głos brzmi głucho.

W jego tonie zaś nie pobrzmiewa już cierpki humor, gdy się odzywa:

– Nie pierwszy raz byłem celem ataków. Umiem się bronić. Strażnicy także wiedzieli, co robić, i spisali się, jak trzeba.

Wyglądam dłońmi suknię, unoszę brwi.

Mógł zostać zabity. Mógł sam zabić. Jak on sobie radzi z tym każdego dnia?

Ciekawa jestem, czy żałuje tego, jak powiedział strażnikom, żeby zabrali mężczyznę do Twierdzy. Wyobrażam sobie, że jeszcze miesiąc temu najwyższy sędzia królewski

wbiłby to ostrze kolejny centymetr głębiej, żeby przekaz był jasny. Nie chcę tak myśleć. Znowu boję się odpowiedzi, więc nie zadaję pytania.

Corrick przygląda mi się uważnie. Gdy się odzywa, w jego głosie pobrzmiwa ostrożność.

– Wiem, że Karri jest twoją przyjaciółką, ale Lochlanowi nie ufam... – urywa na chwilę, jakby chciał, żeby dotarł do mnie sens jego słów. – I ty też nie powinnaś.

Znów spoglądam w okno, żeby nie spotkać jego spojrzenia.

– Lochlan powiedział Karri to samo o mnie. Ze względu na ciebie.

– Był bardzo niezadowolony z przebiegu spotkania. To mogła być pułapka.

– To nie była pułapka.

– Mógł nawet nie wtajemniczać Karri. Nie musiałyby o niczym wiedzieć. Potrzebował tylko cię tutaj zwabić. – Książę mruży oczy. – Nienawidzę go, ale wiem też, że nie jest głupi. Mógł dodać ci czegoś do czekolady. Zakręciłoby ci się w głowie, musieliby cię wyprowadzić na zewnątrz...

– Corrick – patrzę na niego – to nie była pułapka. Lochlan ma prawo być nieufny i zdenerwowany. Pamiętaj, że dla nich to kwestia życia i śmierci.

– Dla nas to też kwestia życia i śmierci. – Nie odwraca spojrzenia, a jego ton jest nieugięty. – Już raz wykorzystał cię przeciwko mnie.

Kiedy nas schwytano, a Lochlan domyślił się, że Weston Lark to książę Corrick, omal nie pobili go na śmierć. Nie chcę o tym myśleć. Nie chcę myśleć, że Lochlan mógłby posłużyć się Karri przeciwko mnie.

– To było co innego – odpowiadam.

– Naprawdę? A czym się różniło?

Nie próbuje mnie sprowokować, mimo to czuję mrowienie pod skórą. Jakim cudem cały ten dzień tak się potoczył? Krzywię się i marszczę brwi.

– A ty się boisz? – pyta po chwili.

Przełykam. Gardło mam ściśnięte. Nie potrafię spojrzeć na księcia, więc tylko potakuję głową.

– Strażnicy zabrali go do Twierdzy i stanie przed sądem. Nie ty byłaś jego celem.

Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc dalej wpatruję się w okno.

– A może boisz się mnie? – dopytuje cicho.

Znów nie odpowiadam.

Corrick wzdycha z rozdrażnieniem i przeciąga ręką po karku.

– Przepraszam – szepczę.

– Na boga, Tesso, nie chcę, żebyś przepraszała. – Milknie na chwilę. – On chciał mnie zabić. Taki miał cel.

– Wiem. Słyszałam go. Tylko... – Teraz to ja przestaję mówić i wstrzymuję oddech.

Czasem dumam nad swoją pozycją, nad tym, co osiągnęłam – pomagam królowi znaleźć lepszy sposób na zaopatrzenie poddanych w lek. Ale kiedy przypominam sobie o wszystkich popełnionych błędach, zastanawiam się, czy znalazłam się po właściwej stronie.

– Nie miałem zamiaru go zabić, ale musiałem sprawić, żeby on tak myślał. Żeby wszyscy tak myśleli – oznajmia Corrick.

Nie podoba mi się, że ja też tak pomyślałam.

– Dlaczego? – szepczę.

– Bo najwyższy sędzia królewski nie może zniknąć z dnia na dzień. Już zaczynają wykazywać się nadmierną śmiałością. Jeszcze kilka tygodni temu nikt nie odważyłby się zaatakować mnie publicznie. – Znów wzdycha z rozdrażnieniem. – Kiedy byliśmy wyjęci spod prawa, wszystko było dużo prostsze.

Chcę zaprzeczyć, ale nie mogę. Bo to prawda. Było prostsze.

– Teraz nikt nikomu już nie ufa.

– Witamy na królewskim dworze. – Opiera się o poduszkę.

Krzywię się. Moje palce przestały już drżeć, ale nadal czuję się spięta i nieszczęśliwa.

– O co chodzi z tym statkiem z Ostriarii? Czy naprawdę jestem potrzebna w pałacu, czy to był tylko pretekst, żeby zabrać mnie z cukierni?

– A tak. Chcę, żebyś obejrzała pewne płatki i powiedziała, czy to naprawdę płatki Księżycowego Kwiatu.

– Pałacowi medycy nie są pewni?

– Są. Ale po tym, jak nie wykryli fałszerstwa Allisandra przy dostawach do pałacu, nadal nie wiem, czy są tylko niekompetentni, czy są zdrajcami.

– Skąd pochodzą tamte płatki?

– Kapitan Rian Blakemore przywiózł ich pełną skrzynię.

– Ten emisariusz?

– Ten szpieg. Jego ojciec rzekomo został wysłany przed laty z misją przez moich rodziców. Mówi, że ma na statku dwa tuziny skrzyń pełnych Księżycowego Kwiatu i może dostarczyć jeszcze więcej. Twierdzi, że król Ostriarii chciałby rozpocząć negocjacje handlowe, gdyż brakuje im złóż żelaza i stali, a Kandalą ma ich pod dostatkiem. – W jego głosie pobrzmiwa nuta, której nie potrafię rozgryźć.

– Nie wierzysz mu.

– Jeszcze nie wiem, ale Harristan zaprosił go na kolację. – Wyjmuje z kieszeni wysadzany kamieniami zegarek i spogląda na tarczę. – Myślę, że masz dość czasu, żeby się przygotować.

Unoszę brwi.

- Mam ci towarzyszyć?
- Znów cię zaskoczyłem?
- Odrobinę.
- Quint też będzie. Kapitan Blakemore kilkakrotnie wspomniał o mojej reputacji, więc Harristan uznał, że twoja obecność uczyni rozmowę nieco bardziej...
- Szczerą?
- Cywilizowaną – odpowiada z uśmiechem Corrick.
- Czy Harristan też będzie z osobą towarzyszącą?
- Nie. – Wydaje się mocno zaskoczony tym pytaniem. – Nie zauważyłaś? Mój brat nigdy nie zaprasza osoby towarzyszącej.

Waham się. Nie mieszkam w pałacu zbyt długo, ale spędziłam tu wystarczająco dużo czasu, by oswoić się ze stałymi bywalcami. Niektórzy konsulowie są żonaci, jak Roydan Pelham, starszy mężczyzna, który wydaje się dość oddany swojej żonie, podczas gdy inni zmieniają dwórki jak rękawiczki.

Aż do tej chwili nigdy nie zastanawiałam się nad tym, że Harristan zawsze jest sam. Nigdy nie widziałam, by po prostu z kimś flirtował. Z drugiej strony już sama myśl, że Harristan mógłby cokolwiek robić tak po prostu, wydaje się niedorzeczna.

Kiedy buntownicy zaatakowali sektor, razem z Harristanem przemykaliśmy przez Dzicz. Powiedział mi raz, że *łatwo jest kochać króla, gdy wszyscy są najedzeni i zdrowi. Trochę trudniej, kiedy tak nie jest.* Ten mężczyzna zawsze zachowuje stoicki spokój i dystans, ale pamiętam moment, kiedy na jego kamiennym obliczu pojawiła się niewielka rysa – gdy powiedziałam mu, że on także mógłby być kochany.

Corrick przygląda mi się uważnie, kiedy nad tym wszystkim rozmyślam.

– On nie ufa nikomu, Tesso. Zbyt wielu ludzi próbowało nas wykorzystać. – Przerzywa i ścisza głos, choć jesteśmy sami. – Trudno byłoby także utrzymać w tajemnicy jego przewlekłą chorobę. Nie sądzę, aby kogokolwiek dopuścił do siebie tak blisko.

To mnie zasmuca. Kłębiące się w mojej głowie uwagi Lochlana prowokują mnie, aby zapytać.

– A ty? Czy najwyższy sędzia królewski miewał towarzystwo?

Chcę, żeby to zabrzmiało lekko, ale Corrick przytrzymuje moje spojrzenie i wiem, że słyszy prawdziwe pytanie kryjące się za tymi słowami.

– Och, Tesso... – W jego oczach pojawia się coś dzikiego i ciepłego jednocześnie. – Nikt nie śmiał się zbliżyć, dopóki nie pojawiłaś się ty.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Corrick

Oficjalna kolacja w pałacu to zawsze wielkie wydarzenie. Serwuje się ją w dużej jadalni za salonem. Uczestniczą w niej dziesiątki służących, dworzan i dyplomatów, tworzących kakofonię dźwięków, bywającą nie do wytrzymania, jeszcze zanim ktokolwiek zacznie jeść. Mnie nie przeszkadza to jakoś wyjątkowo, natomiast Harristan nienawidzi przebywania wśród tak wielu osób, więc nie jestem zdziwiony, że tym razem kolacja odbywa się w Komnacie Perłowej.

Ciekawy wybór, bo to bardzo wytworne pomieszczenie, ale nie przesadnie. Bładoszare ściany są pokryte wymyślnymi granatowymi zawijasami rozciągającymi się od rogu do rogu i sprawiającymi wrażenie, jakby się delikatnie błyszczały. Gdy podejdziesz się bliżej, widać delikatną linię prawdziwych pereł wtopionych we wzór. Stół zrobiony jest z bloku białego marmuru pokrytego kwiatowymi ornamentami, a na nim stoją bukiety z jaskrawoniebieskich lili, doskonale pasujących do kwiecistego wzoru na poduszkach krzesel. Okno wychodzi na tylne ogrody pałacu – widać stąd łuk Stonehammer utworzony z płonących pochodni zawieszonych nad stawem.

Służący stoją, gotowi do nalewania wina i mocniejszych trunków. Na kredensie pod oknem kusi gości cały wybór przeróżnych smakołyków.

Ku mojemu zdziwieniu, Tessa i ja zjawiamy się jako pierwsi. Harristana ani kapitana Blakemore'a jeszcze nie ma.

Tessa stoi przy mnie, ubrana w suknię z ciemnozielonego aksamitu z głębokim dekoltem, uwydatniającą każdą krągłość. Kręcone włosy upięta w taki sposób, by zwisały z tyłu. Lśniące zielone i srebrne spinki dbają, by żadne kosmyki nie opadały na twarz. Wygląda ciepło i elegancko, a każdy centymetr jej odsłoniętej skóry przypomina mi, jaka jest delikatna i bezbronna.

Kiedy w cukierni zobaczyłem stojącego nad nią Lochlana, naprawdę miałem ochotę kazać strażnikowi zastrzelić go z kuszy. Kogo ja oszukuję? Sam chciałem to zrobić. Ale po tym, kiedy w powozie ujrzałem strach w jej oczach, cieszę się, że tego nie zrobiłem. Chciałbym cofnąć czas i wymazać te obawy z jej myśli i spojrzenia.

Boisz się mnie?

Nie odpowiedziała. I to powiedziało mi wszystko.

Nienawidzę tego wymuszonego dystansu między nami. Powinienem oficjalnie ogłosić, że chcę starać się o jej rękę. Spędzamy razem czas w publicznych miejscach,

zbyt oficjalnie, za dużo czasu zabiera nam zaangażowanie w politykę. Prywatne chwile są za krótkie i ograniczają się do spacerów w cieniu pałacu i gry w szachy przed śniadaniem. Ale boję się, że cokolwiek więcej mogłoby osłabić nasze starania. Wszystko i tak jest bardzo niepewne.

Myślę o mężczyźnie w cukierni. Gdybym oficjalnie ogłosił swój związek z Tessą, byłaby bardziej narażona na ataki. Jednak z drugiej strony, gdyby nasz związek był oficjalny, zaciągnąłbym ją do swoich komnat i nie wychodził stamtąd przez tydzień.

Muszę odgonić te myśli.

– Wina? – proponuję jej.

Kręci głową i przyciska rękę do brzucha.

– Jeśli napiję się wina, to już na pewno nie zapamiętam, którego widelca kiedy mam użyć.

Uśmiecham się i pochylam do niej, żeby odpowiedzieć szeptem. Ryzykuję nawet muśnięcie palcem jej podbródka.

– W tej sukni nikt nie zwróci uwagi na sztucce.

Oblewa się rumieńcem i patrzy na mnie posępnie.

– Dobrze, może jeden kieliszek.

Skinieniem daję znak służącemu, a Tessa dodaje:

– Nie trać ducha, Corricku.

– Ty też. – Uśmiecham się szerzej.

– Konsulowie też będą na kolacji? – Bierze kieliszek, ale delikatny uśmiech szybko znika z jej twarzy.

Odwracam się i widzę dwoje zbliżających się konsulów: Roydana Pelhama z Krainy Smutku i Arellę Cherry z Sunkeep. Od ataku buntowników rzadko bywają w pałacu i nie sądzę, że zostali zaproszeni na kolację.

Kilka miesięcy temu podejrzewałem ich o udział w przygotowaniu buntu, ale zostali oczyszczeni z zarzutów. To jednak nie czyni ich wcześniejszych zachowań mniej podejrzany. Ich sektory graniczą z Nabrzeżem Kupców, gdzie nie ma konsula, więc dotąd zarządzali tym terenem wspólnie, ale powiedziałem Harristanowi, że to się musi zmienić. Mają zbyt wiele sekretnych spotkań, zbyt wiele okazji do spiskowania.

Być może nie brali udziału w ostatnim buncie, ale to nie znaczy, że nie planują własnego.

Na myśl o tym czuję rozczarowanie. Arella często mnie prowokuje, ale wiem, że robi to, bo chce, by było lepiej. Natomiast Roydan to jedyny konsul, który po śmierci naszych rodziców okazał nam życzliwość.

Arella trzyma rękę na ramieniu Roydana, choć myślę, że cała przyjemność jest raczej po jego niż po jej stronie. Jest od niej trzy razy starszy i idzie chwiejnym

krokiem.

– Państwo konsulowie – mówię.

Kobieta dyga lekko, a mężczyzna odpowiada skinieniem głowy. Jest zbyt stary, by się kłaniać.

– Wasza wysokość – wita się Roydan, po czym uśmiecha się do Tessy. – Panno Cade.

Jego życzliwość mnie porusza. Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, by był zdolny do czegoś nikczemnego.

– Państwo konsulowie – mówi nieco nieśmiało Tessa. Widzę, że zastanawia się, czy nie powinna odejść i zostawić nas samych, ale chcę, żeby to była zwykła towarzyska rozmowa, więc kładę rękę na jej dłoni.

– Nie wiedziałem, że będą nam państwo towarzyszyć przy kolacji – zaczynam rozmowę.

– Nie będziemy – odpowiada Roydan. – Arella i ja zjemy w salonie. Miałem nadzieję, że uda mi się chwilę z tobą porozmawiać, Corricku. Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz.

Klepie mnie po ramieniu, jakbym miał dziesięć lat i był grzecznym chłopcem.

– Harristan pytał, czy pamiętam, byśmy wysyłali jakieś okręty wojenne do Ostriarii. Był zaniepokojony tym nowym kapitanem.

Unoszę brwi.

– Ja także jestem. Ty nie?

– Owszem, odrobinę... ale nie pamiętam, żeby wiele z nich dopłynęło do Ostriarii. – Uśmiecha się do Tessy. – Z drugiej strony mam swoje lata i pamięć mnie już zawodzi... – urywa. – Jednak pamiętam spory pomiędzy Stalowym Miastem a Nabrzeżem Kupców. Przeglądaliśmy z Arellą stare dzienniki pokładowe i wydaje się, że przez dziesiątki lat, może nawet przez cały wiek, nie były prowadzone zbyt rzetelnie. Wygląda na to, że dość regularnie wysyłaliśmy tony stali do sześciu nieznanymi mi miast. Nie tylko stal. Także materiały wybuchowe i drewno. Razem z Arellą od tygodni próbujemy to jakoś wszystko poukładać. Zaczęliśmy podejrzewać, że może to jakiś szyfr, bo takich miast nie ma na żadnych mapach, ale wtedy Harristan wspomniał o wyspach, jakie według twierdzeń tego człowieka, znajdują się u zachodniego wybrzeża Ostriarii.

– Owszem – mówię. – Tak twierdzi.

– Zapisy dotyczące wysyłek urywają się jakieś trzydzieści czy czterdzieści lat temu – informuje Roydan. – Później nie ma już kolejnych wzmianek o tych miastach. Przyszło mi do głowy, że może chodzi o wyspy, o których mówi ten kapitan. –

Przerywa, sięga do kieszeni płaszcza i wyciąga złożony kawałek papieru. – Spisałem dla ciebie ich nazwy.

Rozkładam kartkę i patrzę na pochyłe pismo Roydana.

IRIS
KAISA
ROSHAN
ESTAR
SILVESSE
FAIRDE

– Wiesz, o ilu wyspach wspominał? – pyta Roydan.

O *sześciu*. To może być zbieg okoliczności albo dowód potwierdzający wersję kapitana. Ale nie chcę napędzać plotek.

– Nie pamiętam – kłamię. – Dlaczego wysyłki przerwano?

– Nie wiem. – Lekko wzrusza ramionami. – W Nabrzeżu Kupców nie ma nikogo, kto mógłby nam odpowiedzieć na to pytanie, odkąd... cóż... – Jego spojrzenie robi się nieco smutne. Znowu poklepuje mnie po ramieniu.

Odkąd nasi rodzice zostali zabici przez konsula z Nabrzeża Kupców.

Mrugam, żeby przegonić emocje, zanim ukażą mi się na twarzy. Patrzę na Arellę, bo wobec Roydana nie potrafię być zimny.

– Dlaczego w ogóle zaczęliście przeglądać stare dzienniki pokładowe?

– Im dłużej Nabrzeże Kupców nie ma konsula, tym więcej jest okazji do szerzenia się korupcji – mówi chłodno Arella. Nie odwraca spojrzenia brązowych oczu od moich. – Na przykład ładunki wybuchowe użyte podczas ataku na pałac pochodziły właśnie z tego sektora.

Nie wiem, czy to zarzut, czy tylko stwierdzenie faktu.

– Tak słyszałem. Wiesz coś o tym, Arello?

– Wiem, że zdesperowani ludzie posuną się do drastycznych kroków, żeby przetrwać.

– No... no. – Roydan klepie ją po dłoni. – Księżę ma sprawy, którymi musi się zająć.

Gdyby to był ktokolwiek inny, odsunęłaby jego rękę, ale podobnie jak ja Arella ma słabość do Roydana, więc tylko cicho wzdycha.

– Lepiej idźmy do salonu, nim zrobi się tu zbyt tłoczno.

Jednak nie rusza się z miejsca. Wiem, że oczekuje zaproszenia, aby do nas dołączyć. Nawet nie kryje ciekawości płonącej w swoich oczach.

Jestem pewien, że wszyscy bardzo chcieliby poznać emisariusza z Ostriarii. Ale jeśli Arella nie zamierza być ze mną szczerą, ja też nie będę.

– W takim razie nie zatrzymuję państwa – odpowiadam.

Przyjmuje porażkę i znów delikatnie dyga, po czym oboje odwracają się w stronę drzwi.

Wypijam duszkiem połowę kieliszka wina, a Tessa wpatruje się we mnie uważnie.

– Czy to prawda? Kandała wysyłała stal do Ostriarii? – szepcze, zaintrygowana.

Składam kartkę i chowam ją do kieszeni.

– Stal i materiały wybuchowe. Nie jestem pewien, czy to oznaczało przyjazne, czy wrogie relacje.

– Może jedno i drugie.

Tessa pociąga łyk wina i wolno opuszcza kieliszek.

– A teraz nadchodzi konsul Sallister.

Marszczę brwi i podążam za jej wzrokiem.

Rzeczywiście, do komnaty wślizgnął się Allisander z uwieszoną na jego ramieniu młodą kobietą, której wcześniej nie widziałem na dworze. On, podobnie jak mój brat, rzadko pojawia się w czyimś towarzystwie, jednak w jego przypadku nie jest to kwestia zaufania. W każdym razie nie tego samego rodzaju. On zawsze się boi, że ktoś czyha na jego pieniądze. Fakt, kobiety zdecydowanie nie interesują się nim ze względu na jego urok osobisty.

Mam nadzieję, że będzie mnie unikał, ale jak zwykle nie mam tyle szczęścia. Idzie zygzakiem prosto w naszym kierunku, a ja próbuję nie westchnąć.

– Corrick! – woła. – Chciałbym ci przedstawić Laurel Pepperleaf, córkę jednego z moich baronów. Nalegałem, byśmy dołączyli do was przy kolacji.

Wzdycham bezgłośnie. Już wolałbym Roydana i Arellę.

Nie poznałem dotąd Laurel Pepperleaf, tylko o niej słyszałem. To córka Landona Pepperleafa, jednego z najbogatszych posiadaczy ziemskich w sektorze Allisandra. On nie zasługuje na towarzystwo kogoś tak ładnego. Laurel ma długie, lśniące blond włosy i usta pomalowane błyszczącą czerwoną szminką. Suknia z żółtej satyny ze szwami wyszywanymi diamentami zapewne kosztowała sporą sumkę, równie prowokacyjną, jak sama kreacja. Dziewczyna zaintrygowała mnie na tyle, by spotkać jej spojrzenie. Zastanawiam się, czy jest tu dla Allisandra, czy ma też swoje powody.

– Laurel, miło cię poznać – oświadczam.

Kobieta dyga lekko.

– Wasza wysokość – patrzy mi odważnie prosto w oczy, ale nie w obraźliwy sposób – cała przyjemność po mojej stronie.

– To Tessa Cade – przedstawiam, bo Allisander prędzej padłby trupem, niż zwrócił uwagę na dziewczynę trzymającą mnie za ramię. – Król poprosił ją, by pełniła rolę doradcy w kwestii dawek eliksiru z Księżycowego Kwiatu.

– Słyszałam o pani badaniach, panno Cade – zaczyna Laurel. – Uważam, że to bardzo intrygujące, tym bardziej że nasza produkcja została zmniejszona o połowę.

– Och! – Tessa jest wyraźnie zaskoczona poruszonym tematem. – Tak, ja też. Przepraszam... Powiedziałaś, że produkcja została zmniejszona o połowę?

– Tak – odpowiada Allisander. – Jak mówiłem, mamy własne problemy, spowodowane zarówno warunkami pogodowymi, jak i brakiem pracowników, podczas gdy wy cały czas obiecujecie ludziom więcej leku, i to za darmo.

– Dlatego właśnie chętnie posłucham więcej na temat twoich teorii – wtrąca się Laurel. – Specjalnie poprosiłam konsula Sallistera, by mnie tobie przedstawił, skoro już jestem na dworze.

– Doprawdy? – Spoglądam na Allisandra i popijam łyk wina.

Odpowiada mi podobnym spojrzeniem.

– Więc oto jesteśmy i się przedstawiamy. – Sam także pociąga łyk wina.

Drzwi się otwierają.

Spodziewam się mojego brata, ale zamiast niego wychodzi Quint, który idzie prosto do nas. Allisander wygląda, jakby chciał na niego warknąć, więc postanawiam przejąć inicjatywę. Był czas, kiedy mógł żądać wyproszenia Quinta ze względu na swoją pozycję, ale teraz, kiedy cudem wywinął się od stryczka, mam w nosie, czy go zdenerwuję.

– Quint, zapraszamy. – Chwytam kieliszek wina z tacy przechodzącego obok służącego i podaję przyjacielowi. – Czy poznałeś już Laurel Pepperleaf?

– Prawdę mówiąc, tak. – Bierze ode mnie szkło i wita skinieniem głowy Tessę oraz Laurel. – Cieszę się, że mogliście do nas dołączyć. Król powinien przybyć lada chwila.

Allisander wykrzywia usta.

– Czy ci marynarze też będą?

Zabrzmiało to, jakby się spodziewał, że przybysze podpłynęli do bram pałacu na ledwo trzymającej się kupy tratwie.

– Masz na myśli emisariusza? – dopytuję. – Owszem. Będzie kapitan Blakemore i kilkoro członków jego załogi.

– Jak rozumiem, mają własne zapasy Księżycowego Kwiatu. Na pewno nie wierzysz w te opowieści, Corricku. W całej Kanalii dochodziło do kradzieży transportów. Płatki mogą pochodzić skądkolwiek. Ten kapitan mógł załadować statek w Sunkeep, płynąc przez jeden dzień, a później zawinąć do portu w Artis z taką samą historią.

– Tessa oglądała płatki. Są prawdziwe. – Przerywam, aby dotarł do niego sens wypowiedzianych słów. – I raczej wątpię, by pochodziły z Księżycowych Równin, bo ty fałszowałaś transporty stamtąd, czyż nie?

Bierze gwałtowny wdech, gotów wybuchnąć, ale wtedy odzywa się Laurel:

– Mój ojciec osobiście nadzoruje eksport w naszym sektorze. Nie sądzę, byście jeszcze natrafili na sfałszowaną dostawę, wasza wysokość.

– Cieszę się, że to słyszę – odpowiadam.

Allisander wykrzywia twarz i odwraca się do Laurel.

– Powinniśmy się czegoś napić. – Nie czeka na odpowiedź, tylko po prostu się odwraca, jakby chciał odprowadzić ją do stolika.

Nie mija sekunda od ich odejścia, a Quint odzywa się ściszym głosem:

– Baron Pepperleaf najwyraźniej dał do zrozumienia, że gdyby Allisander stracił funkcję konsula, chętnie zastąpiłby go w tej roli.

– Cóż, teraz rozumiem, dlaczego ona zachowuje się tak, by było jasne, że trzyma go w garści.

Tessa spogląda na mnie pytająco i wypowiada swoje myśli na głos:

– Naprawdę zmniejszyli produkcję o połowę?

– Słyszałaś, co mówił na spotkaniu z Lochlanem. Możemy żądać, czego chcemy, ale jeśli naprawdę jest problem ze zbiorami, niewiele da się zrobić. Nie mam wpływu na pogodę. Co mam zrobić? Zagrozić, że wtrącę resztę jego robotników do Twierdzy? – Krzywię się.

– W takim razie powołanie nowego konsula mogłoby być korzystne, prawda? Mógłby naprawić sytuację? Jeśli nie podoba mu się to, co robi Allisander.

– Mogłoby – mówię. Jest w niej tyle nadziei, że nie potrafię być wobec niej pragmatyczny. – Jeśli rzeczywiście mu się nie podoba.

– Co masz na myśli?

– Po prostu trudno mi uwierzyć, że najbogatszy baron w sektorze Allisandra nie miał pojęcia, co się działo.

Ściąga usta.

– Więc uważasz, że tylko mówi to, co jego zdaniem chciałbyś usłyszeć, kiedy Allisander ma kłopoty?

– Tak. Dlatego pojawienie się na dworze jego córki, która z takim entuzjazmem odnosi się do twoich odkryć, to już trochę za dużo. Widziałaś, co się dzieje, kiedy ludzie są przekonani, że zabiegam o czyjeś względy? To dla nich jeszcze jedna okazja do oszustw. – Przewracam oczami i biorę łyk wina.

Gdy Tessa nie odpowiada, spoglądam w jej stronę i widzę, że wygląda na zranioną. Teraz naprawdę marszczy brwi.

Panie zmiłuj się.

– Tesso, nie chodziło mi o to, że...

– Nie! Nie! Wiem. – Jej oczy robią się lekko szkliste; mruga, żeby powstrzymać łzy. Wzdycha i opróżnia kieliszek do połowy. – Wszystko w porządku. Ciągle zapominam,

że ty i twój brat macie powód, żeby być tacy... cyniczni.

– Jeszcze raz witamy na dworze.

– Dziękuję. Nienawidzę tu być.

Tym razem to ja marszczę brwi. Nie wiem, czy jest to całkowicie szczere wyznanie, czy nie, za to wiem, że moje serce nie jest teraz w stanie przyjąć prawdy. Trącam kieliszkiem o jej szkło.

– Na zdrowie.

– Naprawdę, dajcie już spokój. – Quint wzdycha, spoglądając na Tessę. – Nie pozwól im zrobić z ciebie cyniczki, moja droga.

– A jak tobie udało się tego uniknąć? – zagaduje.

– Zdążyłem już zobaczyć zmiany, które wniosłaś do pałacu.

– Cóż... Byłam dziś świadkiem próby zamachu, więc nie jestem pewna, czy cokolwiek udało mi się zdziałać.

Strażnicy otwierają drzwi.

Znów spodziewam się w mojego brata i znów pojawia się ktoś inny. Do komnaty wchodzi kapitan Blakemore, Porucznik Tagas i jeszcze dwóch mężczyzn – najpewniej członków załogi. Obaj są starsi od swojego kapitana co najmniej o dziesięć lat. Po części się spodziewałem, że przybędą w znoszonych ubraniach, które mieli na sobie przy naszym pierwszym spotkaniu, ale najwyraźniej pozwolono im wrócić na statek, żeby się przygotować. Nie są to stroje kandalskie, ale też nie do końca egzotyczne. Rian jest świeżo ogolony, włosy ma związane z tyłu, ubranie czyste i bardziej eleganckie, niż się spodziewałem. Jego kaftan jest ze skóry, nie z sukna, jak oczekiwałem, jest też nieco krótszy, niż obecnie nosi się w Kandali, z guzikami ułożonymi ukośnie na piersi. Buty nie są sznurowane, lecz zapinane na klamerki. To dość oczywiste, że jest najmłodszy wśród nich, podobnie jak oczywiste jest, że to on tu dowodzi.

– Och – wzdycha Tessa.

W jej głosie słychać zaintrygowanie, którego nie potrafię zignorować. Zerkam na nią i unoszę brwi.

– „Och”?

– Nie tak wyobrażałam sobie tego kapitana. – Waha się, ścisząc głos.

– Hmm... – Opróżniam kieliszek, a służący natychmiast podaje mi następny.

– Wasza wysokość – odzywa się kapitan Blakemore, gdy do nas podchodzi. – Cieszę się, że znów widzę waszą wysokość i marszałka Quinta. – Wita skinieniem głowy mojego przyjaciela, a następnie z nienaganną dworską elegancją kłania się Tessie. – Jeszcze bardziej cieszę się ze spotkania z twoją uroczą towarzyszką, wasza wysokość.

To zwyczajowa grzecznościowa uwaga, jaką sam powtarzałem przez te lata setki razy do różnych dworzan, ale Tessa jest tak prostolinijna, że bierze te słowa do serca i się rumieni.

– Jestem Tessa Cade – odpowiada, lekko unosząc suknię i dygając.

– Panna Cade. – Kapitan unosi brwi. – A więc zielarka.

– Tak. – Wygląda na zaskoczoną i trochę zachwyconą, że kapitan wie, kim jest.

Jego uśmiech robi się cieplejszy.

– W dokach słyszałem fascynujące opowieści o wyjętej spod prawa Tessie, która zakradła się do pałacu, żeby przekazać wiadomość o skuteczniejszym leku.

– Cóż, zapewne wie pan, kapitanie, jak to jest z plotkami. Ja tylko chciałam pomóc ludziom.

– Wiem, jak to jest z plotkami. – Mężczyzna zerka na mnie i z powrotem na nią. Teraz na jego twarzy jest mniej zachęty do flirtu, a więcej szczerego zainteresowania.

– Mam nadzieję, że będziemy siedzieć blisko, żebym mógł poznać prawdę.

Będzie siedziała blisko mnie.

Omam nie powiedziałem tego na głos. I omam nie warknąłem. Słowa tkwią na końcu mojego języka, gorące i buchające zaborczością. Ale każda sylaba zabrzmiałaby małostkowo i szowinistycznie, więc przełykam je i popijam winem.

– A ja chętnie posłucham o Ostriarii – oznajmia Tessa. – Ledwie kilka tygodni temu pytałam Corricka, czy nie można by stamtąd sprowadzić płatków Księżycowego Kwiatu.

– Mam nadzieję, że uda mi się to zrobić – odpowiada Blakemore.

– Zobaczymy – wtrącam się.

Wreszcie Rian odrywa od niej wzrok i spogląda na mnie.

– Zapewne, wasza wysokość.

– Kapitanie Blakemore, chyba nie poznaliśmy jeszcze pozostałych członków pańskiej załogi – wtrąca się Quint, najwyraźniej wyczuwając napięcie między nami.

– Oczywiście. – Mężczyzna podłapuje zmianę tematu tak gładko, jakby nie doszło do żadnego spięcia między nami. – To jest Sablo, mój podporucznik. – Wskazuje na mocno piegowatego mężczyznę, mającego dobrze powyżej metr osiemdziesiąt wzrostu, mocno umięśnionego, z łysą głową, różowymi policzkami i gęstą, elegancko przyciętą rudą brodą. – A to Marchon, mój nawigator i kwatermistrz – przedstawia Rian, wskazując na drugiego mężczyznę, który jest równie szczupły i śniady, jak Sablo barczysty i blady. Marchon ma dłuższe włosy, zebrane z tyłu w kucyk nad karkiem.

– Wasza wysokość – wita się nawigator. Jego głęboki głos jest lekko drżący, pobrzmiwa w nim ten sam delikatny akcent, który słyszałem u Gwyn. – Dziękujemy za zaproszenie na dzisiejszą kolację.

Sablo tylko kiwa głową.

– Sablo nie mówi – wyjaśnia Rian.

– Z wyboru? – Unoszę brwi.

– Nie – odpowiada Rian. W jego tonie słyhać nutę obrony, która przypomina mi o tym, jak Rian upominał się o swoich ludzi wcześniej.

– Miło mi poznać obu panów.

Przyglądam się Sablo i zastanawiam, czy nie jest kimś więcej niż tylko marynarzem. Dostrzegam w nim jakiś spokój, który wskazuje na szkolenie wojskowe. Widać to też u Marchona, kiedy mu się bliżej przyjrzeć. Nie jest tak potężny jak Sablo, jednak szerokość jego ramion wskazuje na siłę. Mogliby być osobistymi strażnikami albo zabójcami. Na pewno strażę przeszukały ich, czy nie mają broni, kiedy tu przyszli.

Zerkam w stronę ściany, gdzie kapitan straży pozostawił tylko czterech swoich ludzi. Wraz z przybyciem Harristana pojawią się dodatkowi, ale niezbyt wielu, by nie przytłoczyć komnaty, jako że ma to być nieoficjalna kolacja.

Powstrzymuję te myśli.

Może Quint i Tessa mają rację. Może jestem zbyt cyniczny.

Allisander przygląda się marynarzom z wykrzywionymi ustami, stojąc po przeciwległej stronie komnaty. Nie wiem, czy jest bardziej zły, że mogą mieć dostęp do Księżycowego Kwiatu, przez co jego zyski się zmniejszą, czy jest aż takim snobem, że uważa ich za niegodnych swojego towarzystwa. Znając Allisandra, pewnie jedno i drugie.

Spoglądam z powrotem na Riana, bo Roydan podsunął mi pewną myśl.

– Kapitanie, jeden z naszych konsulów odnalazł pewne stare dzienniki pokładowe z południowego sektora, które mogą potwierdzać część twojej opowieści.

– To dobra wiadomość. – Kapitan unosi brwi.

– Mam taką nadzieję. – Zawieszam na chwilę głos. – Powiedział pan, że po zachodniej stronie, którą znamy jako Ostriarię, leży pięć wysepek.

Przygląda mi się uważnie, jakby podejrzewał jakiś podstęp.

– Owszem, są tam wyspy. Ale mówiłem, że jest ich sześć.

– Proszę je wymienić.

Wydaje się bardzo zaskoczony tym poleceniem, ale wyciąga przed siebie lewą dłoń i odwraca ją tak, by palce były skierowane w lewo. Stuka w wewnętrzną stronę ręki.

– Proszę sobie wyobrazić, że to jest główna wyspa, Fairde, a każdy palec pokazuje mniej więcej, gdzie leżą pozostałe. – Dotyka po kolei każdego palca, zaczynając od kciuka. – Iris, Kaisa, Roshan, Estar i Silvesse.

Obok mnie rozlega się westchnienie Tessy. Wiem, że rozpoznaje nazwy z listy, tak jak ja. Przyglądam się uważnie Rianowi; na jego twarzy nie widać cienia przebiegłości.

Nie wiem, co to oznacza, ale na pewno ma duże znaczenie.

Blakemore lekko mruży oczy.

– Czy zaliczyłem twój test, wasza wysokość?

Herald stojący przy głównych drzwiach uderza halabardą w podłogę.

– Jego królewska mość, król Harristan.

Wszyscy odwracają się w stronę drzwi, aby przywitać mojego brata, jednak ja pochylam się w stronę Riana i rzucam szeptem:

– Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tessa

Ostatecznie siedzę naprzeciw kapitała Blakemore'a, jednak trudno jest prowadzić konwersację przez stół. Harristan wypytuje jego oraz porucznik Tagas o Ostriarię i jej infrastrukturę. Pewnie tak jest lepiej. Trochę się dąsam, odkąd Corrick stwierdził, że zainteresowanie Laurel moimi metodami może być tylko próbą zwiększenia szans jej ojca na zdobycie stanowiska. Cieszę się, że nie siedzę koło niej.

Po przeciwnej stronie stołu zajmuje miejsce Quint w towarzystwie Allisandra i Laurel, pogrążonych w rozmowie o zapotrzebowaniu na kandalski jedwab w Nabrzeżu Kupców. Rozmowa jest tak szczegółowa, a jednocześnie niewinna, że jestem prawie pewna, iż Quint dostał za zadanie zająć konsula tak długo, jak to tylko możliwe. Sablo tkwi obok kapitała Blakemore'a i jest równie przytłaczający, jak Rocco – mój ulubiony członek osobistej straży królewskiej. Słucha każdego słowa padającego przy stole, przyglądając się Corrickowi i Harristanowi, jakby im nie ufał. Po jego lewej siedzi Marchon – kwatermistrz. Wydaje się znudzony trajkotaniem Allisandra i Quinta, ale jest trochę za daleko ode mnie, bym mogła podjąć towarzyską konwersację.

Grzecznie jem zupę i zastanawiam się, jak coś tak prostego jak dostarczenie większej ilości leku chorym ludziom może być tak uwikłane w polityczne targi i pałacowe intrygi.

Tak bardzo mam ochotę stąd wybiec, założyć swoją starą działową spódnicę i wspiąć się na mur, że niemal czuję mrowienie w stopach.

– Wygląda pani na smutną, panno Cade.

Podnoszę wzrok i dostrzegam przyglądającego mi się uważnie kapitała Blakemore'a. Z jego szarych oczu bije takie ciepło, że trudno mi odwrócić wzrok. Spodziewałam się kogoś starszego i drętwego, nie młodzieńca o smagłej od słońca skórze, ciemnych, błyszczących włosach i silnych ramionach.

– Nie jestem smutna – odpowiadam. – Po prostu nie mam zbyt wiele do powiedzenia w kwestii popytu na jedwab – zerkam na drugą stronę stołu – czy dostaw stali.

– Mnie też szczególnie interesuje jedwab, za to, jeśli chodzi o stal, wiem, że Ostriaria bardzo jej potrzebuje. Wiele statków transportowych uległo zniszczeniu

w czasie wojny. Kraj próbuje się odbudować, ale bez statków i mostów transport towarów staje się potężnym wyzwaniem – odpowiada z delikatnym uśmiechem.

– A pan chce pomóc.

– Owszem.

Corrick podszedłby do tego sceptycznie, tak jak wątpi w szczerość entuzjazmu Laurel dla mojej pracy, a to oznacza, że ja także powinnam podejść do tego sceptycznie, ale w przeciwieństwie do Laurel, której ojciec jest kolejnym człowiekiem starającym się zapewnić sobie władzę w Kandali, kapitan Blakemore nie ma tu nic do zyskania. Nie stawia żądań. Nie przyciska nikogo do ściany pustymi obietnicami i władczyimi groźbami.

Wiem, że w tym wszystkim chodzi o politykę. W imieniu Ostriarii prosi o stal, oferując w zamian płatki Księżycowego Kwiatu, ale z jakiegoś powodu w jego ustach to wydaje się prostsze. Prosi o pomoc i oferuje ją w zamian.

– Ja też chcę pomóc – odpowiadam.

– Wiem. Jak wspominałem, słyszałem to i owo w dokach. Każdy, kto jest zdolny włamać się do pałacu z zamiarem leczenia ludzi zamiast zrobienia komuś krzywdy, musi być naprawdę bardzo odważny. Szczególnie biorąc pod uwagę surowe kary za złamanie prawa w Kandali.

– Nie jestem pewna, czy to ma coś wspólnego z odwagą – mówię, ale nie potrafię powstrzymać ciepła, które rozlewa się po moich policzkach – to raczej determinacja.

– To prawie to samo, nie uważasz? – Nabiera łyżkę zupy, ujmując nieco powagi tej wymianie zdań. – Byłem młody, kiedy wysłano mojego ojca do Ostriarii, ale z tego, co pamiętam, kary stosowane przez koronę nigdy nie były tak surowe jak teraz.

– Sześć lat temu Kandala była innym miejscem – wtrąca się Corrick.

Jestem bardzo zaskoczona, gdy dociera do mnie, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Mam wrażenie, że pod bardzo wieloma względami. – Kapitan nabiera kolejną łyżkę zupy, a jego wzrok wraca do mnie. – Uważasz, że czyny najwyższego sędziego królewskiego są skuteczną metodą na zachowanie pokoju?

Siedzący obok mnie Corrick zastyga w bezruchu. Wie, co myślałam o najwyższym sędzi królewskim, zanim dowiedziałam się, że bezinteresownie pomagający innym Weston Lark i każący śmiercią za przemyt i zdradę księżę Corrick to ta sama osoba.

„Nienawidzę księcia”, mówiłam często do niego jako Wesa. Później, gdy już wiedziałam, że to Corrick, mówiłam „nienawidzę cię”.

Przy stole zapadła cisza, jakby to zadane łagodnym tonem pytanie, zwróciło uwagę wszystkich tylko ze względu na ciężar, jaki się za nim kryje. Nawet Allisander mi się przygląda, czekając na moją odpowiedź.

Czuję, jakbym miała usta skute lodem, a w mojej głowie panuje mętlik.

– Chętnie usłyszę, co masz na ten temat do powiedzenia – oznajmia Harristan.

Jego głos nie jest surowy. Jedną z rzeczy, które najbardziej w nim lubię, jest to, że kiedy pyta o moje zdanie, naprawdę chce je usłyszeć. Ale jest królem – nie musi być surowy, by moje serce gwałtownie przyspieszyło.

Odkładam łyżkę i wyglądam suknię.

– Myślę, że najwyższy sędzia królewski robił, co mógł, w bardzo trudnych czasach.

Pod stołem ręka Corricka znajduje moją – spokojną i ciepłą – po czym ją ściska.

Kapitan Blakemore uśmiecha się delikatnie i zjada kolejną łyżkę zupy.

– Nie chciałem wprawić cię tym pytaniem w zakłopotanie. – Przerywa. – Ani na nic narazić. Proszę mi wybaczyć, panno Cade.

Nic mi nie grozi, ale może powiedzenie tego nie byłoby rozsądne. Ta konwersacja przypomina stąpanie po linie.

– Nie było pana tutaj, kapitanie – zauważa Corrick. – Nie widział pan desperacji, z jaką ludzie próbowali zdobyć lek, ani do czego byli zdolni, by tego dokonać.

– Widzę, że ludzie w murach tego sektora są raczej zdrowi, podczas gdy ci za nim nie. – Kapitan Blakemore nie odwraca wzroku. Jego ton jest równie niewzruszony, jak wtedy, kiedy mówił do mnie. – Widzę, że przywiozłem wam lek, którego rzekomo tak bardzo potrzebujecie, tymczasem wy traktujecie mnie z podejrzliwością i wrogością.

Corrick się prostuje.

– Nie minął jeszcze dzień od pana powrotu do Kandali, a już tak otwarcie krytykuje pan króla? To słaby dowód lojalności wobec własnej ojczyzny.

– Wasza wysokość oczekuje lojalności czy czołobitności?

Księżę patrzy prosto w jego oczy.

– Jeśli komuś faktycznie leży na sercu los jego załogi – odpowiada Corrick – ani jedno, ani drugie nie zaszkodzi.

Kapitan zastyga w bezruchu.

– Proszę nie grozić mojej załodze. – Wypowiada te słowa cicho, wolno, akcentując każdą sylabę. Przelatują przez komnatę niczym błyskawica.

Corrick zaciska zęby. Wiem, że jakaś część księcia chciałaby zawlec kapitana do Twierdzy. Ta sama część, przez którą myślałam, że poderżnie gardło mężczyźnie w cukierni.

Sama czuję ucisk w piersi i chcę powiedzieć coś, co mogłoby to wszystko odwrócić. Czuję się jak w cukierni, kiedy siedziałam z Karri – zbyt wiele tu sprzecznych interesów, zbyt wiele różnych punktów widzenia.

Wtedy odzywa się Laurel:

– Przybył pan w bardzo ciekawym momencie, kapitanie Blakemore. Nasze sektory zmusza się do dostarczania leku mieszkańcom Kandali i oto pojawia się pan, gotów negocjować ceny dla innego kraju.

Kapitan nie odwraca wzroku od Corricka.

– Musicie zmuszać swoje sektory, by dostarczały lek? Kiedy ludzie umierają?

Nie da się zignorować krytyki w jego głosie.

– Nie ma żadnego dowodu, że posiadacie więcej Księżycowego Kwiatu – wtrąca Allisander. – Chcecie naszej stali, dużo stali. Jaką mamy gwarancję, że wrócicie z lekiem, który obiecujecie?

– To dobre pytanie – zauważa król.

Kapitan Blakemore rozkłada ręce.

– Nie jestem w stanie dać innych gwarancji niż dowody potwierdzające moje słowa, które już przedstawiłem. Ale mam statek, a wasza królewska mość może popłynąć ze mną do Ostriarii i osobiście dokończyć negocjacje z królem.

– Chyba pan nie myśli, że król Kandali wsiądzie na statek, opierając się tylko na pana zapewnieniach, kapitanie? – W głosie Corricka słychać oburzenie.

– W takim razie proszę samemu ze mną popłynąć, wasza wysokość. – Kapitan rzuca w stronę Corricka ponure, ale rozbawione spojrzenie. – Jeśli wasza wysokość jest zainteresowany moją ofertą, szczerze radzę zostawić moją załogę w spokoju. Wasza wysokość doskonale wie, że nie ma żeglarzy, którzy byliby w stanie tam dopłynąć.

– A kto mówi, że pańska załoga potrzebuje swojego kapitana?

– Corrick – upominam go.

– Ja nie popłynę z nikim innym – oświadcza Marchon. I są to chyba pierwsze słowa, jakie wymówił, odkąd usiadł przy stole.

– Ani ja – popiera go porucznik Tagas.

Sablo uderza w stół, a później w swoją pierś i potakuje głową.

Kapitan Blakemore uśmiecha się, a w jego oczach rozbłyska coś na kształt szczerego zachwyty.

– To właśnie jest lojalność – mówi.

– Jestem pod wrażeniem – odpowiada Harristan głosem chłodnym i cichym, obniżając nieco napięcie wypełniające komnatę. – To mówi wiele o pana charakterze, kapitanie.

Nawet Corrick spogląda na niego z zaskoczeniem.

Kapitan mógłby puszyć się jak paw i do pewnego stopnia tego się po nim spodziewam, ale jego uśmiech słabnie, a twarz przybiera wyraz równie poważny, jak kiedy zwracał się tylko do mnie.

– Dziękuję, wasza królewska mość.

Corrick sprawia wrażenie bomby mającej lada chwila wybuchnąć, ale wydaje się, że te słowa odrobinę rozładowały jego gniew.

– Pływałem na wielu statkach, służyłem pod wieloma kapitanami. – Marchon skinieniem głowy wskazuje na kapitana Blakemore'a. – Kiedy między wyspami wybuchła wojna, tylko kapitan pozostał blisko linii brzegowej, żeby ratować rozbitków. Nie obchodziło go, po której stronie walczyli, jak bardzo byli ranni, jak bardzo krwawili. Zbierał wszystkich.

Emocje w jego głosie sprawiają, że zaczynam się zastanawiać, czy Marchon nie był jednym z tych rannych i krwawiących. Zerkam na Sablo, mężczyznę, który nie mówi.

„Z wyboru?“, zapytał Corrick.

„Nie“, odpowiedział kapitan.

Kapitan Blakemore przygląda się, jak mój wzrok wędruje po kolejnych członkach jego załogi.

– Każdy ma jakąś przeszłość, panno Cade. Jestem pewien, że pani postąpiłaby tak samo.

– Tak – odpowiadam.

Przenosi wzrok na Corricka, ale nic nie mówi.

Do komnaty wchodzi służący z pełnymi tacami, przerywając rozmowę. Miski po zupie zostają sprzątnięte, a na stole rozkładane są świeże talerze. Za sprawą Quinta odżywa zwykła towarzyska rozmowa, gdy mężczyzna zagaduje Marchona.

– Kwatermistrz i nawigator w jednej osobie? Czy ty w ogóle masz czas na sen?

Księżę u mojego boku milczy. Jego ruchy są precyzyjne i ograniczone do minimum. Jest zbyt obyty z dworską polityką, zbyt dobrze potrafi ukrywać emocje, gdy zachodzi taka potrzeba.

Chciałabym móc położyć dłoń na jego ręce, spojrzeć na niego, powiedzieć coś, co zdjęłoby z niego choć część napięcia. Kiedy byliśmy wyjętymi spod prawa w Dzikim, wspieranie się nawzajem przychodziło nam tak łatwo. Tu, w pałacu, wydaje się to niemożliwe. Zwłaszcza teraz, kiedy siedzimy naprzeciwko kapitanu Blakemore'a i jest oczywiste, że Corrick nie wierzy w ani jedno jego słowo.

– Pana propozycja była szczerą? – pyta Harristan.

Kapitan pociąga łyk wina.

– Jaka propozycja?

– Popłynięcia do Ostriarii i podjęcia negocjacji bezpośrednio z królem.

– Owszem.

Allisander przygląda się z przeciwnej strony stołu.

– Chyba nie mówisz poważnie. Konsulowie nigdy się na to nie zgodzą.

Kapitan Blakemore spogląda to na Harristana, to na Allisandra.

– Konsulowie rządzą królem? Nie było mnie aż tak długo?

– Nie – odpowiada Harristan. Odkrztusza, po czym wypija połowę kieliszka wina.

Obserwuję go i zastanawiam się, czy próbuje w ten sposób ukryć kaszel. Powinien kazać przynieść herbatę, ale wiem, że tego nie zrobi.

– Nie powołałeś nikogo na miejsce Leandra Crafta – przypomina Allisander. – Stalowe Miasto nie ma konsula. Po śmierci króla Lucasa nie powołałeś także nowego konsula Nabrzeża Kupców. Zapraszasz przywódców rebeliantów do negocjacji razem z tą samozwańczą zielarką, a to wszystko w czasie, kiedy sytuacja w sektorach się pogarsza. A teraz zamierzasz wyjechać z Kandali?

– Dość – przerywa mu Harristan. – Jesteś tu tylko ze względu na to, co możesz zaoferować swojemu krajowi, konsulu, a już oświadczyłeś, że nie będziesz w stanie dostarczyć takiej ilości leku, do jakiej się zobowiązałeś.

Zastanawiam się, czy Laurel Pepperleaf rzuci jakąś uwagę, ale ona tylko pociąga łyk wina ze swojego kieliszka. Chyba jej się podoba, jak Allisander sam zakłada sobie na szyję stryczek.

Chyba już zaczynam przesiąkać cynizmem Corricka.

Kapitan Blakemore spogląda na mnie porozumiewawczo przez stół. Ścisza głos i odzywa się:

– Przywódcy rebeliantów, panno Cade?

– Najwyraźniej nie słyszał pan wszystkich plotek. – Krzywię się.

– Nie planowałem płynąć osobiście – odpowiada Harristan. Patrzy na swojego brata. – Miałem na myśli propozycję, którą kapitan Blakemore złożył Corrickowi.

Te słowa wywołują całkowite zaskoczenie i u księcia, i u kapitana. To ledwie zauważalne drgniecie mięśni, ale i pierwsza oznaka, że Corrick także został wytrącony z równowagi. Szybko jednak się otrząsa.

– Jak wasza królewska mość sobie życzy. Myślę, że Ostriaria bardzo chętnie wysłucha waszych warunków.

– Mówi pan, kapitanie, że władza jest niestabilna – odzywa się Corrick.

– Nie tak bardzo jak jeszcze niedawno. Stary król zmarł kilka lat temu. Miał trzech synów i dwie córki, wszystkich z nieprawego łoża. Do tego kilkoro przyrodniego rodzeństwa, wiele kuzynek i kuzynów. – Przerywa. Po chwili zaczyna mówić, ale wolniej, głosem pełnym emocji. – Jak mówiłem, walka o tron zamieniła się w wojnę domową. Wyspa wystąpiła przeciwko wyspie. Trwało to kilka lat.

Przyglądam mu się przez chwilę. Jego szare oczy wydają się spoglądać gdzieś daleko. Opróżnia kieliszek.

– Zasmucił się pan, kapitanie – zauważam cicho.

Mruga i spogląda na mnie.

– Nie. – Milknie na kilka sekund. – Może trochę. Wojna to... wojna. W tych walkach zginął mój ojciec.

Marszczę czoło.

– Bardzo mi przykro, kapitanie Blakemore.

Wydaje się zaskoczony moimi słowami.

– Dziękuję, panno Cade.

Corrick może uważać, że to wszystko pozory, ale dla mnie smutek kapitana wydaje się szczery.

– Proszę mówić mi Tessa – proponuję cicho.

– W takim razie, pani musi mówić mi Rian – odpowiada z lekkim skinieniem głowy i uśmiechem.

Emocjonalną chwilę przerywa Harristan i jego chłodny pragmatyzm.

– Kto wygrał? – pyta.

– Tron zdobył Galen Redstone – odpowiada Rian. – O ile w ogóle można to nazwać zwycięstwem. Był nieślubnym synem, a jego głównym rywalem był Oren Crane, przyrodni brat króla.

– Jego wuj? – pytam.

– Tak – odpowiada Rian. – Ale wątpię, czy w ogóle wiedzieli o swoim istnieniu, zanim nie rozpoczął się konflikt. Na przestrzeni miesięcy władza wielokrotnie przechodziła z rąk do rąk.

– A co stało się z Orenem Cranem? Zginął? – docieka Harristan.

– Nie. Ale narobił sobie wystarczająco wielu wrogów, by jego sojusznicy zaczęli się wykruszać jeden po drugim, aż nie miał wyboru i musiał się poddać. Pod nowym przywództwem kraj się ustabilizował. Teraz zamiast walki priorytetem stała się odbudowa, dlatego tu jestem.

– Więc jesteś blisko nowego króla? – pyta Corrick.

– Blisko? Nie. Ale spędziłem na ich wybrzeżu wystarczająco dużo czasu, by zyskać zaufanie. Jestem szczerze zainteresowany pomocą w odbudowie ich kraju. Wiedziałem o konflikcie z poprzednim królem Kandali, ale mam statek i pieczęć mojego ojca. Zaproponowałem, że przypłynę tu w dobrej wierze. – Wytrzymuje spojrzenie Corricka. – Byłbym niezmiernie rad, mogąc eskortować najwyższego sędziego królewskiego do Ostriarii i wystąpić w roli pośrednika na tamtejszym dworze.

– Nie potrzebuję twojego pośrednictwa – odpiera Corrick.

– W takim razie tylko poprowadzę statek – oferuje z uśmiechem Rian.

– A co z gorączką? – pytam. – Nie martwi cię, że możesz zawlec chorobę do Ostriarii?

Waha się przez chwilę, rozglądając się wokół.

– Plotka głosi, że nie jest zakaźna, że nie ma żadnych prawidłowości w tym, kogo dotyka. Czy to prawda?

– Tak – przyznaję.

Zastanawia się nad tym przez chwilę.

– Ostriaria tak bardzo potrzebuje stali, że jestem gotów zaryzykować zakażenie. W każdym razie na małą skalę. Gdyby stało się to problemem, mamy więcej niż wystarczającą ilość Księżycowego Kwiatu, by sobie z nim poradzić.

– Jakie są twoje warunki? – pyta Harristan. – Czego żądasz za pomoc?

– Moje warunki? – Kapitan rozsiada się na krześle i spogląda na przemian to na króla, to na księcia. – Spodziewacie się, że zażądam srebra? Macie go w nadmiarze?

– Nie igraj ze mną.

– Nie igram. Nie robię tego dla własnej korzyści. Potrzebujemy stali. Wy potrzebujecie Księżycowego Kwiatu. – Rzuca ponure spojrzenie na przeciwległy kraniec stołu. – Zwłaszcza że twoi rodacy, wasza wysokość, nie są chętni, by go dostarczać.

– „Potrzebujemy stali” – powtarza za kapitanem Harristan. – Być może twój ojciec był lojalny wobec Kandali, ale ty najwyraźniej zmieniłeś sojuszników.

Rian się waha, a po chwili marszczy brwi.

– To nie jest kwestia sojuszków. Spędziłem tam jedną czwartą swojego życia, wasza królewska mość. Nie dało się uciec przed walką. Byłem zmuszony stanąć po którejś stronie, tak jak każdy. I tak jak każdy chcę, żeby oba kraje dostały to, czego potrzebują. Nie widzę powodu, dla którego wasza królewska mość nie mógłby dogadać się z królem Ostriarii. Wydaje się rozsądnym człowiekiem. On także chce odbudować swój kraj. – Kapitan znowu zerka na Allisandra i Laurel. – Nie chce wykorzystywać cierpienia swojego ludu, żeby nabijać sobie kabzę.

Serce bije mi miarowo. Może jestem naiwna, ale mu wierzę. Wierzę w każde jego słowo i nie chodzi tylko o przekonanie, z jakim mówi, ale o lojalność jego załogi. To, jak Marchon na niego patrzył, gdy mówił o „rannych” i „krwawiących” To, jak wszyscy zadeklarowali, że nie popłyną z nikim innym. A teraz właśnie odrzucił srebro, choć zdecydowanie jest w sytuacji, w której mógłby się go domagać. Pierwszy raz widzę kogoś, kto mówi o nadziei i obietnicy bez stawiania żądań i warunków.

Może dlatego zdobywam się na odwagę, by spojrzeć na Corricka i powiedzieć te dwa słowa:

– Powinieneś popłynąć.

Nie odwraca wzroku od kapitana.

– Ach tak? Powinienem?

– Tak. Bo ja chcę popłynąć z tobą.

Corrick gwałtownie odwraca do mnie głowę, jakbym właśnie powiedziała, że chcę skoczyć z dachu.

– Tesso!

– Chcę! – oświadczam. – Konsul Sallister najwyraźniej nie ma zamiaru dostarczyć nam więcej leku. Jeśli Ostriaria ma Księżycowy Kwiat, możemy pomóc całej Kandali, Corricku. Zyskalibyśmy czas, by ochronić więcej ludzi. To może być klucz do poradzenia sobie z tą chorobą.

Przy stole zapada cisza. Dociera do mnie, że zaczęłam mówić głośno, z pasją. Po drugiej stronie stołu kapitan Blakemore przygląda mi się z uniesionymi brwiami.

– Proszę wybaczyć zielarce, maskotce księcia, kapitanie – odzywa się ze swojego kąta Allisander. – Niewiele wie o polityce i negocjacjach.

– Przeciwnie – odpowiada kapitan, nie odrywając ode mnie oczu. – Mam wrażenie, że panna Cade wie na ten temat całkiem sporo.

– Uzyskanie większej ilości leku nie powinno stanowić kwestii negocjacji – oznajmiam, rozgorączkowana.

– Nie – przytakuje Corrick. – Nie powinno.

Ma zaciśnięte zęby, a ja nie jestem pewna, czy to złość na Allisandra, czy niepokój związany z propozycją kapitana. A może jedno i drugie.

– Wasza królewska mość – odzywa się Laurel – na pewno bierzesz pod uwagę, że to może być podstęp.

– Po co miałbym was oszukiwać? – wtrąca Blakemore. – Ostriaria ma więcej Księżycowego Kwiatu, niż potrzeba, aby zaproponować uczciwy handel. Przywieziemy go więcej, żeby to udowodnić. – Znów spogląda na przeciwległy koniec stołu. – Ale zajmie mi to kilka tygodni, może miesiąc, może dłużej. A z rozmowy wnoszę, że jesteście raczej zdesperowani.

– Jesteśmy – potwierdzam jego przypuszczenia. – A poza tym – dodaję zdecydowanie, przypominając sobie, jak księżę przywiózł mnie do pałacu z cukierni – komu innemu zaufasz, aby sprawdził, co faktycznie dostarczają?

Corrick waha się, ale już wiem, że uda mi się postawić na swoim.

Wtedy spoglądam z zakłopotaniem na drugą stronę stołu.

– Oczywiście, jeśli także jestem zaproszona. – Gdybym teraz zwróciła się do niego po imieniu, Corrick najpewniej by wybuchnął, więc dodaję: – Kapitanie Blakemore.

Uśmiecha się. W jego oczach rozbłyska szczere rozbawienie. Nie jest głupi.

– Będę zaszczycony, panno Cade.

– Jeśli przyjmimy pana propozycję, kapitanie – wtrąca się w wymianę zdań Harristan – zbiorę załogę, która będzie panu towarzyszyć.

Na te słowa Rian podnosi wzrok.

– Nie.

Harristan unosi brwi.

– Ponieważ wasza królewska mość jest otwarty na moje warunki – ciągnie Rian – chciałbym poczynić jedno zastrzeżenie: żadnych marynarzy, żadnych nawigatorów, jeden statek. Mój. Wyraziliście już niepokój ewentualnym rozniesieniem choroby, a król Ostriarii nadal musi radzić sobie z napięciami na dworze. Lud wraca do zdrowia po wojnie, jeśli zdołacie dojść do porozumienia z królem, z radością nauczę waszych marynarzy nawigować po otwartym morzu za południowym cyplem, ale do tego czasu nie będę brał na siebie odpowiedzialności za sprowadzenie okrętów potencjalnego wroga na wody Ostriarii.

Harristan milczy przez dłuższą chwilę... a później kaszle.

Spoglądam na niego, zaalarmowana, tak jak wszyscy inni przy stole. Tylko jedno kasznięcie, krótkie i szybko opanowane.

Harristan zerka z irytacją na Corricka, który wygląda, jakby chciał zerwać się z krzesła.

Kapitan przygląda się temu wszystkiemu, a następnie rozkłada ręce.

– Rozumiem wahanie waszej królewskiej mości – oświadcza. – Jeśli wasza królewska mość woli, abym wrócił z oficjalnym pismem lub prośbą, zrobię to z przyjemnością.

Harristan zastanawia się, wreszcie zerka na Corricka.

– Omówimy pańską propozycję, kapitanie Blakemore. Jeśli nie zgadza się pan na marynarzy, poślę z moimi ludźmi strażników. To chyba oczywiste.

– Oczywiście – odpowiada ze skinieniem głowy.

– Jeśli panna Cade ma płynąć, ja także bym chciała – mówi Laurel ze swojego końca stołu.

– Chyba żartujesz – syczy pośpiesznie Allisander.

– Przeciwnie – odpowiada. – Chciałabym uczestniczyć w negocjacjach, aby dopilnować uczciwych warunków handlowych.

– Kapitanie – mówi Marchon. Niski głos kwatermistrza skupia uwagę wszystkich zebranych. – *Ścigacz Świtu* nie jest statkiem pasażerskim. Mamy ograniczone miejsce i załogę.

– Zaiste – mówi Rian i spogląda na Harristana. – Jestem zmuszony ograniczyć liczbę delegacji do sześciu osób, włączając strażników.

– Dwanaście – odpowiada król.

– Sześć. – Kiedy Harristan marszczy brwi, kapitan dodaje: – To nie podlega negocjacom. Myślę o bezpieczeństwie mojej załogi i twoich ludzi, panie.

Jest taki zasadniczy, taki pryncypialny. To fascynujące w porównaniu z królem, który był zmuszony do negocjowania i ustępstw, aby zachować władzę; w porównaniu do Corricka, który był zmuszony zabijać, żeby zachować kontrolę. Z drugiej strony, kapitan Blakemore ma tylko statek, małą załogę, podczas gdy Harristan i Corrick odpowiadają za całe państwo, targane chorobą i desperacją.

– W takim razie mogę zrezygnować z podróży, na rzecz większej liczby strażników – zerkam na Corricka – czy... Czego będziesz potrzebował.

Jego oczy są zimne jak lód, ale topnieją, gdy na mnie spogląda.

– Jeszcze nawet nie zgodziłem się na ten wyjazd.

Rian spogląda na nas oboje.

– W takim razie czekam na decyzję, wasza wysokość – rzuca i uśmiecha się do mnie. – Panno Cade, mam nadzieję, że się pani z nami jednak zabierze.

ROZDZIAŁ 9

Corrick

O północy jest już dawno po kolacji. Niebo za oknem komnaty mojego brata pociemniało, chmury zasłaniają gwiazdy. W ciągu dnia jest zbyt ciepło, by ktokolwiek miał potrzebę rozpalać ogień, więc palenisko jest zimne. Ciepła bryza owiewa komnatę i szeleści papierami na biurku Harristana, a ja siedzę w fotelu tuż obok mebla.

Dostaliśmy stare raporty z portu w Artis, potwierdzające wypłynięcie statków „w misję eksploracyjną” ponad trzydzieści lat temu – statków, które nigdy nie wróciły. Harristan osobiście przepytował Roydana, zadając bardzo szczegółowe pytania, które wydawały się nadwyręzać pamięć starego człowieka. Roydan powiedział, że pamięta wiele ożywionych debat na temat cen żelaza, że Barnard Montague – poprzedni konsul Nabrzeża Kupców – pieklił się, że nie ma udziału w zyskach ze sprzedaży stali, która przechodzi przez jego sektor. Nie możemy przesłuchać bezpośrednio Barnarda, bo był zamieszany w zamach na naszych rodziców i zginął w czasie ataku.

Powinienem analizować szczegóły, szukać powiązań, rozważać wszystkie za i przeciw. Powinienem planować. Opracowywać strategię. Analizować ryzyko związane z wyprawą do stosunkowo mało znanego nam kraju i decydować, czy warto je podjąć dla potencjalnej nagrody w postaci zdobycia większej ilości leku dla Kandali. Zamiast tego odtwarzam w głowie chwilę, kiedy kapitan Blakemore w sposób oczywisty przykuwał uwagę Tessy.

Jest taka bystra. Taka odważna. Taka empatyczna.

Niestety, on wydaje się podobny. Widziałem, jak patrzyła na niego jego załoga, kiedy mówił o wojnie. Takiej lojalności nie da się udawać.

„Potrzebujemy stali. Wy potrzebujecie Księżycowego Kwiatu. Zwłaszcza że twoi rodacy, wasza wysokość, nie są chętni, by go dostarczać”.

Taka postawa bardzo kontrastuje z chwilą, kiedy trzymałem sztylet przy gardle mężczyzny w cukierni albo kiedy musiałem pozbawić Tessę złudzeń co do szczerości zainteresowania Laurel Pepperleaf jej odkryciami.

Powiedziała wtedy: „Dziękuję. Nienawidzę tu być”.

Ja też.

Zazdrość nie gości zbyt często w mojej głowie. Jestem bratem króla, więc rzadko zdarza się, bym czegoś chciał i nie mógł tego dostać. Przez lata nauczyłem się chować

lęk, złość i rozczarowanie tam, gdzie nikt nie może ich dostrzec. Ale jeśli chodzi o zazdrość, nie mam w tym wprawy. Zresztą nawet nie chodzi o kapitana Blakemore'a. Przynajmniej nie do końca, bo przecież prawie go nie znam. Chodzi o to wszystko, czym nie mogę być dla Tessy.

– Corrick. – Głos Harristana wyrywa mnie z zamyślenia.

Spoglądam w jego stronę.

– Co?

– Zapytałem, czy mu ufasz.

– Nie jestem pewien. Część mnie chce mu ufać.

Myślę o mężczyźnie, który wszedł do pałacu dziś po południu. Jest czarujący. Okazuje wystarczający szacunek, a jednocześnie jest nieugięty w swoim oddaniu załodze i misji. Jego historia brzmi wiarygodnie – od bandery i statku po pierścień na palcu. Jego ludzie nie sprawiają żadnych kłopotów i – tu zgadzam się z Harristanem – ich lojalność robi wrażenie. Mówi też wiele o charakterze kapitana Blakemore'a, zwłaszcza że on sam nie żąda niczego poza możliwością nawiązania stosunków handlowych między naszymi krajami. Żadnych pieniędzy, żadnych klejnotów, nawet lepszego statku czy większej załogi, a w tej sytuacji mógłby żądać tego wszystkiego i jeszcze więcej.

– Naprawdę nie jesteś pewien? – dopytuje Harristan – Czy chodzi tylko o to, że wpadł w oko Tessie?

Trafił tak celnie, że spoglądam na niego krzywo.

– Naprawdę myślisz, że wpadł jej w oko?

Wzdycha i przeciąga dłonią po twarzy.

– Cory.

Sam także wzdycham z irytacją.

– Dobrze. Nie wzbudza mojej nieufności. – Przerywam na chwilę. – Jestem pewien, że przemknęło ci przez myśl, że skoro dotarł tutaj nietknięty i niezauważony, ten nowy król może mieć całą armadę czekającą tylko na to, jak zareagujemy.

– Owszem. Myślałem o tym. Nie po to powstrzymałem rewolucję, żeby teraz wplątać się w wojnę.

Wojnę, której byśmy nie wygrali. Nie teraz. Harristan sam to doskonale rozumie.

– Jeśli każesz mi z nim popłynąć, sytuacja z buntownikami skomplikuje się jeszcze bardziej. Tessa może zostać, ale oni i tak już nam nie ufają. Na pewno uznają, że każdy płatek Księżycowego Kwiatu, jaki uda nam się uzyskać w Ostriarii, trafi prosto do Sektora Królewskiego – wyrażam swoje obawy na głos.

– O tym też myślałem. – Harristan przygląda mi się uważnie, ocenia moje reakcje. – Dlatego uważam, że Tessa powinna popłynąć z tobą, zwłaszcza że sama chce. – Moje

serce podskakuje, ale wtedy mój brat dodaje: – Podobnie jak buntownik Lochlan.

– Co? Dlaczego? – domagam się odpowiedzi.

– Ponieważ kapitan Blakemore ograniczył liczbę naszych ludzi do sześciu osób, a to pozwoli dać ci trzech strażników. Laurel Pepperleaf też chce płynąć, ale jej odmówię. Mam zamiar wysłać wiadomość do jej ojca, że nie będę dłużej ulegać naciskom jego sektora. Jeśli istnieją inne możliwości pozyskania leku, naszym obowiązkiem jest je zbadać. Nie mam zamiaru dopuszczać Księżycowych Równin do udziału w tych negocjacjach, skoro już straszą, że zmniejszą swoją produkcję o połowę. Zobaczymy, co Ostriaria ma nam do zaoferowania, i do tego dostosujemy strategię negocjacyjną. Połowa konsulów była gotowa pozbawić mnie tronu, Corricku. Sytuacja jest niepewna ze wszystkich stron.

– Tak, wiem o tym. Ale co to ma wspólnego z Lochlanem?

– Nie reprezentuje sektora z pozycji władzy. Zaproszenie do udziału w wyprawie jednego z buntowników zamiast kogoś z klasy uprzywilejowanej będzie postrzegane jako dowód zaufania. Jestem przekonany, że to pomoże nam przekonać zarówno ludzi z Dzikich, jak i bogate sektory, że bierzemy pod uwagę potrzeby wszystkich obywateli.

– Poza tym pozbędziesz się go i nie będzie ryzyka, że pod moją nieobecność zaplanuje kolejne ataki. – Przyglądam mu się uważnie, wysnuwając swoje wnioski.

– To też – odpowiada Harristan z przebiegłym uśmiechem.

Ja się nie uśmiecham.

Nadal ukrywa swój kaszel, a konsulom nie można ufać. Ledwie kilka tygodni temu buntownicy zaatakowali pałac. Nie chcę zostawiać go samego, ale jeśli Ostriaria ma lek, nie powinniśmy zwlekać. Nie możemy.

Jak zwykle jestem rozdarty między dwoma złymi wyborami.

Nagle rozlega się pukanie do drzwi, na co obaj podnosimy wzrok, zaskoczeni. Jest po północy. Zastanawiam się, czy to Quint. To jedyna osoba w pałacu, która śpi mniej ode mnie. I jedyna, która o tej porze może chcieć czegoś od któregoś z nas.

– Wasza królewska mość, strażnik Rocco prosi o audiencję – rozlega się głos innego strażnika.

To jest niespodzianka.

Unoszę ze zdziwienia brwi i spoglądam na Harristana. Przez większość dnia ten mężczyzna stał u jego boku.

– Czy Rocco już dawno nie skończył służby?

– Owszem. – Harristan marszczy brwi. – Niech wejdzie – odpowiada.

Strażnik wchodzi i staje na baczność, jednak nie jest już ubrany w mundur i zbroję. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem go w cywilnym ubraniu, ale nawet w spodniach z cielej skóry i koszuli jego postać jest równie przytłaczająca.

– Wasza królewska mość – mówi, po czym spogląda na mnie. – Wasza wysokość. Przepraszam, że przeszkadzam. Wiem, że pora już późna.

– Nie szkodzi – zapewniam go szybko, bo jestem bardziej zaintrygowany niż zdenerwowany jego wizytą.

Rocco spogląda na mojego brata.

– Miałem przekazać wiadomość przez kapitana straży, ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli porozmawiam z waszą królewską mością osobiście.

– Mów, Eriku.

Mrugam, zaintrygowany.

– Tak masz na imię?

– Tak.

– Chyba nigdy nie słyszałem twojego imienia.

Nie wiem, dlaczego aż tak bardzo mnie to zaintrygowało. Czy chodzi o sposób, w jaki Harristan wypowiedział jego imię, czy fakt, że nigdy o tym nie myślałem. Może jedno i drugie. Ten człowiek uratował mi życie. Czuję, że powinienem być poznać jego imię wcześniej.

Muszę wyglądać na zdumionego, bo strażnik odpowiada mi z ironicznym skinieniem głowy.

– Miło mi poznać waszą wysokość.

Jego ton jest tak beznamiętny, że prawie się uśmiecham. Nie znam zbyt dobrze strażników Harristana, ale Rocco polubiłem od dnia, kiedy zaatakowano pałac. Powinienem go pewnie lubić głównie dlatego, że ocalił mi życie, ale to nie to. Najbardziej lubię go za to, że posłuchał mojego rozkazu i połamał palce Allisandrowi, żeby nie dopuścić do pozbawienia Harristana tronu. Z drugiej strony może to więcej mówi o mnie samym niż o strażniku.

Brat posyła mi karcące spojrzenie.

– Mów, Rocco.

– Rozumiem, że wasza królewska mość będzie wybierał strażników, którzy popłyną do Ostriarii. Kapitan Huxley zakłada, że wasza królewska mość nie będzie wybierał spośród swoich osobistych strażników, ale chciałbym zgłosić się na ochotnika.

– Dlaczego? – pyta Harristan.

– Kapitan Blakemore nie zgadza się, by popłynęli z nim jacykolwiek marynarze z Kandali. – Rocco zerka na mnie. – Uważam jednak, że ryzyko dla najwyższego sędziego królewskiego jest poważne.

– Więc, twoim zdaniem, powinni popłynąć członkowie osobistej straży królewskiej?

– pytam. – Harristan jest obecnie narażony na o wiele większe ryzyko.

– Nie przeczę. Ale uważam, że na pokładzie powinien być marynarz lojalny wobec Kandali. Ktoś doświadczony, kto będzie w stanie śledzić kurs, ocenić sposób prowadzenia statku. – Zawiesza głos. – Kto byłby w stanie doprowadzić statek z powrotem do portu, gdyby coś stało się kapitanowi Blakemore’owi.

– Nie mogę po prostu przebrać marynarza za strażnika – opowiada Harristan.

– Nie, panie, to prawda – przytakuje Rocco – ale... mógłbyś wysłać strażnika, który ma doświadczenie na statku. Wychowałem się w dokach. Mój brat i jego żona nadal żeglują między wybrzeżami Sunkeep i Stalowego Miasta. Pomagałem im ubiegłej wiosny, podczas mojego tygodniowego urlopu.

Interesujące.

Harristan i ja wymieniamy spojrzenia.

– Więc byłbyś marynarzem i szpiegiem? – wtrącam.

– Strażnikiem – odpowiada trochę niegrzecznie. – Zadbaliśmy o bezpieczeństwo waszej wysokości, a gdyby coś stało się kapitanowi Blakemore’owi, byłbym w stanie bezpiecznie doprowadzić statek do portu. – Słowa te zawisają w powietrzu, a Rocco patrzy na Harristana. – Chciałem złożyć tę propozycję, zanim wasza królewska mość ogłosi swoją decyzję, żeby ewentualne późniejsze zmiany nie wydały się podejrzone.

Przyglądam się, jak mój brat analizuje to wszystko w milczeniu z wszystkich możliwych stron, szukając słabych punktów. Nawet jeśli jakiś znalazł, nie jest to warte większej uwagi.

– To dobra sugestia – zauważa. – Dlaczego nie chciałeś rozmawiać o tym z kapitanem straży?

Strażnik się waha.

– Kapitan Huxley nadal nie ustalił, w jaki sposób buntownicy zdołali wdrzeć się do pałacu podczas pierwszego ataku. Widziałem, jak szybko plotki krążące po Sektorze Królewskim dotarły do Riana Blakemore’a i jego załogi. Dość szczególne plotki, wasza wysokość, na temat twój i panny Tessy. Gdyby kapitan Huxley dowiedział się o moich umiejętnościach, obawiam się, że nie pozostałyby tajemnicą zbyt długo.

Teraz dopiero zwrócił moją uwagę.

– Sugerujesz, że kapitan straży stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa?

Rocco spogląda to na mnie, to na mojego brata. Może być członkiem osobistej straży króla, co daje pewne przywileje, ale nie jest oficerem. Fałszywe oskarżenia pod adresem kapitana straży mogą go kosztować stanowisko. Wygląda, jakby właśnie dotarło do niego ryzyko, na jakie się naraża.

– Odpowiedz szczerze – rozkazuje Harristan.

Rocco znowu się waha, ale w końcu potakuje. Uświadamiam sobie, że może nie ufać kapitanowi straży, ale na pewno ufa mojemu bratu.

– Kapitan Huxley znany jest z tego, że za pieniądze przekazuje plotki o królewskiej rodzinie. Jestem pewien, że gdyby ktoś go poprosił, to za kilka sztuk srebra w odpowiednim momencie potrafiłby przymknąć oko na to i owo.

– Czy jacyś inni strażnicy mają takie same umiejętności jak ty?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale jak już mówiłem, wolałem nie podnosić tego tematu publicznie, żeby uniknąć niepotrzebnych pytań.

Harristan kiwa powoli głową.

– Dobrze. Przyjmuję twoją ofertę. Popłynie trzech strażników. Wybierz jeszcze dwóch, którzy twoim zdaniem najlepiej się sprawdzą. Podasz mi ich nazwiska, kiedy będziesz jutro na służbie. Może być każdy, z wyjątkiem Thorina. Nie idź z tym do kapitana. Powiem mu, że sam dokonałem wyboru.

Rocco ze zdziwienia otwiera szeroko oczy.

– Tak, wasza królewska mość.

– Możesz odejść – oświadcza Harristan.

Po wyjściu strażnika zwracam się do brata:

– Kapitan straży zakrztusi się na wieść, że sam podjąłeś decyzję.

– Rocco zasłużył, żeby osobiście wybrać sobie towarzyszy. – Zawiesza głos. – Ufam, że wybierze lojalnych strażników.

Przyglądam mu się uważnie.

– Nie podoba mi się, że nie ufa kapitanowi Huxleyowi. – To sprawia, że nie chcę wyjeżdżać, ale tego nie mówię. – Dlaczego powiedziałaś, że może wybrać każdego z wyjątkiem Thorina? Pewnie wskazałby go jako pierwszego.

– Bo ty wyjeżdżasz.

Po raz pierwszy widzę obawę w jego oczach – tę samą, która już od jakiegoś czasu ściska mój żołądek.

– Ja też potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać, Cory.

Wychodzę z pokoju mojego brata tak późno, że spodziewam się, że Quint już śpi, jednak kiedy docieram do jego komnat, zastaję go nad połowicznie opróżnioną butelką wina i przeczytaną w jednej czwartej książką.

Kiedy przyszedłem, drzwi były lekko uchylone, ale teraz zamykam je za sobą.

Quint wsuwa kawałek papieru do książki, żeby zaznaczyć miejsce, w którym skończył czytać, i odkłada ją na stos innych książek i papierów na biurku. Służba dba o jego pokój tak samo jak o każdy inny w pałacu, więc nie panuje tu jakiś szczególny bałagan, ale to pomieszczenie jest na pewno mocno zagracone, jakby jego mieszkaniac zaczął się interesować kolejną rzeczą, zanim przestał poprzednią.

Biorę kaftan przewieszony przez oparcie krzesła, rzucam go na łóżko i siadam.

Quint nie pyta, czy chcę kieliszek wina – po prostu mi nalewa.

– Już późno – mówi. – Nie spodziewałem się ciebie.

Unoszę brwi.

– Nigdy nie śpię o tej porze.

– Przy kolacji wyglądałeś, jakbyś miał ochotę uciąć kapitanowi Blakemore'owi głowę. Byłem przekonany, że poświęcisz wieczór, żeby Tessa zapomniała, że ten statek kiedykolwiek wpłynął do portu.

Marszczę brwi i biorę łyk trunku.

Pewnie powinienem, ale bałem się, że każda małostkowa i zazdrosna myśl, jaka zrodzi się w mojej głowie, znajdzie ujście. Zresztą Tessa i tak pewnie już śpi. Najprawdopodobniej. Chciałbym móc przestać myśleć o tej chwili w powozie, kiedy się bała – po części bała się mnie. Wszystko jest zbyt skomplikowane.

Przeganiam te myśli i skupiam na pilniejszych sprawach.

– Omawiałem z Harristanem propozycję Blakemore'a – mówię.

– Masz zamiar popłynąć?

– Tak

Unosi brwi. Może nie spodziewał się tak zdecydowanej odpowiedzi i decyzji podjętej w tak szybkim tempie.

– Tessa miał rację – wzdycham. – I choć zupełnie mi się to nie podoba, kapitan wydaje się szczerzy. Jeśli chcą dostarczać nam lek w zamian za stal, mamy obowiązek zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby zapewnić zdrowie naszym ludziom – zauważam, a potem mówię mu o pomysłe Harristana, żeby Lochlan popłynął z nami, i o propozycji Rocco.

– Nie podoba mi się ta niepewność wśród strażników pałacowych – mówi Quint. – Zwłaszcza teraz.

– Zgadza się.

Przypomina mi się dzień, kiedy Tessa zakradła się do pałacu. Poszła za jakimiś dziewczynami prosto do wejścia dla służby i choć strażnik, który do tego dopuścił, został zwolniony, pierwszy raz patrzę na to zdarzenie z innej perspektywy.

Może strażnik był przygotowany albo przekupiony, żeby wpuścić buntownika do pałacu? Ale Tessa zrobiła to pod wpływem impulsu. Nie była zamachowcem.

Czy tamtego dnia ktoś jeszcze mógł dostać się do pałacu? Minęło już zbyt wiele czasu. Nie sposób się tego dowiedzieć.

Wzdycham.

– Jakakolwiek niepewność wśród strażników stanowi zagrożenie dla Harristana. Zastanawiam się, czy są także inni mający wątpliwości dotyczące kapitana Huxleya. –

Zawieszam głos, rozmyślając nad tym. – Zastanawiam się, czy on jest jedyny.

Quint sięga po jedną ze swoich małych teczek i coś w niej notuje.

– Wielu strażników zadaje się z dziewczynami z kuchni. Znajdę sobie jakąś wymówkę, żeby się tam pokręcić, i spróbuję się czegoś dowiedzieć. – Odkłada pióro i spogląda na mnie. – Nie jesteś już tak surowy jak kiedyś. Zastanawiam się, czy to nie ośmieliło niektórych wrogów tronu.

Odpowiadam niezobowiązującym chrząknięciem.

Chciałbym się z nim nie zgodzić, ale zaledwie dziś po południu, w cukierni, wyskoczył na mnie mężczyzna z nożem. Czuję ucisk w piersi z niezdecydowania. Nienawidziłem być Krwawym Corrickiem, ale nienawidzę też myśli, że niebycie nim przysporzy jeszcze więcej problemów. Zwłaszcza teraz, kiedy mam wyjechać.

Tessa zapytała mnie kiedyś, dlaczego nie mogę po prostu porzucić swojej roli i pozostać w Dzikim jako Weston Lark, skoro tak bardzo nienawidzę pałacowego życia.

„Nie mógłbym zostawić brata”, tak jej odpowiedziałem. A teraz dokładnie to robię.

Kilka tygodni temu buntownicy wdarli się do pałacu. Ledwo uszliśmy z życiem. Czy Harristan zdoła ujść z życiem, jeżeli będzie tutaj sam? Może Lochlan będzie ze mną, ale to nie znaczy, że nie zostaną tu setki innych, którzy mogą podłożyć bombę.

Chciałbym pójść do Tessy, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek boję się przyznać do słabości, jakby wypowiedzenie na głos własnych obaw miało sprawić, że się ziszczą.

Oddałbym wszystko, żeby móc założyć maskę, przejść po linie przez mur i znaleźć dziewczynę w chacie, tak jak kiedyś. Teraz wszystko jest tak samo niebezpieczne, tylko dziesięć razy bardziej skomplikowane.

Zresztą Weston Lark nie żyje.

Marszczę czoło i przeciągam ręką po włosach.

– Corrick?

Cichy głos Quinta wyrywa mnie z zamyślenia. Uświadamiam sobie, że to już drugi raz tego wieczoru.

– Co?

– Uwielbiam być świadkiem twoich milczących rozterek, chciałbym ci jednak przypomnieć, że jest już dość późno.

Ma rację, zachowuję się niegrzecznie. Wzdycham, opróżniam kieliszek i wstaję, jednak nagle się zatrzymuję.

Quint nie spał. Czytał, a drzwi do jego pokoju były uchylone. Na stole czekał pusty kieliszek.

– Nigdy nie przeganiaasz mnie ze swojej komnaty – zastanawiam się głośno.

– Trudno to nazwać przeganianiem.

– Quint – udaję, że zaskoczenie zapiera mi dech – czy ty na kogoś czekasz?

Rzuca mi wymowne spojrzenie.

– Nie wmawiaj dramatów innym, kiedy twój własny jest zbyt trudny do udźwignięcia.

Pewnie ma rację, ale teraz znalazłem nitkę, za którą mogę pociągnąć i chcę zobaczyć, dokąd prowadzi.

– Kto to? – pytam.

– Nikt. Naprawdę.

Każdy w tym pałacu by się na to nabrał, nawet mój brat, ale ja znam Quinta za dobrze.

Pochylam się nad nim i rzucam oskarżycielsko:

– Kłamiesz.

– Masz dużo poważniejsze kłopoty na głowie... – Wzdycha.

– Proszę, powiedz mi, że czekasz na kapitana Blakemore'a, bo to rozwiązałoby większość moich problemów.

– Szczerze wątpię.

– Jako twój przyjaciel – dodaję porozumiewawczo – czuję się w obowiązku uprzedzić cię, że nie sprawiał wrażenia zainteresowanego...

– Corrick.

Milknę.

– Naprawdę – obrzuca mnie karcącym spojrzeniem – to nie kapitan Blakemore i nic choćby w części tak sprośnego jak to, co chodzi ci po głowie. Nic więcej już dzisiaj ze mnie nie wyciągniesz.

– W porządku. – Uśmiecham się i przez moment jestem wdzięczny, że na chwilę zdołał odciągnąć moje myśli od spraw, które wydają się nie do załatwienia. – Miłej wizyty.

Mówię „wizyty”, jakbym miał na myśli coś zupełnie innego, ale Quint nie chwyta przynęty. Podnosi książkę, którą czytał, kiedy wszedłem.

– Miłego wieczoru, wasza wysokość.

– Tak, oczywiście, marszałku Quint. – Uśmiecham się złośliwie. – Zostawię drzwi otwarte, gdy będę wychodził.

Gdy już jestem w progu, waham się. Chwila to jednak za mało, żeby zagłuszyć wszystkie moje obawy.

Quint podnosi na mnie wzrok. Zna mnie tak samo dobrze, jak ja znam jego. W jego głosie nie ma już cienia przekory, gdy mówi:

– Naprawdę cię nie przeganiałem. Siadaj, jeśli chcesz. Może partyjka szachów?

Zastanawiam się nad tym przez chwilę, ale najwyraźniej czekał na kogoś, więc kręcę głową.

– Masz rację, powinienem się już położyć. – Ale nadal nie ruszam się z miejsca, a Quint czeka. – Nigdy nie musiał robić tego sam – mówię cicho.

Wpatruje się we mnie.

– Ty też nie.

Ta myśl jest irytująca. Ale... oczywiście ma rację. Myślałem o ryzyku, na jakie naraża się Harristan, ale nie pomyślałem o tym, że rozdzielimy się po raz pierwszy od śmierci naszych rodziców. Nie pomyślałem, że wsiądę na statek, żeby popłynąć negocjować ceny stali z królem, którego nigdy nie spotkałem, w królestwie, o którym prawie nic nie wiem.

Muszę przegnać te myśli z głowy, bo inaczej gotów jestem pójść prosto do Harristana i powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie.

Spoglądam na mojego przyjaciela, jednego z niewielu ludzi w pałacu, którym naprawdę ufam.

– Dbaj o niego, Quint.

Odpowiada skinieniem głowy

– Masz moje słowo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wyjęty spod prawa

Jest późno i czuję się zmęczony. Z trudem podążam pustymi ścieżkami Dzicy.

Niebo jest czarne jak atrament, a chmury przesłaniają gwiazdy. Las jest ciemny i pełen złowieszczych cieni, powietrze wypełnia mżawka. Ledwo widoczny księżyc wygląda jak wspomnienie.

Dzisiaj zostawiam monety z większą beztroską niż zwykle. Garść tu, mała kupka tam. Nie szukam wiadomości, nie dotykam czekających na mnie prezentów. Po prostu chcę zrobić, co mogę, zanim ktoś zdąży odczuć moją nieobecność.

Wkładam rękę do kieszeni, żeby wyciągnąć garść monet, i ruszam, żeby zostawić je na pieńku, koło siekiery, przy piątym domu.

– Nie bądź na mnie zły, Lisie. – Ciszę nocy rozcina delikatny głos.

Serce mi podskakuje i zatrzymuje się na chwilę, jednak część mnie wcale nie jest zaskoczona.

Wzdycham i się odwracam.

– Dałaś słowo, Violet.

– Wiem, wiem. – Wyłania się z cienia, drżąca, w nocnej koszuli. W jej oczach widzę dzikość i prostolinijność. – Pomyślałam, że może to wszystko mi się tylko przyśniło. No wiesz, że może to sobie wymyśliłam. Musiałam się upewnić, że to było naprawdę.

– Jestem prawdziwy. – Patrzę na jej białe stopy zanurzone w trawie. Opatrunek nadal jest na swoim miejscu, ale nie ten, który ja jej zakładałem.

– Jak stopa?

– Dobrze – odpowiada szeptem. W jej głosie słychać radość, jakby poczuła ulgę, że nie jestem na nią zły. – Powiedziałam mamie, że zraniłam się w stajni.

Potakuję głową i kładę monety na pieńku obok siekiery. Potem odwracam się, żeby odejść.

Violet biegnie przez wysoką trawę, żeby iść obok mnie.

Wzdycham i podążam przed siebie. Może jeśli nie będę się odzywał, to jej się znudzi i wróci do domu.

Niestety, nie mam tyle szczęścia.

– Dokąd pójdziesz teraz? – pyta.

– Tam, skąd przyszedłem, jeśli będziesz za mną iść.

– Moja kuzynka uważa, że nie jesteś z Dzikicy. Masz zbyt wiele monet. To dlatego nosisz maskę, prawda? Dlaczego wybrałaś czerwoną? Jesteś...

– Violet. – Odwracam się do niej.

Wpatruje się we mnie niewinnie, szeroko otwartymi oczami.

– Co?

– Wracaj do domu.

– Chcę ci pomóc.

– Nie możesz – spoglądam na jej stopy – a już na pewno nie boso. W końcu wbijesz sobie coś gorszego niż grot od strzały.

– Zawsze chodzę boso. W swoich starych butach aż wychodziłam dziurę. Mama mówi, że na nową parę uezbiera najwcześniej przed zimą.

Aha.

Mimo tego, co robię, czasem zapominam, jak trudno jest niektórym z tych ludzi.

Sięgam do kieszeni po jeszcze kilka miedziaków.

– Proszę – mówię szorstko. – To powinno wystarczyć na buty, które przetrwają do tego czasu.

– Och! – Bierze monety i chowa do kieszeni koszuli nocnej. – Dziękuję, Lisie. Ale oddam je Toby’emu. Mieszka obok. Jego tata złamał rękę i nie może pracować w młynie. Mama piecze dla nich chleb. – Dziewczynka ścisza głos. – Mama Toby’ego zmarła ubiegłej zimy.

Nie wiem, co powiedzieć. Chcę dać jej następną garść monet, ale jakaś część mnie zastanawia się, czy tych także nie oddałaby sąsiadowi.

Dziewczyna zerka na ścieżkę i marszczy brwi.

– Nie masz więcej monet?

– Mam. – Odwracam się i znów ruszam przed siebie.

Idzie obok mnie.

– Może ludzie nas zobaczą i pomyślą, że jesteśmy Wesem i Tessą?

Brzmi jak idealny scenariusz.

– Cała rzecz w tym, żeby nikt mnie nie zobaczył – odpowiadam.

– Ja cię zobaczyłam.

– I bardzo tego żałuję, możesz mi wie...

Na ścieżce gdzieś przed nami rozlega się krzyk.

Przeklinam i daję nura w krzaki, ciągnąc ze sobą Violet, która piszczy, przestraszona niespodziewaną gwałtownością tego zdarzenia. Zakrywam jej usta ręką.

– Cicho – szepczę jej gniewnie do ucha szorstkim głosem.

Szybko kiwa głową. Oddech ma przyspieszony i próbuje wyrwać się z mojego uchwytu, żeby zobaczyć, co się dzieje na ścieżce.

Kroki zdecydowanie zbliżają się w naszą stronę.

- Nie wiem, po co mamy przejść całą tę drogę. Nie znoszę tego – syczy mężczyzna.
- Spotkanie buntowników ma być dopiero pod koniec tygodnia.

Spotkanie buntowników. Zastygam w bezruchu.

– Wiem – mruczy drugi. – Ale widziałem monety na schodku. Ten złodziej gdzieś tu się dzisiaj kręci.

Oburzam się na te słowa. Nie jestem złodziejem. Violet wyciąga głowę, żeby na mnie spojrzeć. Serce wali mi w piersi, wzywa do działania.

Spoglądam po sobie. Moje ubranie jest w odcieniach czerni i brązu, niemal niewidzialne w bladym świetle księżyca, ale koszula nocna Violet jest jasna i może nas zdradzić w ciemności.

– Zdejmij maskę – szepcze pod moją dłoń, która zakrywa jej usta.

Spoglądam na nią.

– Co?

– Zdejmij maskę. Powiedz, że niesiesz swoją chorą siostrę do lekarza.

– Że co?

Patrzy na mnie, jakbym to ja gadał od rzeczy. Następnie zwiesza się teatralnie na moim ramieniu, z głową opadającą w tył i na wpół otwartymi oczami. Staje się bezwładna tak szybko, że ledwo udaje mi się ją złapać, nim upadnie na ziemię.

A niech mnie.

– Tam! – woła jeden z mężczyzn. Przeklinam w duchu. – Co to?

Zastygam w bezruchu. Nie mogę zdjąć maski. Nie mogę.

A może jednak...? Jest środek nocy, księżyc prawie nie ma. Nie potrafię wymenić choćby jednego nazwiska żołnierza z nocnego patrolu i rzadko bywam w Dzicy. Istnieje niewielka szansa, że ktokolwiek rozpozna mnie tu o tej porze. Ale jakaś jest.

– Pośpiesz się, Lisie. – syczy Violet.

Zrywam maskę z twarzy, poprawiam włosy, chowam czerwony kawałek aksamitu do torby. Stoję, przyciągając dziewczynę do siebie i próbując niezdarnie wziąć ją na ręce.

A ona w ogóle mi nie pomaga. Byłbym pod wrażeniem jej talentu aktorskiego, gdybym się tak nie denerwował.

– Kto tam jest?! – krzyczy drugi mężczyzna.

Słyszę szcęk ładowanej kuszy.

To się może źle skończyć.

Powoli nabieram powietrza, żeby pozbyć się napięcia z głosu.

– Czy to nocny patrol?! – wołam. – Muszę zanieść siostrę do lekarza. – Chciałem, żeby mój głos zabrzmiał płaczliwie, ale nie potrafię grać na zawołanie, więc prawdopodobnie słycać w nim raczej zdenerwowanie. – Jest nieprzytomna.

Jakimś cudem Violet staje się jeszcze bardziej bezwładna, prawie ją upuszczam. Chwytam ją mocniej. Jest szczuplejsza, niż mi się zdawało.

Widząc wycelowane we mnie dwie kusze, nie jestem w stanie zebrać myśli. Wyobrażałem sobie taką sytuację wiele razy, ale wyobraźnia nie przygotowała mnie na ukłucie strachu przeszywające pierś. Oddycham z trudem. Przez chwilę mam mętlik w głowie, bo to, że mnie nie rozpoznają, jest tak samo oczywiste jak to, że pociągną za spust bez zastanowienia. Jestem sam, jest ciemno, wokół żywego ducha. Nikogo to nie obejdzie. Nikt nawet nie zauważy. Mogę tu leżeć przez wiele godzin.

– Proszę – mówię. Muszę odkrztusić, bo mój oddech stał się chrapliwy. – Moja... Moja siostra.

Violet wydaje z siebie zboląły jęk.

Jeden z mężczyzn opuszcza kuszę i pochyla się do mnie.

– Co jej jest?

Brakło jej rozumu, żeby posłuchać, kiedy zamaskowany wyjęty spod prawa kazał jej wracać do domu.

– Nie wiem – odpowiadam. – Znalazłem ją w takim stanie. – Zawieszam na chwilę głos. – Proszę pana – dodaję.

Violet zaczyna wydawać na moich rękach dźwięki, jakby zbierało się jej na wymioty. Jest tak przekonująca, że prawie sam się nabieram.

Mężczyzna odskakuje.

Wyciągam ręce, na których trzymam Violet, w stronę drugiego mężczyzny z kuszą.

– Cały czas wymiotuje, proszę pana. Pomoże mi pan ją nieść?

Ten też cofa się o krok.

– O nie, Will. – Z jękiem kładzie rękę na brzuchu. – Teraz będzie z drugiej strony.

Jeśli jakimś cudem uda jej się to zrobić, upuszczę ją.

Pierwszy z mężczyzn chwyta drugiego za ramię i odciąga go w tył jeszcze krok.

– Więc zabierz ją do lekarza – rzuca. – I pospiesz się. Nie wolno kręcić się po północy.

– Tak – odpowiadam, kiwając gwałtownie głową jak głupek. – Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

Spogląda na Violet i wykrzywia usta, kiedy znowu rozlega się jęk. Później odwraca się i odchodzi w ciemność.

Idę dalej, trzymając się głównej drogi. Violet zwisa bezwładnie w moich ramionach i tylko jęczy płaczliwie.

W końcu znikają nam z oczu, a ja ledwo dyszę od tak długiego dźwigania jej ciężaru. Jest szczupła, ale zdecydowanie nie mała. Kiedy wydaje z siebie kolejny jęk, odzywam się wreszcie:

– Już wystarczy. Poszli sobie.

Zeskakuje z moich rąk i uśmiecha się szeroko.

– Byłam naprawdę dobra, co?

– Wystarczająco dobra – przyznaję. Wkładam rękę do torby w poszukiwaniu maski.

– Ocaliłam ci życie, Lisie!

Posyłam jej wymowne spojrzenie.

– Naraziłaś moje życie, idąc za mną.

Patrzy na mnie gniewnie, ale ignoruję ją i dalej rozwiązuję supeł, żeby móc znowu założyć materiał na twarz. Kiedy to robię, uświadamiam sobie, że Violet mi się przygląda.

Może nie jest aż tak ciemno, jak myślałem.

Zaciskam zęby i odwracam się, patrząc w stronę lasu. Wiele już dziś w nocy ryzykowałem. Za dużo ryzyka jak na tak krótki czas.

– Zapomnij, co widziałaś.

– Nie chcę – protestuje rozmarzonym głosem. – Jesteś przystojniejszy, niż sobie wyobrażałam.

Te słowa są tak niespodziewane, że wywołują uśmiech. Ledwo przestała być dzieckiem, ale nie chcę ranić jej uczuć, więc odpowiadam uprzejmie:

– Jestem zaszczyczony, ale moje serce należy do innej, Violet.

– Naprawdę? – wzdycha. – To coś poważnego?

Teraz już nie jestem w stanie powstrzymać śmiechu.

– Raczej tak.

Zawiązuję maskę i odwracam się z powrotem do niej.

– Kim jest Will?

– To mój kuzyn. – Zawiesza głos. – A ty jak się nazywasz?

– Może być Lis. – Patrzę na ścieżkę, a później w niebo. – Nie wiesz czasem, o jakim spotkaniu buntowników mówili?

Najpierw kręci głową, ale po chwili potakuje.

– Mama mówi, że Benefaktorzy mają nowego lidera, ale to nie jest żaden z konsulów.

Interesujące.

– Wiesz, gdzie ma się odbyć to spotkanie?

– Nie. Ale zwykle zbierają się na błoniach. Wiesz, gdzie to jest?

Wiem, ale kręcę głową.

– Nieważne. Dasz radę sama bezpiecznie wrócić do domu?

Potakuje. Wyciągam jeszcze jedną garść monet z kieszeni i podaję jej.

– Tym razem to na twoje buty.

Bierze gwałtowny wdech, ale zwięzam powieki, na co ona zgadza się w milczeniu na moje warunki.

– Dobrze, Lisie – wzdycha.

Kiedy bierze monety, przyglądam się jej w ciemności.

– Przez jakiś czas może mnie nie być.

Otwiera szeroko oczy.

– Co? Dlaczego? To przeze mnie? Czy ja...

– Nie. Nie przez ciebie. – Zawieszam głos. Już widziała moją twarz. Mam nadzieję, że nie będę tego żałował. Nie mogę dopuścić, by dowiedziała się czegoś więcej na mój temat. – Wrócę, gdy tylko będę mógł, ale na razie mam obowiązki, które... przez które nie będę mógł przychodzić przez jakiś czas. Pewnie kilka tygodni.

Pewnie nigdy. Ale tego głośno nie mówię.

Otwiera usta.

– Ale... Ale my cię potrzebujemy.

Przeszywa mnie dreszcz.

Spoglądam w kierunku Sektora Królewskiego.

Ale inni teraz potrzebują mnie bardziej.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tessa

Zawsze mnie zaskakuje, jak szybko można załatwić wiele rzeczy, jeśli tylko ma się pieniądze. Kiedy pracowałam dla pani Solomon, pamiętam, jak raz musiała czekać cztery tygodnie na wysłanie kremów do klienta w Sunkeep, bo ten nie chciał płacić dostawcy za dodatkowy kurs. Byłam pewna, że kremy zjełczeją od czekania w letnim upale, ale pani Solomon i tak je wysłała, twierdząc, że to nie jej wina, że klient nie chce dopłacić za szybszą dostawę.

Jednak w Sektorze Królewskim ma się wrażenie, że wystarczy tylko podjąć decyzję i w ciągu kilku godzin można dostać to, czego się chce. W przypadku króla to może być nawet kwestia minut. Po tym, jak go poznałam, nie uważam Harristana za człowieka niepoważnego, jednak czasem miewa nieprzemyślane życzenia, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z ilości czasu i wysiłku potrzebnych, by je spełnić. Prosi o herbatę i dostaje ją szybciej, niż może zagotować się woda. Zarządzi sprawdzenie wszystkich transportów stali w całej Kandali w ostatnich pięćdziesięciu latach i w ciągu godziny na jego biurku ląduje stos papierów do przejrzania.

Król zgodził się na misję do Ostriarii i cała wyprawa została przygotowana w ciągu kilku dni. Moje kufry spakowano, zanim do mnie dotarło, że wyjeżdżam. Nie znam wielu szczegółów, bo Harristan i Corrick byli zajęci przez większość tygodnia, ale to jasne, że mam płynąć. Serce bije mi nierówno ze zdenerwowania.

Jest zmierzch trzeciego dnia od przyplłynięcia statku. Od kolacji z kapitanem Blakemorem prawie nie widuję Corricka. Napięcie, jakie emanowało od niego przy stole, było ogromne. Jego niechęć do kapitana jest oczywista, ale trudno nie skorzystać z szansy na dostawę płatków Księżycowego Kwiatu, kiedy ludzie nie przestają umierać, a buntownicy wciąż wzywają do rewolucji. Corrick jest zajęty planowaniem wyprawy z królem, a przez to ja mam nadmiar czasu na leżenie na łóżku, gapienie się w sufit i odtwarzanie w głowie w kółko tych samych rozmów. Nie potrafię zapomnieć tonu Riana, gdy mówił: „Musicie zmuszać swoje sektory, by dostarczały lek?”.

Kapitan jest tak pryncypialny, a jego ludzie tak mu oddani.

Lud Kandali boi się księcia Corricka. Przez krótką chwilę w cukierni ja też się go bałam. Ciekawe, co to mówi o jego charakterze.

I o moim.

Często zastanawiam się, co moi rodzice powiedzieliby na temat tego, gdzie się teraz znajduję. Wiem, że popierali mnie, kiedy kradłam lek, żeby rozprowadzać go w Dżicy – w końcu oni to zaczęli. Ale ostatecznie skończyłam w pałacu, pracując dla księcia, i zastanawiam się, czy w ogóle komukolwiek teraz pomagam.

Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierzają moje myśli. Zawsze wydają się podążać w obszary, których nie chcę poznać.

Jednak mam wrażenie, że rodzice byliby dumni z tego, co robię. Popłynę do Ostriarii, żeby pomóc negocjować dostawy leku.

Kiedyś, gdy kryliśmy się w cieniu, powiedziałam Corrickowi, że powinniśmy zacząć rewolucję, a później pomogłam królowi ją powstrzymać. Jednak od tamtego czasu tkwię w dusznych komnatach, pracując z pałacowymi medykami lub starając się negocjować z Lochlanem. Wszystko dzieje się tak... wolno. I tak mało skutecznie. Tak bardzo tęsknię za nocnymi wyprawami z Wesem, że czasem budzę się w środku nocy, przerażona, że spóźnię się na spotkanie w chacie. A wtedy sobie przypominam, że jestem w pałacu, a Wes nie istnieje.

Rozlega się pukanie do drzwi, a moje serce podskakuje.

Może wreszcie znalazł dla mnie chwilę.

Moja przyszłość, jak zawsze, wydaje się taka niepewna. Muszę spojrzeć w niebieskie oczy Corricka i usłyszeć ciepło w jego głosie. Muszę wymazać z pamięci wspomnienie mężczyzny leżącego na podłodze cukierni, widok sztyletu księcia przyciśnięty do jego gardła. Muszę przypomnieć sobie, dlaczego robimy to razem, dlaczego mu ufam.

Wtedy rozlega się głos strażnika:

– Jego królewska mość, król Harristan.

CO?

Muszę zakryć usta ręką, żeby nie wypowiedzieć tego słowa na głos. Król nigdy nie odwiedza mnie osobiście. Jeśli chce mnie widzieć, wzywa mnie do siebie.

– Proszę... Proszę wejść! – wołam, krztusząc się.

Ledwo zdążam wstać, a drzwi otwierają się na oścież i wchodzi król.

– Wasza królewska mość – szepczę, dygając.

Drzwi zatrząskują się za nim, a ja nie potrafię przestać się gapić. Nasze relacje zawsze były trochę dziwne i choć razem przemierzaliśmy Dżicę oraz staliśmy ramie w ramie naprzeciw buntowników, czasem, gdy jest tu w pałacu, gdy jest... królem, zapominam o tym. Jest bratem Corricka, ale też najbardziej onieśmielającym człowiekiem, jakiego znam. Chyba nie byłam z Harristanem sam na sam od... Nigdy nie byłam z nim sam na sam.

Mężczyzna tego nie zauważa albo go to nie obchodzi, bo od razu przechodzi do rzeczy.

– Zmienił się kierunek wiatru – informuje bez zbędnych wstępów. – Kapitan Blakemore obawia się, że może zbierać się na sztorm, a o tej porze roku może on trwać wiele dni. Moi doradcy to potwierdzają. – Zawiesza głos. – Zamiast czekać, jak rozwinie się sytuacja, wypłyniecie jeszcze dziś wieczorem.

Wpatruję się w niego, zaskoczona. *Dziś wieczorem.* Żałuję, że nie potrafię odczytać nic więcej z jego głosu. Splatam palce dłoni.

– Tak, wasza królewska mość.

– Chcę, żebyś dopilnowała, by każdy z Kandali otrzymywał codziennie odpowiednią dawkę eliksiru. Quint właśnie dostarcza twoje rzeczy na pokład, razem z zapasem Księżycowego Kwiatu z pałacowych magazynów. – Przerywa na chwilę, a ton jego głosu się zmienia. – Tobie powierzam to zadanie, Tesso.

Biorę głęboki wdech.

– Tak, oczywiście – odpowiadam za skinieniem głowy.

– Mamy nadzieję, że kapitan Blakemore ma dostęp do leku, który jest równie skuteczny, ale już kiedyś nas oszukano.

– Rozumiem.

– Wszystkie składniki pozostaną zamknięte na klucz w twoim pokoju. Nie pozwolisz nikomu przygotowywać leku. Czy to jasne?

Tak. Teraz słyszę to w jego głosie. Strach.

Szybko potakuję głową.

– Tak. Rozumiem.

– Będziecie mieli zapas leku na cztery tygodnie. Popłyniesz ty, oczywiście książę i Lochlan Cresswell.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– Wysyłasz Lochlana?

– Tak. Skoro wysyłamy z Kandali misję, która ma znaleźć lepsze źródło Księżycowego Kwiatu, uznałem, że dobrze będzie, jeśli w jej skład wejdą przedstawiciele całego mojego ludu.

Rany. Nie wiem, co powiedzieć. Gapię się na niego, jakby właśnie mi powiedział, że niebo jest zielone.

– Uważasz, że to zła decyzja? – pyta.

– Nie. Jestem tylko... zaskoczona.

– Mam nadzieję, że w ten sposób uda nam się zyskać zaufanie buntowników. Popłynie z wami trzech strażników. Rocco i Kilbourne z mojej osobistej straży i Silas ze straży pałacowej. Gdybyś miała jakieś obawy co do leku, kapitana, czegokolwiek, to zgłaszaj je bezpośrednio Corrickowi albo Rocco. Nikomu innemu. Nawet pozostałym strażnikom. Rozumiesz?

Przyglądam mu się uważnie, żeby zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Wyraźnie nie mówi mi wszystkiego.

Ponieważ milczy, przełykam i potakuję głową.

– Tak, wasza królewska mość.

Teraz to Harristan przygląda się mnie. Jego uważność jest onieśmielająca. Czasem w jego obecności mam ochotę jednocześnie krzyknąć, żeby zaczął działać, i go przytulić, a ponieważ jest królem, nie mogę zrobić żadnej z tych rzeczy.

Harristan odrobinę ścisza głos, żeby na pewno nikt za drzwiami nie mógł go usłyszeć.

– Przeglądając dokumenty i dzienniki okrętowe, udało nam się potwierdzić część historii kapitana Blakemore'a – oznajmia. – Mimo to ta wyprawa jest obarczona ryzykiem, Tesso. Kapitan Blakemore może wydaje się bardzo szczerzy w swoim pragnieniu, by pomóc zarówno Ostriarii, jak i Kandali, ale to nadal może być podstęp, którego celem jest rozdzielenie mnie i mojego brata, a skutki tego są nie do przewidzenia.

Wysłanie w tę podróż Corricka to wielkie ryzyko, ale wiem, dlaczego Harristan nie wysłałby nikogo innego.

Nikommu innemu nie ufa.

Król zawsze zachowuje stoicki spokój, nawet w chwilach, które powinny go w jakiś sposób dotykać. Pamiętam, jak Corrick mówił w powozie, dlaczego Harristan nigdy nie ma żadnego towarzystwa. To smutne. Jeśli ktokolwiek potrzebuje odrobiny delikatności, to właśnie król. Często myślę o braciach i zastanawiam się, czy nie rządząliby zupełnie inaczej, gdyby po zamachu na ich rodziców konsulowie odnaleźli w sobie cierpliwość, by okazać im odrobinę życzliwości, zamiast walczyć o tron i wpływy.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę – mówi król – i chciałbym, żeby to zostało między nami. – Zawiesza głos. – Tylko między nami. Nawet Corrick nie może o tym wiedzieć.

Waham się.

– Czy mogłabym zapytać, o co chodzi, zanim się zgodzę?

– Chciałbym, żebyś przygotowała dla mnie zapas eliksiru na miesiąc. Tylko dla mnie.

Marszczę czoło.

– Nie ufasz swoim lekarzom? – pytam cicho.

– Obawiam się, że brak lojalności w pałacu sięga o wiele głębiej, niż nam się wydawało. Ufam bardzo niewielu osobom, Tesso. Troje z nich dziś wsiądzie na statek.

Teraz rozumiem, dlaczego Harristan chce to zachować w tajemnicy – gdyby Corrick wiedział, jak bardzo jego brat się martwi, nie popłynąłby.

Marszczę brwi.

– Nie mogę przygotować zapasu leku na miesiąc. Straci swoje właściwości. – Widzę, że spojrzenie króla wypełniają burzowe chmury, więc szybko dodaję: – Wasza królewska mość mówił kiedyś, że spędzał wiele czasu z pałacowymi medykami. Gdybym wszystko przygotowała, wasza królewska mość mógłby sam przyrządzać eliksir każdego dnia, prawda?

Przygląda mi się uważnie. Na ułamek sekundy na jego twarzy pojawia się niepewność i strach.

– To nic trudnego – zapewniam. – Mogę przygotować fiołki z prawie gotową miksturą. Wystarczy zetrzeć płatki Księżycowego Kwiatu i dodać proszek. Porcje płatków także mogę zostawić już odmierzone. Czy wasza królewska mość będzie miał gdzie ukryć to wszystko?

– Tak, przyślę Quinta, żeby zabrał to, co przygotujesz.

Quint. Jestem pewna, że Corrick będzie tęsknił za przyjacielem, ale cieszę się, że marszałek dworu zostaje, żeby dbać o Harristana. Potakuję żwawo głową.

– Już się za to zabieram. Wszystko dokładnie opiszę.

Harristan przytakuje i robi krok w tył. Przez jego twarz znów przebiegają takie strach i niepewność, że z trudem powstrzymuję się przed ściśnięciem jego ręki. Jednak w ułamku sekundy wszystko znika i znów jest nieprzystępnym królem.

– Żegnaj, Tesso – mówi.

Znowu dygam.

– Żegnaj – odpowiadam bardziej emocjonalnie, niż powinnam – wasza królewska mość.

Bez słowa otwiera drzwi i znika w holu.

Całe życie mieszkałam w Artis, więc znam doki po obu stronach Rzeki Królowej. Moi rodzice podróżowali promem raz w tygodniu na drugi brzeg, żeby pomóc także tamtejszym robotnikom. Pamiętam, jak przyglądałam się dużym statkom, które przewoziły bogaczy w górę i w dół rzeki, albo statkom towarowym, wypełnionym skrzyniami z towarami z całej Kandali. Bandery i żagle zawsze powiewają na wietrze, robotnicy wykrzykują polecenia we wszystkich kierunkach. Dziesiątki sklepów ciągną się wzdłuż ulic przy nabrzeżu. Jest to miejsce tętniące życiem, zwłaszcza latem.

W pobliżu rzeki ludzie zawsze chorowali więcej i ciężiej niż gdziekolwiek indziej, ale nigdy nie udało mi się ustalić, czy to kwestia stłoczenia wielu osób na małych

przestrzeniach, czy raczej stałe narażenie na kontakt z innymi chorobami, a co za tym idzie – większa podatność na gorączkę. Mój ojciec uważał, że prędzej czy później każdy w dokach zachoruje.

Kiedy mój powóz dojeżdża na miejsce, jest już późno, ale po ulicach kręci się więcej ludzi, niż się spodziewałam. Wzdłuż zatłoczonych chodników stoją lampy olejowe, są też pojedyncze latarnie elektryczne, oświetlające nabrzeże w miejscu, gdzie cumują najbogatsze statki.

Kiedy wysiadam z powozu, natychmiast dostrzegam nasz frachtowiec. Trudno go nie zauważyć ze względu na pełny kontyngent królewskiej straży stojący przy trapie, czekający na przybycie najwyższego sędziego królewskiego. Harristan żegna się ze swoim bratem w pałacu – to coś w rodzaju krótkiej publicznej ceremonii, ale mnie wysłano wcześniej, żebym dopilnowała, że lek trafi tam, gdzie powinien. Nie przeszkadza mi to, bo mam szansę rozejrzeć się po statku bez straży i całego zamieszania, które przyniesie ze sobą księżę Corrick.

Niebo zasnuły ciężkie chmury. Potężne żagle – szare w bladym świetle księżyca – łopoczą na wietrze. Nazwa „Ścigacz Świtu” wymalowana jest białymi wywijasami na kadłubie. Nie jest tak wielki jak inne statki, ale znacznie większy, niż spodziewałam się po tym, jak kapitan Blakemore odmówił zabrania na pokład więcej niż sześciu osób.

Z drugiej strony kapitan najwyraźniej też ma swoje obawy, dlatego nie chciał żadnych naszych marynarzy czy nawigatorów na pokładzie. Ta podróż wymaga zaufania po obu stronach.

Zamierzam czekać w powozie, ale Rocco i Kilbourne już znajdują się przy pozostałych strażnikach, stają na baczność i czekają. Ubrani są w pałacowe liberie, z niebiesko-fioletowymi przeszyciami, uzbrojeni, ale w przeciwieństwie do reszty straży nie mają zbroi.

Myślę o tym, że król kazał mi zgłaszać wszelkie obawy tylko do Rocco. Do pewnego stopnia musi jednak ufać innym strażnikom, skoro wysyła ich na tę wyprawę. Ale to ostrzeżenie mnie zastanawia.

Kiedy podchodzę, Rocco zerka na mnie i wita się skinieniem głowy.

– Panno Tesso.

– Rocco – odpowiadam. – Bardzo się cieszę, że płyniesz z nami.

Naprawdę tak myślę. Większość pałacowych strażników traktuje mnie bardzo oficjalnie, ale Rocco zawsze był miły i nieco bardziej otwarty. On i Thorin ocalili nam życie, kiedy zaatakowano pałac, i to stworzyło między nami wszystkimi pewną więź, która wydaje się wykraczać poza stanowiska i tytuły.

Rocco wskazuje głową na mężczyznę stojącego obok niego.

– Kilbourne też płynie z nami, a strażnik Silas jest już na pokładzie.

Kilbourne nie jest tak wysoki jak Rocco, ale równie szeroki w ramionach. Trochę starszy – ma pewnie koło trzydziestki, a do tego krótkie blond włosy i rumiane policzki.

– Kilbourne, miło mi cię poznać.

– Wzajemnie, panno Tesso. – Uśmiecha się. – To zaszczyt uczestniczyć w tej wyprawie.

Jego wypowiedź brzmi bardzo interesująco i zastanawiam się, co może znaczyć ten ton, ale Rocco zaraz sucho wyjaśnia jego słowa:

– Chodzi mu o to, że dobrze zarobi. Żona Kilbourne’a oczekuje ich pierwszego dziecka.

To urocze.

– Moje gratulacje!

Mężczyzna uśmiecha się szeroko, a jego policzki robią się jeszcze bardziej czerwone.

– Nie chciałem jej zostawiać, ale Sara wypchnęła mnie za drzwi. Chciałbym kupić dom, nim dziecko się urodzi.

Wygląda na równie zdystansowanego i nieugiętego, jak inni osobiści strażnicy króla, ale kiedy mówi o swojej żonie i przyszłym dziecku, w jego oczach rozbłyskają iskry, a w głosie słychać emocje. Nie tylko emocje, ale wręcz ekscytację.

– Kiedy rozwiązanie? – pytam.

– Spodziewamy się późną jesienią.

– Dobrze się czuje?

Jego spojrzenie robi się jeszcze łagodniejsze. Potakuje głową.

– Bardzo dobrze, dziękuję.

Lubię go, cieszę się, że z nami płynie. W jego obecności jest coś kojącego, co już uspokoiło moje nerwy.

– Bez zbroi? – pytam.

– Jest w kufrach – odpowiada Rocco. – Nałożymy je, gdy dopłyniemy do Ostriarii.

Za moimi plecami rozlega się męski głos:

– Jeśli uzbrojony strażnik wypadnie za burzę, zamienia się w kotwicę.

Odwracam się i widzę kapitana Blakemore’a idącego trapem prowadzącym na pokład. Wiatr rozwiewa jego ciemne włosy, oczy skrywa cień. Mimo obecności tych wszystkich strażników wygląda tutaj na bardziej rozluźnionego niż podczas kolacji w pałacu. Najwyraźniej na swoim statku czuje się jak w domu. Kaftan ma rozpięty, a przy pasku nosi krótki sztylet.

– Panno Cade – mówi, kłaniając się.

Dygam w odpowiedzi i wbrew woli czuję ciepło na policzkach. Chyba nigdy nie przyzwyczaję się do takiego eleganckiego traktowania, zwłaszcza poza pałacem.

– Kapitanie Blakemore.

– Żaden strażnik nie znajdzie się za burtą – wtrąca Rocco. Coś w jego głosie sprawia, że te słowa brzmią jak ostrzeżenie.

– Mam nadzieję, że nikt nie znajdzie się za burtą – odpowiada wesoło kapitan i podaje mi ramię.

– Panno Cade, chce pani wejść na pokład?

– Mam rzeczy, które chciałabym zachować przy sobie. – Zawieszam głos. – Mogę zaczekać na tragarza.

– Jak sobie pani życzy. Ale nie chciałbym zostawiać pani na deszczu, kiedy niektórzy już zdążyli wybrać swoje kajuty.

Aha.

Nie jestem pewna, co powinnam na to odpowiedzieć ani co zrobić.

Oczy kapitana Blakemore'a wpatrują się w moje.

– Och, proszę mi wybaczyć. Będzie pani dzielić kajutę z księciem Corrickiem? Jeśli chciałaby pani, żeby był obecny przy wyborze, mogę zaproponować...

– Ależ nie! Ja... My... On... Ja... – Urywam i znów się rumienię. Nie spodziewałam się takiego pytania i zdecydowanie nie mam przygotowanej odpowiedzi. Trudno mi sobie wyobrazić, by Corrick chciał, byśmy podróżowali razem. – Jestem tu jako zielarka. Potrzebna mi będzie własna kajuta, kapitanie.

Przygląda się emocjom wymalowanym na mojej twarzy, a następnie się prostuje.

– Oczywiście, panno Cade. Proszę mi wybaczyć. Moja sugestia była zbyt śmiała. – Milknie na chwilę. – Znów mam wrażenie, że moje pytanie może panią narazić na nieprzyjemności.

– Nie! Ja nie... On nie... – Przystaję wyrzucać z siebie przypadkowe słowa.

Rian ma tak poważny wyraz twarzy, a całe to moje jąkanie wydaje się głupie.

Z opresji ratuje mnie Rocco.

– Panna Cade zaskarbiła sobie wdzięczność króla i jego opiekę.

W jego słowach znów czai się ostrzeżenie, na co w oczach kapitana zapala się ciekawość.

– Rozumiem.

Ponownie nie jestem pewna, co na to odpowiedzieć.

Powiew wiatru ślizga się po ciemnych falach i wiruje między nami, targając włosy kapitana i szarpiąc moją suknię. Na policzkach czuję kilka kropli deszczu.

– Zbliża się burza – zauważam. – Czy pływanie nocą jest bezpieczne?

– Silny wiatr pozwoli nam przed nią umknąć. – Uśmiecha się. – Woda to woda, panno Cade. To nie będzie nasza jedyna noc na morzu.

– No tak, oczywiście.

Znów owiewa nas podmuch wiatru, tym razem mocniejszy. Na policzkach czuję kolejne krople i przeszywa mnie dreszcz.

Za moimi plecami Rocco coś mówi, jednak zbyt cicho, bym usłyszała. Po chwili widzę, że Kilbourne wyciąga z powozu mój kufer aptekarski.

– Dopilnuję, żeby pani rzeczy trafiły do pani kajuty – obiecuje, po czym krótko kłania się kapitanowi.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale rezygnuję.

– Cóż... myślę, że możemy skryć się przed deszczem. – Kapitan znów oferuje swoje ramię.

Przyjmuję je po chwili wahania.

Trap nie jest zbyt długi. Gdy dochodzimy do jego końca, widzę, że na głównym pokładzie rozwieszono latarnie, a ludzie w cieniu wiążą liny i przenoszą skrzynie. Rozpoznaję porucznik Tagas i innych spotkanych na kolacji, ale jest też kilka osób, których wcześniej nie widziałam. Wykrzykują do siebie polecenia i instrukcje, w ich przygotowaniach widać pośpiech, żadnej wrogości, tylko szczere braterstwo. To marynarze przywykli do wspólnej pracy. Choć nie, jest w tym coś więcej – to marynarze lubiący razem pracować. To zupełnie coś innego niż ciche napięcia pomiędzy strażnikami na nabrzeżu. Takie samo napięcie czai się w pałacu.

Nerwowy skurcz żołądka odrobinę słabnie.

Główny pokład jest szeroki, z trzema masztami podtrzymującymi ciężkie żagle, z których dwa są już rozwinięte. Najwyższy maszt to ten pośrodku, mierzy prawie dziesięć metrów, ma poprzeczną belkę i bocianie gniazdo na samej górze. Liny, którymi przycumowano statek do nabrzeża, naciągają się i skrzypią, kiedy żagle chwytają wiatr. Z przodu statku jest podwyższenie prowadzące na pustą w tej chwili dziób, ale w tylnej części – chyba nazywanej rufą – znajduje się dwoje drzwi, zapewne prowadzących do kwater oficerskich. Liny, łańcuchy i takielunek wydają się znajdować wszędzie.

Statek kołysze się na wietrze.

Dwóch mężczyzn dźwiga skrzynie w stronę otwartego włazu, który musi prowadzić do drabiny. Młodszy mężczyzna ślizga się na mokrym pokładzie, a skrzynia upada z trzaskiem na deski. Drewno skrzypi, lecą drzazgi, ale skrzynia jakimś cudem się nie rozpada.

Starszy mężczyzna przeklina głośno, a potem mówi gardłowym głosem:

– Kazałem ci się nimi zająć godziny temu.

– A ja ci powiedziałem, że...

Rozlega się krótki, ostry gwizd kapitana Blakemore'a, po czym z jego ust pada jedno słowo:

– Panowie.

Mężczyźni stają jak wryci i oglądają się za siebie. Starszy wydaje się trochę udobruchany.

– Przepraszam, kapitanie. – Jego ostriaryjski akcent jest silniejszy niż u osób, które były na kolacji. Wita mnie skinieniem głowy. – Panienko. – Potem odwraca się, patrzy gniewnie na drugiego mężczyznę, po czym łapie za skrzynię. – Tym razem postaraj się nie połamać mi stopy, Brock.

Brock chwyta skrzynię z drugiej strony i odpowiada złośliwie:

– Gdy załadujemy te skrzynie, mam zamiar złamać ci nos.

No dobrze, może nie wszyscy lubią razem pracować.

Kapitan odwraca się do mnie. W jego oczach widać ożywienie, ale głos ma cichy.

– Proszę wybaczyć mojej załodze. Czasem trudno im panować nad językiem.

Teraz zauważam, że on także mówi z delikatnym akcentem. Nie słyszałam go podczas kolacji. Zastanawiam się, czy stał się wyraźniejszy, bo teraz jest ze swoją załogą. Zdaje się, że to jeszcze jedna rzecz, której nauczył się przez sześć lat pobytu w Ostriarii.

– Dorastałam w pobliżu doków – wyznaję, machając ręką, żeby zbyć jego obawy. – Język marynarzy nie jest mi obcy.

Statek znów mocno się kołysze.

Odruchowo zaciskam palce na ramieniu kapitana Blakemore'a, żeby złapać równowagę. Po chwili drugi podmuch przechyla pokład w przeciwną stronę i wpadam prosto na pierś mężczyzny. Bez trudu mnie łapie i utrzymuje w pionie. Najwyraźniej jemu bujanie statku zupełnie nie przeszkadza. Biorę głęboki wdech, bo jesteśmy teraz zdecydowanie za blisko. Jego oczy są bardzo ciemne w blasku promieni księżyca przebijających się przez chmury.

Za plecami słyszę chrząknięcie Kilbourne'a i próbuję odzyskać równowagę.

– Przepraszam, to przez ten wiatr.

Kolejny podmuch szarpie moją suknię. O mały włos znów nie wpadam na Riana. Szkoda, że nie pomyślałam, aby założyć spodnie.

– O czym... O czym to mówiliśmy?

Kapitan się uśmiecha.

– Mówiła pani, że język marynarzy nie jest pani obcy.

Za chwilę będę chyba musiała wyskoczyć za burtę.

– Miałam na myśli...

– Wiem, co miała pani na myśli. – Nadal się uśmiecha, ale jego spojrzenie staje się nieco oceniające. – Więc i statek pewnie nie jest pani obcy.

– Ach, nie... Cóż... Nie do końca. Wychowałam się tutaj, w Artis, ale mój ojciec był zielarzem. Leczyliśmy pracowników doków. – Przeszywa mnie dreszcz. – Znam wszystkie tutejsze choroby: udar słoneczny, różana wysypka zimą, solny kaszel latem, otarcia skóry od...

Statek znów się kołysze i znów omal nie wpadam na jego pierś. Nawet Kilbourne się zachwiał, idąc z moim kufrem w rękach.

– Przepraszam – mamrocę ponownie. – Jestem pewna, że bardzo szybko nauczę się utrzymywać równowagę na morzu.

Kapitan Blakemore chwyta mnie za ramię, ale gdy tym razem spogląda na niebo, marszczy brwi. Pogodne spojrzenie znika.

Dwaj mężczyźni, którzy nieśli skrzynię, wyłaniają się spod pokładu.

Kapitan patrzy na nich i rozkazuje:

– Brock, sprawdź takielunek. – Zerka przez pokład i gwizdże. – Gwyn! – woła. – Opuść główny żagiel. Chcę odpłynąć, gdy tylko księżę wejdzie na pokład. – Później zwraca się do mnie: – Proszę, panno Cade. Schowajmy panią przed tym deszczem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Corrick

Mam wiele wspomnień dotyczących mojego brata wymykającego się z pałacu, kiedy był dzieckiem, ale żadnych z ostatnich lat. Król może chodzić, dokąd zechce, robić, co zechce, widywać, kogo chce. Nie potrzebuje się wymykać.

Ale dziś siedzi w rogu mojego powozu, owinięty płaszczem. Jestem tak podenerwowany całą tą wyprawą, że prawie nawrzeszczałem na strażnika, nim go rozpoznałem.

– Nie rób zamieszania – uprzedza cicho.

Moje serce wali tak mocno, że przez chwilę nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Staję jak wryty w drzwiach powozu.

– Wasza wysokość? – odzywa się odźwierny stojący za moimi plecami.

Z trudem nabieram powietrza.

– Tak. Powinniśmy już jechać.

Rzucam wymowne spojrzenie bratu, wsiadam do powozu i zamykam za sobą drzwi.

– Masz szczęście, że nie wyciągnąłem broni – mamroczę pod nosem.

W dach powozu zaczynają stukać krople deszczu.

Woźnica cmoka na konie, a po chwili ruszamy ze stukotem po brukowanej drodze. Czekam, aż Harristan się odezwie, ale nie mówi nic, więc ja także milczę. Podskakiwanie na kamieniach wydaje się nie mieć końca.

Wreszcie nie wytrzymuję i się odzywam:

– Co ty wyprawiasz?

– Chciałem cię tylko pożegnać?

– Przecież zrobiłeś to kilka minut wcześniej.

Zrobił. Może nie w szczególnie uroczysty sposób, ponieważ wyruszamy wcześniej, niż się spodziewaliśmy, ale pożegnał się ze mną w salonie, na oczach kilku dworzan. Powiedział coś stosownego, jak na króla przystało, i poklepał mnie po ręce. Niewiele słyszałem, bo moje myśli wrzeszczały w głowie, buntując się przeciwko temu, co się działo.

– Nie, Cory – odpowiada cichym, spokojnym głosem. – Nie pożegnałem.

Emocjonalność tej chwili jest uderzająca. Nie do wiary, że to zrobił. Nie do wiary, że tu jest.

Prawdę mówiąc, nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz jechaliśmy razem powozem. Na pewno było to jeszcze przed śmiercią rodziców. Po koronacji niebezpieczeństwo było zbyt wielkie, byśmy podróżowali razem.

Powinienem pewnie natychmiast zatrzymać powóz, ale tego nie robię.

– Nie ma przy mnie żadnego ze strażników – zauważam ochrypłym głosem. – Jak się tu dostałeś?

– Powiedziałem Quintowi, że tym razem musi wykorzystać swoje konspiracyjne zdolności dla mnie.

Unoszę brwi ze zdziwienia. Quint w tym tygodniu nie przestaje mnie zadziwiać. Choć z drugiej strony może to nic zaskakującego. Nie są przyjaciółmi, w ogóle nie są ze sobą blisko, ale Quint nigdy nie odmówiłby królowi przysługi.

– W jaki sposób dostaniesz się z powrotem do pałacu? – pytam. – A może planujesz płynąć z nami na gapę? Pewnie do powozu mam przywiązany kufer.

– Myślałem o tym. – Drażni się ze mną, ale w jego głosie słychać nutę prawdy.

Złości mnie, że małeńka część mnie chciałaby, żeby to było możliwe, a podejrzewam, że on czuje to samo, bo gdy znów się odzywa, w jego oczach lśni smutek.

– Przekupię woźnicę, żeby odwiózł mnie z powrotem do pałacu.

Uśmiecham się.

– Przyprawisz go o zawał serca.

– Pewnie mógłbym wrócić pieszo.

Wyobrażam sobie, jak idzie do pałacu i podchodzi do bramy jak zwykły obywatel. Nie zrobiłby tego. Nie mógłby. Plotkom nie byłoby końca.

Ale skoro chce, możemy się pobawić w tę grę.

– Noc jest pochmurna – zauważam. – Uważaj na złodziei.

Harristan uśmiecha się szeroko, a ten uśmiech rozświetla mrok. Przypominają mi się te wszystkie chwile, kiedy jako chłopcy przedzieraliśmy się przez sektory, a nikt nie wiedział, kim jesteśmy. Teraz bije od niego tak intensywnie królewska powaga i stoicyzm, że aż czasem zapominam, że potrafi się w ten sposób uśmiechać.

Deszcz pada coraz mocniej, jego krople coraz głośniejsze uderzają o dach. Droga powozem do doków nie trwa długo.

Brat przytrzymuje mój wzrok, a jego uśmiech gaśnie.

– Boisz się?

Jest jedyną osobą, która ma odwagę zadać mi takie pytanie wprost, i jedyną, która otrzyma całkowicie szczerą odpowiedź.

– Trochę. – Zawieszam głos. – A ty?

– Trochę. – Przerywa i lekko kaszle.

- Nie musimy wypływać dzisiaj. – Biorę głęboki wdech. – Moglibyśmy poczekać.
- Chcesz czekać? – Słyszę zaskoczenie w jego głosie.

To szczerze pytanie. Mógłbym odpowiedzieć „tak”, a on by to wszystko wstrzymał, ale rozmawialiśmy o tym z naszymi doradcami i najlepszymi żeglarzami w Artis. Większość się zgodziła, że wypłynięcie przed sztormem zapewni silny wiatr, szybszą podróż i... mniejsze ryzyko.

Przeciąganie wszystkiego mogłoby zostać odczytane jako lęk i brak zdecydowania. To nie byłby najlepszy początek relacji handlowych z nowym królem Ostriarii.

- Nie – odpowiadam.

Gdy zbliżamy się do nabrzeża, nawierzchnia pod kołami powozu się zmienia. Z powodu ciemnych chmur i deszczu przez małe okienko niewiele widać, ale jestem w stanie odczytać litery na kadłubie statku.

„Ścigacz Świtu”.

Boże. Nawet nazwa jego statku wydaje się przesadzona.

Przebiegam wzrokiem po nabrzeżu. Nie widzę Tessy, ale wiem, że wyjechała przed nami. Nie mam pojęcia, czy Lochlan już jest na pokładzie. Jakaś część mnie uważa, że Harristan powinien go zamknąć w Twierdzy i powiedzieć wszystkim, że popłynął z nami. Może nadal moglibyśmy to zrobić.

Przygryzam kciuk.

- Cory?

Spoglądam na brata.

- Co?

- Chcesz poczekać?

Każde słowo mówi z lekką emfazą. Jego oczy wpatrują się w moje, moje wpatrują się w jego. Cały czas myślę o słowach Quinta, że pierwszy raz Harristan i ja będziemy robić coś oddzielnie. Ta myśl powoduje ucisk w piersi. Nigdy się nie rozstawaliśmy. Nawet wtedy, kiedy w dzieciństwie z kilkoma monetami wymykaliśmy się z pałacu do Dżicy. Ani po śmierci naszych rodziców. Ani nawet kiedy buntownicy wtargnęli do pałacu, a my uciekaliśmy, żeby ocalić życie.

- Harristan... A ty chcesz, żebym poczekał?

Nie odpowiada.

Powóz się zatrzymuje i magle stukot podków o bruk ustaje, a powietrze między nami wypełnia cisza. Odźwierny zabiera się do otwierania drzwi.

- Wasza wysokość...

– Chwila. – Wyciągam rękę i zatraskuję drzwi, ściszam głos do ledwo słyszalnego szeptu i powtarzam pytanie: – Chcesz? Chcesz, żebym poczekał?

Bierze głęboki wdech, znów kaszle, na co ja marszczę czoło. Harristan podnosi rękę i wolno nabiera powietrza.

– Nic mi nie jest.

Zaciskam zęby. Nienawidzę tego.

– Mamy szansę zrobić coś dobrego, Cory – przypomina mi. – Nasz ojciec był poważany – urywa na chwilę. – Nie chcę, żeby moim dziedzictwem był strach i gniew. Chcę być... lepsi.

W jego głosie pobrzmiwa... nadzieja. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ją słyszałem.

– Ja też – odpowiadam.

Potakuje głową i wyciąga do mnie rękę.

Wyciągam moją i kładę na jego, z kłaśnięciem. Harristan nie jest wylewny, ale jego uścisk jest mocny i pewny. Przez krótką chwilę coś ściska mnie za gardło i nie mam pewności, czy będę w stanie wysiąść z tego powozu.

Harristan mruga i puszcza moją dłoń. Czochra mi włosy, a na koniec szturcha mnie lekko, tak jak to robił, gdy byliśmy chłopcami.

Prycham, oburzony, i odsuwam jego rękę. Wreszcie sięgam do drzwi.

– Corrick – woła mnie cicho, nim zdążę nacisnąć klamkę.

Odwracam się.

– Co?

Nie odzywa się i przez tę krótką chwilę milczenia czuję ciężar jego emocji.

– Wróć cały i zdrowy, braciszku.

Odpowiadam skinieniem głowy.

– Przyrzekam. Bądź tu cały i zdrowy, gdy wrócę – proszę, a potem otwieram drzwi i wysiadam na padający deszcz.

Tragarze i służący mają parasole, ale wiatr jest tak silny, że nim docieram do szpaleru stojących tu strażników, by asystować przy moim odpłynięciu, czuję deszcz w butach i za kołnierzykiem. Nadal targają mną emocje związane z rozmową z bratem, wątpliwości i obawy co do tej podróży. Wtedy Rocco informuje mnie, że Tessa jest już na pokładzie z Kilbournem i Silasem.

– Kapitan Blakemore nie chciał, żeby panna Tessa czekała na deszczu – mówi Rocco.

Pewnie, że nie chciał.

– Doskonale – mamrocze beznamiętnym tonem. Rozglądam się po strażnikach stojących na baczność w deszczu. – A Lochlan?

– Także jest już na pokładzie – odpowiada. – Do czasu, gdy będziemy mieć pewność, że nie stanowi zagrożenia dla waszej wysokości, będzie go pilnował Silas

– Doskonały wybór – oświadczam, ale nie jestem o tym do końca przekonany.

Z wszystkich strażników, których miał do wyboru, Silasa w ogóle nie brałbym pod uwagę. Jest młodszy ode mnie i nie sądzę, by kiedykolwiek powierzono mu zadanie poważniejsze niż pilnowanie pustego powozu. Należy do straży królewskiej ledwie pół roku, ale jego rodzina ma liczne kopalnie żelaza w Nabrzeżu Kupców i wiele statków. To znaczy, że on również zna się na stali i żeglowaniu. To może być atut, o ile nie będę potrzebował doświadczonego strażnika.

Spoglądam na trap, następnie wyjmuję z kieszeni zegarek. Na tarczy natychmiast pojawiają się krople.

Mężczyźni i kobiety na pokładzie wykrzykują komendy, deszcz stuka miarowo o deski.

Nie oczekiwałem hucznego powitania, ale myślałem, że ktoś z załogi *Ścigacza Świtu* wprowadzi mnie na pokład. A może po prostu jestem zdenerwowany, bo to oznacza, że Tessa jest już na statku z kapitanem, podczas gdy ja stoję tutaj w deszczu lejącym mi się do butów, a król Kandali kryje się w ciemnym powozie, czekając, aż odpłynę. Mam wrażenie, że chyba zwyczajnie się czepiam, i to mnie złości. Na pewno przygotowanie statku do odpłynięcia przy tej pogodzie nie jest łatwe.

Z góry z pokładu rozlega się kobiece wołanie:

– Kapitanie, chyba jest już na dole!

Spoglądam na Rocco.

– Spóźniłem się?

Rocco bierze wdech, żeby odpowiedzieć, jednak zanim zdoła wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, kapitan Blakemore po prostu zsuwa się po trapie, zeskakuje zwinnie i ląduje tuż przed nami.

– Wasza wysokość – mówi nieco zdyszany – statek jest gotowy do wypłynięcia.

Żagle łopoczą na wietrze, a kapitan spogląda w niebo.

– Jeśli wasza wysokość nadal chciałby uciec przed sztormem, nie powinniśmy dłużej zwlekać.

– Przepraszam za spóźnienie – odpowiadam, ale jestem pewien, że moje oczy mówią: „Mam ochotę zepchnąć cię do wody”.

W jego spojrzeniu rozbłyskuje iskra prowokacji.

– Przepraszam, przyjęte, wasza wysokość.

Jego oczy chcą mi przekazać: „Proszę bardzo, spróbuj”, ale zerka na Rocco, robi krok w tył i wyciąga rękę.

– Wasza wysokość pozwoli.

Moje nogi niemal odmawiają posłuszeństwa. Nie chcę wsiadać na ten statek, ale to przecież głupie, więc zmuszam się do wkroczenia na trap. Moje serce podskakuje, gdy stopa dotyka drewna. Świat wydaje się przechylać. Muszę wziąć głęboki wdech, żeby oczyścić głowę.

Zostawiam mojego brata.

Kapitan Blakemore wchodzi na trap zaraz za mną, a Rocco podąża za nami. Gdzieś na końcu tej kładki jest Tessa i ta myśl przepełnia mnie ciepłem. Ale jest też Lochlan, który prędzej czy później zacznie stwarzać problemy. To pewne. Mamy tylko garstkę strażników, a pracująca w mroku załoga ma znaczną przewagę liczebną.

Przez stukanie kropli deszczu o pokład przebija się głos Harristana:

– Kapitanie.

Kapitan Blakemore odwraca się równie zaskoczony, jak ja.

Fala niepokoju przechodzi po strażnikach czekających na nabrzeżu. Wielu z nich zmienia pozycję, by otoczyć króla.

Harristan ich ignoruje i wchodzi na trap, a Rocco błyskawicznie odsuwa się na bok, aby zrobić mu przejście. Mój brat podąża prosto do Riana, w jego oczach płonie ogień.

– Oczekuję, że księżę Corrick wróci cały i zdrowy – oświadcza, a w jego głosie słychać nutę, której dotąd nie znałem. W każdej sylabie czai się obietnica zemsty.

Kapitan Blakemore się nie cofa. Z równą intensywnością w głosie odpowiada:

– Rozumiem, wasza królewska mość.

Deszcz leje się na nas, ale mój brat ani drgnie.

Potrzebuje zobaczyć pewność na mojej twarzy, więc klepię go w ramię.

– Nie mam wątpliwości, że wrócimy tu z kapitanem Blakemorem jako starzy przyjaciele.

Rian uśmiecha się przebiegle.

– Miło mi to słyszeć, wasza wysokość.

Rzucam mu wymowne spojrzenie.

– Chcesz, żeby wpuścił mnie na statek, czy nie?

Harristan wzdycha, jakby był zmęczony towarzystwem nas obu. Próbuje ukryć kaszlnięcie, na co marszczę brwi.

– Twój powóz czeka – przypominam, jak gdyby wszystko było zaplanowane i jego obecność na nabrzeżu nie stanowiła niespodzianki. – Nie stój na deszczu, nie możemy dłużej zwlekać.

Mój brat potakuje i robi krok w tył.

– Żegnaj, Cory.

Z jakiegoś powodu teraz jest to trudniejsze niż w powozie.

Nagle zalewa mnie fala przypadkowych wspomnień.

Jak zalał się herbatą, tuż przed spotkaniem z konsulami, więc zamieniłem się z nim kaftanami, zanim ktokolwiek coś zauważył.

Jak wymykaliśmy się do Dżicy, gdzie wróż próbował nas naciągnąć na kilka monet, ale Harristan go przejrzał i sprzątnął mu sprzed nosa pieniądze, które prawie ode mnie wyłudził.

Jak nie mógł złapać tchu na placu szkoleniowym, a jego przeciwnik, Allisander we własnej osobie, wykorzystał moment, by rzucić go w błoto. Miałem wtedy dziesięć, może jedenaście lat, ale wspiąłem się na ogrodzenie i sam powaliłem Allisandra. Zbrojmistrz musiał ściągać mnie z niego siłą.

Jak Harristan osłonił mnie swoim ciałem, gdy zamordowano naszych rodziców.

Czuję, że za chwilę będę miał ściśnięte gardło, więc mrugam, by przegonić te wspomnienia.

– Żegnaj – mówię, na co mój brat schodzi na nabrzeże.

– Proszę za mną, wasza wysokość – oznajmia kapitan Blakemore, zanim moje serce zacznie walić jak oszalałe, gdy dotrze do niego, że to się dzieje naprawdę. Rian nawet nie sprawdza, czy za nim idę. Po prostu rusza w górę trapu. – Panna Cade nalegała, aby wasza wysokość pierwszy wybrał swoją kajutę.

Jeśli cokolwiek było teraz w stanie ogrzać moje serce, to wspomnienie o Tessie. Nie jestem tutaj sam. Nie do końca.

Odsuwam mokre włosy z twarzy i ruszam naprzód.

Rocco idzie obok mnie.

„Oczekuję, że księżę Corrick wróci cały i zdrowy”, słowa mojego brata oraz ich gwałtowność dodatkowo wzmagają to uczucie ciepła w moim sercu, ale wtedy zaczynam zastanawiać się nad odpowiedzią Riana.

„Rozumiem, wasza królewska mość”.

Nie złożył zapewnienia. Ani obietnicy. Potwierdził tylko, że rozumie.

Patrzę na Rocco.

– Bądź czujny – proszę cicho.

– Będę, wasza wysokość. – Zerka na kapitana idącego przed nami. – Wasza wysokość ma na to moje słowo.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tessa

Jestem na pokładzie ledwie od pół godziny, a już mam wrażenie, że za chwilę zwymiotuję na podłogę mojej kajuty, czy może kajuty Corricka. Sam zdecyduje, gdy się zjawi. Nawet jeszcze nie wypłynęliśmy, a ja już mam ochotę dobrać się do mojej torby aptekarskiej. Chyba byłabym w stanie zjeść cały korzeń imbiru. Zdecydowanie żałuję, że nie poczekałam na Corricka na nabrzeżu, gdzie może padało, ale przynajmniej grunt był stabilny. Przyciskam rękę do brzucha i zastanawiam się, dlaczego księcia jeszcze nie ma. Widziałam obawę w oczach kapitana Blakemore'a, kiedy patrzył w niebo.

Na pokładzie nade mną słychać szybkie, zdecydowane kroki. Staram się nie zastanawiać, czy burza okazuje się groźniejsza, niż się spodziewali, i czy nie jest już za późno, by bezpiecznie wypłynąć. Po przeciwnej stronie kajuty znajduje się duży iluminator. Odkąd tu weszłam, deszcz monotonnie dudni o grube szkło osłonięte stalowymi kratami. Omijam je wzrokiem, bo jedyne, co widzę, to wznoszące się i opadające światła latarni gazowych na nabrzeżu.

Kiedy kapitan Blakemore przyprowadził mnie do tej kajuty, powiedział: „Wszyscy zostaliście zakwaterowani na rufie, bo nie jesteście przyzwyczajeni do życia na morzu. Tu powinno kołysać trochę mniej”. Następnie wskazał na sufit i powiedział coś o kajutach oficerskich i kajucie nawigacyjnej nad nami, ale byłam już wtedy skupiona tylko na tym, żeby po raz kolejny na niego nie wpaść. Raz wystarczy.

Zastanawiam się, czy Kilbourne powie coś Corrickowi. Pamiętam prowokacyjny błysk w oczach Riana, kiedy zapytał, czy będę dzieliła kajutę z księciem. Mam wrażenie, że takiego szczegółu strażnik nie pominie.

Rozlega się pukanie do drzwi i wołanie Kilbourne'a:

– Panno Tesso, jest pani proszona...

Serce mi podskakuje. *Dzięki boskim siłom, jest już!* Nawet nie czekam, aż Kilbourne skończy anonsować gościa, tylko od razu biegnę do drzwi i je otwieram. Staję, jak wryta. To nie Corrick, tylko Lochlan. Jego spojrzenie jest twarde, mięśnie szczęk napięte.

Serce, które przed chwilą podskakiwało z ekscytacji, teraz zamiera.

Nie widziałam Lochlana od tamtego zajścia w cukierni i miałam ogromne wątpliwości, kiedy dowiedziałam się, że ma płynąć z nami. Za Lochlanem stoi

szczupły, młody mężczyzna w pałacowym mundurze. To oczywiste, że ma pilnować, by Lochlan nie sprawiał problemów, jednak wygląda bardziej na czeladnika niż strażnika.

Ma chyba takie samo doświadczenie w służbie jak ja w radzeniu sobie z chorobą morską.

Lochlan nie traci czasu na zbędne uprzejmości. Wyjmuje z kieszeni płócienny woreczek i mi go podaje.

– Proszę – mówi głosem ochrypłym, ale nie oschłym.

– Co to?

– Od Karri. Na chorobę morską. – Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem od stóp do głów. – Cukierki miętowe i karmelki imbirowe. Zrobiła je dziś rano, gdy się dowiedziała, że wyruszamy. – Milknie i znów mi się przygląda. – Wyglądasz, jakbyś ich potrzebowała.

– O! – Mój niepokój nieco słabnie. Kiedy wyciągam rękę, żeby wziąć od niego woreczek, statek ponownie mocno się przechylił. Muszę złapać się futryny, żeby nie wpaść dla odmiany w Lochlana.

Czuję, że ślina napływa mi do ust. Wsuwam rękę do woreczka, żeby wyjąć cukierek.

– Dziękuję – mówię, wkładając lek do ust. A ty nie potrzebujesz?

– Dla mnie też zrobiła – odpowiada. – Ale ja latem często dorabiam na kutrach rybackich. Nie mam choroby morskiej. – Patrzy na moje palce zaciśnięte na futrynie. – Kiedy wypłyniemy na otwarte wody, będzie lepiej. Żagle są już podniesione, więc statek szarpie się na linach.

W jego głosie nie ma wojowniczości. Przypomina mi się, jak delikatnie zwracał się do Karri. Dotąd był dla mnie tylko buntownikiem, który torturował Corricka i próbował spalić pałac, ale najwyraźniej musi mieć też skrywane oblicze. Inaczej Karri by z nim nie była. Jest na to za mądra, zbyt wymagająca.

– Uważaj, Lochlan, bo jeszcze pomyślę, że potrafisz być miły – rzucam dość beztrasko.

– Potrafię – oznajmia tak po prostu.

Statek się kołysze, Lochlan stara się utrzymać równowagę, po chwili spogląda gniewnie na sufit.

– Wygląda na to, że będziemy musieli czekać na tego głupiego, zepsutego...

– Sugeruję, żebyś nie kończył tego zdania – rozlega się głos Kilbourne'a i całe ciepło, jakie wcześniej wczuwałam w jego tonie, teraz zniknęło.

– Bo co? – pyta Lochlan. – Wyrzucisz mnie za burtę? Myślisz, że nie wiem, dlaczego mnie zaproszono?

– Zostałeś zaproszony na dowód zaufania – wtrącam.

Na jego twarzy pojawia się zdziwienie, a z ust wyrywa mu się krótki szyderczy śmiech. Wszelkie oznaki życzliwości znikają.

– Najsmutniejsze jest to, że naprawdę w to wierzysz. Karri cię kocha, więc muszę przyjąć, że jesteś po prostu naiwna, bo każde inne wytłumaczenie byłoby obraźliwe.

– Cudownie – odpowiadam. – Cieszę się, że nie masz zamiaru nikogo obrażać.

Robi krok w moją stronę, a serce znów zaczyna mi walić. Chyba widzi strach w moich oczach, bo się zatrzymuje.

– I jeszcze to. Boisz się mnie, choć powinnaś bać się jego. Pewnie myślisz, że wziął cię ze sobą po coś więcej, niż żeby miał go kto ogrzać w nocy, prawda?

Moje policzki robią się czerwone, ale on jeszcze nie skończył.

– Może i masz dość rozumu, żeby lepiej wykorzystywać Księżycowy Kwiat, ale nie dość, by się zorientować, że najwyższy sędzia królewski to parszywy łgarz, którego powinno się przykuć łańcuchem do steru...

Kilbourne popycha go na przeciwległą ścianę tak mocno, że aż rozlega się trzask. Ruch jest tak szybki i gwałtowny, że wyrywa mi się delikatny okrzyk. Przyciskam rękę do brzucha. Może Kilbourne jest miły, ale nadal pozostaje strażnikiem. Nawet Silas wyglądał na zaskoczonego, ale bierze się w garść szybciej niż ja. Kładzie rękę na ramieniu Lochlana, żeby zatrzymać go w miejscu, i spogląda na Kilbourne'a, jakby chciał go zapytać, czy posunąć się dalej.

Lochlan się nie wyrywa, tylko na mnie patrzy.

– Widzisz?

– Ostrzegałem cię – upomina go Kilbourne.

Po przeciwnej stronie rozlegają się kroki. Odwracam się i dostrzegam nadchodzącego kapitana Blakemore'a, a tuż za nim Corricka.

Kapitan zwalnia kroku, widząc, co się dzieje. Korytarz jest wąski, ale czeka, aż Corrick się z nim zrówna.

– Wasza wysokość, czy twoi ludzie będą sprawiać problemy?

Corrick spogląda na Lochlana i na mnie.

– Nie wydaje mi się, by to moi ludzie sprawiali problemy. Silas, dopilnuj, żeby on wrócił do swojej kajuty.

Lochlan prostuje się, jakby miał zamiar odpowiedzieć, ale tylko wzdycha i kręci głową, po czym spogląda na mnie.

– Tylko poczekaj, a sama zobaczysz. – Rzuca w stronę Corricka spojrzenie przepełnione czystą nienawiścią. – A gdy już będzie po wszystkim – mówi do mnie – powiedz Karri, że ją kochałem.

Następnie przechodzi obok księcia i kapitana i znika w kajucie w dole korytarza.

Corrick patrzy na mnie uważnie, a ja dostrzegam, że jego włosy są mokre, kaftan błyszczący na ramionach w miejscach, gdzie przemókł. Spojrzenie księcia, jak zawsze, jest przeszywające.

– Zrobił ci coś?

– Nie – odpowiadam i uświadamiam sobie, że nadal ściskam w ręku cukierki, które zrobiła dla mnie Karri. – Nie zrobił nic złego. – Wymawiając te słowa, nie jestem pewna, czy to prawda. Zbyt wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie. – Przyniósł mi lek od Karri.

– Źle się pani czuje, panno Cade? – pyta kapitan Blakemore.

– Muszę po prostu przyzwyczaić się do kołysania – odpowiadam. W korytarzu jest zbyt wiele napięcia. Chcę je jakoś rozładować, nie wiem tylko jak. – Corricku, nie wiedziałam, która kajuta będzie ci bardziej odpowiadać.

– Wszystko mi jedno – odpira, nie odwracając ode mnie wzroku. – Dziękuję, kapitanie. – Następnie bez wahania bierze mnie za rękę, wprowadza do kajuty i zamyka za sobą drzwi.

Zanim poznałam prawdę o Westonie Larku, nigdy nie widziałam księcia z bliska, o ile w ogóle miałam okazję go widzieć. Ale pamiętam, że ilekroć udało mi się zauważyć Corricka w oddali, zawsze wyglądał na zdystansowanego, nieobecnego. Z jego oczu biły chłód i bezwzględność. Idealny najwyższy sędzia królewski. Idealny kat.

Tej nocy, kiedy mnie złapał, gdy wkradłam się do pałacu, po raz pierwszy zobaczyłam, kim naprawdę jest, i nigdy nie zapomnę paniki, strachu i niepewności, które malowały się na jego twarzy przez jedną krótką chwilę, zanim znów stał się zimny, surowy i nieodgadniony. To była najprawdziwsza z jego masek.

Te same oczy patrzą na mnie teraz.

– Jesteś pewna? – pyta głosem stanowczym, ale podszytym obawą. – Widziałem, jak strażnik go odpychał. Nic ci się nie stało?

– Nie – odpowiadam. – Nic mi nie zrobił. Tylko... gadał różne rzeczy. Kilbourne nie powinien był go uderzyć. – Pierwszy karmelek rozpuścił się w moich ustach i mój brzuch już ma się lepiej. Decyduję się wziąć teraz miętowy.

Corrick w milczeniu przygląda się, co robię. Chciałabym umieć odczytać wyraz jego twarzy.

Wyciągam woreczek w jego stronę.

– Chcesz jednego?

Waha się, jednak kręci głową.

– Nie, dziękuję.

W kajucie panuje półmrok, rozświetlany tylko lampką oliwną wiszącą przy ścianie. Tyle światła wystarczy, bym zobaczyła napięcie na jego twarzy oraz spięte ramiona.

Powinnam była poczekać na nabrzeżu.

Po chwili drugi cukierek uspokaja mój żołądek na tyle, że mogę wziąć głęboki wdech i może to rozluźnia atmosferę, bo Corricker także wzdycha.

Przeciąga dłonią po mokrych włosach i zaczyna rozpinać guziki kaftana. Następnie zdejmuje go i przewiesza przez oparcie krzesła.

– Więc wybierasz tę kajutę? – pytam.

Gwałtownie odwraca wzrok w moją stronę.

– Co?

– Kapitan Blakemore zapytał, którą kajutę chcę, a ja mu powiedziałam, że powinniśmy poczekać na ciebie, żebyś wybrał pierwszy.

Delikatnie mruży oczy.

– Zapytał, mówisz?

Tak jak z oczu, z jego głosu też nie potrafię nic odczytać.

– Jesteś najwyższym sędzią królewskim, więc pomyślałam, że stosownie będzie, żebyś...

– Boże, Tesso. Jest mi wszystko jedno.

Jest taki zdenerwowany. Najgorsze, że nie wiem, co martwi go najbardziej: to, że zostawia brata, że płyniemy do Ostriarii, Lochlan czy może Kapitan Blakemore.

Statek znów się kołysze, żołądek ponownie mi podskakuje i po raz kolejny tracę równowagę.

Corrick delikatnie chwyta mnie w tali.

– Pewnie odpływamy – mamrocze.

– Dlaczego nikt oprócz mnie nie ma problemów z utrzymaniem równowagi? – wybucham.

– Ja mam – odpowiada. – Przed chwilą złapałem się ciebie, żeby nie upaść.

Wiem, że żartuje, ale jego głos jest zbyt poważny, by mógł kogoś rozbawić. Mimo to poklepuję go po ramieniu, na co on uśmiecha się półgębkiem, ale mnie nie puszcza. Podnosi dłoń, żeby odgarnąć kosmyk włosów z mojego policzka.

– Tak się cieszę, że tu jesteś – wyznaje czule.

Teraz w jego głosie słyszę dziesiątki niewypowiedzianych rzeczy – tęsknotę, nadzieję... strach. Przypomina mi to chwilę z Harristanem w mojej komnacie.

– Harristan zakradł się do mojego powozu, żeby przyjechać tutaj ze mną – dodaje cicho.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– Naprawdę?

Corrick potakuje głową.

Chcę być zaskoczona, ale... tak naprawdę nie jestem. Czuję jedynie wzruszenie. Jedną z rzeczy, która najbardziej podoba mi się w braciach, jest ich bliskość. Szkoda, że nie pozwalają, aby ktokolwiek inny ją zobaczył. To jest w nich przecież najbardziej ludzkie.

– Ściął się z kapitanem Blakemorem i zażądał mojego bezpiecznego powrotu – mówi Corrick. – Myślałem, że strażnicy dostaną zawału.

Uśmiecham się na te słowa, ale za chwilę mój uśmiech znika, bo w jego głosie słyszę obawę.

– Harristan się boi – szepczę.

Spodziewam się, że Corrick powie coś zuchwałego w stylu „król niczego się nie boi”, ale nic takiego nie opuszcza jego ust.

– Wszyscy się boimy, Tesso.

Chcę go dotknąć, ale się waham, bo tak bardzo już się przyzwyczaiałam do trzymania własnych uczuć na wodzy, gdy przebywam z nim w miejscu publicznym. Jednak teraz jesteśmy sami, i to nie w pałacu. Ryzyko, jakie podejmuje – jakie obaj podejmują – jest ogromne. Ciekawi mnie, co usłyszał od króla, zanim wszedł na pokład, by popłynąć do nieznanego kraju. Zastanawiam się, czy mogłabym go o to zapytać.

Może nie muszę. Emocje widać w jego oczach.

Wyciągam rękę i kładę ją na jego policzku.

Bierze wdech i zamyka oczy. Nadal trzyma mnie w talii, ale nie po to, żeby pomóc mi utrzymać równowagę. Obejmuje mnie, a to zupełnie co innego. Przypominają mi się dawne czasy w chacie, kiedy nasłuchiwaaliśmy alarmu w sektorze i baliśmy się nocnego patrolu.

Wzdycham i zatapiam się w jego sile.

– Ja też się cieszę, że tu jesteś.

Otwiera oczy i patrzy na mnie. Przesuwa dłonie, a jego kciuki muskają delikatnie mój brzuch. Ten ruch jest ledwo zauważalny, ale moje serce i tak podskakuje.

Nie jestem pewna, czy to jakiś dźwięk, który wydaję, czy wdech, czy tylko iskra w powietrzu, ale źrenice niebieskich oczu Corricka się rozszerzają, a jego usta wpijają się w moje.

Na początku całuje mnie wolno, z opanowaniem, jakby czekał na moją reakcję. Po tygodniach niewinnych spacerów, dworskich manier i delikatnych pocałunków o zachodzie słońca, niemal roztapiam się w jego ramionach. Kiedy poddaję się jego dotykowi, ruchy księcia stają się pewniejsze. Jego usta szukają moich. Czuję krawędzie jego zębów, muśnięcie jego języka. Smakuje miętą, a może to ja smakuje miętą. Smak jest wyrazisty i słodki. Corrick przyciąga mnie bliżej i kiedy jestem w niego tak mocno

wtulona, przesywa mnie ciepło. Całował mnie tak tylko w chacie, w Dziczy. Ukrywa tak ogromną część siebie, że aż zapomniałam, iż potrafi taki być – przepełniony nieokiełznanym ogniem i nieskrępowanym pragnieniem.

Wędruje dłonią wyżej, robi się coraz śmielszy, aż muska kciukami gorset sukni, rozpalając mnie i odbierając mi resztki rozsądku. Przeszywa mnie dreszcz, a z mojego gardła wrywają się ciche dźwięki. To jedyna zachęta, jakiej potrzebuje, żeby nieco poluzować gorset. Jego usta odnajdują skórę mojej szyi, palce wędrują wzdłuż dekoltu sukni, znajdując krągłości.

Biorę gwałtowny wdech.

– Och – szepczę, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Jestem pewna, że za chwilę ktoś zapuka do drzwi, żeby zawołać księcia, ale teraz mnie to nie obchodzi. Czuję motyle w brzuchu. – Och.

Corrick uśmiecha się na moją reakcję. Podnosi głowę, by znów mnie pocałować. Przesuwa ręce na moje plecy i przyciska mnie do siebie jeszcze mocniej. Teraz jesteśmy tak blisko, że czuję całe jego ciało.

Statek znów się kołysze, więc wtulam się w niego i teraz to on wydaje cichy pomruk.

– Od tak dawna chciałem być z tobą sam na sam – wyznaje, nie kryjąc tęsknoty w głosie.

Nie wiem, czy ma na myśli czas, kiedy byliśmy w pałacu, gdzie czujne oczy i uszy śledziły każdy nasz krok i ruch, czy czas, który razem spędzaliśmy w Dziczy jako Wes i Tessa. Tak bardzo się wtedy bał, że odkryję prawdę, że nie pozwalał mi zobaczyć się bez maski.

Tak czy siak, to bez znaczenia, bo on znów mnie całuje. Palce wsuwa pod gorset, sprawiając, że nie potrafię powstrzymać cichego jęku.

– Ciii – szepcze, a w jego oczach migoczą dzikie iskry, jakbyśmy byli spiskowcami. – Nie powinniśmy dawać Rocco i Kilbourne’owi zbyt wielu powodów do rozmyślenia.

Moje policzki płoną, ale myśli uczepliły się tej uwagi, tłumiąc nieco ten ogień. Część mnie nie chce, żeby przestał. Pragnę dotyku jego silnych dłoni i ciepłych ust. Czekam z niecierpliwością, aż ostatni kawałek materiału spadnie ze mnie na podłogę.

Jednak inna część mnie zdaje sobie sprawę, że pozwolił sobie na tę chwilę zapomnienia tylko dlatego, że nie jesteśmy w pałacu i nikt nie może przyłapać księcia Corricka w łóżku z... dziewczyną z ludu.

Nie powinniśmy dać Rocco i Kilbourne’owi zbyt wielu powodów do rozmyślenia.

Te słowa mogą znaczyć tak wiele różnych rzeczy, ale jestem pewna, że chce tylko ochronić mnie przed wścibskimi uszami strażników.

W tym samym momencie przypominają mi się słowa Lochlana o powodach, dla których Corricker mnie ze sobą wziął, i to wystarczy, by przegnać całe otaczające mnie ciepło. Bo część wypowiedzi księcia brzmi, jakby chciał chronić siebie.

Corrick natychmiast zauważa zmianę, bo odsuwa się i patrzy na mnie.

– Tesso?

– Ja... Tylko... Powinniśmy... – Nie potrafię sklecić zdania, bo moje myśli, nie wspominając już o ciele, nie były gotowe na taki nagły zwrot akcji. Muszę wziąć głęboki wdech, żeby się uspokoić. Poprawiam gorset i z powrotem ciasno go sznuruję.

– Masz rację. Nie powinniśmy dawać strażnikom powodów do plotek. – Policzki mam gorące i już wiem, że nie będę umiała spojrzeć Rocco w oczy. – Zbyt długo jesteśmy tu sami. To niestosowne...

– Tesso. – Kładzie swoje dłonie na moich, zatrzymując mnie w miejscu.

Przez chwilę mu na to pozwalam. Wbijam wzrok w jego kołnierzyk, w szyję. Czuję ciepło jego palców na swoich dłoniach.

Pochyla głowę, szukając mojego spojrzenia.

– Co się dzieje? – pyta cicho, delikatnie. W jego głosie nie ma żądania.

Zabieram rękę i poprawiam koronki, unikając jego wzroku. Nie wiem, co powiedzieć. Moje emocje zupełnie się poplątały. Żołądek znów podchodzi mi do gardła, ale tym razem nie ma to nic wspólnego z kołysaniem statku. Moje myśli się ze sobą zderzają. Jestem wściekła – naprawdę wściekła – na Lochlana, że zasiał te wątpliwości w mojej głowie. Ale to już się stało. Przyczepiły się do mnie i nie chcą odejść.

– Lochlan uważa, że wziąłeś go ze sobą tylko po to, żeby dopilnować, by wypadł za burtę – mówię. – Proszę, powiedz mi, że to nieprawda.

Corrick mruga z niedowierzaniem i się cofa. Odpowiada dopiero po chwili:

– Nie płakałbym po nim, gdyby tak się stało, ale to cię chyba nie dziwi.

Nie dziwi. Ale nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

– Dlatego wziąłeś go ze sobą? Postanowiliście z Harristanem się go pozbyć?

Nie wiem, dlaczego domagam się odpowiedzi na to pytanie i dlaczego akurat na to. Ja też nie przepadam za Lochlanem, ale niezależnie od wszystkich obietnic Corricka, znam jego przeszłość. Najwyższy sędzia królewski był postrachem całej Kandalii nie bez przyczyny.

I może myśl, bym zadała kilka pytań samej sobie, jest zbyt przerażająca.

Spojrzenie Corricka błyskawicznie się zmienia. Nagle mam wrażenie, że jestem w kajucie z kimś zupełnie obcym.

– Mogłem założyć mu stryczek na szyję już na nabrzeżu, Tesso. – Jego głos jest zimny i beznamiętny. – Mogłem kazać strażnikom przebić go strzałą w cukierni.

Mogłem kazać przykuć go do słupa i podpalić podczas...

– Przestań – protestuję ostrym głosem. – Przestań!

– Jak już kiedyś powiedziałem: przy mnie ozywają koszmary. Gdybym chciał go zabić, nie musiałbym go zabierać na statek. Uwierz mi, wolałbym mieć jeszcze jednego strażnika zamiast niego.

Moje serce wali jak szalone, a policzki płoną, ale z zupełnie innego powodu niż jeszcze pięć minut temu. Nie wiem, jak Corrick potrafi tak szybko odcinać emocje. Też chciałabym tak umieć.

– Każda z tych rzecz odbyłaby się publicznie – zauważam. – Na statku możesz twierdzić że wypadł, że zginął...

– Oskarżasz mnie o coś? – Jego głos jest niebezpiecznie niski.

Przez krótką chwilę przypominam sobie kapitana Blakemore'a na nabrzeżu, kiedy wyrażał obawę, że może narażać mnie na nieprzyjemności.

Nie podoba mi się ścieżka, którą postanowiły podążać moje myśli. Przełykam, prostuję ramiona, po czym jeszcze mocniej zaciskam sznurowanie gorsetu.

– Nie – odpowiadam. – Mam nadzieję, że ta kajuta ci odpowiada. Tymczasem ja... Ja pójdę do swojej. – Odwracam się w stronę drzwi.

Chwyta mnie za ramię, na co gwałtownie wciągam powietrze, spodziewając się, że mnie zatrzyma, ale tego nie robi. Jego palce są bardzo delikatne, co nie powinno mnie zaskakiwać, a jednak zaskakuje. Kiedy słyszy mój wdech, natychmiast zabiera rękę. Coś w jego oczach się zmienia.

– Tesso, proszę. Zaczekaj. Powiedz mi, co się właśnie wydarzyło.

– Powiedziałeś, że tak długo czekałeś.

Marszczy czoło, ale potakuje głową.

– To nie ja kazałam ci czekać – mówię.

Zastyga w bezruchu na dłuższą chwilę. Przygląda mi się uważnie z zaciśniętymi zębami. Jest bratem króla. Nie może składać obietnic ani deklaracji. Wiem, że nie.

Moje policzki znów są gorące, ale wytrzymuję jego spojrzenie.

– Nie zasługuję na to, by traktować mnie jak wstydlivy sekret, Corricku.

Mięsień na jego twarzy drga. Chciałabym, żeby coś powiedział, żeby coś zrobił.

– Wybacz mi – mówi wreszcie najbardziej stonowanym i oficjalnym tonem, na jaki go stać. – Nie taka była moja intencja.

Chciałabym powiedzieć „wiem”, ale nie wiem. Tak jak nie wiedziałam, czy zabije mężczyznę w cukierni. Tak jak nie wiem, dlaczego Lochlan znalazł się na statku. Nie wiem. W każdym razie nie na pewno.

Dygam więc tylko, równie oficjalnie, jakbym przed chwilą nie rozpływała się pod wpływem dotyku jego ust.

– Dziękuję, wasza wysokość.

Te słowa uderzają w niego jak strzała. Prawie widzę fizyczną reakcję. Robi krok w tył i odpowiada skinieniem głowy.

– Życzę pani przyjemnego wieczoru, panno Cade.

Te słowa uderzają z kolei we mnie, jak sztylet. Gardło mam ściśnięte, a do oczu napływają mi łzy. Muszę odwrócić się na pięcie i ruszyć w stronę wyjścia z kajuty.

Kiedy otwieram drzwi, słyszę jego delikatny, błagalny ton:

– Tesso.

Ale drzwi są już otwarte, a Rocco i Kilbourne stają na baczność w korytarzu.

Nie patrzę na żadnego z nich. Pozwalam drzwiom się za mną zatrzasnąć, idę do kajuty po drugiej stronie korytarza i zamykam się sama w ostatnim wolnym pokoju.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Corrick

Naprawdę nie myślałem, że sprawy mogą się jeszcze bardziej skomplikować.

Chcę pójść za nią, ale nie wiem, jak mógłbym to wszystko naprawić. Wyznaniem miłości? Błaganiem o przebaczenie? Oddaniem jej królestwa? Nawet nie jestem pewien, czy chciałaby którejś z tych rzeczy. To nawet nie jest moje królestwo, tylko mojego brata. Zresztą obecnie Kandalą nie jest szczególnie atrakcyjną ofertą, równie dobrze mógłbym jej zaoferować gniazdo szerszeni.

Chciałbym wiedzieć, co Lochlan jej powiedział. W tej chwili mam ochotę zrobić wszystkie te rzeczy, o których mówiłem.

Jej słowa nieustannie odbijają się echem w mojej głowie.

Nie ja kazałam ci czekać.

Nie. Nie ona.

Najgorsze, że nie powiedziała tych słów w oskarżycielski sposób. Powiedziała je... ze zrozumieniem. Wie, kim jestem. Wie, jaką rolę pełnię. Wie, że każda obietnica obarczona jest ciężarem korony. Wie też, kim byłem przez ostatnie cztery lata. Najwyższym sędzią królewskim. Jednym z najstraszniejszych ludzi w całej naszej ojczyźnie.

Nie powiedziała tego, ale nie musiała. Słyszałem to w jej głosie, kiedy pytała o moje zamiary w stosunku do Lochlana. Kiedy złapałem ją za ramię, niemal się wzdygnęła.

Muszę się skupić. Mam tu zadanie do wykonania. Obowiązki wobec króla i kraju. Nie powinienem być po prostu tak tu wchodzić i zaczynać... tego.

Odkąd moja noga stanęła na statku, nie mogę przestać myśleć, że kapitan Blakemore zaprosił ją na pokład przed moim przybyciem. Albo jak podczas kolacji zaproponował, by mówiła mu po imieniu. Nie mogę przestać myśleć o jego słowach na temat lojalności, honoru i obowiązku, jak jego komentarze sprawiły, że moje wysiłki, by chronić Kandalę wydały się chybione i nieskuteczne.

Słyszę w głowie jej „och” od chwili, gdy kapitan Blakemore pojawił się na kolacji. Wypowiedziała je w sposób zbyt podobny do tego, w jaki zrobiła to, gdy moje palce dotykały jej koronki, podążając do...

Natychmiast powstrzymuję te myśli. Nie wyniknie z nich nic dobrego.

Opadam ciężko na brzeg wąskiego łóżka i przeciągam rękami po twarzy. Nie byłem przygotowany, by pożądanie i żądzę zastąpić gniewem i frustracją. Moje ciało jeszcze

nie zdążyło dostosować się do myśli. Kajuta wydaje się zbyt duszna, zbyt mała. Mógłbym w tym momencie wyjść na pole bitwy i stoczyć wojnę. Rozpinam guziki w mankietach i podwijam rękawy.

Statek kołysze się teraz mniej, niż kiedy stał przycumowany do nabrzeża. Pewnie wypłynęliśmy już na Rzekę Królowej.

To się dzieje naprawdę. Wypływam. Opuszczam Kandalę. Opuszczam mojego brata.

Targa mną zbyt wiele sprzecznych emocji. Wstaję i ruszam w stronę drzwi. Nie mam pojęcia, co zrobię, ale muszę coś zrobić albo wyskoczę za burtę. Jednak kiedy kładę rękę na klamce, zaczynam się wahać. Jestem na statku ledwie od pół godziny, nie chcę, żeby ktokolwiek widział moje zdenerwowanie, zwłaszcza strażnicy. Przez cztery lata byłem najwyższym sędzią królewskim. Potrafię opanować emocje, a muszę pamiętać, że na takiej małej powierzchni trudno utrzymać sekret. Jeśli moi żołnierze zaczną szeptać o spięciu między mną a Tessą, w ciągu kilku godzin wiadomość rozejdzie się po całym statku, a to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję.

Robię krok w tył i znów przeciągam dłońmi po twarzy. W kącie jest małe lustro wiszące nad pustą umywalką. W moich oczach nadal szaleje burza, więc odwracam wzrok. Rozprostowuję rękawy i zapinam mankiety.

Chciałbym, żeby był tu Quint albo Harristan.

Czuję nagły ucisk w piersi, ale odpycham od siebie te emocje tak samo jak inne. Podchodzę do małego iluminatora i patrzę w ciemność. Tylko kilka drobnych światełek wzdłuż wybrzeża rozświetla mrok.

Kraty przywodzą na myśl więzienną celę.

Liczę do dziesięciu, do stu.

I jeszcze raz, od początku.

Wreszcie moje emocje opadają. Wdech przestaje parzyć jak ogień.

Rozlega się pukanie do drzwi, więc gwałtownie odwracam głowę w ich kierunku, a serce mi podskakuje.

Może wróciła. Może uda mi się to wszystko naprawić.

Chwytam za klamkę i otwieram.

To nie Tessa. To Kilbourne, a za nim dwóch mężczyzn dźwigających ciężkie skrzynie, błyszczące od deszczu.

– Wasza wysokość, przyniesiono kufry waszej wysokości – informuje mnie strażnik.

Wpatruję się w niego i próbuję zdecydować, czy wygląda, jakby wiedział, co zaszło między mną a Tessą.

Może jednak nie potrafię opanować wszystkich emocji.

Gdy tak rozmyślam, jeden z mężczyzn zdmuchuje kosmyk włosów z twarzy i oświadcza:

– Nie ma pośpiechu, są coraz łżejsze, wasza wysokość.

Drugi mężczyzna wydaje dźwięk, jakby powstrzymywał śmiech.

Mrużę oczy. Mam ochotę kazać im trzymać te kufry przez godzinę, ale wydaje się to małostkowe. Wiem, jak lojalna jest załoga kapitana. Nie chcę ich wszystkich zwrócić przeciwko sobie.

– Przepraszam. Postawcie je gdziekolwiek.

Tak też robią i bynajmniej nie obchodzą się z nimi ostrożnie. Prawie na mnie nie patrząc, zostawiają kufry i wychodzą na korytarz. Jeden z nich ociera pot czy deszcz z czoła, a może jedno i drugie.

Jestem zirytowany, choć pewnie nie mam do tego prawa. Nie są tu po to, by mi usługiwać.

– Gdzie pozostali strażnicy? – pytam Kilbourne’a.

– Silas ogarnia nasz pokój, a Rocco robi obchód statku. – Kilbourne obrzuca wzrokiem pusty korytarz i ścisza głos. – Kapitan obiecał oprowadzić nas po całym statku, gdy tylko uda nam się umknąć przed burzą, ale Rocco nie chciał czekać tak długo.

Interesujące. Pewnie rozsądne. Spoglądam na korytarz, na dwoje zamkniętych drzwi. Zastanawiam się, co za swoimi drzwiami robi Tessa.

– Czy panna Cade ma wszystko, czego potrzebuje?

Waha się.

– O ile mi wiadomo, tak.

Przygląda mi się uważnie. Wiem, że zauważył nagłe wyjście Tessy z mojej kajuty. Ma jednak dość rozsądku, by o tym nie wspominać, co doceniam.

– Co powiedział jej Lochlan? – pytam.

Kilbourne wolno nabiera powietrza.

Jestem na statku ledwie od godziny, a już mam dość.

– Po prostu powtórz mi to, co słyszałeś.

– Powiedział, że król wysłał go w tę podróż, żeby zniknął. Powiedział, że wasza wysokość jest kłamcą, który zasługuje, żeby przywiązać go do... – Zawiesza głos. – Powiedział, że wasza wysokość wziął ze sobą pannę Tessę, żeby mieć... towarzystwo.

Zaciskam zęby.

– W sypialni – dodaje.

Spoglądam na niego wymownie.

– Dziękuję, Kilbourne. Domyśliłem się.

– Tak, wasza wysokość.

Z westchnieniem wracam do kajuty i zamykam za sobą drzwi. Nic dziwnego, że chciała poznać moje intencje, zwłaszcza że nie zrobiłem nic, by rozwiać jej obawy.

Przeciwnie, jeszcze je podsyciłem.

Muszę coś zrobić, ale muszę ochłoniąć, bo teraz najchętniej skrzyłbym Lochlanowi kark. Kucam przy pierwszej skrzyni i ją otwieram. Ubrania na wierzchu są lekko wilgotne od deszczu, który przesiąkł przez skórzane pasy. Rozwieszam więc rzeczy w szafie. Mógłbym co prawda kogoś zawołać, żeby zrobił to za mnie, ale kiedy czuję pod palcami materiał, przypominają mi się zapachy pałacu, tak inne od zapachu słonej wody i ryb, który wydaje się przesiąkać każdą rzecz znajdującą się na *Ścigaczu Świtu*. Jestem pewien, że Geoffrey, mój kamerdyner, bardzo starannie wybrał każdą część garderoby. Wszystko doskonale nadaje się na podróż morską. W kufrze jest tylko kilka bardziej eleganckich strojów, zapewne przewidzianych na oficjalne spotkanie, kiedy już dotrzemy do Ostriarii.

Na samym dnie skrzyni znajduję znoszony skórzany kaftan do jazdy konnej. Znam go doskonale, choć jestem pewien, że nie widziałem go od lat. Marszczę brwi. Nie potrafię sobie wyobrazić, co skłoniło Geoffreya, by go zapakował. Jest zrobiony z doskonałej skóry, z ozdobnymi przeszyciami i pasem, na całej długości zapinanym na klamerki. Jednak strój jeździecki nie na wiele się zda na statku. Szczerze mówiąc, jestem prawie pewien, że to kaftan Harristana, nie mój.

Nagle zastygam w bezruchu, gdy powraca do mnie wspomnienie. Miałem czternaście lat, więc Harristan miał osiemnaście. Była późna jesień, nasi rodzice jeszcze żyli, odwiedzaliśmy z nimi konsula w Nabrzeżu Kupców. Rodzice chcieli, żeby Harristan podróżował powozem, bo chłodne powietrze zawsze sprawiało, że trudniej mu się oddychało. Ale był już wtedy w wieku, kiedy mógł odmówić. Jechał więc obok mnie przez wiele kilometrów pokrytą opadłymi liśćmi drogą, ale słono za to zapłacił. Gdy dotarliśmy do posiadłości konsula, Harristan nie był w stanie powiedzieć jednego zdania, z trudem przychodziło mu łapanie oddechu.

Gdy byliśmy już w środku, szybko wrócił do siebie, ale mnie po godzinach przy herbatce, obiedzie i popołudniowych plotkach przy kominku znudził się królewski protokół. Zostawiłem brata i rodziców, wymknąłem się do stajni. Usłyszałem ściszone głosy w pomieszczeniu z uprzężą. Nie zastanawiałem się nad nimi specjalnie, aż dotarło do mnie, że stajenni przedrzeźniają mojego brata.

– Będę... – Któryś z nich udawał rzęzący oddech. – Będę... – Kolejne rzężenie. – Będę... – Chłopak zaczął przesadnie kaszleć.

– Co takiego, wasza wysokość? – Śmiał się na to kolejny. – Wasza wysokość będzie co?

Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Po prostu powaliłem jednego z nich, nie byłem nawet pewien którego. Wymierzyłem mu cios, zanim dotarło do mnie, kogo uderzam.

Stajnie były w zasadzie puste i jestem pewien, że nie spodziewali się tutaj młodszego księcia. Na początku nawet mnie nie rozpoznali. Chłopak, którego zaatakowałem, był starszy i większy, więc popchnął mnie na ziemię, zanim pozostali złapali go za ramię i powstrzymali. Wpatrywali się we mnie, spanikowani.

Pomyślałem wtedy, że albo mnie wykończą, albo uciekną, i pewnie znów bym się na nich rzucił, gdyby w drzwiach nie pojawił się Harristan.

Szukał mnie. Kiedy zobaczył moją już spuchniętą wargę, spojrzał na stajennych, a jego źrenice rozszerzyły się ze wściekłości. Na nieskończenie długą chwilę stajnię wypełniło napięcie. Czułem, jak tamci chłopcy boją się o swój los.

– Cory – powiedział wreszcie Harristan. – Matka przysłała mnie po ciebie. Konsul Montague przygotowuje się do kolacji. – Zerknął na stajennych. – A oni niech lepiej wrócą do swoich zajęć, zanim ojciec zacznie nas szukać.

Znaczenie tych słów było oczywiste. Wstałem, a stajenni natychmiast zniknęli, błyskawicznie znajdując sobie coś do zrobienia.

Potarłem dłonią szczękę i ku mojemu zaskoczeniu, zobaczyłem na niej krew.

Harristan westchnął, wyjął chusteczkę i wytarł krew z moich ust.

– Nie możesz za każdym razem za mnie walczyć, braciszku.

Chciałem zignorować jego troskę, ale wiedziałem z doświadczenia, że matka byłaby wściekła, gdyby na koszuli znalazła ślady bójki.

– Słyszałeś ich?

Wzruszył ramionami i wywrócił oczami.

– Myślisz, że nie słyszałem tego od naszych służących? – Nie czekał na odpowiedź. Po prostu rozpiął kaftan. – Załóż to. Masz rozdartą koszulę, matka się wścieknie.

Założyłem jego kaftan i zapiąłem wszystkie guziki.

Jego kaftan. Ten kaftan.

Zupełnie zapomniałem o tamtym zdarzeniu, a teraz głaszczę palcami klapy. Geoffrey by go nie zapakował. Co oznacza, że zrobił to mój brat.

Myślę o tym, jak zakradł się dziś wieczorem do mojego powozu. Przeszukuję kieszenie, na wypadek gdyby Harristan włożył do którejś z nich jakąś wiadomość, ale nic nie znajduję.

Znów siadam na brzegu łóżka i biorę głęboki wdech. Kaftan pachnie olejowaną skórą i słodkim sianem, z delikatną nutą końskiego potu. Wzdycham i kładę się na łóżku, czując pod sobą kołysanie statku i nasłuchując stukania deszczu o szybę. Przyciągam kaftan do piersi i zamykam oczy.

Nie możesz za każdym razem za mnie walczyć, braciszku.

To się zmieniło, kiedy mianował mnie najwyższym sędzią królewskim. Stoczyłem za niego wiele walk, na własną zgubę. Jestem pewien, że będę walczył jeszcze nie raz.

Nie chcę go zawieść.

Nie chcę też zawieść Tessy.

Jak zawsze mam do wyboru dwie możliwości nie do pogodzenia.

Ale teraz mogę po prostu leżeć i gapić się w sufit, wdychając delikatny zapach domu; odepchnąć od siebie zmartwienia, choćby na chwilę.

Nie mam zamiaru zasnąć, ale zasypiam. Kiedy się budzę, jestem w tej samej pozycji co wcześniej. Leżę na łóżku i patrzę w ciemność, a pode mną kołysze się statek. Na chwilę ogarniają mnie dezorientacja i panika, bo nie mogę sobie przypomnieć, gdzie się znajduję, ale świadomość szybko wraca. Siadam gwałtownie, a kaftan brata zsuwa się na moje kolana. Olej w lampie się wypalił. Jest zimno. Nie mam pojęcia, która godzina, bo otacza mnie zbyt gęsty mrok, by sprawdzić na kieszonkowym zegarku.

Zbyt gęsty, by zobaczyć cokolwiek.

Mam kaftan, więc wsuwam ramiona w rękawy i idę wolno przez ciemny pokój z wyciągniętymi przed siebie rękami. Oczywiście wpadam na skrzynię i przygryzam wargę, żeby nie zakląć. Dotykam ściany i w ten sposób udaje mi się znaleźć drzwi.

Łapię za klamkę, a potem mrugam, oślepiiony nagłym światłem w korytarzu. Wiszą tu dwie latarnie.

Rocco siedzi ze skrzyżowanymi nogami pośrodku przejścia. Zrywa się, nim drzwi całkiem się otworzą. Na deskach przed nim leżały karty, ale rozsypały się, gdy wstawał.

– Wasza wysokość – mówi, zaskoczony.

– Przepraszam – mamroczę. – Zepsułem ci rozgrywkę.

– To nic.

Moje myśli nadal są dzikie i niepozbierane. Czuję się jednocześnie całkowicie obudzony i potwornie senny. Doskonale pamiętam to uczucie z moich wypraw przed świtem z Tessą. Wyjmuję z kieszeni zegarek i spoglądam na tarczę.

Wpół do czwartej nad ranem. To by się zgadzało.

Spoglądam na Rocco i pocieram oczy.

– Masz nocną wartę?

– Kilbourne zmieni mnie o świcie.

Omiata mnie wzrokiem i uświadamiam sobie, że poza kaftanem mam na sobie dokładnie te same ubrania, w których wszedłem na statek, łącznie z butami.

Czuję się jak idiota. Tym bardziej kiedy spoglądam na drugą stronę korytarza i widzę zamknięte drzwi kajuty Tessy.

Kieruję wzrok z powrotem na Rocco, a on przygląda mi się, jakby nie był pewien, czy wypada mu zasugerować, bym wrócił do łóżka. Pewnie sprawiaam wrażenie, jakbym miał kaca.

Szkoda, że tak nie jest.

– Kilbourne powiedział, że byłeś na obchodzie statku – mówię.

– To prawda.

Znów trę oczy.

– Daj mi dziesięć minut, a później chciałbym usłyszeć, czego się dowiedziałeś.

– Ja... Tak. Oczywiście.

Waham się chwilę, nim wracam do swojej kajuty.

– I przydałaby mi się jedna latarnia, jeśli można.

Kiedy znów zamykam za sobą drzwi, potrzebuję mniej niż dziesięciu minut, by znów poczuć się człowiekiem. Nie spodziewałem się wygód, więc z radością odkrywam prywatną łazienkę, z dzbankiem i umywalką. Zmieniam koszulę na coś mniej wymiętego w nadziei, że dzięki temu sam poczuję się mniej wymięty, ale to nie pomaga. Mam ochotę schować kaftan brata z powrotem do skrzyni, bo to naprawdę nie miejsce, by go nosić... ale jest coś w jego dotyku, co mnie uspokaja, zresztą jest zimno. Decyduję się zapiąć klamerki.

Ponownie ruszam w stronę drzwi, ale najpierw zaglądam do drugiej skrzyni, zastanawiając się, co w niej znajdę. Jest bardzo ciężka. Pamiętam, jak jeden z ludzi Blakemore'a skomentował, że od trzymania nie staje się lżejsza. Otwieram zasuwki i podnoszę wieko.

W świetle błyszczą butelki. Wino, whisky, rum, brandy – pełen asortyment alkoholi z pałacu. Jest też korkociąg.

Kocham cię, Quint.

Jestem całkowicie pewien, że zapakował je, bym zrobił wrażenie na dygnitarzach w Ostriarii, może nawet miał to być prezent dla króla Galena Redstone'a, ale teraz zupełnie mnie to nie obchodzi. Biorę brandy, wyciągam korek i piję prosto z butelki.

Dobry losie, Tessa.

Zamykam butelkę i idę z powrotem do drzwi. Rocco schował karty i stoi na baczność w teraz już słabiej oświetlonym korytarzu. Przystawiam kufrem drzwi, żeby się nie zamknęły, i wskazuję ręką na mały stolik i krzesła przytwierdzone na stałe do podłogi.

– Wejdz, usiądź.

Spogląda na butelkę w mojej dłoni i staje w progu. Przy jego wzroście musi lekko schylić głowę, żeby zmieścić się w drzwiach.

– Możemy poczekać do rana, jeśli wasza wysokość woli.

– Nie wolę.

W kajucie nie ma żadnych szklanek, ale są cztery drewniane kubki, ustawione jeden na drugim na niewielkim stojaku, także na stałe przytwierdzonym do stołu.

Stawiam dwa na stole, napełniam i opadam na krzesło.

Rocco przez chwilę ocenia sytuację, następnie siada naprzeciw mnie.

– *Ścigacz Świtu* jest dobrze wyposażony – zaczyna. – Król kazał strażnikom przeszukać statek, kiedy kapitan Blakemore przedstawił swoją historię. Jego dzienniki pokładowe wydają się utrzymane w należyтым porządku. Zapasów na statku wystarczy dla załogi tej wielkości. Marynarze wydają się obyci ze swoim fachem, może nieco mniej z manierami. Większość sprawia wrażenie raczej bystrych i spostrzegawczych. Są bardzo lojalni wobec kapitana.

– Ufasz mu?

– Nie.

Unoszę brwi, a Rocco wzrusza ramionami.

– Bardzo ograniczył nas liczebnie. Wydaje się to rozsądne, ale statek jest na tyle duży, że spokojnie pomieściłby co najmniej dwanaście osób więcej. Najniższy pokład jest prawie pusty. Gdyby doszło do walki, mają przewagę jednego do dwóch. Tym bardziej jeśli przyjmiemy, że panna Cade raczej nie jest zdolna do walki, nie mówiąc już o buntowniku. – Krzywi się. – Kto wie po czyjej stanąłby stronie, gdyby doszło do walki.

– Po czyjej by nie stanął, skończy ze mną na dnie oceanu. – Podnoszę kubek i wypijam zawartość duszkiem. – Co jeszcze?

– Podobno nie jest to okręt wojenny, ale na środkowym pokładzie przywiązane są działa. Pytaliśmy o to kapitana Blakemore’a...

– Działa?!

– Tak. Dwanaście. Wyjaśniono nam, że są tam od czasów, kiedy jego ojciec opuszczał Kandalę i ich usunięcie byłoby kosztowne, więc zostały przytwierdzone w części rufowej.

– Czy to może być prawda?

– Tak – przesuwa swój pełny kubek w moją stronę – ale równie dobrze może to być kłamstwo, wasza wysokość.

– Nalałem dla ciebie.

– Wiem.

Część mnie żałuje, że wypilem pierwszy kubek. Inna część ma ochotę opróżnić całą butelkę.

– A więc jesteśmy na statku, który nie jest statkiem wojennym, ale mógłby się nim stać w razie potrzeby.

– Tak. – Rozsiada się wygodniej na krześle. – Wasza wysokość ma coś do pisania? Mógłbym rozrysować, jak to wszystko wygląda.

Sprawdzam w kufrze pod butelkami i znajduję pudełko z piórami oraz skórzaną teczkę z papierem.

Przekazuję wszystko Rocco, a on szybko rysuje i opowiada:

– Przydzielono nam kajuty na rufie, twierdząc, że są lepsze, bo większe i mniej w nich kołysze. To może być prawda, podobnie jak to, że mamy krótki korytarz i w razie potrzeby łatwo nas uwięzić. Daje to jednak pewną przewagę także nam. Wystarczy jeden strażnik do pilnowania całego korytarza. W razie otwartego ataku w zasadzie nie jest możliwe zaskoczenie strażnika. Jednak żeby dostać się na wyższy lub niższy pokład, żeby uciec, musielibyśmy skierować się do środka statku. Poza kajutą kapitana i jego pierwszej oficer pozostali członkowie załogi mają swoje kwatery na dziobie, z pełnym dostępem do wszystkiego: kambuza, pokładu działowego, ładowni.

– Gdzie jest kajuta kapitana?

Spodziewam się, że Rocco zaznaczy ją na rysunku, ale on wskazuje na sufit.

– Kapitan Blakemore i porucznik Tagas mają swoje kajuty sypialne dokładnie nad nami, nad nami położona jest też kabina kapitańska.

Przyglądam się ciężkim belkom i zastanawiam, na ile są dźwiękoszczelne. Biorę głęboki wdech i uważnie wpatruję się w rysunek.

– Gdzie znajdują się działa?

– Na pokładzie pod nami. – Rocco rysuje jeszcze jedną linię. – Stanowiska strzelnicze są zamknięte, a działa znajdują się tutaj. – Rysuje kolejny znak. – I tutaj.

– Mają zbrojownię?

– Zamkniętą na podwójny zamek. Strażnicy, którzy przeszukiwali statek, napisali w raporcie, że jest zapełniona.

– Czym?

– Nie wiem. Tylko tyle napisali. „Zapełniona”. Szukali kontrabandy, nie broni, więc nie przyszło im do głowy, żeby zrobić listę. – Milknie na chwilę. – Kiedy wszedłem na statek, zapytałem o to, ale członkowie załogi nie mieli klucza. Rzeczywiście goni nas sztorm, tego nie da się udawać.

– Będę musiał poprosić, żeby mnie oprowadzono. – Przeciagam ręką po twarzy i zanim zdążę się dobrze nad tym zastanowić, opróżniam drugi kubek. Głos mam już nieco szorstki tylko od pierwszego. – Jakie są szanse, że właśnie zostałem porwany, Rocco?

– Historia kapitana wydaje się trzymać kupy. Ma też dowody potwierdzające prawdziwość jego słów: pierścień, dzienniki, flagę. Jeśli to porwanie, załoga nic o tym

nie wie. Nie wyczuwam wśród nich złych intencji.

Ja też nie, ale jednymi z pierwszych słów Rocco było stwierdzenie, że nie ufa kapitanowi. Załoga nie musi wiedzieć o porwaniu, wystarczy, że robi, co kapitan im każe.

– Ale...? – ciągnę go za język.

– Staram się ocenić, kto z członków załogi ma ogromne znaczenie dla podróży, a kto nie. Gdyby przyszło co do czego, Kilbourne zajmie się Sablo i Marchonem. Silas ma pilnować kapitana Blakemore’a, choć Tagas może być bardziej przydatna. Na pokładzie jest jej córka, to może dać nam pewną przewagę. Jeśli wyeliminujemy kapitana, będziemy potrzebowali karty przetargowej przeciwko komuś wyższemu rangą.

Jego głos jest zaskakująco bezwzględny. Praktyczny. Bardzo rzadko słyszę ten ton u kogokolwiek innego niż ja sam.

Przyglądam mu się uważnie. Z jakiegoś powodu przypomina mi się, jak Harristan zwrócił się do niego po imieniu, gdy Rocco nie był ubrany w pałacowy mundur. Ten rodzaj poufałości wprawia mnie w niepokój, bo byłem go *świadom*. Siedzący przede mną strażnik i pozostali musieli stale odbywać takie rozmowy z moim bratem. Ja większość czasu spędzałem w Twierdzy – zajmowałem się przemytnikami i należną im karą. Więźniami. Strażnikami. Nocnym patrolem. Jako król mój brat zajmował się całą Kandalą.

Zastanawiam się nad tonem Rocco i teraz dociera do mnie, że Harristan musiał rozmawiać z nim także na mój temat, kiedy Tessa pojawiła się w pałacu. Ciekawe, jak długo wypytywał go o moje sekrety. Czy nabrał podejrzeń po rozmowie z Tessą, czy po usłyszeniu kłamstw, jakie rozpowiadał Allisander, żeby ukryć własne przewiny.

– Jak długo mój brat mnie podejrzewał? – pytam.

To nagła zmiana tematu, ale Rocco podchodzi do tego spokojnie.

– Tylko te ostatnie kilka miesięcy.

Oznajmia to tak po prostu, tak zwyczajnie, jakby ten przedział czasowy nie powinien być zaskoczeniem. A jednak słowa uderzają we mnie tak mocno, że omal nie spadam z krzesła.

– Kilka miesięcy? – dopytuję.

Teraz on wygląda na zaskoczonego.

– Myślałem, że wasza wysokość wie.

Nie. Nie wiedziałem. Mój umysł próbuje przeanalizować wspomnienia z ostatnich miesięcy, każdą minutę, którą spędziłem z bratem, oceniając konsulów, rozmawiając o przemytnikach, których schwytaliśmy, zastanawiając się nad najlepszymi sposobami na zachowanie ładu i porządku na ulicach Kandalii, o wszystkich tych

chwilach, kiedy przesiadywałem w jego komnacie, nasłuchując oddechu, bojąc się, że padnie ofiarą gorączki. Myślę o każdej minucie, jaką spędziłem, starając się nie zniszczyć siebie dla niego, a on w tym czasie był zajęty podejrzeniem mnie. Myślę o tym kaftanie, o tym, jak mój brat zapakował go na dno skrzyni.

– Prowadziłeś z nim takie rozmowy jak ta? – pytam. – Na mój temat?

Rocco nie odpowiada.

– Odpowiedz – żądam.

– Nie zawiodę zaufania króla.

– Który z was miał mieć mnie na oku?

Znów nie odpowiada.

– Czy miał też podejrzenia dotyczące tej podróży? – drążę gorzko. – Obawiał się, że może spiskuję z kapitanem Blakemorem? To dlatego tu jesteś?

Rocco wytrzymuje mój wzrok. Jest niewzruszony.

– Dostałem od króla rozkaz, żeby zapewnić twój bezpieczny powrót do Kandali, wasza wysokość – informuje mnie spokojnym głosem.

To może znaczyć bardzo wiele różnych rzeczy. Chciałbym móc teraz pójść do pokoju Tessy, znajdującego się po drugiej stronie korytarza, ale oczywiście nie mogę.

Wzdycham przeciągle. To nie Rocco jest obiektem mojego gniewu, niepokoju. Jeśli mam przeżyć tę podróż, potrzebuję go po swojej stronie.

– Dobrze. Co radzisz? – Tak zawsze mówi mój brat, kiedy chce, by jego strażnik przedstawił mu plan. Chyba nigdy wcześniej nie używałem tego wyrażenia.

Rocco zaczyna bez chwili wahania, ale przecież słyszał te słowa wiele razy:

– Na razie niech wasza wysokość postara się przyjemnie spędzać czas. Proszę nie zdradzać się z naszymi podejrzeniami. Im dłużej są przekonani, że jesteśmy przychylni tej podróży, tym więcej się dowiemy. Opuszczą gardę. Niech Lochlan się awanturuje, skoro ma taką ochotę. Nie będzie to odwracać naszej uwagi, ale ich tak. – Przerzywa. – Na miejscu waszej wysokości nie dzieliłbym się też wątpliwościami z panną Tessą.

Marszczę czoło i wyobrażam sobie Tessę w jej kajucie.

Nie zasługuję na to, by traktować mnie jak wstydlivy sekret, Corricku.

Z całej siły staram się nie skrzywić. Może i zakochałem się w Tessie Cade, ale jak zwykle muszę pamiętać, że ona nie zakochała się w księciu Corricku, najwyższym sędzi królewskim. Zakochała się w wyjętym spod prawa Westonie Larku. Zakochała się w kimś, kto nie istnieje.

Mam ochotę nalać sobie kolejną szklaneczkę brandy.

– Rocco, o to nie musisz się martwić.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Tessa

Kiedy siadam na łóżku i przez iluminator widzę na niebie fioletową poświatę brzasku, jestem nieco zdezorientowana. Wiem, gdzie się znajduję, ale nie spodziewałam się, że będę tak twardo spać. Nawet nie pamiętam, kiedy się położyłam. Kołysanie statku, od którego na początku dostawałam mdłości, po gwałtownych chwilach z Corrickiem stało się ukojeniem.

Ale teraz jest już rano, a on nie przyszedł. Spodziewałam się, że przeprosi. Albo... przynajmniej będzie chciał to jakoś naprawić. Ale nie zrobił nic.

A teraz jest już rano.

Na ustach nadal czuję jego gorący pocałunek.

Może rzeczywiście jestem naiwna.

Księżę wszedł na statek jak tornado, bez wahania porwał mnie do swojej kajuty, wziął w ramiona, jakby był wygłodniały przed uczcą. Widziałam każdą emocję w jego oczach, jak u króla Harristana, kiedy przyszedł poprosić o przygotowanie leku. Ta podróż dla obu znaczy coś więcej. Oczy Corricka były dzikie, ale dłonie ciepłe i pewne. Niecierpliwe. Zdesperowane. Spragnione. A później wszystko się posypało i nie wiem, czy to z mojej, czy z jego winy.

Pocieram dłońmi twarz, cieszę się, że mam coś do zrobienia.

Po zaspokojeniu potrzeb fizjologicznych grzebię w kufrach, które przyniesiono tu wczorajszego wieczoru. Jeśli jest wietrznie, wolałabym nie zakładać spódnicy. Spływa na mnie ulga, że oprócz oficjalnych strojów znajduję także spodnie, wysokie buty i kamizelki. Gdy jestem już ubrana, biorę swoją torbę zielarską, gdzie znajdują się pojedyncze woreczki z Księżycowym Kwiatem. Utarcie płatków i przygotowanie sześciu fiolek eliksiru nie zajmuje zbyt wiele czasu, choć przez kołysanie statku rozlałam więcej, niż bym chciała. Muszę zachować większą ostrożność, przygotowując wieczorne dawki.

Wypijam swoją, a pozostałe zatykam i wkładam do małego aksamitnego woreczka, który chowam do wewnętrznej kieszeni kamizelki. Gdy już wszystko mam gotowe, ruszam w stronę drzwi.

Na korytarzu spotykam Kilbourne'a.

Strażnik nie jest zaskoczony moim widokiem.

– Panno Tesso, dzień dobry – wita mnie z uśmiechem.

– Dzień dobry. Wiesz, która godzina?

– Wpół do siódmej – informuje mnie, zerknąwszy na zegarek. – Właśnie zmieniłem Rocco.

Zastanawiam się, czy mają już sztywno zaplanowane warty. Nie spodziewałam się, że będą stać pod drzwiami całą noc, choć może powinnam była to przewidzieć.

Czuję zdenerwowanie i niepewność, ale zdecydowanie nie chcę znów zamykać się w swojej kajucie i czekać na rozmowę, do której najwyraźniej nie dojdzie.

– Idę na główny pokład. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza – rzucam do strażnika.

– Mam obudzić jego wysokość?

– Nie! – protestuję zbyt szybko i gwałtownie. Muszę odkrztusić. – Nie trzeba, dziękuję.

– Mogę poprosić Silasa, żeby panience towarzyszył.

Myślę o strażniku, który jest chyba młodszy ode mnie.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Przez chwilę spodziewam się, że Kilbourne zaprotestuje. Choć nie jestem więźniem, to oczywiście, że wszyscy w Kandali mają swoje podejrzenia dotyczące tego całego przedsięwzięcia. Nie jestem do końca pewna, na ile swobody mogę tu liczyć, a ostatnią rzeczą, jakiej chcę, to cień w postaci strażnika podążającego za mną krok w krok. Najwyraźniej jednak wszyscy zdają sobie sprawę, że nasi stróże nie mogą być jednocześnie wszędzie, bo mężczyzna potakuje głową.

– Powiadomię księcia, gdzie panienka jest, gdy się obudzi.

Chyba nic więcej już nie uzyskam.

– Dziękuję.

Waham się przez chwilę, trzymając rękę na aksamitnym woreczku z eliksirami. Chciałabym mu go zostawić, żeby każdy mógł dostać swoją dawkę, kiedy się obudzi, ale król wyraził się bardzo jasno – nikt nie może mieć dostępu do nie swojego leku, nawet strażnicy. Wyjmuję jedną fiołkę.

– Twoja poranna dawka – informuję. – Czy mógłbyś poinformować wszystkich, kiedy się obudzą, że mam dla każdego gotowy eliksir?

– Tak, panno Tesso.

Odpowiadam skinieniem głowy i chowam woreczek z powrotem do wewnętrznej kieszeni kamizelki.

Jest wcześnie, więc kiedy idę schodami na pokład, nie spotykam nikogo. Wychodzę na świeże powietrze, a wiatr rozwiewa mi włosy i szarpie kamizelkę.

Pokład wznosi się i opada, zgodnie z rytmem fal, tylko odrobinę mniej wzburzonych niż wczoraj. Jesteśmy wiele kilometrów od brzegu, więc widać już tylko największe

budynki, od czasu do czasu dostrzegam światła tych nielicznych miast, które mogą się cieszyć elektrycznością. Żagle łopoczą nad moją głową, a wiatr ryczy w uszach.

Spoglądam w górę na gwiazdy, o tej porze już poblądłe, i widzę, że sztorm nadal nas goni. Gruby pas ciemnofioletowych chmur rozciąga się złowieszczo w oddali. Wydaje się jednak, że uda nam się umknąć przed złą pogodą, bo poranne niebo przed nami aż po horyzont jaśnieje delikatnym różem. Krawędź słońca wynurza się nad południowym krańcem Artis leżącemu na wschodnim brzegu Rzeki Królowej.

– Panno Cade! – rozlega się męski głos stłumiony przez szum wiatru.

Odwracam się.

– Tutaj, na górze! – woła znowu.

Podnoszę głowę i patrzę na setki metrów lin i żagli. Przez chwilę od kołysania statku kręci mi się w głowie, więc chwytam się masztu i wtedy dostrzegam kapitana Blakemore'a jakieś dziesięć metrów nad pokładem, z jedną nogą zaplątaną w linę, a drugą oplecioną wokół masztu.

– Dzień dobry, kapitanie! – krzyczę do niego.

Niebo jest nadal ciemne, więc niewiele widać, ale dostrzegam błysk jego uśmiechu.

– Takielunek trochę się poluzował! – woła, zaplątując linę. – Zaraz będę na dole. W kajucie kapitańskiej jest kawa, jeśli ma pani ochotę. Proszę mi wybaczyć bałagan.

Kawa. W Kandali to rzadkość. Jest absurdalnie droga, bo rośnie tylko w południowej części Sunkeep. To najmniej zaludniony sektor i brakuje tam rąk do pracy w polu. Większość robotników i pomocników znajduje lepiej płatną pracę w Emberridge i Księżycowych Równinach, gdzie uprawia się Księżycowy Kwiat. Nie znam nikogo spoza pałacu, kto choćby próbował kawy. Kiedyś pytałam o nią Corricka, ale wykrzywił się i powiedział, że smakuje jak gorące błoto. Nie podaje się jej w pałacu, chyba że ktoś o nią poprosi.

A na tym statku proponuje się ją jak szklankę wody. To prawie tak samo szokujące jak sposób, w jaki kapitan zaproponował, żebym obsłużyła się sama w jego kapitańskiej kajucie.

Tak bardzo różni się od tak wyjątkowo skrytego Corricka, że ilekroć cokolwiek mi o sobie zdradza, czuję się, jakbym mu to wykradła. Jestem tak zaintrygowana tym nieoczekiwanym zaufaniem, że ruszam przez kołyszący się pokład w stronę drzwi na jego końcu. Okazuje się, że wejść jest troje i przez chwilę nie jestem pewna, które wybrać.

Wtedy rozlega się wołanie Blakemore'a:

– Od strony sterburty! – To niewiele mi wyjaśnia, na szczęście po chwili kapitan dodaje: – Po pani lewej stronie!

Nie zwlekając dłużej naciskam kławkę.

Kajuta kapitańska jest większa, niż się spodziewałam. Na środku stoi wielki okrągły stół, a na jego blacie zostały rozłożone książki, mapy nawigacyjne i geograficzne, mapy rzek i gwiazd. Niektóre są czymś przyciśnięte, a inne przytwierdzono do blatu pinezkami, na jeszcze innych położono książki.

Na jednej ścianie bez okien wisi ogromny zegar. W zamkniętej przestrzeni jego tykanie wydaje się bardzo głośne. Pod nim, na drewnianych kołkach, wiszą trzy miecze w pochwach i dwie włócznie. Kilka innych kołków jest pustych, jednak wyblakłe ślady na ścianie świadczą, że tu także zwykle wisi broń. Ciekawe, gdzie teraz się znajduje.

W kącie stoi mały węglowy piecyk, mający za zadanie wypełniać pokój ciepłem, a na nim mały żeliwny garnek. Pozostałe trzy ściany niemal w całości zajmują okna. Mogę zobaczyć, co jest za statkiem, później spojrzeć na zachód – sterburkę, przypominam sobie słowa kapitana – i na główny pokład. W ramach okiennych świszczę wiatr, wywołując lekkie szczykanie drzwi.

Nie chcę dotykać kawy ani niczego innego. Mój wzrok przykuwają mapy. Nigdy nie widziałam szczegółowej mapy kraju innego niż mój własny, a teraz mam przed sobą taką, która pokazuje Kandalę, wyspy Ostriarii i jeszcze dwa inne ogromne lądy na północy i zachodzie. Otwieram szeroko oczy, patrząc na granice wysp. Każda z nich jest znacznie większa, niż sądziłam. Ciągną się na zachód i są połączone mostami, tak jak opisywał to kapitan Blakemore. Razem zajmują obszar prawie tak duży jak Kandała. Ciekawe, czy Corrick widział te mapy.

Wracam myślami do wczorajszego wieczoru, do chwili, gdy wyszłam z jego kajuty, nie wspominając już o tym, że on nie poszedł za mną. Raczej wątpię, bym w najbliższej przyszłości miała szansę zapytać go o te mapy.

Moją uwagę przykuwa ruch na pokładzie. Zerkam w tamtą stronę i widzę kapitana schodzącego z takielunku, szybko i pewnie poruszającego się po linach, mimo że statek mocno się kołysze. Nadal jest jakieś trzy metry nad pokładem i wtedy skacze na deski, jakbyśmy byli na lądzie.

Wiatr targa jego ciemnymi włosami, policzki ma zarumienione od rześkiego porannego powietrza. Spod rozpiętego kaftana wygląda rdzawoczerwona koszula, rozpięta pod szyją, odsłaniająca opalone obojczyki. Z pasa zwisa krótki nóż, drugi – dłuższy – jest przypięty do uda. Chyba wcześniej nie widziałam go uzbrojonego.

Po chwili staje w drzwiach. Kiedy nasze oczy się spotykają, dociera do mnie, że się na niego gapiłam.

Język marynarzy nie jest mi obcy.

Przypominam sobie te słowa i czuję, że się rumienię. Kiedy kapitan rusza w moją stronę, odwracam wzrok z powrotem do map.

– Nigdy nie widziałam mapy całej Ostriarii. – Muszę odkrztusić. Chyba mówię za szybko. – Kiedy wspomniał pan o wyspach, nie zdawałam sobie sprawy, że są tak duże.

– Są podobnej wielkości co sektory Kandali i bardzo się od siebie różnią. – Nachyla się nade mną.

Pachnie morzem, wiatrem i słońcem. Każdą wyspę wskazuje po kolei palcem i podaje jej nazwę.

Pamiętam, jak pokazywał ich układ na swojej dłoni.

– Fairde jest największa i znajduje się pośrodku. Dalej jest Iris, Kaisa, Roshan, Estar i Silvesse. – Kładzie palce na Kaisie. – Tu rośnie Księżycowy Kwiat. To wyspa najbardziej wysunięta na północ i najbardziej zaludniona. Z Fairde łączyły ją dwa mosty, niestety oba zostały zniszczone w czasie wojny.

– To stolica?

– Fairde? Tak. – Wskazuje na południowo-wschodni brzeg. – Tu była cytadela, Tarrumor. Królewską rezydencję nazywano niegdyś Pałacem Słońca, bo główny dziedziniec wyłożony był złotem, a w każdym oknie znajdowały się czerwono-żółte witraże. Był to dość spektakularny widok.

– Jak nazywa się teraz?

– W ogóle się nie nazywa. – Przerzywa. W jego głosie pobrzmiwa pustka. – Pałac przetrwał, ale cytadela została w większości zburzona. Bez mostów trudno jest cokolwiek odbudować.

Kładę swoją rękę na jego. Wiem, że nie urodził się w Ostriarii, jednak – jak powiedział Corrick – spędził tam jedną czwartą swojego życia. Tam stracił ojca, i to w czasie, kiedy kraj był pogrążony w wojnie.

– Przykro mi – mówię delikatnym głosem.

Zaskoczony, podnosi na mnie wzrok.

Zabieram rękę.

– Proszę mi wybaczyć tę śmiałość – szepczę.

– To nie była śmiałość, tylko życzliwość. – Przygląda mi się przez chwilę nieco zbyt intensywnie.

Przełykam i odwracam się z powrotem do mapy, a on robi to samo. Jego palce przesuwają się na południe, gdzie oba kraje rozdziela ocean.

– Tu wiatry potrafią być bardzo silne. Pięćdziesiąt węzłów w spokojny dzień to nic nadzwyczajnego. Tu także do oceanu wpływa Rzeka Silvesse, którą wy nazywacie Ognistą Rzeką, przez co prąd jest bardzo wartki. To najtrudniejsze miejsce do nawigowania, zwłaszcza w porównaniu z tym, co pani zobaczy, gdy wypłyniemy z Rzeki Królowej. Za południowym cyplem woda jest tak przejrzysta i spokojna, że

można by do niej wskoczyć i przez wiele mil po prostu płynąć wzdłuż statku. Ale najgorzej jest tu – wskazuje na miejsce na oceanie, gdzie został narysowany mały kwadrat – na mapach Kandali nazywacie to miejsce Przystanią Bedlama. W Ostriarii nazywamy je Wyspą Chaosu. Więcej tu bardzo silne wiatry i zdarzają się nagłe sztormy. Woda niespodziewanie robi się płytka, więc łatwo wpłynąć na mieliznę, jeśli nie jest się dość uważnym. Ze względu na wiatry i prądy wiele statków zawraca tu albo tonie.

– A pan przepływa bez problemu?

– Nie twierdzę, że to łatwe. – Wzrusza ramionami, ale nie z arogancją. – Dobry żeglarz nie uczy się żeglować na spokojnych wodach, panno Cade. Robiłem to już nie raz, mogę zrobić kolejny.

Przed chwilą widziałam, jak wspinał się na prawie dziesięciometrowy maszt przy silnym wietrze, gdy słońce ledwo weszło nad horyzont, więc mu wierzę.

– Proszę, naprawdę może mnie pan nazywać Tessą.

Kącik jego ust się unosi, mężczyzna lekko się uśmiecha.

– Obawiam się, że gdybym to zrobił, księżę Corrick gotów byłby wbić mi nóż w plecy.

Wspomnienie o Corricku wyprowadza mnie z równowagi.

– Niech tylko spróbuje – oświadczam zapalczywie. – Nie on decyduje, komu wolno zwracać się do mnie po imieniu, kapitanie Blakemore.

– Ani do mnie. – Jego uśmiech robi się odrobinę szerszy. – Naprawdę może mnie pani nazywać Rianem – upomina mnie tak spokojnie, że mój gniew nieco słabnie.

– Och... przepraszam... – zawieszam głos – Rianie.

Spodziewam się, że powie do mnie „Tesso”, ale tego nie robi.

– Dlaczego nie śpisz? Jest jeszcze bardzo wcześnie. Zwykle o tej porze pokład mam tylko dla siebie.

– Jestem rannym ptaszkiem. – Po jego uwadze na temat Corricka boję się wspomnieć o wątpliwościach, które ostatniej nocy nie dały mi zasnąć przez pewien czas.

Rian się uśmiecha.

– W takim razie już cieszę się na twoje towarzystwo. – Spogląda na stół i nie widzi przede mną kubka. – Nie pijesz kawy? – Wypowiada to w tak zwyczajny sposób, że prawie wybucham śmiechem z zaskoczenia.

– W Kandali kawa jest prawdziwym rarytasem. Nie byłam pewna, czy mówisz poważnie.

Mruga, jakby był oburzony.

– Nigdy nie żartuję z kawy. – Podchodzi do kredensu i bierze dwa ceramiczne kubki.

– A w Ostriarii to żaden rarytas. Mam całe beczki jej ziaren. – Bierze małą szmatkę

i podnosi żeliwny garnek z pieca, po czym napełnia kubki. – Proszę. – Podaje mi pierwszy.

Biorę naczynie z jego rąk i wącham unoszącą się ponad napojem parę. Rzeczywiście pachnie trochę jak błoto, ma ziemisty aromat, ale nie jest on nieprzyjemny. Kolor jest ciemnobrązowy, ciemniejszy niż jakakolwiek herbata, jaką widziałam.

Kiedy upijam łyżeczek, bezwiednie się krzywię.

– Och, przepraszam. – Rian zauważa to i się uśmiecha. – Do tego smaku trzeba się przyzwyczać. – Wyjmuje kilka zakorkowanych buteleczek. – Proszę. O śmietankę na statku jest raczej trudno, ale świetnie zastępuje ją mleko w proszku. Mamy też cukier. – Rzuca mi wymowne spojrzenie. – Gwyn zdołała uzupełnić zapasy, kiedy byliśmy przesłuchiwani przez Koronę.

Krzywię się ponownie i biorę od niego buteleczki.

– Musisz przyznać, że twoja historia jest dość zaskakująca.

– Spodziewałem się, że wzbudzimy wątpliwości – oznajmia. – Nadal wzbudzamy.

To zabrzmiało, jakby chciał coś ze mnie wyciągnąć.

Wsypuję mleko i cukier do kawy, a potem mieszam ze wzrokiem wbitym w kubek.

– Nie będę rozsiewać plotek na temat rodziny królewskiej – odpowiadam.

– Wcale tego nie oczekuję ani nie potrzebuję. Na statku niczego nie da się długo utrzymać w tajemnicy. Myślisz, że nie zauważyłem tego, w jaki sposób ten człowiek, Lochlan, stał nad tobą w korytarzu, oraz tego, jak zmalął, kiedy pojawił się książę?

Jest tak szczerzy, że zapominam, że nie muszę doszukiwać się prowokacji i podtekstów jak w pałacu. Policzki znowu robią mi się czerwone, ale nic nie mówię.

Rian przerywa ciszę:

– Kiedy pytałem jego wysokość, czy jego ludzie będą sprawiać problemy, natychmiast odpowiedział, że to nie jego ludzie je sprawiają. To bardzo wymowne.

– Dlaczego?

– Bo Lochlan też jest jednym z jego ludzi, prawda?

Marszczę czoło. W pewnym sensie ma rację. Znów wracam myślami do wszystkiego, co Lochlan powiedział ostatniego wieczoru. Może jest gburowaty i agresywny, ale ten przywódca buntowników potrafi być też czuły.

Powiedz Karri, że ją kochałem.

Kiedy zapytałam Corricka, czy ma zamiar wyrzucić go za burtę, odpowiedział, że „nie płakałby po nim, gdyby to się stało”.

Obaj zachowują się tak głupio, że nie mam zamiaru bronić żadnego z nich, a mimo to krytyczne słowa kapitana o moich rodakach są bolesne.

Zbyt długo milczę. Kajuta jest ciepła i mimo okien dających wrażenie przestrzeni, zapewnia intymność, której się nie spodziewałam.

Rian przygląda mi się uważnie.

– Wprowadziłem cię w zakłopotanie?

– Nie, skąd.

Pospiesznie wypijam łyk kawy, gotowa na okropny smak, ale wtedy gęste ciepło rozchodzi się po moich ustach. Unoszę ze zdziwienia brwi. W ogóle nie smakuje jak błoto, aromat stał się bogaty, mleczny, słodki, z nutą cynamonu. Myślę, że smakuje mi bardziej niż czekolada, którą pijałam z Karri.

Widząc moją reakcję, Rian uśmiecha się szczerze.

– I co teraz myślisz?

– Myślę, że na zawsze straciłam apetyt na herbatę – odpowiadam.

– Miło mi to słyszeć. – Sam także pociąga łyk. – Muszę sprawdzić resztę takielunku. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną, ale jeśli wolisz, możesz zostać tutaj.

Wyobrażam sobie, ilu różnych podstępów Corrick doszukałby się w tej propozycji, jak wtedy, gdy przekonywał mnie o nieszczerości pochwał moich umiejętności z ust Laurel Pepperleaf.

Wtedy zaczynam myśleć o tym, jak kapitan bez wahania wysłał mnie do swojej kajuty. Jak opowiadał, że Ostriaria chce się odbudować albo o tym, że chcę zapewnić Kandali dostęp do leku, którego tak bardzo potrzebujemy. O tym, jak tak otwarcie wyraził swoje pragnienie, by pomóc wszystkim, nie tylko tym, na których mógłby zarobić. A teraz bez chwili wahania proponuje mi, żebym została sama wśród jego prywatnych rzeczy, kiedy on zajmie się swoimi obowiązkami.

Do diabła z tobą i twoim cynizmem, Corricku.

– Chętnie pójdę z tobą – odpowiadam.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tessa

Mam wrażenie, że Rian sprawdza każdy węzeł, każdy łańcuch, każdą śrubę, każdą deskę. Uwierzyłabym mu, gdyby powiedział, że zna każdy szew na każdym żaglu. Kiedy zatrzymujemy się przy kolejnych masztach, patrzę w górę na skomplikowaną płataninę lin, łańcuchów i siatek. Rian podaje mi swój kubek i wspina się, żeby coś rozplątać albo sprawdzić jakiś szczegół, który go zaniepokoił.

Cały czas wsłuchuję się w jego oddech, wypatrując oznak gorączki dziesiątkującej Kandale, ale nie słyszę nic – żadnego kaszlu. Nie widzę też oznak podwyższonej temperatury.

– Twoja załoga spędziła w Kandali kilka dni. Czy ktokolwiek ma jakieś oznaki choroby? – pytam, kiedy schodzi z drugiego masztu.

– Absolutnie żadnych. – Zerka na mnie. – Jesteś zaniepokojona?

– Zdziwiło mnie, że tylko ciebie zastałam na pokładzie. Nie wiedziałam, że kapitan sam sprawdza każdy żagiel.

Wzrusza ramionami i bierze ode mnie kubek.

– Zwykle robi to Sablo, ale wszyscy pracowali do późna w nocy, żebyśmy zdołali umknąć sztormowi. Mam niewielką załogę, więc wolę, żeby dobrze się wyspali, jeśli jest ku temu możliwość.

To pewnie znaczy, że przejął ich poranne obowiązki. Nic dziwnego, że załoga Riana jest tak lojalna wobec niego. Cały czas mam w głowie, jak zapytał, czy Lochlan jest jednym z ludzi Corricka.

– Mogę pomóc – proponuję, kiedy idziemy do kolejnego masztu. – Gdzie tylko potrzebujesz. – Gdy tylko wypowiadam te słowa, zaczynam mieć wątpliwości, czy są stosowne. – To znaczy... nie jestem marynarzem, ale gdyby brakowało ci rąk do pracy.

Wygląda na bardzo zaskoczonego, ale się uśmiecha.

– Jasne. – Pokazuje głową kolejny maszt. – Włóż na górę i sprawdź dla mnie te liny.

– Dobrze. – Podaję mu swój kubek.

Na krótką chwilę uśmiech znika z jego twarzy. Spodziewam się, że powie „żartowałem”, bo to przecież oczywiste, ale on bierze ode mnie naczynie.

– Szukaj miejsc, gdzie lina się strzępi albo krzyżuje. Żagle...

– Krzyżuje? – wtrącam się.

– Jest splątana. Każdy żagiel powinien zwisać prosto. – Wskazuje ręką.

– W porządku. – Potakuję, a następnie tak, jak wcześniej robił to on, chwytam za liny, stawiam stopę na pierwszym szczeblu i zaczynam się wspinać.

– To bardzo wysoko – ostrzega.

– Nie mam lęku wysokości. Myślałam, że słyzałeś plotki o Tessie Cade przechodzącej przez mur Sektora Królewskiego.

Uśmiech wraca na jego twarz.

– Owszem, słyzałem. W takim razie proszę bardzo.

Zaczynam się wspinać, ale szybko się okazuje, że to zupełnie coś innego niż wspinaczka po murze na stałym lądzie. Jestem jakieś pięć metrów nad ziemią, wiatr smaga moje policzki, wyszarpuje pasma włosów z warkocza.

Statek zniecka przechyla się w przód i moja stopa ześlizguje się z liny, a świat zaczyna wirować mi przed oczami. Chwytam się siatki i mocno do niej przylegam. Oddycham płytko i szybko, serce wali mi w piersi. Spodziewam się, że Rian zawoła na mnie z dołu, żebym zeszła, ale słyzę coś innego.

– Oczekaj chwilę, uspokój się, patrz na horyzont. – Jego głos jest spokojny, cierpliwy. Nie słyzać w nim obawy, więc robię, co mówi, i to pomaga.

Stopą odnajduję linę. Wspinam się coraz wyżej, choć teraz jestem wolniejsza, mniej pewna siebie. Chyba jeszcze nigdy nie znajdowałam się tak wysoko. Mam wrażenie, że gdybym się puściła, poleciałabym w górę i zniknęła na porannym niebie.

Gdy mam za sobą dwie trzecie drogi, spoglądam w dół i widzę pod sobą tylko wodę. Biorę głęboki wdech. To pewnie złudzenie optyczne spowodowane bujaniem statku. Wszystko wydaje się takie odległe.

Na moment statek prostuje się, a później znów przechyla na wietrze. Trzymam się mocno olinowania i masztu. Zamykam oczy, ale wtedy jest jeszcze gorzej. Bujam się na boki, kurczowo trzymając linę. Trwa to minutę. Godzinę. Nie mam pojęcia.

– Ależ panno Cade, na pewno nie jest pani zmęczona.

Słyzę jego głos dokładnie naprzeciw siebie. Biorę gwałtowny wdech, otwieram oczy i widzę Riana po przeciwnej stronie olinowania, z palcami zaciśniętymi na tej samej linie co moje. Nie trzyma się jej tak kurczowo, podczas gdy moje nie chcą puścić liny. Wygląda, jakby mógł tutaj spędzić cały dzień.

– Może byłam trochę zbyt śmiała – mamrocę, a on się uśmiecha.

– Nie – odpowiada – tylko wystarczająco.

– Jeśli tylko ktoś mógłby przynosić mi tu na górę posiłki, mogę tu zostać do końca podróży.

Śmieje się.

– To byłoby kiepskie zakończenie. – Spogląda w górę. – Zostały ci najwyżej trzy metry.

Biorę głęboki wdech i patrzę w górę. Ma rację. Naprawdę zostały tylko jakieś trzy metry.

– Tak czy owak, musisz albo wejść na górę, albo zejść w dół. Trzy metry nie robi różnicy, jeśli spadniesz.

Prycham ze śmiechem.

– Teraz mnie pocieszyłeś.

– Taką miałem nadzieję.

Choć do pewnego stopnia to pocieszające. Biorę kolejny głęboki wdech i wbijam wzrok w pojedyncze włókna. Podnoszę rękę i łapię za linę nad głową, a później jeszcze wyżej i jeszcze wyżej. Minutę później kładę dłoń na poprzecznej belce, która przytrzymuje żagiel. Biorę gwałtowny wdech, po części z przerażenia, po części z zachwyty. Nadal nie potrafię się zmusić, żeby odwrócić wzrok od masztu przede mną, od tego kawałka drewna i kilku lin.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że weszłam tu w konkretnym celu. Przyglądam się linom. Jest mi trochę głupio, bo przecież Rian zaraz sam będzie to robił, ale moje serce wali z radości, że znowu mam szansę zrobić coś dzikiego i niebezpiecznego.

Z Wesem spędziliśmy tak wiele czasu, ukrywając się przed nocnym patrolem i przemykając ciemnymi drózkami, a tymczasem kilka ostatnich tygodni to niekończące się spotkania w pałacu, odmierzanie dawek z medykami i ocenianie ich skuteczności.

Wes.

Pomyślałam o Wesie, nie o Corricku.

Nagle zalewa mnie fala wspomnień wywołujących pieczenie w oczach. Oczywiście, że Corrick nie może już wymykać się z pałacu i kraść Księżycowego Kwiatu w Sektorze Królewskim. Krąży już wystarczająco dużo plotek, więc on nie może do tego wrócić. Nawet nie wiem, czy by chciał.

Mrugam, żeby przegonić emocje, i przyglądam się uważnie każdej linie. Na początku wszystkie wyglądają tak samo, ale po jakimś czasie dostrzegam, że druga od końca jest nieco wykręcona.

– Ta! – wołam, wskazując na linę. – Wydaje mi się, że ta jest... – urywam i biorę gwałtowny wdech, kiedy uświadamiam sobie, że Rian znów jest dokładnie naprzeciw.

Patrzy na tę samą linę.

– Ta jest w porządku. To tylko wiatr. – Milknie i z powrotem odwraca się do mnie.

Dzieli nas tylko kilkanaście centymetrów, więc z łatwością mogę zauważyć, że jego oczy są jaśniejsze niż Corricka, bardziej szare niż niebieskie. On też przygląda mi się uważnie.

– Nieźle. Jestem pod wrażeniem.

Czuję, że się rumienię.

– Dziękuję

– Proszę bardzo – odpowiada. Podmuchy wiatru uderzają w przestrzeń między nami. – Spójrz poza liny. Przysięgam, że widok jest tego wart.

Wstrzymuję oddech i spoglądam w lewo.

Ma rację.

Morze rozciąga się we wszystkich kierunkach, niebo nad nami ma bladofioletowy kolor, a poniżej żagle łopoczą na wietrze, przesłaniając większość pokładu. Czuję się, jakbym weszła po drabinie do nieba.

– To jak latanie – wykrztuszam, zachwycona.

– Kiedy byłem chłopcem, też tak myślałem. – Jego uśmiech robi się nieco smutny. – Mój ojciec mawiał, że jeśli nie będę ostrożny, porwie mnie podmuch wiatru i wyląduję w chmurach.

Tęskni za nim, słyszę to w jego głosie. Ciekawe, od jak dawna stary kapitan Blakemore nie żyje i od jak dawna Rian musi odgrywać rolę emisariusza albo szpiega.

Nim zadam pytanie, on zadaje swoje:

– Czy Lochlan będzie sprawiał problemy, panno Cade?

Spoglądam na niego przez płataninę lin i potrząsam głową.

– Nienawidzi Corricka... – urywam i zastanawiam się, czy nie powinnam być bardziej formalna. – Nienawidzi księcia Corricka, ale nie sądzę, żeby stanowił problem dla całego statku. – Waham się przez chwilę. – Mówił mi, że latem dorabiał na nabrzeżu, może być chętny do pomocy, gdyby brakowało ci rąk do pracy.

– Nie... Nie to miałem na myśli. Pytałem, czy będzie sprawiał problemy tobie.

Och.

– Nie wiem – odpowiadam cicho.

Biorę wdech, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale głos więźnie mi w gardle. Nie jestem do końca pewna, co chciałabym mu przekazać.

Lochlan więził mnie i Corricka. Kazał nam brnąć w błocie na spotkanie tłumu, który chciał zabić najwyższego sędziego królewskiego.

Ale Lochlan nie miał wyboru. Zachowywał się okropnie, ale rozumiem, dlaczego to zrobił.

Przełykam i czuję ucisk w gardle.

Rian wpatruje się w moje oczy i wiem, że próbuje rozgryźć, jaki konflikt przynieśliśmy ze sobą na ten statek.

– A sam księżę? – pyta ostrożnym głosem.

To nie ja kazałam ci czekać.

Słowa, które wypowiedziałam do Corricka wypalają mi dziurę w sercu. Czuję, że znów się rumienię.

– Księciu leży na sercu dobro Kandali, nie będzie sprawiał problemów. Bardzo zależy mi na nowym źródle dostaw Księżycowego Kwiatu.

Rian pociera dłonią szczękę.

– Znów miałem na myśli ciebie – oznajmia delikatnie.

Wiatr szepcze teraz między nami; krótka przerwa między kolejnymi gwałtownymi podmuchami. Jesteśmy tak blisko, że niemal moglibyśmy wymienić się oddechem. Nie byłam przygotowana na takie pytania, zwłaszcza na szczycie masztu.

– Pamiętaj, że lecimy. Nikt nas tu nie usłyszy, możesz mówić szczerze.

– Mówiłabym szczerze także wtedy, gdybyśmy byli na pokładzie – odpowiadam.

– Naprawdę?

Czuję w piersi gorąc i ucisk. Nie wiem, co powiedzieć.

– Oczywiście.

Ale nie jest to wcale oczywiste.

– Widziałem, jak ludzie podskakiwali, kiedy król odzywał się przy kolacji. Widzę, jak patrzysz na księcia, zanim powiesz choćby słowo. – Waha się. – Jak już wspominałem, nie chciałbym powiedzieć niczego, co mogłoby cię narazić na niebezpieczeństwo.

– Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo! – rzucam gwałtownie, a potem się krzywię, bo nie podoba mi się, że wyładowuję emocje na nim.

Nie na niego jestem zła. Jednocześnie zastanawiam się, czy mówi prawdę.

Czy wyglądam, jakbym była zdana na łaskę i niełaskę Corricka i Harristana? Czy wyglądam, jakby groziło mi jakieś niebezpieczeństwo?

Wspomnienie Corricka trzymającego sztylet przy gardle mężczyzny w cukierni wryło się w mój umysł tak głęboko jak widok, który zastałam, gdy znalazłam go w ruinach Twierdzy po pierwszym ataku buntowników. Podciął wtedy gardła dwóm więźniom.

Cały czas myślę o ostrzeżeniach Lochlana w korytarzu – nagle wydają się zbyt trafne. Myślę o tym, jak Karri pochyliła się do mnie w cukierni i wyszeptała: „Nadal jest przerażający”.

Rian przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– W dokach krąży wiele plotek o dziewczynie o imieniu Tessa, która razem z mężczyzną o imieniu Wes wykradała Księżycowy Kwiat, żeby pomagać ludziom. Mówią, że była jedną z najdzielniejszych wyjętych spod prawa, jaką znali, że ryzykowała życie, żeby zakraść się do pałacu z wiadomością, że lek może być skuteczniejszy.

Nie dlatego się tam zakradłam, ale to lepsze niż przyznanie się, że miałam nadzieję zabić króla po tym, jak myślałam, że Wes został zabity przez księcia Corricka.

– Przyjmowali zbyt duże dawki – tłumaczę. – Próbujemy przekonać ludzi, że mniejszymi dawkami można zdziałać więcej, ale na razie nikt nie ufa Koronie.

– Ale ufają tobie. – Milknie na chwilę, jakby chciał, żeby dotarł do mnie sens jego słów. – Chociaż Wes i Tessa zniknęli z Dziczy. – Mówi to w taki sposób, jakby znał prawdę, ale książę nigdy nie potwierdził tego wprost.

Tamtej nocy wszystko działo się tak szybko, nikt nie byłby w stanie tego udowodnić.

Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Tobie naprawdę ufają – naciska Rian. – Nie tylko zwykli ludzie. Książę Corrick wziął cię ze sobą, żeby mieć pewność, że Księżycowy Kwiat z Ostriarii to ta sama roślina, która rośnie w Kandali. Strażnicy mówią, że zaskarbiłaś sobie wdzięczność i opiekę króla. Mam wrażenie, że to nie jest drobnostka.

– Nie – odpowiadam łagodnie. – Nie jest.

Przygląda się mojej twarzy.

– To, co słyszałem o tobie, bardzo różni się od plotek na temat najwyższego sędziego królewskiego. Na pewno rozumiesz moją obawę co do towarzystwa, w jakim się obracasz, i tego, czy nie grozi ci niebezpieczeństwo, czy jesteś u jego boku z własnej woli. Czy książę Corrick naprawdę wiesza ciała na bramach Sektora Królewskiego, żeby zniechęcić do kradzieży? – Nawet nie próbuje ukryć oskarżycielskiego tonu.

Nie mogę zaprzeczyć. Żałuję, że nie mogę. Nigdy nie zapomnę widoku tych ciał, sztyletów wystających z oczodołów, Księżycowego Kwiatu zdobiącego zwłoki zwisające w letnim słońcu. Czasem, gdy czuję zapach zgnilizny, powraca wspomnienie tego zapachu, bzyczenie much, strażników śmiejących się z przerażenia na mojej twarzy. Powraca wspomnienie paniki i smutku, gdy patrzyłam na ciało mojego przyjaciela wywieszane w ten sposób.

Corrick, myślę sobie. Corrick to zrobił.

Trup, którego widziałam, nie był Wesem, a człowiek, którego zwłoki go udawały, był prawdziwym przestępcą. Czasem muszę sobie o tym przypominać.

Ale Corrick chce być lepszy. Chce postępować lepiej. Mógł zabić napastnika w cukierni, ale tego nie zrobił – zamiast tego kazał go aresztować i zabrać do Twierdzy.

Choć przecież nie wiem, co zrobił z nim później.

– Zasmuciłem cię – słyszę głos Riana.

– Nie. – *A może jednak tak.* – Corrick próbował utrzymać porządek – próbuję go bronić ochryplym głosem. – Sektory... Konsulowie... – Przerывam i wzdycham

z frustracją. – Nie wiesz, jak to było. Każdy miał inne zdanie na temat tego, co jest słuszne.

– Czasem to, co słuszne, nie jest kwestią opinii. Jestem pewien, że ty nie uważałaś, że to, co robią, jest słuszne.

To nie jest pytanie. Mówi to tak, jakby to wiedział, jakby się z tym zgadzał.

– Nie. – Mój głos jest cichy jak szmer wiatru. – Nie uważałam.

– Trudno jest mieć przeciwko sobie ludzi, którzy czują, że nie mają nic do stracenia – zauważa. – Widziałem, co działo się w czasie wojny w Ostriarii.

No tak. Widział wojnę. My ledwie zdołaliśmy chwilowo powstrzymać rewolucję.

– W Kandali niewiele brakuje do wojny – wyznaję.

– Wiem. Mam nadzieję, że zdołamy to powstrzymać.

Zdołamy.

Mówi o sojuszu między Ostriarią a Kandalą, o wymianie stali na płatki Księżycowego Kwiatu. Jednak przez krótką chwilę, gdy jego oczy są tak blisko, brzmi to, jakby mówił o nas dwojgu – Rianie i Tessie.

Przez wiatr z trudem oddycham, a statek pochyła się to w przód, to w tył. Zaciskam mocniej palce na linie, zamykam oczy i przełykam.

Rian kładzie swoją dłoń na mojej, jego dotyk jest ciepły i daje poczucie bezpieczeństwa.

– Spokojnie – mruczy. – Nic ci nie grozi. Nie spadniesz.

– Ahoj, kapitanie! – dobiega nas z dołu kobiecy głos.

Gwałtownie otwieram oczy.

Po chwili rozlega się głos mężczyzny:

– Utknęła czy masz zamiar ją tam przywiązać?

Ktoś wybucha śmiechem, Rian też się uśmiecha.

– Moja załoga się obudziła.

Rumienię się, kiedy dociera do mnie, jak blisko siebie się znaleźliśmy.

– Chyba powinniśmy zejść.

Potakuje głową, ale nie rusza się z miejsca.

– Zwykle jestem pierwszy na pokładzie, panno Cade. Jeśli chciałaby mi pani towarzyszyć przy sprawdzaniu takielunku także jutro.

Biorę głęboki wdech i patrzę mu w oczy.

– Oczywiście, kapitanie Blakemore, z przyjemnością pomogę.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Corrick

Kiedy budzę się po raz drugi, przez okno nad moim łóżkiem do kajuty wpada światło. Nie widać słońca, ale niebo jest jasne, a brzeg tak odległy, że wydaje się tylko złudzeniem. Statek kołysze się w rytmie fal błyszczących w promieniach.

Przecieram oczy. Mam nadzieję, że moja rozmowa z Rocco w środku nocy była tylko snem i że spałem do tej pory.

Ale tak nie było.

Jak długo mój brat mnie podejrzewał?

Tylko ostatnie kilka miesięcy.

Kilka miesięcy. Przez cały ten czas Harristan nie zdradził się nawet słowem.

Nie powinno mnie to aż tak dotknąć. Prawdę mówiąc, powinien był mnie podejrzewać przez całe lata.

Zostawił mnie w Twierdzy na cały dzień. Zaczynam się zastanawiać, czy nie wsadził mnie na ten statek, żeby się mnie pozbyć równie skutecznie, jak Lochlana.

Ale przecież zakradł się do mojego powozu, zanim odpłynęliśmy. Groził kapitanowi, ni mniej, ni więcej. Zapakował mi swój kaftan, po którego klapie przeciągam palcem.

Chciałbym móc porozmawiać teraz z bratem. Czuję zbliżający się ucisk w gardle, więc biorę głęboki wdech. Zachowuję się idiotycznie. Nie jestem małym chłopcem.

Chcę porozmawiać z Tessą, ale jak na ironię te drzwi też zamknąłem.

Stawy bołą mnie z niewyspania. Może tym razem to rzeczywiście kac.

Powinienem po prostu pójść zrobić awanturę Lochlanowi i mieć to za sobą. Albo kapitanowi, on na pewno gdzieś tu krąży. To chyba przyniosłoby mi większą satysfakcję.

A może po prostu jestem głodny.

Cokolwiek nie zdecyduję, będę musiał wyjść z kajuty. Wyjmuję z kieszeni zegarek i odkrywam, że jest tuż przed południem. Jak na mnie, to bardzo późna pora. Powinienem był kazać się obudzić któremuś ze strażników.

Myję twarz i przyglądam się sobie uważnie w lustrze. Nagle uderza we mnie świadomość, że powinienem się też ogolić. To mój pierwszy dzień, a właściwie pierwszy poranek na pokładzie statku. Nie powinienem dać poznać po wyglądzie, jak się czuję.

Myślę o tym, żeby schować kaftan do skrzyni, ale mam wrażenie, jakby wołał moje imię, więc zapinam klamerki. Kiedy wychodzę z kajuty, kaftan jest zapięty pod szyję i wygląda schludnie, a moje rozszalałe myśli zostały zamknięte na klucz. Najwyższy sędzia królewski, Krwawy Corrick, jest gotowy stawić czoła wyzwaniom nadchodzącego dnia.

Kilbourne stoi w korytarzu przy schodach, ale widząc, że wyszedłem, rusza w moją stronę.

– Wasza wysokość.

– Kilbourne.

Nie mam wątpliwości, że strażnicy omówili każdą sekundę wydarzeń mających miejsce w ciągu ostatnich dwunastu godzin, ale są zbyt zdyscyplinowani, by wspomnieć mi o tym prosto w twarz. Mimo to, kiedy Kilbourne idzie w moją stronę, przypomina mi się rozmowa, jaką odbyłem o świcie z Rocco.

Który z was miał mieć mnie na oku?

Zastanawiam się, czy nie Rocco.

Myśli walczą ze sobą, kiedy Kilbourne podchodzi i staje na baczność.

– Mogę przedstawić poranny raport – oznajmia.

– Mów.

– Silas jest na pokładzie, znajdują się tam też Lochlan i Tessa. Rocco zszedł ze służby o szóstej. Zmieni jednego z nas w południe, chyba że wasza wysokość życzy sobie, żebym obudził go wcześniej.

Lochlan. Przypominam sobie, jak złowieszczo zawisł nad Tessą w korytarzu.

– Lochlan jest razem z Tessą na pokładzie? Mają ze sobą kontakt?

– Nie wiem. Wybrano mnie do pilnowania korytarza.

Bo ja spałem.

Krzywię się. Jestem głodny i poirytowany, a w dodatku mam poczucie, jakbym całkowicie stracił kontrolę nad wszystkim, co ważne w moim życiu.

Znajduję się na środku Rzeki Królowej i zmierzam ku... nie wiadomo czemu.

– Panna Tessa wstała jeszcze przed Lochlanem – ciągnie Kilbourne. – Ze schodów widać kawałek głównego pokładu, dlatego widziałem, jak wcześniej rano wchodziła na takielunek z kapitanem Blakemorem, ale teraz większość załogi jest już na nogach. Nie sądzę, żeby groziło jej coś ze strony Lochlana.

– Zaraz... Powiedziałaś, że wspinała się na takielunek?

– Tak, wasza wysokość. – Przerywa na chwilę, jakby zastanawiał się nad następnymi słowami. – Chyba oboje dobrze się przy tym bawili.

Znów robię gniewną minę. Mam ochotę pognać na pokład i domagać się odpowiedzi, ale wiem, że to tylko wzmocni wrażenie, że mnie to obchodzi.

Jak to powiedział Rocco wczorajszej nocy?

Niech wasza wysokość postara się przyjemnie spędzać czas.. Im dłużej są przekonani, że jesteśmy przychylni tej podróży, tym więcej się dowiemy.

Dobrze. Najważniejsza jest Kandala. Mogę stłumić własne uczucia, w końcu robię to od lat.

Poprawiam kaftan i spoglądam na Kilbourne'a. Staram się, żeby mój głos brzmiał beztrudnie, jak gdybym nie miał na głowie najmniejszego zmartwienia.

– Na pewno na tym statku jest jakaś kuchnia. Wiesz gdzie?

– Tak, wasza wysokość.

– Doskonale. Jadłeś już? Ja umieram z głodu.

Kuchnia znajduje się z przodu statku, dokładnie po przeciwnej stronie niż nasze kajuty i jeden poziom niżej.

Zbliżając się, czujemy zapach wędzonej ryby i kwaśnego piwa, ale przede wszystkim słodki, ciepły aromat pieczonego ciasta. Kiedy wychodzimy do środka, okazuje się, że kuchnia to coś znacznie więcej niż tylko kilka pieców wbudowanych w ścianę i kuchenka po przeciwnej stronie. Nie ma tu okien, więc jest przesadnie ciepło, przez co na moim czole natychmiast zaczyna zbierać się pot. Garnki, patelnie i inne przybory kuchenne rozwieszano dookoła, także nad stołami i ławkami przybitymi do podłogi.

Kobieta w średnim wieku z surowym wyrazem twarzy właśnie wyjmuje z pieca blachę pełną bułeczek. Obok niej przy jednym ze stołów siedzi dziewczyna i sieka warzywa korzenne. Ma najwyżej siedem lat, ale posługuje się nożem z precyzją chirurga. Kiedy jej wzrok pada na mnie i mojego strażnika, nóż w jej dłoni zastyga na chwilę w bezruchu, po czym panienska bez słowa wraca do swojego zajęcia. Między jej brwiami tworzy się delikatna bruzda, a jej usta niemal niewidocznie się wykrzywiają.

Cudownie. Nawet nie wiem, co zrobiłem, żeby zniechęcić do siebie to dziecko, ale jakoś mi się udało.

Kobieta stawia blachę na oprószonym mąką blacie przed sobą, a następnie dyga bez większego przekonania.

– Wasza wysokość. – Ociera pot z czoła, ledwie na mnie zerkając. – Pewnie życzy pan sobie śniadanie?

Także brzmi, jakby była zła. Marszczę czoło.

W Kandali nikt nie zwraca się do mnie w ten sposób. Nie czuję się szczególnie urażony, ale wyprowadza mnie to z równowagi. Nie wiem, co mam robić. Przecież wszyscy nie mogą złościć się na mnie tylko dlatego, że nie podlizuję się ich

kapitanowi. Może potrzebujemy Księżycowego Kwiatu, ale to on przypląnął do nas prosić o stal.

– Prawdę mówiąc, tak. – Przerywam, zastanawiając się, kiedy Rocco wstanie i będzie mógł zjeść śniadanie. – Dla moich strażników też.

– Posprzątałam po śniadaniu dwie godziny temu. Teraz przygotowuję obiad.

– W takim razie prosimy o obiad.

– Będzie gotowy za godzinę. – Wyjmuje z szafki jajka i wbija je do miski.

Dziewczynka spogląda na mnie z niechęcią wymalowaną na twarzy i sieka warzywa ze zdwojoną energią.

– Naprawdę złości się pani, że nie przyszedłem na czas na śniadanie?

– Złoszczę? – Wybucham ponurym śmiechem, jakbym okazał się niewyobrażalnie bezczelny. – Mam sześć dodatkowych gęb do wykarmienia. Jestem zajęta. – Zaczyna szybko ubijać jajka.

Próbuję sobie wyobrazić Harristana traktowanego w ten sposób, lecz nie jestem w stanie. Z drugiej strony nie potrafię sobie też wyobrazić mojego brata chlejącego brandy o trzeciej nad ranem z powodu dziewczyny. Harristan byłby na śniadaniu o właściwej porze.

Mógłbym poszukać kapitana i się poskarżyć, a on pewnie kazałby jej przygotować dla mnie śniadanie, ale nie zyskałbym sobie tym przychylności nikogo z załogi. Wydaje mi się, że nie warto robić sobie wroga z kucharki. Jestem też pewien, że od kapitana usłyszałbym jakiś przytyk czy żart, który wprawiłby mnie w zakłopotanie. Nie mam na to ochoty.

– Jak ma pani na imię? – pytam kobietę.

– Dabriel – odpowiada, po czym pokazuje głową dziewczynę – a ona to Anya. Nie lubi obcych. – Wymawia słowo „obcych”, jakbyśmy byli piratami, którzy napadli na statek.

Dziewczynka zerka na mnie ponuro, ale nic nie mówi, tylko nadal zręcznie kroi warzywa. Na jej przedramionach widzę wiele blizn. Proste, równe linie, które na pewno są śladami po ostrzu.

– To twoja córka? – zagaduję.

– Nie moja. Gwyn.

Gwyn. Więc ta dziewczynka jest córką porucznik Tagas. To o niej mówił Rocco, że może być naszą kartą przetargową. Przez chwilę uderza mnie brutalna praktyczność tej sugestii. Myślałem, że miał na myśli członka załogi, nie zdawałem sobie sprawy, że chodzi o dziecko.

Jako najwyższy sędzia królewski byłem zmuszony robić różne straszne rzeczy, ale nigdy nie skrzywdziłem dziecka. Jestem pewien, że krąży niejedna plotka o tym, jak to

rzekomo gotowałem dzieci żywcem, ale szczerze mówiąc, w ogóle nie miałem zbyt wiele do czynienia z dziećmi. Po części jest to zasługa mojej reputacji, a po części zimnego zdystansowania mojego brata. Tak czy owak, dzieci rzadko bywały w pałacu.

Co innego w Dziczy, gdzie mogłem udawać Westona Larka. Znałem tam dziesiątki rodzin i pewnie z setką dzieci. Dla niejednego pomagałem kopać grób, gdy lek nie wystarczył.

Być może Anya wyczuwa mój nagły niepokój, bo podnosi wzrok i patrzy na mnie oceniająco ciemnymi oczami. Nie powinienem być miły na wypadek, gdyby ostrzeżenia Rocco miały się ziścić, ale już zaczyna mnie zżerać poczucie winy.

– To na obiad? – pytam dziewczynkę.

Waha się przez chwilę, potem kręci głową.

W takim razie na pewno kroi je na kolację, przechodzi mi przez myśl, mówię jednak co innego:

– Aha. Więc pewnie przygotowujesz posiłek dla ryb. Wyrzucasz warzywa za burzę, żeby podtuczyć rybki?

Patrzy na mnie, jakby nie była pewna, czy jestem szalony, czy głupi. Dabriel zerka na mnie w sposób, który jasno wskazuje, że uważa, iż jedno i drugie.

Anya znów kręci głową.

– To może karmisz nimi mewy? O ile mi wiadomo, mewy nie lubią marchewek.

Na jej ustach pojawia się delikatny uśmiech.

– To na kolację – szepcze.

– Będziemy mieć na kolację mewy?! – wołam z udawanym przerażeniem.

Teraz jej twarz rozjaśnia pełny uśmiech.

– Nie! Marchewki.

– Aha, na kolację będą tylko marchewki.

– Nie tylko marchewki. Są też ziemniaki. – Rozkłada ręce, jakbym nie mógł zobaczyć równiutko pokrojonych warzyw na stole. – A Dabriel przyrządza rybę.

– Aha. więc ty jesteś główną kucharką. Powinienem był się domyślić. – Z uznaniem kiwam głową. – Doskonale radzisz sobie z nożem. Teraz wszystko jasne. To ciebie powinienem był poprosić o śniadanie.

Chichocze i bierze do ręki kawałek marchewki.

– Proszę.

– Mój strażnik też jest bardzo głodny. Możesz ją przekroić na pół.

Wybuch głośnym śmiechem i podaje mi drugi kawałek.

Biorę oba i dziękuję skinieniem głowy.

– Jestem pani dozgonnie wdzięczny, panno Anyu. Obiecuję nie spóźnić się jutro na śniadanie.

Uśmiecha się szeroko, a ja się odwracam i wyciągam rękę do Kilbourne'a, żeby podać mu „śniadanie”.

Teraz to on patrzy na mnie jak na wariata.

– Zamknij usta, Kilbourne – rzucam.

Wypełnia polecenie i bierze kawałek marchewki.

– Weź oba – mówię, gdy odwracamy się do drzwi. – To przeze mnie nie jadłeś śniadania.

– Wasza wysokość! – woła za moimi plecami Dabriel.

Odwracam się. Dobrze, że mam dobry refleks, bo rzuca w moją stronę jabłko, a potem ciepłą bułkę z blachy.

– I dla pana strażnika – mówi, rzucając drugi zestaw.

Kilbourne łapie je w powietrzu.

– Wielkie dzięki – zwraca się do niej.

– Ja też dziękuję – dodaję.

– Tylko niech wam to nie wejdzie w krew.

Nie uśmiecha się, ale ja tak. To małe zwycięstwo, ale po raz pierwszy, odkąd wszedłem na ten statek, mam poczucie, że zrobiłem coś, jak należy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tessa

Kiedy załoga już się obudziła, na pokładzie zrobiło się tłoczno i gwarno. O świcie dookoła panowała cisza, wiatr trzepotał żaglami, a pod nami rozciągała się tylko woda. Trudno było sobie wówczas wyobrazić, że będzie aż tyle do zrobienia, ale kiedy ludzie Riana zabierają się do pracy, zaczynam się zastanawiać, jak w ogóle znajdują czas na sen. Trzeba zszyć rozdarte żagle, naprawić olinowanie w miejscach, które odkrył rano kapitan. Trzeba skorygować ustawienie żagli, zależnie od zmian kierunku wiatru i prądów. Szybko się orientuję, że liny są ze sobą połączone i jeśli poluzuje się jedną, trzeba mocniej naciągnąć drugą.

Moja oferta pomocy była jak najbardziej szczerą, ale to oczywiste, że ta załoga bardzo się ze sobą zżyła i przyzwyczaiła do wspólnej pracy. Nie widać tu miejsca dla kogoś z zewnątrz, zwłaszcza kiedy jest tyle do zrobienia.

Kiedy Rian wezwał Gwyn i Marchona do kajuty kapitańskiej, oczywiste stało się, że mają coś ważnego do omówienia, a ja nie chciałam im przeszkadzać. Przez okna widziałam, jak pochylali się nad mapami, robili notatki. Byłam pewna, że rozmawiali także o nas, nie umknęło mi, jak zerkali co jakiś czas w moją stronę.

Obserwuję teraz załogę, nasłuchuję kaszlnięć i chrypki, zastanawiając się, czy ktokolwiek będzie narzekał na dreszcze albo zmęczenie. Nie spędzili w Kandali zbyt wiele czasu, ale nadal się obawiam, że gorączka może zaatakować kogoś na statku. Cieszę się, że nie dostrzegam żadnych oznak mogących budzić mój niepokój.

Mężczyźni, którzy kłócili się na pokładzie wczoraj wieczorem, to Brock i Tor. Wygląda jednak, że wcale nie pałają do siebie nienawiścią – po prostu lubią się sprzeczać. Cały ranek zdrapują rdzę z łańcuchów i zarzucają sieci rybackie, a potem pomagają innym wciągać zawartość sieci na pokład.

Wreszcie też pojawia się Lochlan. Na jego widok spinam się z obawy, że znów zacznie się mnie czepiać, ale on prawie na mnie nie patrzy. Bierze ode mnie przeznaczoną dla niego dawkę leku, a kiedy widzi załogę pracującą na pokładzie, postanawia do nich dołączyć.

Jemu chyba nietrudno się wpasować.

Następnie patroszy się ryby, naprawia sieci, sprzęta pokład. Przez cały ten czas nie widzę Corricka ani innych strażników poza Silasem, który zajmuje miejsce na dziobie statku – pewnie po to, żeby mieć wszystko na oku.

Około południa fale się wzmagają. Czasem któraś rozbija się o burtę, zmuszając mnie, bym stanęła bliżej masztu w obawie, że mogę zostać zmyta z pokładu. Zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby zejść do kajuty.

Wtedy rozlega się wołanie jednego z mężczyzn, inny przeklina, zaczyna się zamieszanie. Wszyscy, którzy patroszyli ryby, zrywają się na nogi. W powietrzu czuć napięcie.

Na początku nie wiem, o co chodzi, aż widzę, jak Lochlan popycha Brocka w pierś.

Mężczyzna odzyskuje równowagę, ale nie podejmuje walki. Mówi coś, ale nie słyszę jego słów, natomiast dostrzegam, że w ręce trzyma nóż do patroszenia ryb.

Lochlan znów go popycha. Brock ma zaciśnięte zęby, poprawia chwyt na rękojeści noża.

Serce podchodzi mi do gardła. Jedyne, o czym potrafię myśleć, to Rian pytający Corricka, czy jego ludzie będą sprawiać problemy. Nie spędziliśmy na statku nawet jednego pełnego dnia.

– Hej! – wołam, idąc przez pokład i modląc się, żeby nie stracić równowagi. – Silas!

Ale Silas sam zauważył, co się dzieje, i już zmierza w ich stronę. Słyszę za sobą ciężkie kroki, ale nie zdaję sobie sprawy, że to kapitan Blakemore, dopóki nie chwytą mojej ręki, żeby mnie zatrzymać.

– Spokojnie. Nie rób afery – uspokaja mnie.

– Będą się bić...

– Na moim statku nikt się nie bije. Nie w ten sposób. – Gwiżdże i połowa załogi zastyga w bezruchu, zaskoczona.

Szybko wymieniają między sobą spojrzenia, a wielu robi krok w tył, odsuwając się od Brocka i Lochlana, stojących naprzeciw i patrzących na siebie ze wściekłością. Nawet Silas waha się z ręką na broni.

– Brock – syczy przez zęby Tor. – Brock, to kapitan.

Mam wrażenie, jakby Rian miał jakąś czarodziejską moc, bo Brock mruga wolno, potem podnosi wzrok i całe napięcie znika.

– Przepraszam, kapitanie. – Wskazuje głową w stronę Lochlana. – Tylko żartowaliśmy. Nie wiedziałem, że jest taki drażliwy.

Lochlan bierze głęboki wdech. Nadal ma zaciśnięte pięści, jest gotowy do walki. Spodziewam się, że Brock zrewanżuje mu się podobną reakcją, ale tego nie robi. Cofa się o krok i schodzi mu z drogi. Widzę jednak, że Lochlan nie ma zamiaru odpuścić.

– Lochlan. – Głos Riana jest cichy i spokojny, ale w jego tonie jest coś, co sprawia, że nie można go zignorować. Pewność. Stanowczość.

Najwyraźniej Lochlan także to czuje, bo zaciska zęby i podnosi wzrok. Nie wiem, czy spodziewa się bury, czy kary, ale w jego oczach widać taką samą wojowniczość, z jaką

patrzy na Corricka.

– Co?

– Widziałem, jak pomagałeś przy naciąganiu lin. – Przerywa, patrząc na nadgarstek Lochlana, który jest nadal zabandażowany po złamaniu. – Ręka nie boli?

Buntownik najwyraźniej nie spodziewał się takiego pytania, bo mruga, zaskoczony.

– Nic mi nie jest, mogę pracować.

– Każda pomoc się przyda. Dopilnuję, żebyś dostał wynagrodzenie. – Rian patrzy na pozostałych. – A wy lepiej skończcie oprawiać ryby albo będziecie mieć do czynienia z Dabriel.

Miałam do czynienia z kucharką tylko przez chwilę dziś rano, jednak groźba spotkania z nią musi być jednocząca, bo wszyscy z pomrukiem obchodzą Lochlana i wracają do swoich zajęć, nawet Brock. Wydaje się, że napięcie zniknęło.

Lochlan stoi pomiędzy nimi, ale na jego twarzy nie ma już agresji. Spogląda to na załogę, to na kapitana, jakby nie wiedział, co teraz powinien zrobić.

Tor podnosi na niego wzrok.

– Chodź, stary, opowiem ci, jak Brock próbował zaprosić jedną ślicznotkę do tańca i omal nie zesrał się w gacie. Na samym środku parkietu. Od razu wszystkich wymiotło.

Brock bierze nóż i wzdycha, jak ktoś, kto słyszał tę zawstydzającą historię zbyt wiele razy.

– Jest tutaj dama, Tor.

– To była twoja wina. Ostrzegałem, żebyś lepiej nie pił tego przyprawionego rumu na Iris. – Spogląda na mnie i wykrzywia twarz. – Przepraszam, panno Cade.

Lochlan siada niepewnie obok, ale bierze rybę i nóż, który podaje mu inny członek załogi, po czym spogląda na Riana.

– Dziękuję, kapitanie. – Zawiesza głos. – Przepraszam za zamieszanie.

Zamieram. Chyba pierwszy raz słyszę szczerą przeprosiny z ust Lochlana.

– Nie ma sprawy – odpowiada Rian beztroskim głosem, w którym wyraźnie słychać, że docenia przeprosiny.

Mam ochotę się na niego pogapić i chyba właśnie to robię.

W końcu odwraca się od swojej załogi.

– Panno Cade, cieszę się, że jest pani nadal na pokładzie. Zastanawiałem się, czy...

– Musiał zauważyć mój wyraz twarzy, bo urywa w pół zdania. – Co?

– Ja... tylko... – Nie potrafię skleić zdania. – Myślałam, że się pozabijają. Jak pan zdołał to powstrzymać?

Wzrusza ramionami, a następnie wygłasza beztroskim tonem:

– Po prostu urażona duma, jak to między mężczyznami.

Przyglądam mu się, myśląc o tych wszystkich sytuacjach, kiedy dochodziło do konfrontacji między Corrickiem a Lochlanem. To książę złamał mu nadgarstek, ale jakoś nie wydaje mi się, żeby to był dobry moment, by dzielić się tą informacją z kapitanem.

Ściszam głos.

– Nigdy nie widziałam, żeby Lochlan odpuścił. Myślałam, że będziesz musiał... – Szukam w głowie kar, jakie podobno stosuje się na statkach. – Nie wiem, przykuć go do dziobu statku.

Rian reaguje cichym śmiechem, ale widać, że nie widzi w tym niczego zabawnego.

– I ty się dziwisz, dlaczego się boję, że narażam cię na niebezpieczeństwo?

– Co?

– Domyślam się, że twój najwyższy sędzia królewski przykułby go do dziobu, a może jeszcze coś gorszego. I za co? Za to, że dał się wyprowadzić z równowagi przez kilka kąśliwych uwag? – Spogląda na swoją załogę.

Teraz Lochlan śmieje się z czegoś, co powiedział Tor.

– Wypłynęliśmy z portu ledwo jeden dzień temu. Jeśli zacznę wieszać ludzi, podróż stanie się nieprzyjemna. Dla moich ludzi i twoich.

Zastanawiam się nad tym, jak jego załoga powróciła do swoich prac bez ociągania. O tym, jak powiedział: „Na moim statku nikt się nie bije”. Nawet ja byłam gotowa się przerwać walkę, odruchowo wołając Silasa. Tymczasem Rian rozładował całe napięcie kilkoma słowami.

To nie tylko kwestia lojalności. Jego ludzie mu ufają.

Chyba zaraz znów się zarumienię, tak samo jak dziś rano na maszcie. Odwracam wzrok w chwili, kiedy statek gwałtownie pochyla się w przód i w tył. Biorę gwałtowny wdech, odruchowo wyciągam rękę i chwytam go za ramię. Jest ciepłe i silne pod moimi palcami. Znów przypominam sobie, jak wpadłam na niego ubiegłej nocy w deszczu.

Wtedy sobie przypominam, że przed chwilą zaczął coś mówić.

Muszę odkrztusić.

– Co... Nad czym się zastanawiałeś?

– Właśnie, kapitanie... – po prawej stronie słyszę głos Corricka – nad czym się pan zastanawiał?

Oczywiście.

Odwracam się i patrzę na księcia. Ubiegłej nocy spojrzenie Corricka było nieco dzikie. Wszystkie emocje miał wymalowane na twarzy.

Dziś jest zamknięty i surowy, jak zawsze. Ma na sobie skórzany kaftan, sięgający do bioder, w tak ciemnym brązowym kolorze, że jest prawie czarny. Każdy guzik

i klamerka zostały skrupulatnie zapięte. Wyraziste niebieskie oczy księcia patrzą beznamiętnie. Przypominam sobie, jak wziął mnie w ramiona i przeszywa mnie dreszcz.

Po tamtym Corricku nie ma śladu.

Nie wiem, co powiedzieć, minęło zbyt wiele czasu. Czy powinnam go przeprosić? Czy on powinien przeprosić mnie?

Wyraz jego twarzy się nie zmienia, ale widzę delikatny ruch oczu, kiedy dostrzega moją dłoń na ramieniu Riana. Luzuję palce zaciśnięte na rękawie kapitana.

– Sablo rozciął sobie rękę o takielunek – mówi Rian. – Odmawia szycia, ale jako że mamy na pokładzie zielarkę, powiedziałem, że poproszę, żebyś spojrziała na ranę... – Przerzywa i zerka na Corricka. – Jeśli wasza wysokość wyrazi zgodę.

– To zależy od Tessy – odpowiada Corrick.

– Oczywiście – mówię.

Sablo. Przypominam sobie potężnego mężczyznę z rudą brodą, który był na kolacji. Nie mówi. Dopiero teraz dociera do mnie, że nie widziałam go dziś na pokładzie.

– Zawsze bierze nocną wachtę – mówi Rian. – Ale powinien się już obudzić. Możemy do niego zejść. – Spogląda chłodno na Corricka. – Wasza wysokość może pójść z nami.

Księżę przygląda mu się z takim samym chłodem.

– Doprawdy?

– Chodźmy do Sablo – proponuję radośnie, zanim rozpocznie się między nimi kłótnia. – Muszę tylko pójść do mojej kajuty po torbę.

– Odprowadzę cię – oświadcza Corrick. – Zapewne kapitan chciałby uprzedzić swojego oficera. A w międzyczasie panna Cade będzie mi mogła opowiedzieć o wydarzeniach z poranka.

Panna Cade najchętniej wróciłaby na maszt.

Rian spogląda na mnie, jakby szukał potwierdzenia, a ja po chwili wahania potakuję głową.

– Może spotkamy się tutaj? – wysuwam. – Albo w kajucie Riana, to znaczy kajucie kapitańskiej? Jeśli będzie potrzebne szycie, przyda się więcej światła.

– Oczywiście.

Corrick podaje mi ramię.

Wcale nie chcę go przyjąć, a dla niego ten gest i tak pewnie nic nie znaczy. Zwykłe dworskie maniery. Ale dla mnie to coś osobistego. Intymnego.

Tak wiele zmieniło się między nami w ciągu jednego wieczoru. W przeciwieństwie do założenia szwu na rękę, nie wiem, jak naprawić to.

Ostrożnie kładę dłoń na jego rękawie, przez co przypomina mi się pierwszy dzień w pałacu, kiedy był moim najgorszym koszmarem i moim największym sprzymierzeńcem w jednej osobie. Kiedy się odwracamy, czuję na sobie wzrok załogi, ale nie mogę się na tym skupić. Cała moja uwaga koncentruje się na idącym obok mnie księciu, którego uczucia są dla mnie jedną wielką tajemnicą. W każdym razie większość z nich. Jego uczucia w stosunku do kapitana nie są *żadną* tajemnicą.

Ledwo znaleźliśmy się na schodach i poza zasięgiem słuchu pozostałych, odzywam się szeptem:

– On właśnie zapobiegł awanturze na pokładzie, tymczasem ty omal nie rozpoczęłaś kolejnej.

– Mnie też miło panią widzieć, panno Cade – oświadcza Corrick, bynajmniej nie szeptem. – Jak dla mnie to ty właśnie próbujesz wywołać awanturę.

Robię gniewną minę.

– Absolutnie nie. – Staram się mówić jak najbardziej opanowanym głosem, ale brzmię tak, jakbym go przedrzeźniała. – Dzień dobry, wasza wysokość.

– Mówiąc „on”, masz na myśli Riana? – Teatralnie zawiesza głos. – Och, wybacz, kapitan Blakemore’a.

Moje policzki robią się czerwone, zupełnie wbrew mojej woli. Puszczam jego ramię.

– A jakiej to awanturze właśnie zapobiegł? – pyta Corrick.

Jego głos jest nieco mniej zimny i pobrzmiwa w nim szczerą ciekawość.

– Lochlan wdał się w małą sprzeczkę.

Corrick spogląda w górę.

– No co ty nie powiesz.

– Wygląda na to, że rozpoczął ją jeden z członków załogi.

– Widzisz? Wcale nie muszę wyrzucać go za burtę. Prędzej czy później zrobi to za mnie kapitan.

Marszczę czoło i nic nie odpowiadam.

– Żartuję – dodaje po chwili.

– Cóż, wybacz, że nie jestem tego pewna.

Idziemy do moich drzwi, po czym jako pierwsza przekraczam próg swojej kajuty.

Corrick wchodzi za mną i zatrząskuje za sobą drzwi, oddzielając od nas Kilbourne’a stojącego w korytarzu. Opiera się plecami o drzwi i splata ramiona na piersi. Wygląda mrocznie i niebezpiecznie, jak zawsze.

Ignoruję go, lecz on nie odpłaca mi tym samym.

– Kilbourne powiedział, że wchodziłaś dziś rano na maszt z kapitanem.

– Owszem.

Biorę swoją torbę zielarską leżącą na brzegu łóżka i jeden z miętowych cukierków od Karri. Naprawdę przyszedłem tu tylko po torbę, ale Corrick nadal stoi przy drzwiach.

Prostuję się i patrzę na niego.

– Kapitan sprawdzał żagle, byłem ciekawa, jak się to robi. Tak trudno w to uwierzyć?

– Że byłaś ciekawa czy że byłaś nieustraszona?

– Jedno i drugie.

– Widziałem, jak powstrzymałaś rewolucję. – Przytrzymuje moje spojrzenie. – Bez trudu uwierzę w jedno i w drugie.

Coś w jego głosie sprawia, że drżę.

– Nie lubisz go – mówię. – Nie rozumiem dlaczego.

– To, czy go lubię, czy nie, jest bez znaczenia. Nie jestem pewien, czy można mu ufać.

– Ty nie ufasz nikomu – odpowiadam ze złością.

Te słowa dotyczą go w sposób, jakiego się nie spodziewałam. Nie jestem pewna, skąd to wiem, ale tak jest. Może widzę to w delikatnym błysku bólu w oczach. Jakby otrzymał cios, na który nie był przygotowany.

– Nie chciałam cię obrazić, wasza wysokość. – Mówię to łagodnym głosem, ale widzę drgnięcie mięśnia jego szczęki i żałuję, że tak go nazwałam.

Nic nie odpowiada.

Nagle dociera do mnie, że mogłam właśnie dołączyć do listy osób, którym nie ufa.

Poklepuję ręką torbę.

– Powinniśmy iść na górę.

Prostuje się, po czym otwiera drzwi.

Dżentelmen, jak zawsze.

– Proszę przodem, panno Cade.

Kiedy chcę go minąć, książę łapie mnie za rękę i zatrzymuje w miejscu. Wstrzymuję oddech, serce zaczyna mi walić, ale jego dłoń na moim rękawie jest delikatna i ciepła.

– Zaczekaj – mówi cicho. – Proszę, Tesso.

To samo mówił wczoraj, ale nie posłuchałam. Byłam zbyt zawstydzona. Zbyt zakłopotana. Zbyt zła. Dzisiaj się zatrzymuję i podnoszę na niego wzrok.

Oczy księcia wwiercają się w moje, ale jego głos jest cichy, spokojny i oficjalny.

– Pozwoliliśmy Lochlanowi płynąć, bo Harristan uznał, że będzie to gest dobrej woli... i dzięki temu Lochlan nie będzie mógł zorganizować kolejnego ataku pod moją nieobecność. – Bierze powolny wdech. – Więc do pewnego stopnia ma rację, że nasze pobudki nie były do końca altruistyczne, ale nie zaprosiłem go na statek, żeby go zabić. Wczorajszej nocy byłem zdenerwowany całą tą podróżą, pełen obaw co do

motywów kapitana, mojego brata i jego... Cóż... – Marszczy czoło i przeciąga ręką po włosach. – Kiedy zobaczyłem stojącego nad tobą Lochlana, dałem się ponieść emocjom. Przepraszam. Wybacz mi, proszę.

To dobra mowa i wierzę w każde jego słowo. Przeprosiny są przejmujące, bo wiem, że płyną z serca. Ale nie mogę przestać myśleć o słowach, które Rian powiedział dziś rano: „Lochlan też jest jednym z jego ludzi, prawda?”. Ani o tym, jak Lochlan szybko się wycofał, gdy pozwolono mu zachować twarz, zamiast buntować się przeciwko mrocznym groźbom i uzbrojonym strażnikom. Nawet Kilbourne rzucił nim o ścianę wczorajszego wieczoru.

Nie potrafię uporządkować myśli, bo sama wczoraj bałam się Lochlana. Ale wiem, jak to jest być przypartym do ściany. To nie jest tak naprawdę żaden wybór, jeśli ma się przed sobą tylko złe i jeszcze gorsze wyjście. Powiedziałam kiedyś królowi, że rozniecałabym rewolucję ramię w ramię z Lochlanem, gdybym nie znalazła się w pałacu z Corrickiem. Powstrzymaliśmy wojnę, ale wzajemna wrogość i pogarda nie zniknęły.

– Musisz jakoś się z nim dogadać – zauważam.

– Jestem dla kapitana nad wyraz serdeczny.

– Mam na myśli Lochlana.

– Dlaczego. – To nawet nie jest pytanie.

– Bo zawlokłeś go na ten statek, żeby nie sprawiał problemów. Równie dobrze mogłeś go zamknąć w Twierdzy. Jeśli chcesz naprawić sytuację w Kandali, ty i twój brat musicie przestać wsadzać swoich przeciwników do więzienia.

Wpatruje się we mnie, zaskoczony, ale wrywam rękę, nim zdąży coś powiedzieć. Muszę zająć się pacjentem. I muszę uwolnić się od przeszywającego spojrzenia księcia. Kiedy stoimy w półmroku, za bardzo przypomina mi Westona Larka, który był życzliwy, dobry i nigdy nikogo by nie skrzywdził.

Jak zwykle muszę sama sobie przypomnieć, że Wes był częścią człowieka stojącego przede mną. Że jest w nim to dobro.

Ale tylko częściowo.

Czasem boję się, że to za mało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Corrick

Bycie najwyższym sędzią królewskim nigdy nie było *łatwe*, ale kiedy przebywałem w pałacu, mogłem odliczać kolejne minuty, wiedząc, że w końcu wskazówki zegara dotrą do miejsca wskazującego świt i będę mógł uciec do Dziczy razem z Tessą.

Nawet kiedy nasze potajemne wyprawy się skończyły, bo Tessa też znalazła się w pałacu i zaczęliśmy szukać nowego rozwiązania, mogłem sobie wmawiać, że coś zmieniamy, że wszystko będzie inaczej, że razem zdołamy coś naprawić.

Ale dni mijały, a prawdziwa zmiana wydawała się powolna i nieskuteczna potencjalnie niemożliwa. Jak spotkanie, na którym Lochlan rzucił się przez stół na konsula Sallistera. W Dziczy przynajmniej widziałem, że lekarstwo pomaga, a jako najwyższy sędzia królewski widzę tylko swoje porażki.

A teraz jestem na tym statku i wraz z każdym oceniającym spojrzeniem Tessy czuję się potworem bardziej niż kiedykolwiek.

Chce, żebym dogadał się z Lochlanem, który znajduje się teraz na głównym pokładzie i patroszy ryby z innymi członkami załogi. Wiatr skutecznie zagłusza ciche głosy, ale słyszę, że dogaduje się z marynarzami. Jakaś część mnie zazdrości mu tej łatwości.

Gdy idę przez pokład z Tessą, Lochlan milknie i patrzy na mnie. Pochyla się do mężczyzny obok i mówi coś – zbyt cicho, bym mógł usłyszeć – a potem nożem rozcina rybę na pół.

Nie ma w tym cienia subtelności, wiem, że próbuje mnie sprowokować.

Ignoruję go.

Kapitan jest w swojej kajucie z Gwyn i Sablo, jednak kiedy ja i Tessa wchodzimy do środka, a za nami jak cień podąża Kilbourne, od razu widać, że nie zmieści się tu sześć osób. Dużą część powierzchni zajmuje stół, cały jeden kąt wypełnia piec. Chętnie spojrziałbym na te mapy, ale nie ma jak zbliżyć się do stołu. Tessa bierze stołek i zajmuje miejsce naprzeciw Sablo, który siedzi z zabandażowaną ręką przyciśniętą do piersi. Wydaje się zdenerwowany tym niespodziewanym tłumem.

Tessa przebiega wzrokiem po wszystkich, ale kiedy jej wzrok pada na mnie, wydaje się bardziej wymowny.

– Czy możemy liczyć na odrobinę prywatności?

Doskonale. Ale na pewno nie dam się stąd wyrzucić jako jedyny.

– Kapitanie, o ile wiem, oprowadził pan mojego strażnika po statku. Chętnie sam skorzystałbym z takiej możliwości. – Przerywam. – Jeśli ma pan czas.

– Oczywiście – odpowiada, ku mojemu zaskoczeniu, i wskazuje ręką na drzwi. – Proszę przodem.

Wychodzimy na wiatr. Żagle łopoczą nad naszymi głowami, błękitne niebo rozciąga się na wiele kilometrów, ale za naszymi plecami nadal kłębią się szare chmury.

To mój trzeci raz na głównym pokładzie, ale dwa poprzednie byłem skupiony na tym, co było przede mną: na Tessie. Teraz wciągam głęboko do płuc morskie powietrze i patrzę poza maszty. Zapach ryb jest intensywny, ale dzięki wiatrowi niezbyt drażniący.

Pływałem już wcześniej Rzeką Królowej, ale nie w taki sposób. Nasi rodzice podróżowali tylko najlepszymi ogromnymi statkami, pełnymi służby, pomocników i oficerów w galowych mundurach. *Ścigacz Świtu* to solidny statek, ale nie nadaje się dla królewskiego rodu. Gdy byliśmy chłopcami, Harristan i ja, zawsze trzymano nas pod kloszem. Chronieni przez wiatrem, zatrzymywani z dala od relingów. Mój brat nigdy tak naprawdę nie polubił pływania, więc kiedy został królem, nie chciał podróżować statkiem. Zatem nasze wyjazdy do innych sektorów prawie zawsze odbywały się drogą lądową.

Ale teraz, czując wiatr smagający policzki i szarpiący ubranie, żałuję, że nie robiłem tego częściej. Część mnie chciałaby wychylić się za reling tylko dlatego, że mogę. Ta myśl wydaje się niedojrzała, więc ją przeganiam.

Gdy odwracam wzrok, widzę, że Rian mi się przygląda.

– Pierwszy raz na morzu, wasza wysokość?

– Nie – odpowiadam. – Niezupełnie. Ale minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz płynąłem statkiem. – Przechodzę obok niego w stronę relingów, bo nie mogę oprzeć się pokusie. W dole woda przesuwa się niepokojąco szybko, fale rozbijają się o kadłub. Niemal kręci mi się od tego w głowie, ale podoba mi się to uczucie.

– Płyniemy naprawdę szybko – mówi Rian. – Słusznie zrobiliśmy, wypływając przed sztormem. Dzięki silnym wiatrom powinniśmy dotrzeć na ocean na południe od Sunkeep jutro wieczorem, najpóźniej pojutrze.

To rzeczywiście szybko. Zastanawiam się, czy nie za szybko.

Kiedy miniemy Port Karenin, będę już zdany tylko na siebie.

Muszę stłumić strach czający się za moimi plecami. Prostuję się i odsuwam od relingu.

Kapitan wskazuje drogę ręką i ruszamy w stronę dziobu statku.

– Słyszałem, że Lochlan już wdał się w sprzeczkę. – Zaczynam rozmowę.

– To nic takiego – odpowiada. – Tylko urażona męska duma. – Przerywa. W jego głosie pojawia się subtelna prowokacja. – Jestem pewien, że wasza wysokość to rozumie.

– Pan naprawdę mnie nie lubi, kapitanie.

Uśmiecha się, ale raczej złośliwie niż przyjaźnie.

– Takie sprawiam wrażenie? Czy przypadkiem wasza wysokość nie zapewniał króla, że wrócimy z tej podróży jako starzy przyjaciele?

– Proszę nie okazywać pogardy, kapitanie, nie pasuje to do pana.

Uśmiecha się szerzej.

– Nawet bym nie śmiał.

Kolejna prowokacja, ale nie łapię przynęty. Przez pokład przetacza się podmuch zimnego wiatru i szarpie moim kaftanem.

Wsuwam rękę do kieszeni.

– Ocenia mnie pan na podstawie plotek oraz opinii innych – mówię.

– Być może – odpira spokojnie.

Dotarliśmy na dziób statku, jest tu tylko otwarta woda i odległe statki, wiatr na mojej twarzy i niebo ciągnące się w nieskończoność.

– Naprawdę karaliście śmiercią za kradzież Księżycowego Kwiatu? – pyta.

– Tak. Wszyscy w Kandali o tym wiedzieli.

– To wasza wysokość jako najwyższy sędzia królewski, ustalił tę karę?

– Tak.

– A czy kara była wymierzana publicznie? – drąży.

– Czasem – odpowiadam. Wiem, że próbuje wciągnąć mnie w pułapkę, więc odwracam się do niego i patrzę mu w oczy. – Nie było tu pana, kiedy ludzie dosłownie walczyli na śmierć i życie o dostęp do leku. Musieliśmy z bratem mieć na względzie cały kraj. Król nakazał mi podjąć działania, więc to zrobiłem.

– Rozumiem.

Czekam, czy powie coś jeszcze, ale więcej się nie odzywa. Idziemy wzdłuż relingu po drugiej stronie, w kierunku mężczyzn patroszących ryby. Są skupieni na swojej robocie, ale zapadła między nimi cisza. Jestem pewien, że pokusa plotkowania, nawet na statku, jest zbyt duża, by ją zignorować.

Na szczęście wiatr tłumi moje słowa, zwłaszcza gdy mówię ściszym głosem.

– Tylko tyle? – pytam. – Rozumiem.

– Tak. Teraz mogę twierdzić, że oceniam waszą wysokość na podstawie faktów.

Może jednak wolałem, gdy był pogardliwy.

– Od czterech lat jestem obiektem powszechnej nienawiści – zaczynam. – Proszę nie myśleć, że pana opinia będzie miała dla mnie jakieś szczególne znaczenie.

– Oczywiście, że nie. – Zerka w moją stronę. – Jestem tu tylko po to, by kierować statkiem, wasza wysokość.

Nie szydzi ze mnie, ale to, w jaki sposób mówi, niemal ociera się o szyderstwo.

– Przyznaję, że pana śmiałość jest dla mnie zaskakująca. To pan przyszedł do nas błagać o stal.

– Tylko dlatego, że wy nie byliście w stanie dotrzeć do Ostriarii, żeby błagać o Księżycowy Kwiat.

Najeżam się. Za każdym razem, gdy z nim rozmawiam, nie mogę dojść do ładu z samym sobą. Z jednej strony jego impertynencja doprowadza mnie do furii, z drugiej intryguje mnie siła jego charakteru.

– Czy w jakiś sposób nieświadomie pana skrzywdziłem, kapitanie?

– Nie mnie bezpośrednio. Ale wysłano mnie do Kandali, żeby sprawdzić, czy nowy król Ostriarii będzie w stanie negocjować zakup stali, by można było odbudować królestwo. Spodziewałem się spotkać króla Lucasa, który był poważany w całej Kandali jako władca sprawiedliwy, a zamiast tego wiozę do Ostriarii człowieka, który skazywał własnych obywateli na śmierć za desperackie próby ocalenia własnego życia.

– Nie było cię tutaj – upominam go szorstkim głosem. – Nie znasz okoliczności. Mój ojciec może i był znany ze sprawiedliwych rządów, ale nigdy nie musiał się mierzyć z zarazą dziesiątkującą obywateli. Jego konsulowie utrzymywali równowagę handlową między sektorami, kiedy jednak okazało się, że Księżycowy Kwiat jest skutecznym lekiem na gorączkę, doszło do potężnego zachwiania równowagi między sektorami. Jedne miały pieniądze i wpływy, inne nie. Nagle jego konsulowie, nasi konsulowie, kapitanie, uzyskali przewagę nad tronem, podczas gdy zwykli obywatele dosłownie zabijali się wzajemnie, walcząc o lek. Stanęliśmy przed strasznymi wyborami i dokonaliśmy ich.

– Więc mieliście do wyboru albo zdenerwować swoich konsulów, albo dokonywać egzekucji na obywatelach?

– Wybraliśmy przywrócenie porządku wszelkimi możliwymi środkami. Ludzie już umierali, kapitanie. Kary musiały być surowe albo nie przyniosłyby efektu.

Milczy przez chwilę, ale w powietrzu między nami unosi się wrogość.

– Gdybym zamknął waszą wysokość w kajucie bez jedzenia – odzywa się wreszcie Rian – i powiedział, że karą za próbę ucieczki będzie śmierć, po jakim czasie wasza wysokość mimo wszystko podjąłby ryzyko?

Zaciskam zęby. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. To znaczy potrafię, ale nie podoba mi się odpowiedź, jakiej bym udzielił.

Na pewno nie trwałoby to długo.

– Co jest większą zbrodnią? Uwięzienie czy kara? – drąży.

– Wyraził się pan wystarczająco jasno, kapitanie.

– Czy zbrodnia w ogóle ma znaczenie? – ciągnie. – Skoro ta sama osoba jest odpowiedzialna za...

– Powiedziałem, że wyraził się pan wystarczająco jasno. – Mówię to ostrym tonem.

Większość załogi udawała, że mnie ignoruje, ale mój podniesiony głos zwrócił ich uwagę. Nawet Lochlan patrzy teraz na mnie. Kilbourne musi wyczuwać kłopoty, bo podchodzi bliżej.

– Chodźmy – mówi kapitan, jakby napięcie między nami nie było tak przytłaczające jak zapach rybich flaków i morskiej wody. – Obiecałem oprowadzić waszą wysokość po statku. – Nie czekając na odpowiedź, rusza naprzód, jednak odwraca się i woła przez ramię: – Brock, jeśli nie radzisz sobie z tą robotą, Gwyn i ja możemy ci trochę pomóc!

Idę za nim.

– Zdaje się, że za chwilę zaczniesz pan rekrutować moich strażników.

– Jeśli będą chcieli pracować, chętnie przyjmę pomoc każdej dodatkowej pary rąk.

– To dlatego Tessa wspinała się dzisiaj na maszt? Potrzebował pan dodatkowej pary rąk?

– Zgłosiła się na ochotnika.

– A pan uznał, że to dobry pomysł? Wysłać zielarkę na sam szczyt głównego masztu?

– Uznałem, że kiepskim pomysłem byłoby sugerować, że nie da sobie rady. – Przerzywa. – Wasza wysokość jest zazdrosny?

Tym razem wybucham śmiechem.

– Nie.

Chociaż... może. Nie tylko o czas z Tessą, bo spędziłem tygodnie zamknięty w pałacu, otoczony doradcami, dworzanami i królewskimi żądaniami. Patrząc na kilometry lin, żagle, takielunek nad naszymi głowami i nie mogę pohamować rosnącego zaintrygowania.

Powiedziałbym mu to, gdyby nie był takim dupkiem.

Zamiast tego, skupiam się na bieżących sprawach. Chcę przyjrzeć się mapom w jego kajucie kapitańskiej, ale to musi poczekać, aż Tessa skończy opatrywać ranę.

– Chętnie obejrzałbym niższe pokłady.

– Od czego wasza wysokość chciałby zacząć?

– Rocco mówił, że macie na pokładzie działa, więc chciałbym zobaczyć pokład działowy.

– Proszę tędy. – Jeśli jest zaskoczony, nie daje tego po sobie poznać.

– Żeby nie było żadnych wątpliwości, ja też za panem nie przepadam – mówię, kiedy idziemy na dół.

– Doprawdy? W ogóle nie dał pan tego po sobie poznać, wasza wysokość.

– Zaraz zrzucę pana ze schodów.

Zatrzymuje się i odwraca przodem, jego oczy zasnuwa cień.

– Nie radzę wszczynać ze mną bójki.

Mówi to spokojnie. Zimno. Tym samym tonem, którym podczas kolacji mówił „Proszę nie grozić mojej załodze”.

Wpatruję się w niego i zauważam w jego opanowaniu coś, co sprawia, że mam ochotę przywalić mu w twarz. Jestem pewien, że widzi to w moich oczach, bo nie rusza się z miejsca i nie odwraca wzroku.

Po prostu urażona duma, jak to między mężczyznami.

O tak. Rozumiem to doskonale.

Ale potrzebuję go, aby dowiózł nas do Ostriarii. Nie narażę tej misji na szwank z powodu czegoś tak błahego, jak duma.

– Na pewno nie wszcząłbym bójki, ostrzegając o pierwszym ruchu – mówię głosem, w którym nie ma cienia napięcia. Patrzę na Blakemore’a, jakbym był znudzony tym zwlekaniem.

– Proszę prowadzić, kapitanie.

Pokład działowy wygląda dokładnie tak, jak opisał go Rocco. Jest szeroki i zakurzony, działa stoją przywiązane po przeciwnych stronach statku, a stanowiska strzeleckie są pozamykane, przez co cały pokład ogarnia mrok, ale Rian ma za sobą latarnię. Oprowadza mnie po całym poziomie. Na dziobie statku wydzielone jest duże pomieszczenie oddzielone drzwiami zamkniętymi na kłódkę. To pewnie zbrojownia, o której wspominał Rocco.

– Mówił pan, kapitanie, że usunięcie dział byłoby zbyt kosztowne? – pytam.

Rian potakuje.

– Zostały dosłownie obudowane statkiem. – Wskazuje na pokład nad nami. Musielibyśmy rozwalić dwa pokłady, żeby je wydobyć, a i wtedy potrzebowalibyśmy dźwigu. Skoro już tu jesteśmy, mogę pokazać waszej wysokości kolejny dowód na prawdziwość moich słów o pochodzeniu statku. – Podchodzi do jednego z dział i przysuwa do niego latarnię.

Przez chwilę nie jestem pewien, co chce mi pokazać, ale wtedy dostrzegam napis na stali z tyłu jednej z armat.

KUŹNIA W STALOWYM MIEŚCIE

Działa zostały wykute w Kandali, a jeśli statek zbudowano wokół nich, znaczy to, że statek także został zbudowany w Kandali.

– To oznaczenie pojawia się również w innych miejscach – mówi Rian. – Wewnątrz pieców w kambuzie, na niektórych łańcuchach przy głównym maszcie, na kilku stalowych belkach kadłuba, ale te tutaj są najbardziej przekonujące, bo nie jest możliwe, żebym mógł je tu umieścić.

Przeciągam palcami po literach. To rzeczywiście dość przekonujące.

Podnoszę wzrok i wskazuję na zamknięte na kłódkę drzwi.

– To zbrojownia? Rocco twierdzi, że załoga nie ma klucza.

– Ja też nie.

Zupełnie w to nie wierzę. Jest kapitanem statku.

– Jestem pewien, że możemy się nienawidzić, a jednocześnie nie okłamywać – odpowiadam.

Uśmiecha się, ale teraz trochę bardziej szczerze.

– Oczywiście. Możemy, ale to nie kłamstwo. Nie noszę przy sobie klucza i nie przyniosę go dla waszej wysokości.

– Zezwolił pan na przeszukanie zbrojowni przez pałacowych strażników – przypominam. – Zaraportowali, że jest zapełniona.

– Wasza Wysokość nie ufa pałacowym strażnikom?

Nie, ale nie przyznam się do tego, a już same te słowa wywołują we mnie dreszcz. Od jakiegoś czasu podejrzewaliśmy, że nie można ufać pałacowym strażnikom, ale do tego momentu nie zdawałem sobie sprawy, że ta podróż może mieć z tym coś wspólnego.

Przeganiam te obawy, zanim będzie je słyszeć w moim głosie.

– Osobiście wolałbym mieć trochę szerszą wiedzę na temat tego, co znajduje się w środku – oświadczam gładko.

– Nie.

Rzadko się zdarza, żebym spotykał się z taką otwartą odmową. Jestem bardziej zaintrygowany niż zirytowany.

– Nie? Dlaczego?

– Z tego samego powodu, z jakiego nie zgodziłem się na waszych marynarzy i na to, by płynęły z nami inne statki. Nie dam waszej wysokości ani ludziom waszej wysokości dostępu do pomieszczenia pełnego broni, której można użyć przeciwko mojej załodze.

Przyglądam mu się w migoczącym płomieniu latarni, słuchając, jak fale rozbijają się o kadłub.

– Moi strażnicy mają broń – uświadamiam mu ten drobiazg.

- Spodziewałem się tego.
- Więc nie potrzebujemy pana broni.
- Właśnie. Zawartość zbrojowni nie jest nikomu potrzebna.

Jego głos jest spokojny, rozważny, przez to moje żądanie wydaje się nierozważne. Nie wiem, czy coś ukrywa, czy jego obawy są szczere. Szkoda, że nie ma teraz przy mnie Rocco. Kilbourne stanie w mojej obronie bez wahania, ale nauczyłem się, że Rocco jest dobrym partnerem ofensywnym.

Jednak niepokoi mnie fakt, że Rian nie chce otworzyć drzwi do pomieszczenia, w którym nie ma ponoć niczego szczególnego.

– Żądam, żeby otworzył pan drzwi do zbrojowni, kapitanie Blakemore. To rozkaz. Jestem tutaj z woli króla.

Podnosi lewą rękę i pokazuje błyszczący w świetle pierścień z pieczęcią mojego ojca.

– Ja także.

Wzbiera we mnie nagła i kipiąca furia.

– Mój ojciec nie żyje. Wszelkie uprawnienia przez niego nadane wygasły.

– Nieprawda. Rozkaz mówi jasno, że wydany jest przez Koronę, nie człowieka, który ją nosi. Król Harristan nie podjął żadnych działań, by odebrać mi te uprawnienia. Nadal mam pierścień i nadal mam list.

Serce wali mi jak szalone. Czuję, jakbym został powalony na ziemię, jakbym czołgał się i próbował stanąć z powrotem na nogi.

Czy to przeoczenie? Czy Harristan zapomniał?

Ja najwyraźniej zapomniałem.

– Proszę zawracać – mówię. – Wracamy do Artis. Od razu rozstrzygniemy tę kwestię z Harristanem.

– Nie popłynę prosto w sztorm tylko dlatego, że wasza wysokość koniecznie chce zajrzeć za zamknięte drzwi. – Jego głos brzmi, jakby zwracał się do niesfornego dziecka. – Jeśli wasza wysokość chce przycumować w Sunkeep i posłać list do swojego brata, niech tak będzie. Ja popłynę dalej, do Ostriarii, i poinformuję króla, że przez swoją zaciekłość i upór wasza wysokość opóźnia negocjacje, bo nie chciałem dać waszej wysokości klucza do pomieszczenia, którego naprawdę wasza wysokość nie musi oglądać.

Wbijam paznokcie w wewnętrzną stronę ręki, a w uszach słyszę własny puls. Boję się poruszyć, bo naprawdę mogę mu przyłożyć.

– Kapitanie! – rozlega się głos z góry. – Marchon potrzebuję pana przy sterze.

Rian robi krok w tył.

– Za dzień dopłyniemy do Port Karenin. Proszę do tego czasu poinformować mnie o swojej decyzji. – Przerzywa, później podaje latarnię mojemu strażnikowi. – Zostawiam światło, wasza wysokość.

Nienawidzę go.

W chwili kiedy nachodzi mnie ta myśl, uświadamiam sobie, ile razy Tessa musiała myśleć tak samo o mnie.

– Kapitanie! – wołam, gdy jest już prawie na schodach.

Przez chwilę mam wrażenie, że się nie zatrzyma, ale się mylę.

– Tak?

– Myli się pan co do mnie.

– Nie wydaje mi się.

– Doskonale wiem, co ludzie o mnie mówią. Znam historie, które pan słyszał, i widzę, jak patrzy na mnie pana załoga. Plotki mogą przedstawiać mnie jako brutalnego i bezmyślnego. Mogę mieć reputację niecierpliwego i gwałtownego, ale nie będzie pan pierwszym, który się przekona, że błędem jest mnie nie doceniać. – Biorę latarnię od Kilbourne'a i ruszam za nim. – Więc niech pan lepiej zapamięta. Jeśli będę chciał wszcząć walkę, będziesz pan o tym wiedział.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Tessa

Ucieszyłam się, kiedy Corrick wyszedł z Rianem, bo w kajucie kapitańskiej zapanowała tak gęsta atmosfera, że można się było udusić. Zerknęłam na nich kilka razy, jak chodzili po pokładzie. Wyrazy ich twarzy sugerowały przyjazne zamiary, ale znam Corricka wystarczająco dobrze, by wiedzieć, kiedy jest zdenerwowany.

A jest taki, odkąd tylko jego noga stanęła na tym statku.

Kiedy Corrick i Rian znikają pod pokładem, Gwyn wzdycha i mówi:

– Gdyby ci dwaj mieli się ścigać, nie wiedziałabym, na którego postawić pieniądze.

Sablo śmieje się cicho, jednak gdy szcypcami wyciągam kolejne włókno z jego rany, syczy przez zęby. Ma otartą od liny skórę na całej długości przedramienia, a w tkance tkwiło wiele włókien. Otarcie jest na tyle głębokie, że krwawi, i choć nie ma tu co szyć, widzę, że mocno mu to dokucza.

– Przepraszam – mówię, patrząc na niego ze współczuciem. Jest równie potężny, jak Rocco, więc myślałam, że będzie działał na mnie onieśmielająco, ale tak nie jest. Spoglądam to na niego, to na Gwyn. – Więc nie tylko ja widzę, że się nie lubią?

– Rian nie ma tolerancji dla władców, którzy źle traktują swoich poddanych – odpiera Gwyn.

– Ja też. – Wyciągam kolejne włókno z rany. – Książę Corrick nie jest sumą wszystkich opowieści, jakie o nim krążą.

– Na pewno nie – odpowiada tak po prostu, co mnie zaskakuje. – Jest na tym statku. Dla wielu z nas jest to dość zaskakujące.

Sablo wydaje dźwięk, który brzmi jak „hmm”, a później pociera palce wolnej ręki, wydając szeleszczący dźwięk.

Gwyn się uśmiecha.

– Mówi, że powinien być na to postawić pieniądze.

Podnoszę wzrok znad rany.

– Postawiłbyś na księcia Corricka?

Sablo energicznie potakuje głową.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

– Sablo ma słabość do skazanych na przegraną – dodaje Gwyn.

– Aha. – Uśmiecham się do nich. – Lepiej, żeby nie usłyszał, że go tak nazywasz.

Sablo wypuszcza powietrze przez zęby i przeciąga palcem po szyi, jakby podcinał komuś gardło.

Myślę, że żartuje, ale marszczę czoło. Pamiętam noc, kiedy Corrick musiał właśnie to zrobić, bo konsul Sallister groził wstrzymaniem dostaw leku dla całego kraju. Ale oczywiście nie mogę tego powiedzieć.

Nie mam pojęcia, jak bronić Corricka, nie ujawniając wszystkiego, co wiem. Nie mam pojęcia nawet, czy on zasługuje, żeby go bronić.

Usiłuję sprowadzić rozmowę na inne tory. Mówią o kapitanie po imieniu, więc też tak robię.

– Rian mówił, że cytadela w Ostriarii została zniszczona w czasie wojny. Gdzie teraz mieszka król?

– Galen Redstone nadal mieszka na Fairde – odzywa się Gwyn. – Tarramor została zamieniona w gruzy, ale król utrzymał pałac, lecz ten nie ma już murów, więc widać go z morza. Potem po kolei przejął panowanie nad pozostałymi wyspami. Nadal pojawiają się ogniska buntu, wzniecane zwykle przez tych, którzy nie zdołali objąć tronu, ale większość stłumiono. Król zyskał poparcie, obiecując odbudowę Ostriarii i przywrócenie jej dawnej świetności. Może nie miał największych praw do tronu, ale na pewno przedstawił najbardziej przekonujące obietnice. Zbyt wielkie są zniszczenia, zbyt wiele przelano krwi. Ludzie są zmęczeni.

Sablo mruczy i uderza w pierś zdrową ręką, na co Gwyn uśmiecha się trochę smutno.

– Tak. My jesteśmy zmęczeni.

Patrzę na Sablo.

– Byłeś ranny w czasie wojny? To dlatego nie mówisz?

Jego oczy robią się ciemne jak burzowe niebo, ale potakuje głową. Spogląda na Gwyn i gestykuluje, to w moją stronę, to w jej.

Gwyn bierze powolny wdech i wymienia z się mężczyzną spojrzeniami. Widzę, że zastanawia się, ile może mi powiedzieć.

– Przy kolacji Rian wspomniał o Orenie Cranie, jednym z przyrodnych braci starego króla. Jest jedną z osób, które nadal podsycają bunt. Oren jest sprawnym żeglarzem i ma flotę statków, która nadal pływa po wodach Ostriarii. Ma też cichych sprzymierzeńców na każdej wyspie. Był blisko starego dworu, co wzmocniło jego roszczenia do tronu. Jest bystry, ale okrutny. Nie chciałabyś go spotkać.

Spoglądam na Sablo.

– Ty go spotkałeś?

Burzowe chmury nie zniknęły z jego oczu. Robi gniewną minę.

– Sablo pływał na statkach zaopatrzeniowych – mówi Gwyn. – Pływał od wyspy do wyspy. Znają go w każdym porcie, więc czasem płacą mu za... przekazywanie informacji.

Spoglądam to na niego, to na nią.

– Więc byłeś szpiegiem?

Sablo stuka palcem w czoło, a Gwyn wyjaśnia.

– Niezupełnie szpiegiem. Bardziej... bezpieczną drogą przesyłania wiadomości. Nie było potrzeby niczego zapisywać. Sablo ma umysł bystry jak górską rzeką.

Sablo uśmiecha się ponuro i potakuje głową.

– Raz dostał wiadomość o Orenie – ciągnie Gwyn. – O tym, gdzie planuje ukryć swoje statki. Sablo wiedział, że mógł sprzedać te informacje ludziom Galena Redstone'a, i ci rzeczywiście do niego przyszli.

Sablo wykonuje w powietrzu ostry i zdecydowany gest, jakby coś przecinał.

– Wiem, wiem – uspokaja go Gwyn. – Nie jesteś zdrajcą. – Znow spogląda na mnie.

– Odmówił sprzedania informacji Redstone'owi czy komukolwiek innemu, ale Oren dowiedział się, że ktoś działa przeciwko niemu. Nabrał podejrzeń i nie chciał ryzykować.

Moje ręce, w których nadal trzymam szczypce, zastygają.

– Myślał, że ty go zdradziłeś.

– Kazał go pobić niemal na śmierć – mówi Gwyn. – A później odciął mu język.

Burzowe chmury w oczach Sablo zmieniają się w tornado.

– To miało być ostrzeżenie dla innych. Jak mówiłam, Oren jest okrutnym człowiekiem.

– Bardzo mi przykro – szepczę łagodnym głosem.

Sablo kręci głową.

– Rian go znalazł – kontynuuje opowieść Gwyn – z twarzą w piasku. Mógł go zostawić, ale tego nie zrobił. Nic na tym nie zyskał, ale słyszałaś go przy kolacji. Rian nie jest człowiekiem, który zostawiłby potrzebującego bez pomocy. – Wzrusza ramionami. – A teraz jesteśmy tu.

A teraz są tu.

– Też tam byłaś?

Kręci głową.

– Nie, Anya i ja dołączyliśmy do załogi później. – Znow wzrusza ramionami i odwraca wzrok. – Każdy z nas ma swoją historię. Nim dopłyniemy, poznasz je wszystkie.

– Mam taką nadzieję – oznajmiam szczerze.

– A ty? – pyta Gwyn.

Podnoszę wzrok.

– Ja?

– Jaka jest twoja historia? Musisz być kimś więcej niż tylko zielarką księcia.

Czuję, że się rumienię. W jej głosie nie ma żadnej sugestii, ale znów przypominają mi się słowa Lochlana z ubiegłej nocy.

– Ja też nie zostawiłabym potrzebującego bez pomocy. Cieszę, że księżę Corrick widzi w tym korzyść.

– Ja też – zapewnia. – Dlatego myślę, że w twoim księciu jest dużo więcej, niż się wydaje.

Patrzę na nią, zaskoczona.

– Tak uważasz?

– Wasz król musi być bardzo zdesperowany, skoro wysłał was oboje tak szybko w podróż.

Waham się przez chwilę, ale w końcu potakuję.

– Jest. Wszyscy jesteście.

– Trzeba było odwagi, żeby wejść na pokład *Ścigacza Świtu* – zauważa Gwyn. – Rian potrafi to docenić.

Spoglądam w okno. Księżę i kapitan zniknęli na schodach i jeszcze nie pojawili się z powrotem.

– Trzeba było odwagi, żeby przepłynąć tutaj i prosić o pomoc... – urywam, czując ciepło na policzkach, bo zabrzmiało to bardziej osobiście, niżbym chciała. – Naprawdę nie boicie się, że zawleciecie gorączkę do Ostriarii?

Kręci głową.

– Wszyscy jesteście zdrowi. Poza tym mamy pod dostatkiem Księżycowego Kwiatu.

Chyba tak.

Spoglądam na mapę na stole.

– Rian powiedział, że nie będziemy mieć żadnych problemów, dopóki nie dopłyniemy do południowego przylądka Ostriarii. Czy wody tam są bardzo niebezpieczne?

– Potrafią być. – Rusza w stronę stołu i stuka palcem w punkt na mapie. – Trudność nie leży nawet w samym żeglowaniu. Jest tam wiele niewidocznych zatoczek, a o tej porze roku mgła potrafi być bardzo gęsta.

Marszczę czoło.

– Masz na myśli, że możemy tam na coś wpaść?

Sabło chrząka i podnosi rękę do głowy w geście, którego nie rozumiem.

Spoglądam na Gwyn.

– Na piratów – przyznaje.

– Piratów!

Potakuje głową, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, i kolejny raz wzrusza ramionami.

– Jak mówiłam, Crane stale podsycyca bunt. Ma wystarczającą liczbę lojalnych sojuszników, by sprawiać kłopoty. Po wodach Ostriarii nadal pływa koło sześciu jego statków. A do tego jest bezczelnym draniem. *Ścigacz* to mały statek, więc pewnie nie zwróci na nas uwagi, ale nigdy nie wiadomo.

Nie wiem, jaki mam wyraz twarzy, ale muszę wyglądać na bardzo zmartwioną, bo Gwyn się uśmiecha.

– Nie martw się. Crane nie zdołał jeszcze dobrać się do Riana. Jest już zmęczony, uwierz mi. A nasz kapitan też jest bystry.

Reszta dnia mija zaskakująco szybko, ale nie mogę przestać myśleć o piratach grasujących na wodach Ostriarii, o których opowiadała Gwyn. Powinnam pewnie powiedzieć o tym Corrickowi, chyba że już to wie. Zastanawiałam się nad tym wcześniej, próbując opanować zdenerwowanie i rozważając, czy wraz z powrotem Corricka i Riana do kajuty znów zawita napięcie. Rian w końcu wrócił na główny pokład, żeby pomóc Marchonowi przy sterze, natomiast księżę się nie pojawił.

I dobrze. Nie mam zamiaru za nim ganiać.

Wraz z tą myślą ogarnia mnie smutek. Tak szybko powstała między nami przepaść.

Z jego czy z mojej winy?

Tak czy owak, nie mogę siedzieć i rozmyślać, bo zwariuję. W końcu proszę o jakieś zajęcie, w efekcie czego trafia do mnie kolejne otarcie wymagające balsamu i małe rozcięcie, które wygląda na nieco zainfekowane. Później Sablo daje mi igłę i nitkę oraz stos sieci rybackich, które wymagają naprawy. Pokazuje mi, jak je cerować. Jego wielkie dłonie zręcznie splatają nitki razem na tyle gęsto, by woda swobodnie przez nie przepływała, ale ryby już nie. Wreszcie na pokładzie serwowany jest obiad – bułki, miękki ser i smażona ryba.

Corrick nadal się nie zjawia.

Marszczę brwi i dalej zajmuję się sieciami, siedząc na ławce przy relingu. Byłam bardzo podekscytowana tą podróżą, szansą na zrobienie czegoś ważnego, ale wychodzi na to, że całą drogę spędzę ze ściśniętym żołądkiem.

Kiedy słońce zaczyna chować się za horyzontem, na zachodzie niebo rozświetlają odcienie różu, natomiast na północy nadal widać pas granatowych burzowych chmur, choć teraz wydają się bardziej odległe.

Gwyn dzwonkiem zwołuje załogę na kolację, ale mnie ciągle zostało kilka sieci do naprawy, więc nie ruszam się z miejsca.

Brock patrzy na mnie z przeciwległej strony pokładu. Nim zejdzie na dół, gwizdże.

– Lepiej niech panienka idzie. Tor zawsze bierze dokładkę, nim inni zdążą coś zjeść.

Uśmiecham się.

– Zaraz przyjdę.

Pokład pustoszeje, ale nie wszyscy schodzą pod pokład. Ku mojemu zdziwieniu, na górze zostaje Lochlan. Postanawiam sobie, że będę go ignorować, ale rusza prosto w moją stronę. To okropne, że pierwsze, o czym myślę, to czy gdzieś w pobliżu kręci się strażnik. Rozglądanie się za nimi wydaje mi się niegrzeczne, więc wbijam wzrok w sieć.

Lochlan zatrzymuje się niedaleko mnie. Przez chwilę milczy, ale wreszcie decyduje się odezwać:

– Nie idziesz jeść?

– Zaraz idę – odpowiadam.

Chwilę stoi w miejscu, przestępując z nogi na nogę, więc podnoszę na niego wzrok.

– Powinienem przeprosić – mówi.

– Chyba zaraz wypadnę za burtę z wrażenia.

– Nie za to, co powiedziałem o księciu – dodaje szybko.

– Oczywiście, że nie.

– Ale zachowałem się prostacko. Karri nigdy by mi nie wybaczyła. – Przerzywa i przeciąga dłonią po twarzy. – Przepraszam, Tesso.

Jego przeprosiny brzmią szczerze, więc kiwam głową.

– Dziękuję.

– Już... Już nie boję się, że wyrzuci mnie za burtę.

Unoszę w zdziwieniu brwi.

Czyżby Corrick jednak zdołał w jakiś sposób zdobyć odrobinę jego zaufania?

Jednak po chwili Lochlan dodaje:

– Myślę, że kapitan by mu na to nie pozwolił. To dobry człowiek, wiesz?

Jestem tak bardzo poruszona pewnością w jego głosie, że zastygam w bezruchu.

– Też tak myślę.

Odpowiada skinieniem głowy.

– Na początku myślałem, że cała ta wyprawa jest szalona, że to podstęp, żeby rzucić mnie na dno oceanu, ale teraz... Teraz boję się, że księżę zrujnuje naszą szansę na zdobycie większej ilości leku, że napluje w twarz królowi Ostriarii i wrócimy do domu z niczym.

– Księżę Corrick zna się na polityce – odpowiadam.

– Cóż, może i tak... – Krzywi się, później zerka w stronę schodów. – Przynieść ci tu coś do jedzenia?

Mrugam, zaskoczona, ale po chwili dociera do mnie, że nie powinnam być zaskoczona. Przecież przyniósł mi cukierki od Karri.

„*Jestem życzliwy*”, powiedział. Może jest, a to ja nigdy nie próbowałam spojrzeć głębiej.

– Nie trzeba, dziękuję. Zaraz przyjdę na dół.

Odpowiada skinieniem głowy i się odwraca.

Nagle główny pokład robi się zupełnie pusty, jak rano, kiedy się obudziłam. Wiatr szarpie moimi warkoczami i sieciami leżącymi u moich stóp, ale nie przeszkadza mi ten cichy zmierzch, gdzie słychać tylko dźwięki statku: fale obijające się o kadłub, skrzypienie drewnianych belek, delikatne dzwonienie łańcuchów takielunku.

Kilka minut później na schodach pojawia się jakaś sylwetka w mroku, dla mnie jest tylko cieniem i zakładam, że to członek załogi. Wtedy rozpoznaję znajomy kształt szczęki i sposób poruszania się.

Corrick.

Nie odrywam wzroku od sieci. Nie wiem, czy chcę, żeby podszedł, czy żeby trzymał dystans. Igła prześlizguje się w górę i w dół, łatając dziury. Jestem tak skupiona na tym, co robię, że nie zdaję sobie sprawy, jak szybko się zbliża, aż nie znajdzie się tuż przy mnie. Nie podnoszę wzroku znad jego butów, ale wiem, że trzyma w jednej ręce talerz, a w drugiej drewniany kubek.

– Nie jesz? – pyta. Jego głos jest cichy, ale nie ma w nim niepewności.

Nie potrafię nic wyczytać z jego tonu.

– Chciałam najpierw to skończyć.

Słońce schodzi jeszcze niżej, wydłużając cienie pomiędzy nami.

Po chwili Corrick siada na ławce obok mnie.

– Musisz być głodna – zauważa ściszym głosem. – Chętnie się podzielę, panno Cade.

W mroku zawsze przypomina mi Wesa. Nagle czuję ucisk w gardle.

– Nie musisz tego robić.

– Wiem. Proszę. – Bierze z talerza okrągły owoc i przysuwa mi go do ust.

Ten gest wydaje się zbyt intymny. Za dużo rzeczy zostało między nami niepowiedzianych i przez chwilę nie mogę się zdecydować, co zrobić.

Trzyma owoc tuż przy moich ustach.

– Jesteś pewien, że chcesz, aby twoje palce znajdowały się tak blisko moich zębów? – pytam.

W jego oczach rozbłyska światło.

– Zaryzykuję.

Ostrożnie biorę owoc do ust, uważając, żeby nie dotknąć jego skóry. Czuję na języku eksplozję słodkości. Naprawdę jestem głodna.

– Mam też igłę w ręku.

– Nie boję się. Miałaś już raz szansę mnie otruć, ale tego nie zrobiłaś. – Bierze kolejny owoc.

Ten zjadam szybciej.

– Ale przyłożyłam ci poniżej pasa.

Krzywi się.

– Chyba wyparłem z pamięci to wspomnienie.

Kolejny owoc. Tym razem jego palce muskają moje usta. Ten maleńki ruch sprawia, że po moich policzkach rozlewa się ciepło.

Przełykam głośno.

– Muszę skończyć naprawiać sieci – oznajmiam trochę nerwowo.

– Nie musisz.

– Powiedziałam, że to zrobię, i chcę dotrzymać słowa.

Mruży oczy.

– Wobec kogo? Riana? – Mówi to takim tonem, jakby nie potrzebował mojej odpowiedzi.

– Nie. Sablo. On pokazał mi, jak to robić. Rian całe popołudnie był zajęty. – Przerywam. – Wiedziałbyś, gdybyś nie ukrywał się w swojej kajucie przez cały dzień.

– Ukrywał? – Corrick unosi brwi. – Twoim zdaniem właśnie to robiłem?

– Cóż, poszedłeś na obchód statku i więcej się nie pojawiłeś, więc...

– Starałem się unikać konfliktów, Tesso. – Podnosi kolejny owoc, ale nie podaje mi go, tylko wrzuca sobie do ust. Nadal mówi ściszym głosem, ale teraz przybrał konspiracyjny ton. – Rozmawiałem z Rocco i Kilbournem. Kapitan ma na statku zamknięte na kłódkę pomieszczenie, do którego nie chce nas wpuścić.

– Dlaczego?

– Mówi, że jest w nim pełno broni i nie chce, żeby znalazła się ona w naszych rękach.

– Nie rozumiem. – Marszczę brwi.

– Mówi, że nie chce nam dać dostępu do broni, którą moglibyśmy wykorzystać, żeby przejąć statek.

– Po co mielibyśmy to robić?

– Właśnie. Wydaje się to grubą przesadą. Nie podoba mi się to, budzi moje wątpliwości. Rian zaoferował wpłynięcie do Port Karenin, żebyśmy mogli opuścić statek.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

– Więc trzyma tę broń zamkniętą pod kluczem, bo nie ufa tobie. A ty myślisz, żeby porzucić tę misję, bo nie ufasz jemu.

– A ty mu ufasz?

Zastanawiam się nad rozmową, którą przed chwilą odbyłam z Lochlanem.

– Ze strony kapitana nie spotkało nas nic poza życzliwością...

– Nie, Tesso. – Corrick przysuwa się bliżej. – Wiem, że teraz mnie nienawidzisz, ale w tej kwestii potrzebuję twojego osądu, proszę.

To jest jak uderzenie strzały.

– Nie czuję do ciebie nienawiści. – Przełykam i spoglądam na pokład. Z dołu wychodzą kolejni członkowie załogi z talerzami pełnymi jedzenia i kubkami z napojem. – Nie sądzę, by kapitan próbował kogoś oszukać. Słyszałam to i owo o tym, co działo się w Ostriarii. Uważam, że szczerze troszczy się o swoją załogę.

Spojrzenie jego niebieskich oczu przytrzymuje moje.

– Powiedz mi.

Ściszone głosem opowiadam mu o Sablo, jak nie chciał sprzedać informacji królowi Galenowi, a mimo to został ukarany przez Orena Crane'a.

– Gwyn powiedziała, że kapitan go ocalił – mówię. – Pamiętasz, co mówił Marchon w pałacu? O tym, jak kapitan szukał rozbitków i wyciągał ich z wody bez względu na to, po czyjej stronie walczyli? – Waham się, myśląc o głosie Riana, kiedy wisieliśmy na takielunku piętnaście metrów nad wodą.

Na pewno rozumiesz moją obawę co do towarzystwa, w jakim się obracasz, i tego, czy nie grozi ci niebezpieczeństwo, czy jesteś u jego boku z własnej woli.

– Rian jest bardzo opiekuńczy – oznajmiam.

– Opiekuńczy – powtarza jako echo Corrick.

Czuję, jak rumieniec pełźnie w dół mojej szyi. Wbijam igłę w ostatni kawałek sieci.

Corrick przygląda mi się, wreszcie mówi:

– Poznałaś Anyę? Córkę Gwyn?

Marszczę brwi.

– Tę małą dziewczynkę? Spotkałam ją w kambuzie.

– Ma blizny na rękach. – Corrick wskazuje głową na członków załogi. – Wielu z nich ma blizny.

– Powiedział tylko, że byli na wojnie, a Gwyn wspomniała, że nie lubi władców, którzy źle traktują poddanych. Może wszyscy uciekli przed tym Orenem Cranem? Co powiedział Rocco?

– Nic ważnego. Proszę. – Znów podaje mi owoc.

Odwracam głowę.

– Zaraz. Całe popołudnie spędziłeś ze swoimi strażnikami i nie powiedzieli nic ważnego?

– Cóż... – Wzrusza ramionami, po czym sam zjada owoc. – Nic, czym mógłbym się podzielić.

Robię gniewną minę, potem zawiązuję ostatnią nitkę, którą naprawiałam sieć.

– Oczywiście że nie, wasza wysokość.

– Znów jesteś na mnie zła. – Teraz to on marszczy brwi.

– Ubiegłej nocy wsiadłeś na statek i zachowywałeś się, jakbyś wreszcie dostał pozwolenie, żeby mnie dotknąć. Dziś prawie się do mnie nie odzywasz, a teraz próbujesz wyciągać ze mnie informacje.

Mruga, zaskoczony, i przysuwa się bliżej.

– Nie próbuję...

– Naprawdę, Corricku, jeśli nie masz zamiaru być ze mną szczery, po prostu zostaw mnie w spokoju. Przyniosę ci wieczorną dawkę leku do twojej kajuty po kolacji.

– Tessa...

Pochyla się w moją stronę, ale ja mam już tego dosyć. Próbuję go odepchnąć, jednak chwyta mnie za nadgarstek. Chwył nie jest mocny, lecz pewny.

Wstrzymuję oddech i nagle rozlega się męski głos:

– Proszę ją puścić.

Przez chwilę myślę, że to Rian, ale nie, to Lochlan. Obok niego stoi Brock i jeszcze kilku członków załogi.

Corrick zastyga w bezruchu. Emocje zniknęły z jego oczu, jednak nie puszcza mojego nadgarstka. Trzyma zbyt mocno, bym wyrwała ręką.

Wpatruję się w niego.

Krwawy Corrick. Tak nazywali go ludzie w Dzikim. Tak ja go kiedyś nazywałam.

Mój oddech staje się nierówny, płytki. Nie wiem, co robić. Jest ode mnie silniejszy. Czuję tę siłę w jego uścisku.

– Proszę ją puścić – rozlega się głos Gwyn.

Rocco wychodzi z cienia i staje obok księcia.

– Już, wasza wysokość.

Nie widzę kapitana, ale słyszę jego głos. Pamiętam jego uwagę dzisiejszego poranka. *Nikt nie walczy na moim statku.*

Chyba zaraz się przekonamy.

Wtedy Corrick odzywa się głosem gładkim i niewzruszonym:

– Panno Cade, zdaje się, że zapomniała pani, że ma w ręku igłę.

Patrzę na igłę między moimi palcami, prawie niewidoczną w mroku.

Corrick odstawia swój talerz i sięga, żeby wyjąć cienki kawałek metalu spomiędzy moich palców. Puszczą mój nadgarstek, ale przytrzymuje wzrok.

– Nie chciałem, żeby się pani skaleczyła.

Przełykam. Nie wiem, co powiedzieć, gdy kładzie igłę na otwartej dłoni i wyciąga ją w moją stronę.

– Jeśli chce mnie pani zaatakować, proszę przynajmniej, żeby zrobiła to pani gołymi rękami.

Biorę igłę i bezwiednie obracam ją w palcach. Ma rację. Mogłam się skaleczyć.

Na pokładzie nadal przebywa sporo ludzi, ale napięcie trochę osłabło.

– Czy z tej oferty może skorzystać każdy? – pyta Lochlan.

Corrick go ignoruje.

– Zostawiam jedzenie. Wiem, że jesteś głodna. – Wstaje. – Rocco, wracam do mojej kajuty. Zostań z panną Cade.

Moje serce wali jak oszalałe.

– Corrick – szepczę.

Jego oczy wreszcie spotykają moje.

– Wiem, że ludzie spodziewają się po mnie wszystkiego najgorszego – mówi cicho.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że ty też.

Kręcę głową, ale on już się odwrócił, a członkowie załogi robią mu przejście.

Znika w gęstniejącym mroku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Wyjęty spod prawa

Dziś w nocy nie mam na sobie maski.

Pomijam fakt, że w ogóle nie powinno mnie tu być. Napięcie panujące w Sektorze Królewskim sięga zenitu, odkąd księżę Corrick wypłynął statkiem do Ostriarii. Straże w pałacu zostały podwojone, bramy sektora są cały czas zamknięte, patrole przy murze wzmożono. Za to w Dziczy nieco złagodzone środki bezpieczeństwa. Skądś trzeba było wziąć dodatkowych żołnierzy i ludzi do patroli.

To bez znaczenia.

Nie przemykam w cieniu, a Violet nie ma szansy wypatrzeć mnie w mroku. Dziś wieczorem w ogóle nie jestem wyjętym spod prawa. Pora jest wcześniejsza niż zwykle – dobrze przed północą. Jestem tylko człowiekiem zmierzającym na spotkanie.

Schylam się po garść ziemi. Idąc, wcieram ją dokładnie w ręce, także na ich wierzchu, żeby kostki też były dobrze przybrudzone, wreszcie wycieram ręce o spodnie, przeciągam też dłonią po karku i kołnierzyku koszuli.

Jeszcze jedna garść ziemi. Znów wcieram ją w ręce i przeciągam rękami po włosach.

W oddali słychać szmer głosów. Dobiegają mnie też ciche dźwięki liry niesione przez wiatr. Pewnie płonie ognisko. Może są tańce, może ktoś przepowiada przyszłość. Na pewno jest piwo.

Moje serce bije trochę mocniej, więc staram się zwolnić kroku. Zwykle nie zapuszczam się tak daleko, jednak istnieje minimalne ryzyko, że ktoś mnie rozpozna.

Muszę przegonić te obawy.

Przemykam między drzewami, a muzyka i głosy stają się coraz głośniejsze, aż nagle nie jestem już sam. Przede mną roztacza się polana, a na niej kręci się mnóstwo ludzi. Nie mogę nie zauważyć ogromnego ogniska otoczonego pniami i kłodami do siedzenia, a nawet matami uplecionymi z trawy.

Starsza kobieta siedząca na pieńku zaczyna grać na lirze, a małe dziewczynki wirują obok jej kolan, we włosy mają wplecione kwiaty. Jacyś starsi mężczyźni z gęstymi brodami podają sobie dzban piwa. Jeden się śmieje i zerka w moją stronę, kiedy wychodzę spomiędzy drzew.

Prawie się potykam. Serce mi podskakuje. Przez chwilę spodziewam się, że wszyscy się odwrócą i zaczną mi przyglądać. Czekam, aż ktoś krzyknie, wskaże na mnie palcem. Szczerze mówiąc, spodziewam się, że zaraz moją pierś przeszyje strzała.

Ale mężczyzna odwraca wzrok z powrotem do swoich towarzyszy. Nic się nie dzieje. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Jeszcze jeden robotnik ciekawy plotek, który chce coś przekazać na koniec dnia, niczym nieróżniący się od pozostałych.

Znów przeciągam dłonią po karku, który stał się nieco wilgotny.

Na brzegu polany, tuż przy drodze, stoi kilka stoisk, gdzie sprzedają jedzenie i piwo. Ruszam w ich kierunku. Podchodzę do pierwszego, bo nie ma przy nim kolejki.

Mężczyzna za kontuarem wita mnie przyjaznym skinieniem głowy.

– Czym mogę służyć? – pyta.

– A co pan ma?

– Miałem pieczone udka z kurczaka, ale szybko się skończyły – odpowiada.

Na grillu za jego plecami migocze płomień. Po skroniach spływa mu pot, od którego pasma blond włosów stają się brązowe. Na twarzy ma kilkudniowy zarost.

– Został mi tylko chleb orzechowy z miodem i serem, trochę suszonej sarniny i dżem.

– To pierwsze, jeśli pan tak łaskaw – odpowiadam.

Uśmiecha się złośliwie.

– Jeśli pan tak łaskaw – powtarza, po czym zaczyna się cicho śmiać, ale nie w jakiś niemiły sposób. – Trochę zadzieramy nosa, co?

Mam ochotę się skrzywić. Odgrywanie tej roli było proste, jak zakładanie dobrze rozchodzonych butów, ale minęło tak wiele czasu, że prawie zapomniałem, jak to się robi. Zmuszam się do nieśmiałego uśmiechu.

– Chyba nie trochę. Prawie zapomniałem, że nie jestem już w Sektorze Królewskim.

Śmieje się i kroi pajdę orzechowego chleba. Na niej kładzie plaster sera i całość wędruje na grill za jego plecami, gdzie pali się niewielki ogień.

– Pracujesz w sektorze?

– Dostarczałem konia z Księżycowych Równin. Jakaś panienska zażyczyła sobie idealnego jabłkowitego. – Robię zniesmaczoną minę i przewracam oczami. Zawsze mówię, że pracuję przy koniach, bo to przychodzi mi naturalnie i zwykle nie wywołuje lawiny dociekań. – Jakby mieli mało szkap. Przysięgam, że słyszałem, jak mówiła, że chce, żeby miał złote podkowy.

Uśmiecha się. Później zdejmuje kromkę chleba z grilla i kładzie na kawałek woskowanego papieru. Polewa ser miodem i zawija.

Pachnie nieziemsko, aż mi ślinka cieknie. Zapomniałem, jak solidne są porcje w Dzicy, a sprzedają je za bezcen, naprawdę. Chciałbym móc dać mu garść srebrnych monet, ale to by mnie zdradziło.

– Więc jesteś tu tylko dziś wieczorem? – zagaduje mężczyzna. Nieco ścisza głos i nie do końca potrafię odczytać jego ton. Podaje mi zawinięte w papier jedzenie.

– Tak. Słyszałem jakieś plotki o wyjętych spod prawa, więc pomyślałem, że może się czegoś dowiem. – Sięgam po jedzenie, a jego palce muskają moje.

Ruch jest delikatny, ale na pewno nieprzypadkowy. Gwałtownie podnoszę na niego wzrok.

– Jak masz na imię? – pyta.

Wpatruję się w niego, zaskoczony. Jestem kompletnie zbity z tropu i nie wiem, co powiedzieć. Przyszedłem tu, żeby zdobyć jakieś informacje, a zupełnie nie przygotowałem się na... flirt. Nikt ze mną nie flirtuje. Nikt nigdy się nie odważył. Poza Violet, która wpatrywała się we mnie kilka wieczorów temu, nie pamiętam, by ktokolwiek powiedział do mnie choćby słowo na temat mojego wyglądu, na pewno nic, co wskazywałoby na zainteresowanie. Aż tu nagle ten mężczyzna, z podwiniętymi rękawami, potem na czole i z ogniem w oczach, przytrzymuje moje spojrzenie, jakby było to czymś najbardziej naturalnym na świecie.

Mam mętlik w głowie.

– Nie chciałem cię zaszokować. – Uśmiecha się szeroko. – Jestem Maxon.

Biorę wdech, żeby powiedzieć, że nie jestem zszokowany, choć jestem i to raczej widać, ale krztuszę się i zaczynam kaszleć. Odwracam się, żeby zakryć usta ręką. Znowu kaszlę. Kiedy biorę wdech, czuję, jakbym oddychał przez mokrą szmatę. Próbuje uwolnić się od wzbierającego we mnie nagłego ataku paniki, ale nie mogę oddychać.

To prawie niemożliwe. Nikt mnie tu nie zna. Nikogo nie obchodzę. Jeśli nie mogę złapać tchu, umrę w środku Dżicy, a moje ciało wyląduje na stosie, razem z innymi. Boże, jaki ja byłem głupi. Powinienem uciekać, wrócić tam, skąd przyszedłem. Z drugiej strony jeśli zacznę biec, pewnie umrę jeszcze szybciej.

Znowu kaszlę, a łzy napływają mi do oczu.

– Masz. – Maxon dotyka mojego ramienia. Teraz w jego oczach widzę troskę. Dociera do mnie, że podaje mi kubek z herbatą. – Masz, napij się.

Nie wiem, co to jest, ale teraz mnie to nie obchodzi. Podnoszę kubek do ust.

Herbata jest ledwo ciepła i bardzo gorzka. Prawie się nią krztuszę. W końcu udaje mi się upić łyk, później następny i nagle oddychanie nie jest już tak trudne. Wypijam ostatni łyk i wtedy uświadamiam sobie, skąd ta gorycz w smaku.

Patrzę zdumiony na Maxona.

– To był napar z Księżycowego Kwiatu?

Waha się przez chwilę, ale potakuje głową.

– Miałem trochę na dzisiaj – przerywa. – Najwyraźniej ty bardziej go potrzebowałeś.

Patrzę na pusty kubek i znowu na niego.

– Ty też go potrzebujesz.

– Nie mam teraz kaszlu – zauważa. – Mogę odpuścić sobie dzień czy dwa. – Wpatruje się we mnie i wzrusza ramionami. – To nic. Jestem pewien, że zrobiłbyś tak samo na moim miejscu.

Ja nie jestem pewien niczego. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kogo znam, kto oddałby mi swoją dawkę leku, nie oczekując niczego w zamian, a ten mężczyzna tak po prostu podał mi kubek. Ta zwyczajna szczodrość jest mi tak obca, że szokuje mnie bardziej niż próba flirtu.

Na twarzy Maxona znów pojawia się uśmiech, ale tym razem mniej pewny.

– Może teraz zasłużyłem, żebyś zdradził mi swoje imię?

Spoglądam na niego. Oddał mi swoją dawkę leku. Pewnie jedyną, jaką miał. Część mnie chciałaby podać mu moje prawdziwe imię, razem ze wszystkimi monetami, które mam w kieszeni. Ale oczywiście nie mogę tego zrobić.

Coś w jego życzliwości przypomina mi małą Violet spotkaną w lesie i to, jak sprytnie pomogła mi ukryć się przed nocnym patrolem.

Wreszcie odpowiadam na uśmiech Maxona.

– Lis – przedstawiam się.

– Lis? To wszystko? – dziwi się.

– Wszystko. – Biorę od niego zawinięty w papier chleb z serem, po czym wyciągam z kieszeni garść monet i podaję mu je ze skinieniem głowy. – Jestem wielce zobowiązany, Maxonie.

– Znów taki oficjalny – drażni się ze mną. Urywa, gdy monety przesypują się z brzękiem na jego dłoń. – Zaczekaj, to... to za dużo. – Zamyka dłoń i próbuje wcisnąć mi je z powrotem.

Odwracam się, nie biorąc ich.

– Jestem pewien, że zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

Następnie odwijam papier z jednej strony, odgryzam kęs sera z miodem i gubię się w tłumie.

Przyszło więcej ludzi, niż się spodziewałem. W Dzikim nie noszę ze sobą zegarka, ale kiedy byłem mały, na naszym dworze był astronom, który nauczył mnie odczytywania czasu na podstawie położenia księżyca. Widzę więc, że już zbliża się północ. Jestem zmęczony, ale podekscytowany. Niespokojny. Myślałem, że to ma być zwykłe spotkanie, ale są tu setki ludzi. Pojawiło się więcej muzyków, ludzie tańczą, panuje radość i ożywienie. Nieskończona ilość kufla piwa nie robi nikomu szkody. Ja jednak trzymam się z dala od pozostałych i czekam, choć już od dłuższego czasu myślę, żeby

zrezygnować. Tłum zaatakował kiedyś „Westona Larka”, gdy odkryli, że to najwyższy sędzia królewski. Nie chcę, żeby to samo stało się ze mną.

Muzyka wreszcie cichnie, kończą się tańce, a ognisko zaczyna przygasać. Ludzie siadają na kłodach i pniach, inni stoją oparci o drzewa albo o siebie nawzajem. Chowam się trochę bardziej w cieniu i opieram plecami o pień. Stoiska z jedzeniem już dawno skończyły sprzedaż, ale zapach pieczonego mięsa i słodkich bułeczek nadal unosi się w powietrzu. Po moim orzechowym chlebie też nie ma już śladu. Tłum cichnie, dostrzegam jakiś ruch między drzewami.

Zbliża się ktoś ważny.

– Jestem zdziwiony, że nadal tu jesteś.

Podskakuję z zaskoczenia, ale to tylko Maxon. Odchrząkuję, próbując uspokoić walące serce.

– Ciekaw byłem, o co to całe zamieszanie.

– Słyszałem, jak praczki rozmawiały, że ma przyjść tu jakiś konsul.

Podnoszę gwałtownie głowę.

– Co?

Źle odczytuje powód mojego zdziwienia, bo potakuje głową.

– Wiem, ale to nie Beeching.

Mówi o Jonasie Beechingu, konsulu z Artis. Nie spodziewałbym się go na spotkaniu w Dzicy. Od czasu, gdy buntownicy podczas ataku na pałac zabili jego kochankę, prawie nie bywa w Sektorze Królewskim.

Szczerze mówiąc, nie spodziewałbym się tu nikogo z konsulów.

– Kto? – pytam.

– Musimy poczekać i zobaczyć. Praczki mówiły, że ten ma związki z Benefaktorami.

Allisander. Albo Lissa Marpetta.

Cofam się głębiej w cień. Lissa nie opuszczała swojego sektora od kilku tygodni, odkąd została oskarżona o pomaganie Allisandrowi w zorganizowaniu zamachu stanu w pałacu. Nie wiem, czy powinienem jak najszybciej stąd uciekać, czy raczej zostać, żeby dowiedzieć się, co knuje.

– Lisie – mówi cicho Maxon, przysuwając się bliżej, ale przez gonitwę myśli w głowie nie jestem świadom, że kieruje te słowa do mnie aż do chwili, kiedy kładzie rękę na moim ramieniu.

Nikt nigdy mnie nie dotyka. Jestem tak zaskoczony, że spoglądam na niego gwałtownie.

Wyciąga w moją stronę garść monet.

– Weź je z powrotem – szepcze. – To za dużo.

– Nie za dużo – odpowiadam. – Nalegam.

Marszczy lekko brwi, jakby próbował mnie rozgryźć, ale wtedy wśród tłumu przebiega pomruk, a ruch między drzewami przykuwa moją uwagę.

Na polanę wchodzi wysoka kobieta o ciemnobrązowej skórze. Włosy ma ciasno upięte z tyłu głowy, strój elegancki, ale nie przesadny.

– Arella – szepczę. Następnie u jej boku dostrzegam mężczyznę i zastygam w bezruchu.

– Znasz ją? – pyta Maxon. – To chyba nie ta od konia, co?

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Nie mogę przestać wpatrywać się w mężczyznę stojącego obok Arelli Cherry.

To Christopher Huxley, kapitan pałacowej straży.

Za nimi idzie Laurel Pepperleaf, córka najpotężniejszego barona w sektorze Allisandra.

Nie wiem, co robić. Konsul Cherry i Kapitan Huxley nie są przyjaciółmi. Laurel Pepperleaf w ogóle nie ma tu żadnego interesu. Nie wiem, czy kiedykolwiek widziałem, by zamienili ze sobą choć słowo. Moje serce wali tak mocno, że płuca za nim nie nadążają. Oddech staje się płytki i charczący. Boję się, że znów zacznę kaszleć.

– Lisie? – zwraca się do mnie Maxon.

– Dziękuję wszystkim za przybycie – oznajmia głośno Arella. Jej głos bez trudu niesie się ponad tłumem. – Jest nas tu o wiele więcej, niż się spodziewałam.

– Benefaktorzy nas oszukali! – krzyczy mężczyzna z drugiej strony. – Kto nam zagwarantuje, że wy także nas nie oszukacie?!

– Nie oferuję wam leku – odpowiada Arella.

– Więc co? – pyta jakaś kobieta. – Potrzebujemy leku. Nadal nie dają nam wystarczająco dużo. Zabrali ze sobą Lochlana.

– Nikt nam nic nie mówi! – woła inny mężczyzna.

Robi się coraz głośniejsze, Arella podnosi rękę, ale krzyki nie ustają.

– Jeśli nie masz leku – krzyczy ktoś inny – to co masz?!

– Informacje – odpowiada. – Proszę. W lesie są patrole...

– Co nam po informacjach, jeśli umieramy?! – przerywa jej inny krzyk.

– Informacje na temat króla. – Głos kapitana Huxleya jest jeszcze donośniejszy. – O tym, jak was oszukuje.

– Mówi wam, żebyście przyjmowali mniejsze dawki leku! – woła Laurel Pepperleaf, dołączając się do wrzawy, ale jej głos zostaje zagłuszony przez innych. – Bo wie, że nigdy nie będzie dość leku dla wszystkich!

– Lochlan popłynął, żeby przywieźć więcej leku! – odzywa się ktoś inny. – Kiedy Lochlan wróci, zobaczcie!

– Ten statek to farsa – oświadcza Arella. – Nigdy nie dotrą do Ostriarii. Król chce się tylko pozbyć księcia i Lochlana.

– Lisie – mruczy Maxon.

– Mamy dowód – ciągnie Arella. – Dzienniki pokładowe, które dowodzą, że wszystkich was okłamywał.

Nadal mam mętlik w głowie. Nie potrafię tego wszystkiego poukładać.

– Oni kłamią – wykrztuszam. – Kłamią.

– Skąd wiesz? – pyta Maxon.

Powaga w jego głosie przypomina mi moment, kiedy oddał mi swój lek. Niektórzy z tych ludzi są zbyt ufni, zbyt zdesperowani. Uwierzą we wszystko, co usłyszą, zwłaszcza jeśli pachnie to skandalem.

Myślę o Violet i jej romantycznym wyobrażeniu o Westonie i Tessie.

– Powiedz coś – zachęca mnie Maxon. – Mam zwrócić ich uwagę? Wiesz coś? Słyszałeś coś w Sektorze Królewskim?

– Nie! – Prawie na niego wrzeszczę, ale natychmiast ściszam głos do szeptu. – Nie. Nic nie mów. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, to być zauważonym w tym tłumie przez kogoś z pałacu. – Muszę stąd zniknąć.

Nagle rozlega się krzyk:

– Nocny patrol!

Wybuch panika. Ludzie zrywają się ze swoich miejsc i pędzą w stronę lasu.

– Nie! – woła kapitan Huxley, ale jego głos ginie w krzykach. – Nie robicie nic złego. Odwołam ich...

Ci ludzie byli już prześladowani przez nocny patrol za kradzież leku. Nie mają zamiaru czekać na rozwój wypadków.

Ja też nie.

– Musimy uciekać.

Maxon chwytam mnie za rękę i ciągnie za sobą.

– Chodź, znam drogę.

W pierwszej chwili ruszam za nim, ale kierujemy się na południe, a ja potrzebuję iść na północ. Muszę znaleźć się w bezpiecznym miejscu, jednak szybko dociera do mnie, że Maxon rzeczywiście zna drogę, bo mimo, że ścieżka jest mocno zarośnięta, on biegnie szybko i pewnie. Kiedy przeciskamy się pod gałęziami i przeskakujemy nad zwalonymi drzewami, dyszę ciężko, ale zmuszam swoje płuca do pracy jeszcze chwilę dłużej.

Świst przesywa ciemność, rozlega się trzask drewna. Maxon wydaje z siebie krzyk.

– Kusza – dyszę. – Biegnij. Po prostu biegnij.

Biegniemy. Kolejny świst i trzask, ale się nie zatrzymujemy. Mężczyzna nadal ciągnie mnie za sobą, jakbyśmy byli przyjaciółmi, kimś więcej, nie obcymi sobie ludźmi, którzy poznali się ledwie przed godziną.

Po chwili trzaski cichną w oddali, więc zwalniamy, z trudem łapiemy oddech. Biegliśmy trochę w kółko. W którymś momencie skręciliśmy na północ, ale jesteśmy daleko od miejsca, w którym wszystko się zaczęło. W głowie nadal mam mętlik. Odtwarzam w zapętleniu to, co usłyszałem na polanie. Myślę o tym, jak niewiele brakowało, żebym dostał strzałę w plecy.

Nadal oddycham z trudem, ale Maxon nie.

– Wszystko w porządku? – pyta. – Lisie, wszystko w porządku?

– Zaraz będzie w porządku. – Kaszlę i próbuję uspokoić oddech. – Uratowałeś mi życie.

– Wątpię.

– Owszem – odpowiadam. – Jestem twoim dłużnikiem. Możesz mi wierzyć lub nie, ale to nie jest drobnostka, Maxonie.

– Cóż – uśmiecha się nieco nieśmiało – w takim razie nie mogę się doczekać, aż dowiem się, co to znaczy.

Na te słowa uśmiecham się wbrew sobie.

– Na pewno nie to, co sobie wyobrażasz.

Rumieni się i to jest rozczulające. Urocze. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek sprawił, że ktoś się zarumienił.

– Chodź. Musimy wydostać się z lasu. – Znów łapie mnie za rękę, a ja mu na to pozwalam.

W lesie rozlega się świst. Strzała wbija się w pierś Maxona.

Później druga. I jeszcze jedna. Niemal równocześnie.

W jego oczach rozbłyska panika. Otwiera usta, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

Gapię się na niego. Nie oddycham. Mam przed oczami najkoszmarniejsze *déjà vu*. Cały mój świat koncentruje się na tych strzałach. Krew zaczyna zbierać się wokół grotów. Gdzieś w oddali słychać okrzyk, a ja nie mogę się ruszyć.

Oczy Maxona robią się puste, po czym mężczyzna upada na ziemię, a jego dłoń wysuwa się z mojej.

Kolejny świst. Czuję, jak moje ucho eksploduje z bólu. Przez jedną przerażającą chwilę myślę, że to już koniec, że zostałem trafiony w głowę. Ostatnim, co poczuję, będzie mieszanka przerażenia, zagubienia i lęku. Ale nie. Dotykam ręką głowy i czuję wilgoć. Krew. Strzała tylko mnie drasnęła. Pewnie dlatego, że pociągnęło mnie w bok osuwające się ciało Maxona.

Przestaję myśleć. Zaczynam biec.

Lecą kolejne strzały, ale kluczę między drzewami. Wiem, jak trudno jest trafić ruchomy cel.

Nagle ból rozsadza mi nogę i prawie się przewracam. To znów tylko draśnięcie, strzała nie przeszła nogi, ale każdy krok to potworny ból mięśni. Nie mogę skupić myśli. Nie wiem, czy to z powodu utraty krwi, czy braku tchu. Nieczęsto zdarza mi się biegać na długie dystanse, ale strach jest silnym motywatorem.

Gdzieś w oddali rozlega się gwizd i wołanie.

– Sierzancie, niech ucieka. Mamy już ich więźniów do dostarczenia do Twierdzy.

Biegnę dalej, podejrzewając, że to pułapka, że gdy tylko się zatrzymam, poczuję strzałę między łopatkami. Cały czas mam przed oczami twarz Maxona. Nagły szok i panikę malujące się na jego obliczu, gdy uświadomił sobie, że umiera.

Czuję się, jakbym biegł bez końca, aż wreszcie moje nogi odmawiają posłuszeństwa. Oddech jest ciężki, nierówny, świszczy. Płuca nie chcą pracować. Chwytam się pnia drzewa i próbuję utrzymać w pionie, zorientować się, gdzie jestem, i pozbierać myśli.

Na początku wszystko wydaje się obce. Zabudowania gospodarskie, kilka budynków w oddali. Nadal jestem w Dzicy, ale nie wiem, w której części, nawet nie jestem pewien, w którym sektorze.

Aż rozpoznaję wóz. Ganek. Drzwi do stodoły, z kwiatem namalowanym z boku.

Stodoła Violet.

Czy mi pomoże? Czy mogę jej zaufać? Nie jestem pewien, ale wiem również, że nie dam rady biec dalej. Kiedy próbuję iść, kuleję.

Spoglądam w dół – całe spodnie mam przesiąknięte krwią. Dotykam ucha i się wzdrygam. Czuję pod palcami rozerwaną skórę. Szyja lepi się od krwi.

Przeklinam. Tego nie da się ukryć.

Idę przez trawę, kulejąc i z trudem łapiąc oddech.

Kiedy dochodzę do pieńka z siekierą, zastanawiam się, czy schować się w stodole do świtu, czy zaryzykować zapukanie do drzwi. Nie muszę jednak podejmować tej decyzji, bo Violet wyskakuje z cienia, jakby czekała tu na mnie całą noc.

– Przyszędłeś! – woła. – Spałam w stodole. Mama myśli, że jestem trochę szurnięta, ale co mi tam. Wiedziałam, że w końcu kiedyś wrócisz. Nie możesz... – Jej wzrok pada na moją szyję i urywa. Podchodzi bliżej. – Lisie – szepcze. Spogląda niżej. – Lisie.

– Violet – wykrztuszam. Oddycham tak płytko, że moje słowa są ledwie słyszalne. – Potrzebuję twojej pomocy. Możesz mnie ukryć?

– Oczywiście. Jestem świetna w ukrywaniu. Ukryłam się przed tobą tej pierwszej nocy, kiedy się spotkaliśmy...

– Violet...

– Tak, oczywiście. Jesteś cały we krwi. Oprzyj rękę na moim ramieniu.

Jest delikatna jak wierzba. Wątpię, by była w stanie utrzymać mój ciężar, ale bierze mnie za ramię i ciągnie do obory.

– Do mnie należy poranny obrządek, więc do popołudnia nikt nie będzie tu zaglądał, aż Will przyjdzie sprzątnąć nawóz.

– Dobrze – mówię. W głowie mam mętlik. – Musisz pójść do Sektora Królewskiego. Musisz zanieść dla mnie wiadomość.

– Do Sektora Królewskiego?! – wykrzykuje.

– Violet, proszę. Posłuchaj.

– Słucham.

Myślę o dziesiątkach przeszkód, jakie spotka na drodze do pałacu. O służących i odźwiernych i o strażnikach stojących wszędzie, którzy mogą nie być lojalni wobec króla, skoro kapitan Huxley był na spotkaniu w lesie razem z Arellą Cherry. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Mój umysł odmawia współpracy, nie potrafię tego uporządkować w głowie.

Już raz próbowali mnie zabić. Czy próbują znowu? A może próbują zabić Corricka?

Prawie wyrywa mi się szloch, ale udaje mi się go opanować.

– Pójdziesz do schodów pałacowych – instruuje, a jej oczy robią się ogromne ze zdziwienia, ale przygryza usta i nie próbuje mi przerywać. – Jest tam służący o imieniu Gryff. Powiesz mu, że masz prywatną wiadomość dla marszałka Quinta. Nie powiesz o tym nikomu innemu. Nie przestawaj go męczyć, dopóki nie przyprowadzi Quinta, rozumiesz?

– Tak – szepcze i szybko potakuje głową. – Służący Gryff, marszałek Quint.

Krzywię się i potykam. Czuję, jak pot spływa mi po plecach

– Możesz rozmawiać tylko z Gryffem i Quintem. Z żadnymi strażnikami. Z żadnymi innymi służącymi.

– Gryff, Quint. – Znów kiwa głową.

– Powiesz Quintowi, że Sullivan jest ranny i potrzebuje pomocy, ale ma przyjść tylko on.

– Sullivan. – Wchodzimy przez drzwi stodoły. – To twoje prawdziwe imię?

– Nie. Ale on będzie wiedział, co to znaczy. – Wzdycham, opieram się o drzwi stodoły i siadam na słomie.

– A jak wejść do Sektora Królewskiego w środku nocy? – pyta Violet.

Do licha. Nie pomyślałem o tym.

Przełykam i sięgam pod koszulę, gdzie na łańcuszku mam mój sygnet. Zdejmuję go przez głowę. Nie chcę angażować strażników, ale nie mam wyboru. Następnie wyjmuję resztę srebrnych monet z kieszeni.

Oczy Violet robią się jeszcze większe.

– Lisie – szepcze.

– Trzymaj pierścień pod ubraniem – upominam, dając jej łańcuszek z pierścieniem i monety. – Spróbuj przekupić strażnika przy pierwszej bramie. Powiedz mu, że chcesz zostawić podanie na pałacowych schodach, ale matka byłaby na ciebie zła, więc musisz to zrobić w środku nocy.

Znów potakuje w milczeniu.

– To po co ten pierścień?

– Jeśli nie da się przekupić, będziesz musiała udowodnić, że potrzebujesz dostać się do pałacu. Wiadomość pozostaje ta sama. Masz wiadomość dla Quinta. Możesz użyć tylko imienia Sullivan.

– Nic nie rozumiem. W jaki sposób pierścień pozwoli mi przejść przez bramę?

Krzywię się z bólu i przenoszę ciężar ciała na drugą nogę. Zanim pójdzie, będę jeszcze potrzebował bandaży.

– Bo jestem królem, Violet. Ten pierścień jest na to dowodem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Corrick

Kiedy tym razem budzę się przed świtem, już nie zasypiam. Według mojego zegarka kieszonkowego nie ma jeszcze szóstej, ale jeśli każdy na tym statku mnie nienawidzi, to chyba jedyna pora, by wyjść na pokład bez narażania się na oskarżycielskie spojrzenia.

Jest na tyle wcześnie, że Rocco nadal siedzi za drzwiami, a na podłodze przed nim rozłożone są karty. Tym razem go nie przestraszyłem, ale i tak natychmiast się zrywa, żeby wstać.

Macham ręką, żeby tego nie robił.

– Nie wstawaj – mówię. – Chcę tylko zaczerpnąć świeżego powietrza.

Mimo to Rocco wstaje.

– Jeden z nas powinien towarzyszyć waszej wysokości, zawołam Kilbourne’a.

– Jeśli musisz. – Nie czekam.

Dziś rano morze jest bardziej wzburzone. Muszę złapać się relingu, kiedy idę do góry. Gdy wychodzę na pokład, na niebie nadal błyszczą kilka gwiazd, a w oddali widać księżyc. Żagle rzucają cienie na pokład. Przy sterze dostrzegam samotną postać, kim by nie była, postanawiam ją zignorować i ruszam w stronę dziobu.

Przy moim pechu to pewnie kapitan Blakemore.

Kiedy mijam fokmaszt orientuję się, że ta część także nie jest opuszczona. Na końcu pokładu dziobowego siedzi mała Anya, schowana przed wiatrem, i w pudełku o niskich ścianach odbija małą piłkę. Na mój widok podnosi głowę, zaskoczona, i bierze gwałtowny wdech. Na ułamek sekundy powraca do mnie wspomnienie Tessy, która niemal się wzdrygnęła, gdy chwyciłem ją za ramię. Czuję ucisk w żołądku.

Nienawidzę tego, jak wszyscy mnie postrzegają. Jestem do tego przyzwyczajony w Kandali, ale w pałacu mogę się skryć i nikt nie śmie spojrzeć na mnie gniewnie. Tu, na statku, potępienie wydaje się mnie osaczać.

Jednak w oczach Anyi widzę, że mnie rozpoznaje, i zamiast uciekać, uśmiecha się.

– Zagrasz ze mną?

Niekoniecznie mam na to ochotę, ale nie będę odtrącał jedynej osoby, która nie wygląda, jakby chciała wyrzucić mnie za burzę.

– Jasne. – Siadam naprzeciw niej.

Oprócz piłki, którą odbijała, w pudełku jest kilka małych drewnianych kłoców o różnych kształtach.

– A w co będziemy grać?

– W hacele.

– Będziesz mnie musiała nauczyć.

Kątem oka dostrzegam na pokładzie Rocco, on jednak trzyma dystans. Może będzie się gapił z daleka jak Kilbourne.

– Gra się na zmianę – mówi Anya. – Odbijam piłkę i biorę kość...

– To są kości? – pytam, udając przerażenie.

– Nie, głuptasie. Tylko tak udajemy. Teraz patrz. Odbijam jeszcze raz i próbuję w tym czasie złapać dwie kości, później trzy, a jeśli mi się nie uda, twoja kolej...

– A! – wykrzykuję, rozumiejąc nagle, o co chodzi. – Znam tę grę. To sztole.

– Nie, hacele.

– W Kandali nazywamy ją sztole. Ostrzegam, jestem w tym bardzo dobry.

Uśmiecha się szeroko i pochyla w moją stronę.

– Nie tak dobry jak ja – mówi drwiąco.

– W porządku. Przekonajmy się.

Ku mojemu zdziwieniu, rzeczywiście jest dobra. Szybka i dokładna. Skusiła dopiero na czwórkach. Szybko dociera do mnie, po co jej pudełko. Bez niego przy tym kołysaniu statku piłka poturlałaby się po pokładzie.

Za każdym razem, gdy Anya sięga po sztole – czy raczej hacele – podciąga się rękaw jej koszuli, odsłaniając blizny na przedramieniu. Nie są zbyt długie. Rozchodzą się w różnych kierunkach, a linie są proste – to zdecydowanie ślady po ostrzu.

Marszczę czoło, myśląc o ostrzeżeniu kucharki z wczoraj, o cieniu na twarzy dziewczynki, zanim mnie rozpoznała.

Anya nie lubi obcych.

Myślę o tym, że Sablo nie ma języka, o tym, jak Tessa opowiedziała mi o zrujnowanej cytadeli i piratach w Ostriarii. Myślę o zamkniętym pomieszczeniu, którego Rian nie chce otworzyć.

Część mnie chciałaby opuścić ten statek w Port Karenin, ale inna część chce poczekać i poznać odpowiedzi.

Kiedy odbijam piłkę, okazuje się, że na statku ta gra jest dużo trudniejsza. Zaliczam skuchę już przy dwójkach.

Anya uśmiecha się szeroko.

– Mówiłam ci!

– Faktycznie. – Oddaję jej piłkę i staram się nie myśleć o sugestii Rocco, by w razie czego użyć dziecka jako karty przetargowej.

– Naprawdę jesteś księciem? – pyta Anya.

– Tak.

– A dlaczego nie ma księżniczki?

– Pewnie dlatego, że nie mam żadnej siostry.

Z jakiegoś powodu uznaje moją odpowiedź za zabawną. Zaczyna chichotać tak bardzo, że jest w stanie złapać tylko dwie kości.

– Nie o to mi chodzi. Pytam, dlaczego nie masz żony.

– Żony? Panno Anyu, jesteś dość bezpośrednia. – Biorę piłkę i odbijam. Tym razem udaje mi się dojść do trójek.

Teraz ona bierze piłkę, ale zanim ją podrzuci, wpatruje się we mnie.

– Dlaczego nazywasz się „wasza wysokość”?

Tym razem ja wybucham śmiechem.

– Nie nazywam się tak. Mam na imię Corrick.

Krzywi się.

– W takim razie dlaczego...

– Anya – za moimi plecami rozlega się głos Gwyn – zostaw człowieka w spokoju. Dabriel jest już gotowa, żeby zabrać się za bułeczki na śniadanie.

Anya bierze gwałtowny wdech, potem zrywa się na nogi i zabiera pudełko. Zbiegając po schodach woła:

– Do widzenia, wasza wysokość Corrick!

Powoli podnoszę się z pokładu i staję twarzą w twarz z porucznik Riana. Nie jestem pewien, co o mnie myśli, ale wiem, co myśli o mnie kapitan. Pamiętam też ton, jakim wczoraj wieczorem Gwyn powiedziała, żebym puścił Tessę. Ciekawe, czy zaniepokoił ją widok mnie siedzącego z jej córką.

Lepsza część mojej osoby chce powiedzieć coś uspokajającego, zachęcającego jak: „Jaka mądra dziewczynka, musi być pani z niej dumna”. Ale najgorsza część mnie czuje się spięta, zdenerwowana i osądzana, dlatego mówię coś innego.

– Proszę się nie niepokoić. Była na tyle rozsądna, żeby zaniepokoić się do mnie nie zbliżać.

Spodziewam się, że mi się odgryzie, jak ma to w zwyczaju Rian, ale jej twarz się nie zmienia.

– Nie niepokoiłam się.

– Wczoraj zdecydowanie wydawała się pani zaniepokojona o pannę Tessę.

Prycha.

– O nią też się nie niepokoiłam. Po prostu nie chciałam, żeby zgrała marynarzy z gorącymi głowami wtrąciła się w kłótnię między kochankami.

My nie jesteśmy kochankami.

Nie wypowiadam tych słów. Powiedzenie czegoś takiego na głos zawsze wydaje się bardziej oficjalne. Bardziej ostateczne.

Ale może Tessa chciałaby, żebym to powiedział.

Nim poukładam sobie to wszystko w głowie, mija dłuższa chwila. Podmuch wiatru owiewa pokład, szarpiąc żagle nad naszymi głowami. Wkładam ręce do kieszeni i przyglądam się porucznik Tagas.

– Nienawidzi mnie pani tak samo jak pani kapitan? – pytam.

– Jest niewielu ludzi, których nienawidzę – odpowiada. – Wasza wysokość do nich nie należy. – Zawiesza głos. – Wojna w Ostriarii była brutalna i okrutna. Wiem, że wasza wysokość i Rian nie przepadacie ze sobą, ale Rian, podobnie jak ja, widział wielu okrutnych ludzi robiących potworne rzeczy.

Myślę o bliznach na rękach jej córki. Większość ludzi by o tym nie wspomniała, ale ja jestem zbyt pobudzony, by zostawić ten temat.

– Jak to, co stało się Anyi?

Zamiera, a jej oczy wypełnia wściekłość.

– Oren Crane to zły człowiek.

– On jej to zrobił?

– Tak.

– Dlaczego?

Wytrzymuje mój wzrok.

– Żeby ukarać mnie za to, że od niego uciekłam.

Marszczę brwi.

– Była wojna – dodaje, jakby to wszystko tłumaczyło.

Może tłumaczy, a może nie. Cały czas myślę o chwili, kiedy Rian próbował mnie sprowokować, kiedy sugerował, że Harristan i ja stawialiśmy ludzi w sytuacji, z której nie mieli innego wyjścia, niż ryzykować życie. Na pewno w Kandali wiele osób także nazwałoby nas złymi ludźmi, ale musieliśmy dokonywać tych niełatwych wyborów. Przynajmniej nie torturowaliśmy dzieci, żeby coś udowodnić.

Choć Rocco powiedział, że moglibyśmy użyć Anyi jako karty przetargowej.

Wtedy myślałem, że ma na myśli kogoś dorosłego, ale nie wyraziłem mojego sprzeciwu, kiedy już poznałem prawdę.

Nie podoba mi się kierunek, w którym zmierzają moje myśli.

Milczałem tak długo, aż wreszcie odzywa się Gwyn:

– Nie przyszedł tu, żeby rozmawiać o Anyi. Chcę się upewnić, że wasza wysokość i Rian dopłyniecie do Ostriarii i że żaden z was nie wyląduje za burtą. Uważam, że nie wolno wam zaprzepaścić tej szansy na polepszenie życia wielu ludzi. Zachowujecie się jak mali chłopcy, którzy próbują sobie udowodnić, który z nich potrafi sikać dalej.

Który z nas potrafi sikać dalej? Najeżam się.

– Czy taki sam wykład wygłosiła pani kapitanowi Blakemore’owi?

– Owszem.

Och.

Z jakiegoś powodu nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Ciekawe, czy to prawda. Przypominam sobie nasze pierwsze spotkanie. Mało brakowało, ale kapitan dostałby od niej reprimendę za swoją postawę.

– Wiem, co powiedział waszej wysokości – mówi. – O zamknięciu kogoś w pokoju i straszaniu śmiercią, jeśli spróbuje uciec.

– Wspaniale. Może powinniśmy przeprowadzić publiczną debatę nad metodami sprawowania rządów w Kandali i wszyscy będziecie mogli mnie oceniać.

Mimo tym słów nadal boli mnie ta analogia. Nie chcę, żeby wyraz mojej twarzy to zdradził, więc odwracam twarz w stronę wody. Słońce zaczyna się już wznosić nad horyzont. Widzę ujście rzeki rozszerzające się w miejscu, gdzie wpada do morza, a ląd po obu stronach znika.

Jesteśmy blisko Port Karenin. Muszę podjąć decyzję.

Nie ufam kapitanowi Blakemore’owi ani odrobinę bardziej, niż kiedy wchodziłem na statek. Jednak myśl zejścia na ląd też mi się nie podoba. Budzi strach.

– Nie próbuję nikogo oceniać – kontynuuje Gwyn. – Jak powiedziałam Rianowi, wasza wysokość nie zamknął nikogo w pokoju.

Tu się myli. Wielu ludzi zamknąłem w celach.

Mogą myśleć o naszej taktyce, co chcą. Utrzymaliśmy przy życiu tyle ludzi, ile mogliśmy.

– Dlaczego miałybyś mnie bronić? – mamroczę. – Wcale mnie nie znasz.

– Ale wiem, że Ostriaria potrzebuje stali – tłumaczy. – Wiem, że dwór królewski w Ostriarii ledwo się trzyma. Wojna została wygrana ogromnym kosztem. Opowiedziałam dziewczynie waszej wysokości, Tessie, o Orenie Cranie i innych buntownikach, którzy tylko czekają, by przejąć kontrolę. Ludzie są zmęczeni i chcą, żeby to się wreszcie skończyło. Jeśli Rian zdoła dowieźć was na miejsce i doprowadzić do porozumienia, bardzo nam to pomoże zachować pokój.

Dziewczynie waszej wysokości, Tessie.

Wiem, że powinienem skupić się na pozostałych jej słowach, ale moje myśli uczepliły się właśnie tych.

Marszczę brwi.

– Więc wysłano cię, żebyś utrzymała pokój między mną a nim.

Wzdycha.

– Może marna ze mnie dyplomatka, ale jestem przede wszystkim marynarzem, nie damą dworu. Nie sądzę, aby opuszczenie statku w Port Karenin przyniosło komukolwiek coś dobrego.

Coś w jej głosie sprawia, że zaczynam się zastanawiać. Przyglądam się jej, żeby rozgryźć, o co w tym chodzi. Oboje z Rianem mówią o uczciwym handlu, o tym, jak oba kraje chcą pokoju i zaspokojenia potrzeb, ale odkąd postawiłem stopę na pokładzie *Ścigacza Świtu*, ogarniają mnie głęboko niepokojące podejrzenia i nie potrafię się z nich otrząsnąć. Nie jestem tylko pewien, co stanowi największe zagrożenie.

– Wezmę to pod uwagę – oświadczam.

Odpowiada skinieniem głowy, jakby moja odpowiedź jej nie zaskoczyła.

– Dziękuję, że wasza wysokość mnie wysłuchał. – Waha się, potem pokazuje w stronę kajuty kapitańskiej. – Niedługo przyjdzie na pokład sprawdzać takielunek.

– To ostrzeżenie?

Uśmiecha się, a wokół jej oczu pojawiają się zmarszczki.

– Pomyślałam, że wasza wysokość powinien to wiedzieć. Może dzisiaj to wasza wysokość powinien wspinać się z nim na żagle.

– Na pewno musiałbym bardzo się starać, żeby go nie zepchnąć.

Gwyn wybuchła szczerym śmiechem, co mnie zaskakuje i wywołuje uśmiech również na mojej twarzy.

– Muszę wracać do steru. Proszę przekazać mi swoją decyzję do śniadania, żebyśmy mogli, w razie czego, skorygować kurs.

– Dobrze.

Po jej odejściu zostaję sam tylko na chwilę, bo zaraz podchodzi Rocco.

Nie odzywa się, ale wiem, że czeka, żebym podzielił się z nim ewentualnymi obawami.

Kładę rękę na relingu i mówię:

– Nie chce, żebym opuścił statek w Port Karenin.

– Jestem pewien, że kapitan też tego nie chce. – Nie wskazuje głową na horyzont, ale jego oczy wpatrzone są w wodę przed nami. – Czy wasza wysokość widzi te statki w oddali?

Wpatruję się w morze i dostrzegam je dopiero po chwili. Są tak bardzo daleko, że nie zauważyłbym ich wcale, gdyby Rocco nie zwrócił na nie mojej uwagi.

– Tak.

– Potrzebowałbym lunety, żeby dostrzec szczegóły, ale wydaje mi się to dziwne, że dwa statki takiej wielkości płyną razem.

Marszczę czoło.

– To cię niepokoi?

– Zbliżamy się do południowego końca rzeki. Jak mówiłem, trzeba by lunety i sekstansu, żeby mieć pewność, ale równie dobrze mogą być na środku oceanu.

– I nie sądzisz, że to statki z Kandali?

– Nie wiem. Musimy podpłynąć bliżej, żeby mieć pewność. Mogą to być statki czekające na kapitana Blakemore’a albo statki czekające na nas.

Trzymam palce zaciśnięte na relingu, więc po gestach nie można odgadnąć, o czym rozmawiamy, ale serce zaczyna mi walić w piersi.

– Co radzisz?

– Kapitan dał nam możliwość opuszczenia statku, co sugeruje, że to nie jest porwanie. W każdym razie nie z jego strony.

– To samo mówiła porucznik Tagas. Prosiła, żebym ją zawiadomił, jeśli zdecyduję się zejść na ląd, żeby mogli zmienić kurs. – Waham się. – Czy aby trochę nie przesadzamy?

– Czułbym się lepiej, gdyby był bardziej szczery, jeśli chodzi o zawartość zamkniętego pomieszczenia. Rozumiem, że woli mieć głęboko schowany klucz, ale czym ryzykuje, pozwalając nam zobaczyć tę broń?

– Zgadzam się.

– Ostatecznie możemy się przecież włamać.

Gwałtownie podnoszę głowę.

– To prosty zamek. – Rocco wzrusza ramionami. – Załoga jest naprawdę nieliczna. W nocy na wachcie jest najwyżej dwóch ludzi, a po południu większość albo śpi, albo patroszy ryby. – Przerywa. – Jeśli chodzi o naszych strażników, na służbie jednocześnie zwykle jest nas dwóch, a trzeci wtedy śpi.

– Myślisz, że potrafiłbyś otworzyć zamek? – pytam ściszym głosem.

Serce nadal wali mi w piersi, rozdarte pomiędzy poczuciem ulgi, że kapitan może jednak jest z nami szczery, a przerażeniem, że statek zostanie przejęty, a my trafimy w ręce kogoś znacznie gorszego.

– Otwarcie zamka to nie problem – oznajmia Rocco. – Ale pozostawienie śladów już tak. – Spogląda na mnie. – Wiedziałyby, że to wasza wysokość wydał taki rozkaz albo nawet sam to zrobił.

Nie mam pojęcia, jak kapitan Blakemore zareagowałby na takie włamanie, ale na pewno uznałby to za osobistą zniewagę. Nie potrzebuję też, by taka historia trafiła do uszu króla Ostriarii. Może mówić, co chce, o mojej reputacji, ale wszystko, co robiłem w Sektorze Królewskim było niczym innym jak egzekwowaniem prawa, które wszyscy znali. Włamanie się do zamkniętej zbrojowni na statku byłoby dużo trudniej

wytłumaczyć. Na pewno trudno byłoby to uznać za dowód gotowości króla Kandali i jego brata do negocjowania w dobrej wierze.

Wpatruję się w wodę i dwa statki w oddali. W słońce, które zaczyna zostawiać złoty ślad na wodzie, wznosząc się nad horyzont.

Chciałbym móc porozmawiać z Tessą.

Przypominam sobie wyraz jej twarzy, kiedy złapałem ją za nadgarstek, widząc igłę niebezpiecznie blisko środka jej dłoni

Przypominam sobie Lochlana za moimi plecami. „Puść ją”.

Jak zwykle wszyscy spodziewają się po mnie wszystkiego, co najgorsze. To po części powód, dla którego ja spodziewam się wszystkiego najgorszego po innych.

W wejściu na pokład pojawia się czyjaś głowa. Tessa jak zwykle wstała wcześniej. Patrzy w drugą stronę, nie widzi mnie.

Czuję skurcz żołądka. Mam ochotę kazać zawracać do portu tylko po to, żeby wysiąść z tego statku i wrócić do tego, co było. Ale jeśli czegoś się nauczyłem, to tego, że nie da się wrócić do przeszłości. Nie mogę cofnąć błędów, jakie popełniłem wobec Tessy. Nie mogę sprawić, by gorączka zniknęła, i nie mogę cofnąć wszystkiego, co ja i Harristan zrobiliśmy źle. Nie mogę cofnąć zamachu, w którym zginęli nasi rodzice.

Jedyne, co mogę, to iść naprzód.

Patrzę na Rocco.

– Powiedz Porucznik Tagas, że nie zmieniamy kursu. Płyniemy dalej do Ostriarii.

– A statki?

Tessa wreszcie się odwraca i zauważa mnie. Usta ma zaciśnięte.

Nie potrafię odczytać wyrazu jej twarzy. Doświadczenie mówi mi, że jest tak samo zagubiona jak ja. Pewnie ma ochotę zeskoczyć ze schodków i wrócić do swojej kajuty.

Ale nie robi tego, a ja wzdycham.

– Poczekamy i zobaczymy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Tessa

Nie myślałam, że go tu spotkam.

Czasem wracam myślami do chwil, kiedy pracowałyśmy z Karri u pani Solomon, a ja wzdychałam do Westona. Starsza kobieta ostrzegała mnie, jak to wyjęci spod prawa tylko czekają, żeby omotać niewinne dziewczęta. W pewnym sensie miała rację. Omotał mnie.

Zastanawiam się, czy Corrick zostanie przy relingu z Rocco, żeby uniknąć kłopotliwej konfrontacji po wczorajszym zdarzeniu. Powinnam znać go lepiej. Powinnam była wiedzieć, że całe życie Corricka to konfrontacja.

Rusza przez pokład i podaje mi rękę.

– Panno Cade, mam nadzieję, że już odłożyła pani swoje igły.

Nie przyjmuję jego ręki i bez jego pomocy wchodzę na pokład.

– Na pewno bez trudu uda mi się znaleźć kolejną.

Zdążyłam już przywyknąć do wymieniania z nim takich drobnych złośliwości – obojętnie, czy pozostajemy w zgodzie, czy nie. Oczekuję tradycyjnego błysku prowokacji w jego oczach, ale ten się nie pojawia.

Księżę napotyka moje spojrzenie i przytrzymuje je.

– Dlaczego jesteś na mnie taka zła? – pyta.

Nie mówi tego głośno, Corrick nigdy nie podnosi głosu, za to nadrabia to intensywnością tonu, a pytanie uderza we mnie niemal jak pięść.

– Znasz moją reputację – ciągnie. – Znałaś moją reputację lepiej niż ktokolwiek. – Milknie na kilka sekund. – Wiesz, co robiłem. Znasz obie strony medalu. – Robi kolejną pauzę. – To bardzo deprymujące, że kilka obelg ze strony Lochlana potrafiło tak drastycznie zmienić twoją opinię na mój temat. Myślałem, że masz nieco silniejszy charakter, ale może się myliłem.

Nie, zaraz. Te słowa uderzają we mnie jak pięść. Muszę bardzo się starać, żeby mój głos brzmiał pewnie.

– Nie chodzi tylko o Lochlana.

– Więc o co?

Od morza nadciąga podmuch wiatru, który szarpie naszymi ubraniami i włosami.

Przyglądam się jego błyszczącym niebieskim oczom, które tak dobrze znam. Nie odwracam wzroku.

– To deprymujące myśleć, że wsiadłeś na statek, na którym znajdujemy się z dala od publicznego widoku, żeby skorzystać z okazji i dobrać się do mnie.

Spodziewam się, że się wzdrygnie, ale tego nie robi.

– Naprawdę myślisz, że o to mi chodziło?

– Dokładnie to zrobiłeś, Corricku.

– Przyznaję się do zdarzenia – podchodzi krok bliżej – ale nie do motywów.

Jest tak blisko, że czuję jego ciepło. Nie potrafię dojść do ładu z własnymi uczuciami.

Księżę wykorzystuje moje niezdecydowanie i robi jeszcze krok. Jego głos jest cichy i pewny, gdy się odzywa:

– Powiem coś, co może zabrzmieć bardzo arogancko i bardzo okrutnie, więc zanim to powiem, chcę, żebyś wiedziała, że mówię to... bo to prawda. Stwierdzenie faktu. – Delikatnie odsuwa kosmyk włosów z moich oczu. – Nie mówię tego, żeby cię zranić.

Przełykam, ale on czeka, aż potaknę i pozwolę mu na wyznanie. Muszę się wziąć w garść.

– Mów.

Pochyla się, żeby powiedzieć to szeptem, żeby nikt poza wiatrem i niebem nie mógł usłyszeć tych słów.

– Znasz mnie od bardzo dawna. Spędziliśmy razem wiele nocy. Wiele razy byliśmy sami. Z dala od publicznego widoku, jak to określiłaś. – Jego głos jest niski, lekko ochrypły, znajomy.

Przeszywa mnie dreszcz, moje policzki zaczynają płonąć, a on mówi dalej:

– Gdyby chodziło mi o „dobranie się do ciebie”, zrobiłbym to już dawno, z twoim ochoczym przyzwoleniem, kiedy tylko bym zechciał.

Odskakuję tak gwałtownie, że prawie tracę równowagę. Oblewam się rumieńcem, od nagłego przypływu furii z trudem łapię dech. Paznokcie wbijają mi się w zaciśnięte dłonie niemal do krwi.

Nie jestem pewna, czy bardziej nienawidzę jego, czy tego, że ma rację.

– Ostrzegłem cię – mruczy.

– Cóż za szlachetność – cedzę przez zęby.

– Szlachetność? – Unosi brwi. – Wybacz, jeśli moje wyobrażenie szlachetności różni się od twojego. Wolałabyś, żebym zrobił lepszy użytek ze stołu w chacie? O ile sobie przypominam, zarzucałaś mi ręce na szyję nie raz i nie dwa.

Muszę być tak czerwona, że mogłabym posłużyć kolorem za wzór dla pomidorów. Jest duża szansa, że znów walnę go w krocze albo chwycę za sztylet, który ma przypięty do paska. A może po prostu uderzę go w twarz. Albo wszystkie te trzy rzeczy. Naraz. Rocco będzie mnie musiał odciągnąć od niego siłą.

Wtedy za moimi plecami rozlega się głos Riana:

– Jakieś problemy, panno Cade?

– Nie – cedzę przez zęby.

– Panna Cade miała problemy z przypomnieniem sobie niuansów naszych wcześniejszych relacji – mówi Corrick. – Tylko pomagałem jej przywołać je z pamięci.

– Prosiła o to?

– Nie wydaje mi się, żeby to była pańska sprawa – zauważa Corrick, a jego głos staje się nieco szorstki – ale tak, i to w sposób dość oczywisty. – Mówi to w bardzo dwuznaczny sposób.

To przelewa czarę. Wyprowadzam cios.

Rian wychodzi przed Corricka, zmieniając nieco tor mojego ciosu. Nie spodziewałam się tego i zahaczam o jego ramię.

– Przepraszam! – wołam, zaskoczona, po czym wciągam gwałtownie powietrze.

Kapitan delikatnie chwyta mój nadgarstek, ale głos ma stanowczy.

– Nie rób tego.

– Nie potrzebuję obrony, kapitanie – wtrąca się Corrick i to chyba prawda.

Rocco przysuwa się bliżej, uważnie przygląda się całej sytuacji.

– Nie bronię waszej wysokości – tłumaczy Rian.

– „Nikt nie walczy na moim statku” – oznajmiam głucho. – Jeszcze raz przepraszam.

– Nie obawiałem się bójki. Nie byłem tylko pewien, jaka czeka cię odpowiedź, gdybyś wymierzyła ten cios.

Ta myśl przeszywa mnie dreszczem. Robię krok w tył i pocieram ramiona, żeby się otrząsnąć.

Corrick przygląda się mojej reakcji.

– Pana obawy są bezpodstawne, kapitanie. To nie byłby pierwszy raz, kiedy Tessa mnie uderzyła. Nigdy jej nie oddałem. – Przerywa. – Być może o tym także powinienem pani przypomnieć, panno Cade.

To też prawda.

Nie mam pojęcia, jak znaleźliśmy się w tym punkcie. Czuję, jakby Weston Lark i książę Corrick znów byli dwiema różnymi osobami, jakby przyjazny, szelmowski wyjęty spod prawa naprawdę został zabity na moich oczach przez okrutnego księcia.

Ale tak nie jest. Przypomnienie sobie o tym jest trudniejsze niż powinno. Muszę wziąć głęboki wdech.

– To prawda – rzucam do Riana. – Nie skrzywdziłby mnie. – Mój głos brzmi tak, jakbym próbowała przekonać o tym samą siebie. Nienawidzę tego. Zerkam gniewnie

na Corricka. – Może nie powinnam była próbować cię uderzyć. – Znów się rumienię, całkowicie wbrew własnej woli. – Ale ty nie powinienesz być mówić... tego.

Rian patrzy to na mnie, to na niego.

– Co powiedział?

– To nasza prywatna sprawa, kapitanie – odpowiada Corrick. – Jestem pewien, że ma pan swoje obowiązki, które przez nas zaniedbuje.

– Właśnie się nimi zajmuję. Gwyn powiedziała, że wasza wysokość nie chce zawijać do Port Karenin.

– Nie mam zamiaru dopuścić, żeby wrócił pan do Ostriarii z opowieściami o tym, jak arogancki i uparty jest brat króla.

Rian splata ramiona na piersi.

– Wasza wysokość myśli, że tamtejsi ludzie sami na to nie wpadną?

– Wsiadłem z panem na statek, kapitanie – przypomina Corrick. – Dość szybko i niemałym kosztem. Mam zamiar kontynuować tę podróż, mimo że nie chce pan być ze mną szczerzy w kwestii tego, co może znajdować się na pokładzie. Moi ludzie nie sprawiają problemów, a pan wykorzystuje moją zielarkę do własnych celów bez słowa sprzeciwu z mojej strony. – Corrick robi krok w przód, a napięcie aż trzeszczy w powietrzu. – Nie jestem pozerem, ufam, że to raczej oczywiste. Jestem najwyższym sędzią królewskim, drugą osobą w kolejce do tronu Kandali. Może kapitan nie zgadza się z naszymi prawami, może nie zgadza się z moimi osądami, ale nie stanowią żadnego zagrożenia dla twojego statku ani twojej załogi. Nie jestem przestępcą i mam dosyć bycia traktowanym, jakbym nim był.

Rian wpatruje się w niego uważnie. Zastanawiam się, czy to napięcie wreszcie się zmateriałizuje i jeden z nich wyprowadzi cios.

Ale on tylko wzdycha i opuszcza ręce.

– W porządku.

Corrick unosi brwi.

– W porządku?

– Tak, w porządku. Wasza wysokość nie jest przestępcą, znalazł się na tym statku, żeby pomóc swoim ludziom, zgodził się na moje warunki i nikomu nic nie zrobił. – Rian przeciąga ręką po włosach.

Nie jestem pewna, czy to irytacja, czy zmęczenie całą tą rozmową. Ja na pewno jestem nią zmęczona.

– Rzeczywiście – ciągnie – mam obowiązki, którymi muszę się zająć. – Przerywa na dłużej chwilę. – Wasza wysokość. Panno Cade – zwraca się do mnie ze skinieniem głowy i odwraca.

Uff.

Wypuszczam powietrze przez zęby.

Ale dla Corricka to nie koniec. Kieruje wojownicze spojrzenie w moją stronę.

– Możesz się obrażać o to, co powiedziałem. Może ci się nie podobać to, co robię. Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, ale wiesz, że to prawda. Nigdy cię nie skrzywdziłem. Nigdy cię nie wykorzystałem. Kiedy zakradłaś się do pałacu, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żebyś była bezpieczna, łącznie z zaproponowaniem ci możliwości ucieczki. Dałem ci sakiewkę srebra i własny sztylet.

To wszystko prawda.

Przełykam.

– Corrick...

– Jeszcze nie skończyłem. Utrzymywałem dystans między nami na dworze, bo szanuję twoją pracę, cenię twoją inteligencję i nie chciałem dawać nikomu pretekstu, by podawał w wątpliwość jedno czy drugie. – Jego głos jest cichy, ale tak intensywny, że każde słowo, każda sylaba, wydaje się nieść ze sobą ogromny ciężar. – Jest mi naprawdę przykro, że człowiek o wątpliwych motywach zdołał zasiać w tobie takie... obawy wobec mnie.

– Przestań być tak cyniczny – rzucam gniewnie. – Rian nie ma wątpliwych motywów.

Słyszając te słowa, cały aż sztywnieje. Nie jestem pewna dlaczego. Wpatruje się we mnie, ale nic nie mówi. Po chwili napięcie jest już zbyt duże. Nie potrafię go znieść.

– Co? – pytam stanowczo.

– Nie miałem na myśli Riana, tylko Lochlana.

Och! Robię krok w tył.

– Więc to nasz kapitan zasiał w tobie obawy? – drąży Corrick. – Nie powinno mnie to dziwić, ale wydaje mi się, że należy mi się jakieś wyjaśnienie.

Znów nie jestem pewna, co powinnam zrobić.

– Może nie potrzebuje wyjaśnień. Może już zobaczyłem skutki. Oto zjawia się na dworze, krytyczny wobec tego, jak rządząmy Kandalą, jak staraliśmy się utrzymać porządek, a ty zgadzasz się z każdym jego słowem. – Corrick mruży oczy.

– Co w tym dziwnego? – pytam stanowczo. – Oczywiście, że się z nim zgadzam! Kiedy byłeś Wesem, też byś się z nim zgodził...

– Ale ty znasz prawdę, Tesso. Ślęczeliśmy nad mapami. Mówiłem ci, że to nie jest takie proste jak zebranie wszystkich płatków Księżycowego Kwiatu, jakie są w Kandali. Gdyby tak było, nie siedzielibyśmy godzinami na spotkaniach z buntownikami. W ogóle nie doszłoby do rewolucji. – Teraz wygląda na naprawdę wściekłego. – Gdyby to było proste, w ogóle nie byłoby mnie na tym statku.

– Wiem.

– Chyba jednak nie wiesz. Myślę, że dotarło do ciebie, że Wes nigdy nie istniał, nie mógł istnieć, a czasy naszych wspólnych przygód już nie wrócą. Myślę, że poznałaś mężczyznę, który ma do zaoferowania więcej, niż tylko niekończące się dyskusje w dusznych komnatach i dostrzegłaś w nim nową szansę, żeby coś zmienić, bo mój sposób jest zbyt wolny i nudny.

– Przestań, proszę. To zupełnie nie tak...

– Czyżby? Mnie się wydaje, że to bardzo pociągające, pójść za kimś, kto ma jasne ideały. Ale jeszcze nie byłaś w Ostriarii, nie poznałaś ich króla. Nie wiesz, co nas czeka. Oskarżasz mnie o cynizm, ale stałaś tu i powiedziałaś, że Rian nie ma wątpliwych motywów. Może powinienem odszukać Lochlana i zaprzyjaźnić się z nim, bo w tym jednym jesteśmy zgodni, jesteś naiwna.

– Nie waż się – rzucam gniewnie. – To, że wiem więcej o lekach niż o rządzeniu krajem, nie znaczy, że jestem jakąś bezradną idiotką. A to, że ty spodziewasz się po każdym wszystkim, co najgorsze, nie znaczy, że na tym świecie nie ma dobrych ludzi.

– Dzięki temu żyję, Tesso. Dzięki temu żyje mój brat, a teraz próbuję dopilnować, żeby nic złego nie spotkało ciebie. Kwestionujesz moje motywy, ale nie kwestionujesz motywów kapitana. A ja zastanowiłbym się, dlaczego twierdził, że sytuacja polityczna w Ostriarii jest stabilna, kiedy siedzieliśmy przy kolacji, a teraz opowiada historie o piratach, którzy mogą się gdzieś na nas czaić. Zastanowiłbym się, dlaczego czuje potrzebę trzymania na statku zamkniętego na klucz pomieszczenia. Wcale nie jestem zaskoczony, że jesteśmy raptem dwa dni na statku, a on już zdołał nas ze sobą skłócić.

– To nie on nas skłócił – wtrącam.

– Zastanowiłbym się, wobec którego królestwa jest lojalny, bo to raczej oczywiste, że nie wobec Kandali – cedzi przez zęby Corrick.

– Wasza wysokość. – Rocco podchodzi bliżej, mówi ściszym głosem, który jednak brzmi na tyle niespokojnie, żeby przerwać tyradę Corricka.

Rocco wymownie spogląda na główny pokład za naszymi plecami, gdzie pojawiają się kolejni członkowie załogi Riana. Nikt nie patrzy na nas wprost, ale to oczywiste, że jesteśmy w centrum uwagi. Znowu.

Wzdycham i robię krok w tył. Na małej przestrzeni nie sposób utrzymać jakiegokolwiek sekretu. Wpatruję się w Corricka. Stoi cały spięty i zaciska zęby ze wszystkich sił. To okropne, że ma rację w tak wielu sprawach.

Ale nie we wszystkich.

Biorę długi wdech i zakładam luźny kosmyk włosów za ucho.

Jakiś niezrozumiały dźwięk rozlega się z tyłu statku. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to Sablo stojący przy sterze. Kiedy obchodzi Corricka, żeby

spojrzeć, co się dzieje, widzę, że Sablo ma w ręku lunetę i wzywa kapitana. Rian dołącza do niego i sam bierze lunetę.

W oddali widzę dwa statki, ale są zbyt daleko, bym zdołała dostrzec szczegóły. Corrick obok mnie zastygł w bezruchu. Przyglądam mu się, ciekawa, czy już je widział. Kiedy spotykam jego spojrzenie – mimo wszystkiego, co wydarzyło się między nami – wiem, że je widział i że te statki coś znaczą.

Jego wzrok znów wędruje w stronę kapitana.

– Czy coś nam grozi? – szepczę.

– Nie wiem – odpowiada. – Rocco też je zauważył.

– Mógł je wysłać Harristan?

– Jeśli tak, nie wspominał o tym. – Przerywa i widzę, że rzeczywiście się nad tym zastanawia. – Nawet jeśli mój brat postanowił złamać słowo, zatajenie tego przede mną nie ma absolutnie żadnego strategicznego znaczenia. – Odwraca się, by spojrzeć prosto w stronę steru. Woła podniesionym głosem do kapitana: – Czy mamy jakiś problem, kapitanie?!

Rian powoli opuszcza lunetę. Przez chwilę milczy, aż wreszcie odkrzykuje:

– Żaden problem! Sablo dostrzegł na horyzoncie brygantyny.

Corrick znów na mnie spogląda, a kiedy się odzywa, jego ton jest lekko drwiący.

– Myślisz, że mówi prawdę?

– Tak – odpowiadam, ale po raz pierwszy nie jestem tego pewna.

– Może mogłabyś się upewnić.

– Niby jak?

– Cóż, nie tylko ja lubię spędzać z tobą czas.

Najeżam się, ale w jego głosie nie ma już arogancji, tylko chłodna kalkulacja.

– I nie tylko kapitan Blakemore. Wygląda na to, że każdy chętnie dzieli się z zielarką różnymi informacjami, nawet Lochlan. – Przerywa i patrzy na mnie wymownie. – Właśnie to powstrzymało buntowników w lesie. To powstrzymało rewolucję. Ludzie cię lubią. Ufają ci.

Znów otwieram usta, ale jego oczy wwiercają się w moje.

– Czy ci się to podoba, czy nie, kapitan ukrywa coś na statku – mówi. – A teraz mamy przed sobą dwa statki w miejscu, gdzie nie powinno ich być. Pora zastanowić się nad własną lojalnością, panno Cade. Twierdzisz, że nie jesteś naiwna. Udowodnij to.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Harristan

Mijają godziny.

Trochę spałem, choć wcale nie chciałem. Za pierwszym razem budzi mnie kot, który wdrapuje się na moje kolana. Biorę głęboki wdech i rozglądam się wokół w panice, ale stodoła nadal jest pogrążona w ciemności. Rozświecła ją tylko wąska smuga księżycowego światła, wpadająca do wnętrza przez okno przy drzwiach.

Z trudem przesuвам nogę, czuję w mięśniach pulsujący ból. Kiedy podnoszę rękę do głowy, odkrywam, że krew na uchu i włosach zakrzepła. Nie wiem, na ile poważna jest rana.

Mrugam i przypominam sobie Maxona oraz życzliwość w jego oczach. Był kompletnie obcym człowiekiem, ale oddał mi swoje lekarstwo tylko dlatego, że go potrzebowałem. A potem próbował pomóc mi uciec przed nocnym patrolem.

A oni go zabili. Zabili go, nim mogłem cokolwiek zrobić.

Nie wiem, jakim cudem Corrick robił to przez lata, ale dopiero teraz rozumiem, jak wiele ryzykował, z jak wielkim poczuciem winy musiał się mierzyć.

Chciałbym, żeby mój brat teraz tu był.

Ta myśl wwierca się w mój umysł tak szybko, że czuję ucisk w piersi i ciepło w oczach. Ale nie płakałem po śmierci rodziców, więc na pewno nie będę płakał teraz.

Wyobrażam sobie Corricka, tu, w tej stodole, przewracającego oczami na mój widok.
Na boga, Harristan, następnym razem po prostu weź mnie ze sobą.

Tak, Cory. Następnym razem.

Zasypiam, po jakimś czasie budzi mnie pianie koguta. Po drugiej stronie stodoły gdaczą kury. Kot śpi jak zabity na moich kolanach – ciepły ciężar na pulsującym z bólu udzie. Teraz przez okno wpada do środka poranne słońce.

Poranek.

Atak paniki sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Violet nie ma zbyt długo. Coś musiało się stać.

Złapali ją? Coś ją zatrzymało? A może któryś ze strażników wtrącił ją do Twierdzy. Mam tu siedzieć i czekać, aż ktoś mnie znajdzie?

Dałem jej mój pierścień. Nie mam jak udowodnić, kim naprawdę jestem. Nawet gdyby rodzina Violet znalazła mnie tu, rannego, zakrwawionego, i uwierzyła w moje słowa, to z patrolem raczej nie miałbym tyle szczęścia.

Zastrzelili Maxona. Zastrzelili go, choć nie zrobił nic złego.

Jestem pewien, że zrobiłbyś to samo na moim miejscu.

Teraz te słowa wydają się mieć podwójne znaczenie.

Zaciskam powieki i staram się spokojnie oddychać. Opieram ręce o ziemię i próbuję wstać. Kot przeciąga się, zdenerwowany, ale ignoruję go i usiłuję stanąć na nogach. Udaje mi się, ale mam zawroty głowy. Spodnie lepią się od krwi, materiał jest rozdarty i widzę, że rana nadal krwawi.

Biorę drżący wdech i przeklinam.

Nie mogę tu po prostu stać. Kulejąc, idę do krowiej zagrody za potrzebą. Nie jestem jeszcze tak spragniony, żeby napić się wody z koryta, ale niewiele mi do tego brakuje. Rodzina Violet ma konia pociągowego. Kiedy udaje mi się dokuśtykać do jego zagrody okazuje się, że jest stary, łękowaty i przyzwyczajony do uprzęży, nie do jazdy wierzchem.

Zresztą tak mi się kręci w głowie, że nie jestem pewien, czy zdołałbym się utrzymać na jego grzbiecie.

Marzę o tym, żeby się przebrać, ale w stajni nie ma żadnych ubrań. Mógłbym spróbować wrócić do Sektora Królewskiego, ale dałem Violet wszystkie pieniądze, więc nie mam nawet drobniaków, żeby opłacić przejazd wozem.

Nie wiem, co gorsze – zostanie tutaj i czekanie, aż ktoś mnie znajdzie, czy wyruszenie za dnia w nadziei, że nikt mnie nie rozpozna.

Myślę o kapitanie Huxleyu stojącym ramię w ramię z Arellą i Laurel Pepperleaf.

Jeśli nie macie leku, to co macie?

Informacje o królu. O tym, jak was okłamuje.

Nikogo nie okłamuję. To jeszcze większa zdrada – i choć trudno mi się do tego przyznać, jestem trochę zszokowany, że spotyka mnie ze strony Arelli Cherry.

Corrick wyjechał. Jeśli nie mogę ufać moim strażnikom, nie mam nikogo.

Quint.

Ale skoro Arella działa przeciwko mnie, może Quintowi też nie mogę ufać. Może to właśnie Quint wtrącił Violet do więzienia, a teraz zbiera strażników i konsulów, żeby mnie pojmać, przyprowadzić skutego w łańcuchy do pałacu, i zrobić dokładnie to, co robił Corrick.

Przeszywa mnie dreszcz. Wracam pod ścianę stodoły i zsuwam się po niej, żeby usiąść. Najgłębiej skryta, najmroczniejsza część mnie pragnie uciec i się schować. Zniknąć tak, by nikt nigdy mnie nie znalazł.

Jednak to oznaczałoby porzucenie tronu. Porzucenie moich ludzi.

Jeśli ktokolwiek zasługuje, by uciec przed swoim losem, to mój brat.

Nagle słyszę stukot kopyt. Zastygam w bezruchu. Dobiegają mnie odgłosy więcej niż jednego konia, więc to na pewno nie sam Quint.

Znów z trudem staję na nogach. Opieram się ręką o ścianę i zaczynam przesuwając w bok. Serce zaczyna walić mi tak mocno, że czuję je w głowie. Żałuję, że nie mam broni. Nie wiem, jak długo ani jak sprawnie byłbym w stanie walczyć, bo zbrojmistrz zawsze traktuje mnie ulgowo. Gdy tylko zaczynam oddychać z trudem, on się denerwuje i przerywa trening.

Zresztą raczej długo bym nie wytrzymał. Już sam długi bieg wczorajszej nocy omal mnie nie zabił.

Nagle drzwi stodoły się otwierają. Blask słońca jest tak jasny, że muszę zamrugać, żeby coś zobaczyć. W drzwiach pojawiają się jacyś ludzie. Najpierw rozpoznaję Violet, bo wyrywa się do przodu.

– Lisie! – woła – Nadal tu jesteś!

– Nadal jestem – odpowiadam.

Spoglądam na mężczyzn, którzy wchodzą za nią. Kiedy powoli wynurzają się z blasku słońca, zastygam w bezruchu. Widzę Quinta. Ma poważną minę, gdy jego wzrok ląduje na mnie. Nie jestem pewien, czy czuję ulgę, bo nie przybył sam, jak prosiłem. Jest z nim dwóch strażników – Thorin i Seath. Wyglądają równie groźnie i nieustępliwie, jak zawsze.

Cały czas mam w głowie słowa kapitana Huxleya, które wypowiedział wczoraj, na polanie, i ostrzeżenia Rocco, które przekazał mi i Corrickowi, zanim obaj odpłynęli. Thorin i Seath są ubrani w zbroje i w pełni uzbrojeni. Ja jestem wykończony, ranny... i nieuzbrojony. Mogą mnie teraz zabić i nic nie będę w stanie na to poradzić.

Wbijam palce w deskę na ścianie stodoły tak mocno, że drzazgi wchodzą mi pod paznokcie. Słyszę własny drżący oddech, jest tylko trochę głośniejszy niż bicie serca.

Pierwszy rusza się Thorin. Robi krok w przód, a ja wstrzymuję oddech. Wstaję i opieram się o ścianę z całej siły.

Kłękam na jedno kolano.

– Wasza królewska mość.

Chwilę później Seath i Quint robią to samo.

Oddycham z ulgą i niemal osuwam się po ścianie. Muszę przeciągnąć drążącą dłońią po twarzy.

– Wstańcie – mówię ochrypłym głosem.

Violet patrzy na mnie zza ich pleców.

– Czy ja też powinnam? – pyta szeptem.

– Nie. – Przyglądam się jej w porannym słońcu. – Nie było cię tak długo. Myślałem, że coś się stało... – Spoglądam na jej nagie stopy, czerwone i pokryte pęcherzami.

Duży palec jest zraniony i zakrwawiony. Podnoszę wzrok na jej twarz. Mam tyle większych zmartwień, ale mimo to robię jej wyrzut: – Miałaś sobie kupić buty, Violet.

Thorin i Seath wymieniają spojrzenia. Quint wygląda, jakby nie do końca rozumiał, o co chodzi w tej rozmowie, natomiast Violet nie sprawia wrażenia zmieszanej.

– Miałam taki zamiar, ale chciałam dać dodatkowe pieniądze Toby'emu. Później pomyślałam, że możesz już więcej nie wrócić, jak mówiłeś. Nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział, że Lis zniknął, więc sama zaczęłam zostawiać po kilka monet na progach domów, tu i tam.

Oczywiście, że musiała coś zrobić.

Dzisiaj jednak nie potrafię się na nią zdenerwować. Przypomina mi to Maxona, który oddał mi swoje lekarstwo. A Violet ryzykowała życie.

– Biegłaś całą drogę boso? – pytam.

– Nie biegłam całą drogę. Długo mi się zeszło przy bramie. Później nie mogłam znaleźć pałacu, nigdy nie byłam w Sektorze Królewskim. Mogłeś mi powiedzieć, że jest pośrodku.

Spoglądam na Quinta.

– Dopilnuj, żeby przysłali tu parę butów.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamyka. Wyciąga z kieszeni mały notesik i zapisuje.

– Oczywiście, wasza królewska mość.

Spoglądam to na niego, to na Violet.

– Mówiłem: żadnych strażników.

Dziewczyna się krzywi.

– Mówiłam mu, ale nie słuchał – odpowiada, machając ręką. – Gryff też nie chciał słuchać. Godzinami musiałam go przekonywać, żeby przyprowadził marszałka Quinta. Musiałam śpiewać i śpiewać, aż myślałam, że stracę głos.

Mam wrażenie, że nie nadążam.

– Musiałaś... Musiałaś śpiewać?

– Tak. Nie chciał mnie słuchać. Powiedział, że to nie jest prawdziwy pierścień, więc siedziałam tam i śpiewałam każdą denerwującą piosenkę, jaką znam, a znam ich dużo. Mówię ci...

– Śpiewała aż do świtu – wtrąca Quint. – Gdy nie wróciłeś, musiałem zawiadomić Thorina. Właśnie zaczęliśmy omawiać dyskretną wyprawę poszukiwawczą, kiedy jedna z pokojówek wspomniała o dziewczynce śpiewającej na schodach pałacu. – Robi krok w przód, ale rezygnuje. Patrzy najpierw na moją nogę, później na głowę i jego usta zaciskają się w wąską kreskę. – Wasza królewska mość – wykrztusza cicho. – Proszę mi wybaczyć, ale wasza królewska mość krwawi. – Przerywa. – Mamy powóz.

– Dobrze. – Dotykam ręką ucha. Jestem zdziwiony, że rana znów się otworzyła. – Kto jeszcze o tym wie?

– Na razie nikt – odpiera Quint. – Padło tylko imię „Sullivan”. To wszystko.

Spoglądam na Thorina.

– Kto ze strażników?

– Tylko my dwaj. – Waha się i znów spogląda na Saetha. – Wszyscy wiemy, jakim plotkarzem jest Huxley. Staramy się trzymać razem.

Huxley ma na sumieniu dużo więcej niż plotki, ale nie mówię tego, tylko się prostuję. Seath rusza w moją stronę, żeby mi pomóc, ale daję mu znak, że nie potrzebuję jego wsparcia. Nadal czuję się zbyt niepewnie i chcę wyjść stąd o własnych siłach.

– Violet, czy potrafisz dochować tej tajemnicy? – zwracam się do dziewczyny.

Kiedy zadaję to pytanie, już znam odpowiedź. Nawet jeśli obieca, nawet jeśli przysięgnie, to zbyt poważna sprawa.

Mimo to kręci głową. Muszę chyba wyglądać groźnie, bo zaraz podnosi rękę w geście poddania.

– Musiałam powiedzieć Toby’emu. – Jej twarz robi się poważna. – Gdyby coś mi się stało, ktoś musiałby powiedzieć mamie.

Jak na zawołanie mniej więcej dziesięcioletni chłopiec wpada do stodoły. Też jest bosy, a przy tym tak szybki, że Thorin i Seath błyskawicznie wyciągają broń, nim się zatrzyma.

Chłopcu wrywa się okrzyk. Cofa się i upada na słomę, ale nie wygląda na przestraszonego, raczej zafascynowanego.

– Zobaczyłem powóz, Vi! Czy to prawdziwi strażnicy z pałacu?

– Wystarczająco prawdziwi, chłopcze – odpowiada Seath. – Jest jeszcze ktoś z tobą?

– Nie – odpowiada Toby i patrzy najpierw na strażników, a później na mnie i Quinta. Otwiera oczy jeszcze szerzej, wstaje i kłania się Quintowi, który ma na sobie do połowy zapięty czerwony brokatowy kaftan. – Wasza królewska mość.

– Yyy... nie – jąka się Quint. W tym momencie zerka na stopy chłopca, wyciąga notesik i znów coś zapisuje. Spogląda na mnie. – Wasza królewska mość – zaczyna znacząco – może należałoby wyruszyć, dopóki jest jeszcze wcześniej.

Toby spogląda na mnie i wykrzywia twarz.

– On? Naprawdę?

Jestem na to zbyt zmęczony. Mam za sobą noc pełną strachu, strat i niepewności, a na głowie o wiele większe zmartwienia niż cokolwiek w tej stodole.

– Nie – mówię. – Quint, mówiłeś, że masz powóz?

Nie czekam na odpowiedź, tylko zaczynam kuśtykać w stronę drzwi. Na zewnątrz stoi powóz i koń jednego ze strażników.

– Czekaj! – woła Violet. – Zobaczę cię jeszcze kiedyś?

Nie, nie zobaczy, ale nie mogę jej tego powiedzieć w oczy.

– Jestem królem – przypominam zmęczonym głosem. – Wszyscy mnie widzą. – Nim wsiądę do powozu, spoglądam na nią po raz ostatni. – Jestem ci bardzo wdzięczny, Violet, naprawdę.

Wygląda na bardzo zmartwioną.

– Potrzebujemy Lisa – szepcze, na co marszczę brwi.

– Wybacz mi, proszę.

Wsiadam do powozu, a Quint wsiada za mną i zamyka z trzaskiem drzwiczki.

– Potrzebujemy cię! – krzyczy przeraźliwie dziewczynka i wali pięściami w drzwi powozu. – Potrzebujemy Lisa!

– Violet?! – Gdzieś w oddali rozlega się głos kobiety. – Co robisz, Violet?

– To był król, pani Tucker! – woła chłopiec. – W pani stodole był król!

Kobieta zastyga w bezruchu. Patrzę na Quinta – ma poważny wyraz twarzy, wpatruje się we mnie, ale nie mówi nic.

– Co tu się dzieje? – pyta wieśniaczka. – O co tu chodzi?

– W pani stodole chował się mężczyzna! – woła Seath. – Podawał się za króla. Aresztowaliśmy go, proszę pani.

– Nie udawał króla! – woła chłopiec. – Nie...

Rozlega się trzask bata i powóz rusza ze stukotem.

Potrzebujemy Lisa.

Te słowa dotknęły mnie prawie tak mocno jak śmierć Maxona.

Biegła boso po trawie. Śpiewała całą noc.

A ja po prostu odjeżdżam powozem, zostawiając ją za sobą.

– Wasza królewska mość – słyszę Quinta.

Mrugam i patrzę na niego.

– Jakim cudem Corrick robił to tak długo? – pytam. – Jak był w stanie to znieść?

Marszałek w odpowiedzi najpierw marszczy czoło, a potem mamrocze:

– Miał Tessę. Nie był sam

Przełykam ślinę. *Ja zawsze jestem sam.*

Quint wyjmuje zakorkowaną butelkę wody z kufra pod siedzeniem i chusteczkę. Zwilża jej brzeg i podnosi.

– Mogę?

– Nie potrzebuję opieki, Quint.

– Jest jeszcze wcześniej. Robię, co mogę, żeby nikt nie zobaczył waszej królewskiej mości, ale jeśli chcemy uniknąć niepotrzebnych pytań, wasza królewska mość musi wyglądać porządnie, wchodząc do pałacu. – Zerka na moją nogę, którą trzymam wyprostowaną pomiędzy nami, bo boli przy zginaniu. – O ile w ogóle wasza królewska mość będzie w stanie iść.

Patrzę na niego gniewnie.

Choć Quint zawsze okazuje głęboki szacunek, nie jest bojaźliwy. W odpowiedzi ponownie podnosi chusteczkę do mojej twarzy.

Krzywię się.

– Dobrze. – Biorę od niego materiał, ale kiedy dotykam szyi i spoglądam na płótno, jest na nim więcej krwi, niż się spodziewałem. Marszczę czoło i wycieram jeszcze raz za uchem. Syczę z niespodziewanego bólu.

– Naprawdę – Quint wstaje i siada obok mnie – proszę mi pozwolić.

Nie czeka na moją odpowiedź, tylko wyrywa mi chustkę z ręki, po czym mocniej ją zwilża, a rozwodniona krew skapuje i wsiąka w aksamitną poduszkę. Kiedy dotyka chustką mojej szyi, prawie podskakuję. Nie jest niedelikatny, ale delikatny też nie.

Boli mnie głowa. W kontakcie ze zranioną skórą woda wywołuje pieczenie. Mam ochotę wyrwać Quintowi tę chustkę z dłoni. Muszę bardzo się starać, żeby nie robić uników jak mały chłopiec.

Quint musiał to zauważyć, bo jego ruchy stają się wolniejsze; teraz znacznie delikatniej wyciera ranę.

– Jak często robiłeś to dla Corricka? – pytam.

– Opatrywałem rany czy przywoziłem z Dżiczy?

Nie podoba mi się, jak mówi obie te rzeczy.

– Jedno i drugie.

Kręci głową.

– W zasadzie nigdy się to nie zdarzyło. Corrick rzadko bywał ranny... Z wyjątkiem tego dnia, kiedy żołnierze waszej królewskiej mości znaleźli go z buntownikami, nigdy nie zdarzyło mu się, żeby sam nie wrócił. – Milknie na chwilę i wzdycha. – Nigdy nie szedł na nocny obchód bez maski. Nawet Tessa nie wiedziała, kim jest.

Odsuwam się i spoglądam mu w twarz.

– Udzielasz mi reprimendy?

– Nie śmiałbym, wasza królewska mość. – Znowu polewa chusteczkę wodą i podnosi.

Kiedy się nie ruszam, unosi brwi.

Wzdycham i odwracam głowę. Muszę przeciągnąć dłonią po twarzy.

Corrick robił to latami, mnie wystarczyło kilka tygodni, bym niemal doprowadził królestwo do upadku.

Jest w tym lepszy ode mnie. Jest ode mnie lepszy w wielu sprawach.

– Może powinienes – mamroczę. Woda jest tak zimna, że przeszywa mnie dreszcz.

– Słucham?

– Udzielić mi reprimendy – dodaję. – Kiedy powiedziałem ci, że mam zamiar to zrobić, nawet nie próbowałeś mnie od tego odwieść.

– Jestem przekonany, że nie byłbym w stanie odwieść króla Kandali od niczego. – Przerzywa i krzywi się, kiedy wyciera chusteczką najgorszą część rany. – Obawiam się, że tutaj będzie potrzebne szycie.

– Strzała omal nie przebiła mi twarzy.

– Wasza królewska mość miał wiele szczęścia.

– Szczęścia...

Powinienem się martwić swoimi konsulami i strażnikami, ale zamiast tego myślę o Maxonie, który leży martwy w środku lasu. Mój głos staje się ochryply. Ku mojemu przerażeniu, czuję ucisk w piersi.

Marszczę czoło i odpycham rękę Quinta.

– Wystarczy.

Przestaje mnie obmywać i zakłada opatrunek, by rana zbyt nie krwawiła, a ja wbijam wzrok w przeciwną ścianę powozu.

Zapada między nami gęsta cisza. To wcale nie jest lepsze – teraz mam zbyt wiele czasu na myślenie.

Informacje o królu, o tym, jak was okłamuje.

Arella i Roydan od tygodni się spotykali – tylko we dwoje, ale przeglądali dzienniki pokładowe. Zupełnie nie mam pojęcia, co to może mieć wspólnego z oszukiwaniem przeze mnie kogokolwiek. Nie potrafię też pojąć, jakim cudem Arella może spiskować z Laurel Pepperleaf i kapitanem Huxleyem. Każdy wie, jaki z niego plotkarz, ale nigdy nie podejrzewałem go o brak lojalności. Laurel pojawiła się na kolacji w towarzystwie Allisandra, a Arella nienawidzi jego i wszystkiego, co sobą reprezentuje. Nie potrafię sobie wyobrazić Laurel i Arelli współpracujących ze sobą.

Ale pojawił się nocny patrol i wszyscy się rozbiegli.

Maxon mi pomógł, a potem przez to zginął.

Oczy mnie pieką, muszę zamrużyć.

– Jeśli mogę... – zaczyna Quint.

– Nie możesz – odpowiadam, na co zamyka usta.

Nie podoba mi się to. Podnoszę na niego spojrzenie.

Jego rude włosy są prawie brązowe w słabym świetle powozu, ale wzrok ma przeszywający. Nigdy się nie przyjaźniliśmy, więc nie mam pojęcia, ile ma lat, ale musi być starszy ode mnie. Był czeladnikiem, kiedy przybył do pałacu. Stanowisko marszałka dworu piastuje już od dłuższego czasu, więc musi mieć dwadzieścia cztery lata, może dwadzieścia pięć lat. Objął to stanowisko tylko dlatego, że wiem, jak bardzo lubi go Corrick. Ja zawsze uważałem, że jest trochę męczący. Może być dobry w tym, co robi, ale bez przerwy głądzi o wszystkim i wydaje się znajdować w tym przyjemność.

Dopiero w ostatnich tygodniach odkryłem, że ta bezmyślna paplanina Quinta to tylko fasada, za którą kryje się bystry, czujny i głęboko lojalny człowiek. Także bardzo odważny. Ocalił mi życie, kiedy zaatakowano pałac. Musi być też przebiegły, skoro w tajemnicy pomagał Corrickowi przez tak długi czas.

– Jaki miałeś pomysł? – odzywam się wreszcie. – Chciałeś sprawić wrażenie, że straż aresztuje mnie za udawanie króla?

– Tak – odpowiada. – Violet nie ma zbyt wiele do opowiedzenia. Gdyby protestowała, raczej nikt by jej nie uwierzył. Łatwiej uwierzyć, że ktoś nabrał dwójkę dzieci i wmówił im, że jest królem.

Ma rację, ale Violet na to nie zasługuje. Nie do wiary, że wzięła pieniądze na buty i zamiast je kupić, rozdawała monety ludziom, żeby myśleli, że Lis nadal kręci się w okolicy. Nowa dawka poczucia winy dołącza do wcześniejszych szarpiących mnie za serce. Przynajmniej mogę zadbać, żeby przez jakiś czas nie marzły jej stopy.

Myślę o tym, jak Quint zauważył bosa stopy Toby'ego, jak zrobił notatkę w swoim notesie.

– Przepraszam – szepczę. – Co chciałeś powiedzieć?

Quint mruga, zdziwiony.

– Chciałam zapytać, jak wasza królewska mość został ranny – odpiera. – Kiedy zjawiliśmy się w stajni, wasza królewska mość nie wyglądał, jakby poczuł ulgę.

– A jak wyglądałem?

– Z całym szacunkiem, wasza królewska mość...

– Po prostu odpowiedz, Quint.

– Na przestraszonego.

– Ach. – Przeciagam ręką po karku. Już samo wspomnienie tego... tego wszystkiego wywołuje dreszcz. – Cóż... – Próbuję zgiąć nogę, ale kolano protestuje. Krzywię się z bólu i przenoszę ciężar ciała na drugą stronę. Wreszcie odpuszczam i wzdycham. – Dowiedziałem się o jakimś planowanym spotkaniu. Pomyślałem, że pójdę tam, by posłuchać, o co chodzi.

– I czego wasza królewska mość się dowiedział?

Że wysłanie w podróż najwyższego sędziego królewskiego ośmieliło buntowników. Tak, jak się tego spodziewaliśmy.

Że zdrada nadal kryje się w cieniu. Że konsulowie nadal spiskują przeciwko mnie i że mają wsparcie pałacowych strażników.

Że mój brat wyjechał, a ja nie mogę ufać nikomu.

Że jestem w tym wszystkim zupełnie sam.

Nie mogę powiedzieć żadnej z tych rzeczy. Jestem królem. Nawet najmniejsza oznaka niepewności może zasiać niezgodę i nieufność. Nie wiem nawet, ile mogę powiedzieć Quintowi.

Tak bardzo chciałbym, żeby był tu Corrick.

– Wasza królewska mość... – zaczyna Quint, ale milknie, jakby się spodziewał, że znów mu przerwę.

– Mów – rzucam i wpatruję się w promienie słońca na draperiach.

– Na początku Corrick nie o wszystkim mi mówił. Tak naprawdę minęło sporo czasu, zanim uznał, że może mi powiedzieć, co robi, choć ja wtedy miałem już swoje podejrzania. – Jego głos jest bardzo cichy, bardzo poważny. – Zaufałeś mi na tyle, wasza królewska mość, by powiedzieć, że masz nadzieję pomagać ludziom w taki sam sposób, jak kiedyś on im pomagał. Na tyle, aby poprosić mnie dziś rano o pomoc. – Waha się. – Na pewno wasza królewska mość musi zdawać sobie sprawę, że strażnicy zaczną coś podejrzewać. Corrick nie robił tego sam. – Znów się waha. – Wasza królewska mość też nie musi robić tego sam.

Spoglądam na niego, a w głowie mam mętlik. Wiem, że powinienem teraz wydawać ostrzeżenia i rozkazy, zacząć planować ochronę pałacu i ludzi.

Biorę wdech, żeby powiedzieć mu o konsul Cherry i kapitanie straży, jednak kiedy otwieram usta, wydobywają się z nich inne słowa.

– Zginął człowiek. Był... Próbował... – Z trudem udaje mi się mówić i oddychać przez zaciśnięte gardło. – Nazywał się Maxon. Zastrzelił go nocny patrol.

Quint się nie wzdraga. Nie odwraca wzroku.

– Co się stało?

Corrick nie robił tego sam.

Ale ja nie wiem, jak to robić inaczej.

Jednak biorę głęboki wdech i opowiadam Quintowi wszystko. Na początku w sposób zwięzły i rzeczowy – po prostu relacjonuję fakty. Spodziewam się, że będzie zadawał jakieś pytania, robił notatki, jakbyśmy siedzieli na spotkaniu w pałacu, z którego później trzeba przygotować raport dla doradców. Tymczasem on uważnie słucha w milczeniu, a ja zdradzam mu coraz więcej szczegółów, które w innych okolicznościach zachowałbym dla siebie. O stoiskach z jedzeniem. O tłumie.

O ciepłym chlebie orzechowym z serem i miodem. O Arelli, kapitanie Huxleyu i ich rewelacjach. O panice, jaką wywołało pojawienie się nocnego patrolu.

O Maxonie – jego szczodrości i śmierci.

– Kiedy zjawiłeś się ze strażnikami, nie byłem pewien, co to znaczy.

– Nie chciałem wystraszyć waszej królewskiej mości – zapewnia Quint tonem pełnym skruchy. – Przepraszam.

– Nie, nie musisz przeproszać.

– Czy wasza królewska mość wydali kapitana Huxleya ze służby?

– Myślałem o tym. – Przerywam, aby wciągnąć powietrze do płuc i powoli je wypuścić. – Ale jeśli to zrobię, obawiam się, że moi przeciwnicy zbyt szybko zorientują się, że coś wiem. Ten, z kim Huxley współpracuje, stanie się ostrożniejszy.

– Myślę o tym, co powiedział Thorin, że wszyscy wiedzą, jakim plotkarzem jest kapitan, i że trzymają się razem. Ciekawi mnie, jak blisko są.

– Arella na pewno wszystkiego się wyprze – wnioskuje Quint, po czym cmoka. – Wasza królewska mość wie, jak chcieli wyjaśnić ludziom, że są oszukiwani?

– Może chodziło im o lek Tessy? – zgaduję. – Ale Lochlan sugerował, że ludzie się niepokoją. Nie potrzeba kapitana Huxleya, żeby podsycił obawy. Co mieliby w ten sposób osiągnąć? Wzniecić rewolucję? Ci ludzie nie byli w żaden sposób zorganizowani. Gdy zjawił się nocny patrol, po prostu się rozbiegli.

– Plotka to za mało, żeby zjednoczyć tłum – mówi Quint. – Niezależnie od tego, jak bardzo Corrick nienawidzi Lochlana, ludzie byli skłonni pójść za swoim przywódcą, kiedy zaproponował nową drogę... Tak jak ty dopuściłeś go do negocjacji i posłałeś z kapitanem Blakemorem.

Wszystko to prawda. Jest coś w łatwości, z jaką pociąga za sobą ludzi, czego mu zazdrościć.

– Tessa powiedziała kiedyś, że moglibyśmy być kochani przez lud – przypominam.

– Powiedziała, że ukrywamy nasze najprawdziwsze oblicze. Zgadzasz się z tym, Quint?

Marszczy brwi, przez co wygląda na wpół rozbawionego, a na wpół smutnego.

– Czy to podchwytliwe pytanie, wasza królewska mość?

– Nie.

– W takim razie... tak. Zgadzam się z każdym słowem.

Nic nie odpowiadam, więc Quint mówi dalej:

– Jedziemy powozem po tym, jak wasza królewska mość próbował ukryć się wśród ludzi i miało to bardzo niebezpieczne skutki. – Przerywa. – I to po tym, jak podobna próba księcia Corricka zakończyła się rewolucją.

To fakt.

– Mam jeszcze jedno pytanie – wtrącam. – Ono też nie jest podchwytliwe.

Quint potakuje.

– Tak, wasza królewska mość?

– Czy uważasz, że ukrywam się za okrucieństwem mojego brata?

Bierze głęboki wdech, jakby miał zamiar prawić mi komunały, ale przetrzymuję jego wzrok, a on zastyga w bezruchu.

Taka odpowiedź mi wystarczy. Przerywam panujące między nami od dłuższej chwili milczenie.

– Więc uważasz, że jestem tchórzem.

– Co? – Wygląda na trochę zaskoczonego. – Nie. Z całą pewnością tak nie uważam.

Odpowiedź jest szybka.

Marszczę brwi.

– Dlaczego nie?

– Wasza królewska mość musi pytać „dlaczego”? Widziałem, jak wasza królewska mość stał naprzeciw buntowników, kiedy strzelali do konsulów i rzucali w nas ogniem. Wasza królewska mość był bezpieczny w lesie, kiedy zaatakowano pałac, ale wrócił z jednym strażnikiem, by stanąć z rebeliantami twarzą w twarz.

– To prawda, jednak spodziewałem się spotkać jeszcze jakichś po drodze – mówię z pewnym rozgoryczeniem.

Quint się nie uśmiecha.

– Corrick wsiadł na statek, bo nie chciał rozczarować waszej królewskiej mości. Zanim zjawiała się Violet, Thorin był gotów przejść każdą ścieżkę w Dżicy, żeby odnaleźć waszą królewską mość. Tessa stanęła po stronie waszej królewskiej mości, bo wierzyła, że naprawdę wasza królewska mość chce lepszego losu dla Kandali. – Przerywa. – Takiej lojalności nie zyskuje się tchórzostwem.

– A jednak uważasz, że chowam się za moim bratem.

– Nie. Uważam, że pozwalasz, by jego czyny mówiły za ciebie.

Prawie się wzdragam.

– Proszę mi wybaczyć, wasza królewska mość... – zaczyna.

– Nie przeprasza – przerywam mu w pół zdania. – Cieszę się, że jesteś ze mną szczerzy.

W tym momencie uświadamiam sobie, że ja też jestem. Spędziłem miesiące – nie, lata – pilnie strzegąc własnych myśli i czynów, nie pozwalając nikomu, nawet Corrickowi, dostrzec choćby cienia jakiegokolwiek słabości.

Jak wyglądałem?

Na przerażonego.

Przyglądam mu się uważnie. Kiedy zaatakowano pałac, Quint przyjął na siebie strzałę przeznaczoną dla mnie.

– Ty także zostałeś przy mnie, Quint.

– Tak, wasza królewska mość.

Przeciągam ręką po twarzy i wzdycham.

– Gdybym tylko potrafił przekonać lud do podobnej lojalności.

– Cóż... – zaczyna Quint. – Może da się to zrobić.

– Jak?

– Nie jesteś tchórzem, wasza królewska mość. Nie boisz się wejść między poddanych. – Quint nie spuszcza ze mnie wzroku. – Corrick wyjechał. Może czas, żeby wasza królewska mość przemówił sam za siebie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Corrick

Trzeciego dnia podróży około południa tracimy z oczu ląd.

Nadal jednak widzimy tamte statki. Gdy rzeka wpadła do morza, inne statki zniknęły nam z oczu i teraz zostały wyłącznie te dwa.

Kapitan Blakemore jest podejrzliwy. Widziałem, jak rozmawiał ze swoją porucznik, jak razem patrzyli przez lunetę.

Ja też jestem podejrzliwy. Zdaje się jednak, że nasza wzajemna podejrzliwość osiągnęła taki poziom, że zadawanie pytań i domaganie się wyjaśnień przestaje mieć sens, bo obaj jesteśmy przekonani, że nie usłyszymy od siebie słowa prawdy czy czegokolwiek, w co bylibyśmy skłonni uwierzyć.

Teraz, gdy już jesteśmy na otwartym oceanie, woda wokół statku nabrała głębokiego niebieskiego koloru ciągnącego się na wiele kilometrów. Wiatry są spokojniejsze niż na rzece, sztorm przesunął się chyba na wschód, zapewniając nam gwieździste niebo nocą i piękne słońce w dzień. Aż trudno uwierzyć, że nasze jednostki tak często rozbijały się po drodze do Ostriarii, bo morze wydaje się spokojne, a statek ledwo się kołysze.

W innych okolicznościach mógłbym mieć z tego rejsu ogromną przyjemność.

Nie tylko ja stałem się nerwowy. Wraz z upływem dni postawa członków załogi też się zmieniła. Na *Ścigaczu Świtu* wydaje się panować dziwne napięcie i nie do końca potrafię wskazać jego źródło. Ludzie są bardziej nerwowi, pobudliwi, a po pokładzie niosą się ostrzejsze głosy.

Lochlan nadal pomaga załodze i z nas wszystkich wydaje się czuć tu najlepiej. Mam mu to za złe. Nawet Rian siedzi dziś w swojej kajucie dłużej niż zwykle, rozmawiając z Gwyn i Sablo. Widziałem, jak znowu przyglądali się statkom na horyzoncie.

– Robią się niespokojni – mówię cicho do Rocco, kiedy o zmierzchu inni znikają pod pokładem, żeby coś zjeść.

– Widzę – odpowiada. – Przez to ja czuję się niespokojny.

Ja też.

Członkowie załogi, z talerzami w rękach, zaczęli ustawiać się w kręgu na najszerzej części pokładu, co oznacza, że powinienem zejść do swojej kajuty, ale wtem kapitan Blakemore wychodzi spod pokładu z Tessą u boku.

Na ten widok stoję jak wryty.

Wygląda równie pięknie w kamizelce i spodniach, jak w wytwornych sukniach, które nosi w pałacu. Może nawet piękniej, bo to przypomina mi Tessę z Dżicy, przemyskającą w ciemności, żeby dostarczyć lek. Moje serce podskakuje, jakby chciało mnie ukarać. Pewnie sobie na to zasłużyłem.

Moja wyrachowana strona kazała jej z nim rozmawiać, ale teraz moje serce chce ją od niego odciągnąć.

Kapitan zauważa, że się przyglądam, a w jego oczach rozbłyska szyderstwo. Odwraca się do Tessy, ale mówi na tyle głośno, bym go usłyszał.

– Proszę siadać. Każdemu należy się trochę rozrywki. – Spogląda na mnie. – Ma pan ochotę z nami zagrać, wasza wysokość?

Nie.

Ale zmuszam się do uśmiechu i odpowiadam:

– Oczywiście,

Wszyscy siedzą w pobliżu grotmasztu. Nie mam ochoty torturować się bardziej, więc wybieram miejsce obok porucznik Tagas i jej córeczki. Kilbourne też jest na pokładzie, przechadza się po mojej lewej stronie, ale nie siada.

– Co to za gra? – zagaduję Gwyn.

– Żądanie i wyzwanie.

Zerkam na Anyę.

– Brzmi dużo ciekawiej niż hacele – zauważam, na co Anya wykrzywia do mnie twarz.

Jej matka wyjaśnia:

– Możliwe. Głównie chodzi o to, żeby załoga nie zrobiła się zbyt podenerwowana. Nie ma nic gorszego niż znudzony marynarz na środku oceanu.

Anya odrywa kawałek chleba i mi go podaje.

– Proszę, Corricku. Nie masz kolacji.

To dziwne uczucie, usłyszeć swoje imię w ustach dziecka. Uśmiecham się, oczarowany, i biorę chleb. Anya ma na sobie sukienkę z krótkimi rękawami, dzięki czemu jej blizny są teraz bardzo widoczne.

Była wojna.

Ale ona jest dzieckiem.

Może przemawia przeze mnie własna naiwność.

Odrywam mały kawałek chleba i oddaję jej resztę.

Patrzę na przeciwległą stronę i widzę obserwującego mnie kapitana. Kiedy nasze oczy się spotykają, odwraca wzrok i mówi coś do Tessy – zbyt cicho, bym usłyszał, a Tessa potakuje głową, ale nawet na mnie nie zerką.

Zwykle dobrze rozgryzam ludzi. To, czego najbardziej nie lubię w kapitanie Blakemorze, to fakt, że nie potrafię rozgryźć, czy ogrywa nas oboje, czy może jednak tak poważnie traktuje swoje pragnienie pomagania wszystkim. Jeśli to drugie, to jestem dupkiem i powinienem go przeprosić.

Ale... nie sędzę, że tak jest.

Chcę wiedzieć, co ukrywa. Muszę to wiedzieć.

Marchon, nawigator, wstaje ze swojego miejsca i wyciąga zza pasa sztylet. Załoga milknie.

– Wyjaśnię naszym gościom zasady gry – mówi. – Kręci się ostrzem, żeby wskazało przeciwnika. – Kładzie broń na deskach pokładu i wprawia ją w ruch. Ostrze błyszczy w zachodzącym słońcu. – Gdy się zatrzyma, stawia się żądanie osobie, którą wskazuje ostrze, a ta osoba odpowiada wyzwaniem. To może być wszystko. Wyścig, zagadka, zapasy, cokolwiek, ale nie może trwać dłużej niż kilka minut, żeby gra się nie dłużyła. – Sztylet się zatrzymuje i wskazuje na Anyę.

Dziewczynka piszczy z radości i się prostuje, a Marchon się uśmiecha.

– Dobra, chcę te drewniane kości, które wygrałaś ode mnie ostatnim razem.

Anya zrywa się na nogi.

– W takim razie wyzywam cię, żebyś prześlizgnął się pomiędzy żaglem a reją.

– Zaczynaj. – Marchon przewraca oczami.

Kiedy dziewczynka przeciska się przez małą szparę, przez którą dorosły nie ma szans się przecisnąć, Marchon wyjaśnia.

– Anya zatrzymuje kości, bo ja nie jestem w stanie wykonać tego zadania. – Anya rzuca się w przód, żeby zakręcić sztyletem. Ostrze wskazuje na Tora, który właśnie pociąga z butelki wędrującej w koło.

– Tor! – woła Anya. – Hmm... Chcę twoją lunetę.

Tor prychnie i wywraca oczami.

– Dobrze. Lunetę dostanie ten, kto osiągnie wyższego punktu na maszcie.

Anya się krzywi, ale podchodzą do masztu i oczywiście Tor wygrywa.

Gwyn pochyła się w moją stronę.

– Trochę wolno się rozkręca, bo Anya była pierwsza, ale kiedy zaczną grać chłopaki, stawka będzie wyższa, a wyzwania trudniejsze.

– Można zażądać czegokolwiek?

– Tak, ale musisz być gotowy, żeby o to walczyć. To przeciwnik wybiera wyzwanie, więc ma przewagę.

Tor wolno kręci sztyletem. Wypada na Kilbourne'a. Wśród załogi rozlega się kilka gwizdów. Tor zerka najpierw na Kilbourne'a, później na mnie i zaczyna się wahać. – Mogę... Mogę zakręcić jeszcze raz, wasza wysokość.

– Nie trzeba, strażnicy mogą grać – podnoszę wzrok na Kilbourne’a – jeśli mają ochotę.

Widzę, jak Kilbourne mierzy wzrokiem Tora, a później uśmiecha się szeroko. Strażnicy są chyba równie znudzeni, jak załoga.

– Dobrze – zgadza się. – Czego byś chciał?

Tor patrzy na Kilbourne’a, także mierzy go wzrokiem, najpewniej zastanawiając się, jakiego rodzaju wyzwanie mu postawi. Tor nie jest mały, ale strażnicy to dobrze wyszkoleni wojownicy i to po nich widać.

– Cóż. Przydałby mi się ten twój sztylet.

– W porządku. Jeśli zdołasz mi go odebrać w mniej niż minutę.

Tor unosi brwi i przez chwilę mam wrażenie, że zada pytanie albo poprosi o inne wyzwanie, tymczasem on wydaje z siebie okrzyk i rusza na strażnika.

Kilbourne zwinnie odsuwa się na bok, ale Tor szybko wraca do siebie i prawie udaje mu się powalić Kilbourne’a przy drugiej próbie. Strażnik jednak odpycha go, a on upada na plecy tak mocno, że aż rozlega się wrzask.

Załoga pogwizduje i krzyczy.

Tor dyszy ciężko, patrząc na Kilbourne’a, na co ten uśmiecha się szerzej.

– Nadal masz jeszcze czterdzieści pięć sekund! – woła, a tłum wybucha śmiechem.

Tor znów go atakuje, a Kilbourne po raz kolejny go powala. I czwarty raz.

Po piątej próbie Tor ma rozciętą wargę i ledwo łapie oddech.

– Dziesięć sekund – mruczy Kilbourne.

Tor, charcząc z wysiłku, zrywa się do ostatniego ataku, jednak Kilbourne i tym razem posyła go na deski.

Marynarz upada na brzuch.

– Dzielnie walczyłeś – zauważa Kilbourne bez cienia drwiny w głosie.

Ale Tor odwraca się na plecy ze sztyletem przyciśniętym do piersi.

– To fakt. – Śmieje się i kaszle jednocześnie.

Wokół słychać szmer zdziwienia i śmiechy.

Kilbourne przeklina i klepie ręką pustą pochwę po sztylcie przy pasku. Patrzy z żalem na wciąż leżącego Tora.

– Jeszcze go odzyskam – odgraża się, cicho się śmiejąc.

– Będziesz musiał poczekać na swoją kolej – ripostuje Tor z szerokim uśmiechem.

Wstaje i utykając, wraca na swoje miejsce.

Gwyn obok mnie śmieje się delikatnie.

– Zanim został przykładnym marynarzem, Tor był kieszonkowcem.

– Więc to wszystko to była zmyłka? – dociekam.

– Tak, ale Tor wygląda, jakby trochę tego żałował. Pewnie będzie później prosił twoją dziewczynę o okład.

Moją dziewczynę. Te słowa są jak cios w brzuch.

Gwyn spogląda na mojego strażnika.

– No, Kilbourne, zakręć sztyletem.

Kręci, trafia na innego członka załogi i przegrywa, kiedy wyzwanie polega na zawiązaniu skomplikowanego węzła. Gra toczy się dalej. Niektóre żądania są bardzo proste – dodatkowa bułka, godzina służby, jakaś plotka, a czasem poważniejsze – cenna książka, biżuteria, wspólne spędzenie czasu.

Wyzwania też są różne. Niektóre bardzo fizyczne – polało się wystarczająco dużo krwi, bym nabrał wątpliwości, czy można tę grę nazwać „przyjazną”. Inne umysłowe, jak zagadki i pytania.

Dowiedziałem się podczas niej więcej o załodze niż przez trzy dni pobytu na statku. Widzę, kto umie walczyć, kto umie oszukiwać, kto szybko się poddaje.

Po przeciwnej stronie pokładu zauważam, że uważne oczy Riana czynią podobne obserwacje, kiedy sztylet wskazuje moich strażników.

Podczas gry wśród ludzi krąży butelka alkoholu. Gdy dochodzi do Tessy, widzę, że się waha. Na moment zrobiło się trochę ciszej, więc słyszę głos Riana:

– Jest bardzo słodkie, ale ma kopa.

Tessa podnosi wzrok i patrzy na mnie.

Przytrzymuje moje spojrzenie, przechyla butelkę i pociąga solidny łyk.

Wiem, że chciała mi w ten sposób okazać lekceważenie, ale przyłapuję się na tym, że wpatruję się w ruch butelki, ruch jej gardła, gdy przełyka, włosy szarpane przez wiatr, krople, które zostały na jej wargach.

Ona też nie odwraca ode mnie wzroku, a w jej oczach buzuje ogień. Bezgłośnie wypowiada trzy słowa: *Nie trać ducha.*

Mimowolnie się uśmiecham. *Ty też.*

Potem odwraca się i podaje butelkę Rianowi. Czuję się, jakby wylała mi na głowę kubek zimnej wody.

Potem słyszę gwałtowny wdech niektórych członków załogi i podnoszę wzrok.

Sztylet wskazuje na mnie.

Przestałem obserwować grę, więc nie miałem pojęcia, kto zakręcił, dopóki Gwyn się nie odzywa:

– Korci mnie, żeby poprosić waszą wysokość o zajęcie się moją córką przez godzinę.

Część załogi wybucha śmiechem. To zabawne i też powinienem się śmiać, ale nadal myślę o Tessie i Rianie, i o tym, że utknąłem na tym statku.

– Bardzo proszę – mówię, na co Anya się rozpromienia.

Lubię panią porucznik i nie chcę zasmucić jej córki, więc marszczę czoło, jakbym próbował wymyślić jakieś trudne zadanie. Wreszcie mówię:

– Wygra ten, kto szybciej przeliteruje swoje imię.

Kiedy Gwyn wygrywa, wzdycham i daję Anyi pstryczka w nos.

– Wygląda na to, że będę na ciebie skazany przez całą godzinę.

– Jutro? – pyta z nadzieją w głosie. – Nauczysz mnie jakiejś kandalaańskiej gry?

– Jasne – odpowiadam i bezwiednie kręcę ostrzem.

Ktoś podaje w moją stronę butelkę. Bez zastanowienia pociągam długi łyk. Kiedy odejmuję szyjkę od ust, widzę, że Tessa na mnie patrzy.

Ogarnia mnie ciepło – zbyt szybko, by był to efekt alkoholu. Nadal trzymam butelkę w ręku i patrzę, jak sztylet obraca się i obraca. Moje serce zaczyna bić w tym samym rytmie.

Nagle sobie uświadamiam, że zatrzyma się na niej. Ostrze zwalnia i widzę, że to się zaraz stanie, przez co prawie tracę dech.

O tak wiele rzeczy chciałbym ją poprosić.

O noc. O godzinę. O minutę. O przebaczenie.

Tessa nie patrzy na ostrze. Patrzy na mnie.

Ostrze się zatrzymuje, ale nie patrzę w dół, ona też nie.

Ktoś gwizdże, później ktoś inny. Rozlegają się krzyki.

Przełykam i podaję butelkę następnej osobie. Wtedy też dociera do mnie, jakie słowa rozbrzmiewają w powietrzu.

– Zażąda statku!

– Nie, zwrotu swojej dziewczyny!

– Niech przejdzie po relingu, kapitanie!

Co?

Marszczę czoło i spoglądam w dół.

Ostrze nie zatrzymało się na Tessie. Zatrzymało się na kapitanie Blakemorze.

Zastygam w bezruchu. Nie byłem gotów, żeby tak szybko zmienić tor swoich myśli. Kapitan po przeciwnej stronie pokładu także zastygł jak słup soli.

Okrzyki tłumu w moich uszach zamieniły się w jeden wielki ryk.

– Słucham – mówi Rian, na co załoga milknie. Nie podoba mu się to, da się to po nim łatwo zauważyć. – Czego wasza wysokość żąda?

Odkąd wsiedliśmy na pokład, odmówił mi tylko jednej rzeczy.

– Wie pan czego.

– Więc proszę tego zażądać i będziemy o to walczyć.

Moje myśli przysłaniają ciemne chmury, chłodne i znajome.

– Chce pan ze mną walczyć? – pytam ponuro.

- Wasza wysokość jeszcze niczego nie zażądał – zauważa.
- Dobrze. Chcę zobaczyć, co jest w tej zamkniętej kajucie.
- Dobrze. – Rian wstaje i zaczyna rozpinąć kaftan.
- Dobrze.

Adrenalina buzuje w moich żyłach. Wstaję z pokładu i rozpinam swój.

Rocco, który dotąd stał przy relingu, w jednej chwili znajduje się przy moim boku.

- Wasza wysokość.

Rzucam mu okrycie.

- Potrzyмай.
- Wasza wysokość, muszę doradzić, by...
- Odsuń się – rozkazuję.

Tessa patrzy to na mnie, to na kapitana.

– Corrick! – woła pośpiesznie. – Rian! Przestańcie. Nie wiesz... On potrafi walczyć...

- Ja też – mówimy jednocześnie i obaj się krzywimy.

Nie mam pojęcia, którego z nas próbowała ostrzec.

Wtedy odzywa się Lochlan:

- Księżę złamał mi nadgarstek gołymi rękami.

Przez tłum przebiega pomruk.

Rian patrzy na mnie przeciągle.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

Mimo mojego rozkazu Rocco i Kilbourne przysuwają się bliżej. Beztroska atmosfera wyparowała, a cała załoga milknie.

- Jeśli chciałeś o to walczyć, mogliśmy to załatwić już wczoraj.

– To nie jest moje wyzwanie. – Rian wskazuje głową na grotmaszt, następnie podchodzi do lin i takielunku połączonego z poprzecznymi belkami.

- Kto pierwszy wejdzie na górę. Start.

Nim zdołam przetworzyć tę informację, Rian jest już dwa metry nad ziemią.

Szlag. Bez namysłu wskakuję na linę.

Nigdy wcześniej tego nie robiłem, ale obserwowałem jego załogę wiele razy, a wspinaczka nie jest dla mnie czymś nowym. Są dziesiątki miejsc, w których można postawić stopę. To dużo łatwiejsze niż wspinanie się po murze Królewskiego Sektora.

Kilka tygodni temu, kiedy byłem w niewoli, buntownicy zwicznęli mi ramię, dlatego teraz czuję klucie, ale je ignoruję. Patrzę w górę, na kilometry łańcuchów i siatek, i próbuję znaleźć najlepszą drogę, ale trzymam się zewnętrznej krawędzi i z każdym podciągnięciem jestem wyżej, łapiąc się lin, zaplątując w nie stopy, żeby zwiększyć siłę.

Harristan nauczył mnie wspinaczki, gdy byłem jeszcze chłopcem. Nadal słyszę jego głos w głowie.

Skup wzrok na linie, Cory.

Zawsze dobrze się wspinałem. Zawsze byłem szybki i zwinny. Kiedy razem z Tessą jako Wes i Tessa robiliśmy obchody, świetnie radziła sobie z odmierzaniem leku, ale przy wspinaczce na murze byłem od niej dwa razy szybszy. Dlatego brałem trudniejsze trasy.

Kapitan wspina się po mojej lewej, widzę, że świetnie sobie radzi, wykorzystuje kombinację lin i drabinek, ale prawie się z nim zrównałem. Jeszcze trzy metry i będę przy pierwszej poprzecznej belce, zyskam lepszy punkt oparcia.

Kiedy spogląda w dół, żeby zobaczyć, jak mi idzie, widzę zaskoczenie w jego oczach, spowodowane tym, że prawie go doganiam. To daje mi ogromną satysfakcję.

– Trzeba było wybrać walkę – mówię.

– Jesteś po zewnętrznej stronie, a stamtąd łatwo spaść.

Opieram mocno stopę o linę i niemal wskakuję wyżej, wyprzedzając go.

– Zaryzykuję.

Rian przyspiesza.

– Naprawdę złamałeś Lochlanowi nadgarstek gołymi rękami?

– Tak.

– Mimo to twierdzisz, że twoja reputacja nie ma uzasadnienia?

– Nigdy tak nie twierdziłem. – Docieramy do belki. Tu na górze wiatr jest silniejszy, więc mocno zaciskam palce na takielunku i próbuję opanować zawroty głowy. Muszę skupić wzrok na linie, bo jeśli spojrzę na wodę, stracę orientację w przestrzeni.

Nie do wiary, że jesteśmy dopiero w połowie.

Rian jest już powyżej belki.

Ja całkiem puszczam liny, odpycham się stopami od takielunku i skaczę.

Przez chwilę wydającą się trwać wieczność czuję się, jakbym unosił się w powietrzu. Wokół mnie jest tylko wiatr i niebo. Kiedy moje palce już mają chwycić się liny, w żagiel uderza silny podmuch wiatru i omal nie spadam. Stopy w ogóle nie znajdują oparcia, ale podciągam się na rękach. Włókna wrzynają mi się w palce. Teraz czuję, jakby w bark wbiło mi się tysiąc gorących igieł.

Jeśli to przetrwam, Harristan może mnie zabić. Albo Rocco może go w tym wyręczyć.

Krzyki dobiegające z dołu zlewają się w niezrozumiały jazgot.

Wreszcie.

Moje stopy odnajdują linę i podciągam się wyżej. Tu siatka jest węższa, bo jesteśmy prawie na górze, a liny i łańcuchy dodatkowo utrudniają wspinaczkę. Oddech mam

nierówny, serce wali mi jak szalone, ale warto było, bo udało mi się go wyprzedzić. Przeciskam się między linami, a statek kołysze się w rytmie fal to w przód, to w tył.

- Jeśli trafimy na silny podmuch – woła do mnie Rian – skończysz w oceanie!
- To by oszczędziło ci sporo kłopotów, prawda?!

W tym momencie, jak na zawołanie, silny podmuch wiatru uderza w żagle tak mocno, że tracę linę spod stóp i przez jeden przerażający moment wiszę tylko na rękach. Wszystko dzieje się tak nagle, że zsuwam się jakieś piętnaście centymetrów. Wewnętrzna strona rąk potwornie piecze i nie mogę złapać tchu.

Popełniam błąd i spoglądam na wodę. Horyzont wiruje, ludzie na dole wydają się znajdować kilometry stąd.

- Jest tuż koło ciebie! – woła Rian. – Tuż obok, podnieś nogę o pół metra i trafisz!

Słyszę jego głos trochę bliżej, ale przez chwilę nie jestem w stanie zrozumieć, co do mnie mówi. Jestem zbyt skupiony na tym, żeby przetrwać, a to znaczy nigdy nie puścić tej liny. W końcu jednak podciągam nogę i odnajduję oparcie. Ręce mam tak poobcierane od liny, że nie wiem, jakim cudem jeszcze nie krwawią. Jednak nie boją, w przeciwieństwie do barku.

Patrzę na Riana. Dyszę ciężko, a serce dudni mi w uszach.

Kapitan nie rusza się z miejsca.

- Odetchnij chwilę, weź się w garść.

Nie wiem, czego się spodziewa. Że wezmę głęboki wdech, policzę do trzech, poczekam na sygnał do startu? Żadna z tych opcji mnie nie interesuje. Do końca mamy trzy metry i wiem, czego chcę. Zrywam kontakt wzrokowy i ruszam w górę.

Przeklina i próbuje mnie dogonić. Docieramy na szczyt masztu jednocześnie, ale jego dłoń ląduje na wierzchu sekundę wcześniej.

Przez chwilę nie jestem w stanie dopuścić do siebie myśli, że przegrałem. Obaj jesteśmy czerwoni na twarzach, dyszymy i patrzymy na siebie gniewnie przez rozdzielającą nas płataninę lin. Przepelnia mnie gniew, wypychający powietrze z płuc. Nie jestem w stanie nic powiedzieć.

Z trudem oddycham z wycieńczenia. Spodziewam się zobaczyć w jego oczach triumf, ale widzę tylko ulgę. To nieco łagodzi moją furję.

Cokolwiek tam jest, naprawdę nie chce, żebym to zobaczył.

- Przynajmniej został ci sztylet – mówi drwiąco.
- Nie umie pan wygrywać z honorem, kapitanie?
- Z honorem? – rzuca gniewnie. – A co ty wiesz o... – urywa, wpatrując się w morze.

Podążam za jego wzrokiem. Niemal zapomniałem, jak wysoko jesteśmy. Horyzont zakrzywia się i porusza. Mam ochotę zamknąć oczy, ale wtedy zauważam, że statki są

bliżej.

– Jak już mówiłem... – cedzi przez zęby. – Co ty wiesz o honorze?

Nie czeka na moją odpowiedź. Czuję szarpanie i ciągnięcie pod palcami, kiedy zaczyna schodzić.

Świetnie. Mogę zrobić to samo.

Schodzenie wywołuje większe zawroty głowy, niż kiedy szedłem w górę. Wtedy miałem jeden cel – chciałem wygrać. Musiałem wygrać.

Gdy jestem już mniej niż trzy metry nad pokładem, ból w rękach zaczyna dorównywać temu w ramieniu. Puszczam się i zeskakuję na deski.

Rian robi to samo.

Cisza między nami jest głośniejsza niż głosy załogi na pokładzie.

– Kto wygrał? – pyta mała Anya.

– Ja – odpowiada Rian. – Choć księżę próbował wykorzystać sytuację i nieuczciwie zdobyć przewagę.

– To pan wybrał to wyzwanie, kapitanie, bo spodziewał się pan, że da to panu nade mną przewagę. Nie może mnie pan oskarżać o oszustwo tylko dlatego, że się nie zatrzymałem.

– Miałem nad waszą wysokością sporą przewagę. Zatrzymałem się tylko po to, żeby mieć pewność, że wasza wysokość nie spadnie.

– Corrick – odzywa się nerwowym szeptem Tessa. – Pozwól mi opatrzyć ci rękę.

Moje oczy spotykają jej i to jest błąd. Widzę w jej spojrzeniu troskę, niepokój, tęsknotę. Przez chwilę mam ochotę się poddać, ale wiem, jakim błędem jest okazywanie słabości. Odwracam wzrok i zaciskam dłonie w pięści.

– Z moimi rękami jest wszystko w porządku.

– Sprawa załatwiona. Wygrałem. Lepiej się z tym pogódź, wasza wysokość. – Rian siada na pokładzie i kręci sztyltem.

Mam ochotę kopnąć go w twarz. Odwracam się do Rocco, żeby wziąć od niego swój kaftan.

– Tak zaciekle pan walczył, kapitanie, żeby utrzymać w tajemnicy zawartość tej kajuty, że pana twierdzenia, jakoby służyło to bezpieczeństwu, wydają się co najmniej podejrzone.

Rian prostuje się, żeby spojrzeć mi w twarz, a ostrze nadal wiruje.

– Będę dbał o bezpieczeństwo moich ludzi tak, jak uznam to za stosowne – odpowiada.

Wszyscy na pokładzie milkną, jakby zahipnotyzowani tą walką woli. Część mnie odczuwa przyjemność po tej wspinaczce, ale większa część zastanawia się, czy większej rozkoszy nie sprawiłoby mi jednak porządne przyłożenie Blakemore'owi. Ale

tak jak mówiliśmy z Rocco – mają nad nami przewagę liczebną. Nie mam pewności, że gdybym rozpoczął walkę, moi strażnicy byliby w stanie mnie ochronić.

Rian cały czas wpatruje się we mnie gniewnie. Czeka na to. Jest na to gotowy.

Wtedy ostrze zatrzymuje się i wskazuje Tessę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tessa

Ostrze przestało wirować.

Żołądek mam zwinięty w supeł, bo czuję, że nic nie rozładuje napięcia pomiędzy Rianem a Corrickiem, dopóki nie dojdzie między nimi do prawdziwej wymiany ciosów. Wiele razy widziałam, jak Corrick wspina się po linie, ale tym razem emocje, napięcie, niebezpieczeństwo były zbyt duże. Gdy omsknęła mu się stopa, serce niemal zamarło mi w piersi.

Lecz teraz są już z powrotem na pokładzie i żaden z nie wygląda na szczęśliwego.

– Panno Tesso, twoja kolej! – woła mała Anya.

Mrugam i spoglądam na nią, widzę, że wskazuje na sztylet. Ostrze skierowane jest dokładnie na czubek mojego buta.

Rian i Corrick nadal wpatrują się w siebie zabójczym wzrokiem.

Kładę rękę na ramieniu kapitana.

– Rian, grajmy dalej – proszę cicho. – Powiedz, czego ode mnie chcesz.

Wreszcie odrywa wzrok od Corricka i spogląda na mnie.

– Właśnie – drwi Corrick – niech pan jej powie, czego chce, kapitanie.

Jesteśmy wszyscy tak blisko. Czuję, że gdyby statek się zakołysał, popchnąby mnie na jednego z nich. Kiedy Rian na mnie patrzy, mój oddech robi się płytki. Nie mam pojęcia, o co może mnie poprosić. Ta chwila między nami ciągnie się w nieskończoność.

Kapitan jest tak wściekły na Corricka. Tak bardzo chce chronić swoją załogę. Tak bardzo chce chronić mnie. Nagle czuję się jak zakładniczka i księżniczka – jednocześnie podekscytowana i wystraszona.

Robi krok w moją stronę, na co wstrzymuję oddech. Przez moment spodziewam się, że poprosi o coś, czym zdenerwowałby Corricka – pocałunek, godzina sam na sam, uścisk – ale Rian przytrzymuje mój wzrok i nie prosi o żadną z tych rzeczy.

– Chcę wiedzieć, dlaczego te statki za nami płyną. Chcę wiedzieć, jak je zawrócić.

Pierwszy raz mówi do mnie tak ostrym głosem i teraz to ja zastygam w bezruchu.

– Nie wiem – odpowiadam. Wyraz jego twarzy się nie zmienia, dlatego pośpiesznie powtarzam: – Naprawdę nie wiem.

– Ale księżę Corrick wie – wtrąca. – Moje warunki były jasne. Powiedziałem, że nie poprowadzę statków wojennych do Ostriarii.

– A ja nie wysłałem statków wojennych, żeby za nami płynęły – protestuje Corrick.
– Nie są moje.

– Rozumiem, że masz mnie za prostego, głupiego marynarza – szydzi Rian – ale nawet kiedy mam gorszy dzień, potrafię używać lunety. Widzę, jak wyposażone są te statki.

– W takim razie sam chętnie skorzystam z pana lunety, kapitanie, bo ja nie mam pojęcia, co to za statki.

Rian wpatruje się w niego uważnie i jakimś cudem atmosfera gęstnieje jeszcze bardziej.

Marchon robi krok naprzód.

– Proszę – mówi, podając Corrickowi lunetę. – Jesteśmy wystarczająco blisko. To bandera Kandali, prawda?

Corrick bierze lunetę i patrzy przez nią, a po chwili zastyga w bezruchu.

– Wasze statki nie mają po co wypływać tak daleko na ocean – zauważa Rian. – Proszę o bardziej przekonującą odpowiedź.

– Ja ich nie wysłałem – powtarza Corrick i opuszcza lunetę. W jego głosie jest mniej wrogości. – Naprawdę.

– Mogłem w to uwierzyć, kiedy jeszcze byliśmy na rzece, ale teraz jesteśmy zbyt daleko na południe od Sunkeep. Jutro wpływamy na niebezpieczne wody. Te statki nie mogą za nami płynąć.

– Bo, pana zdaniem, kapitanie, się rozbiją? – docieka Corrick. – Jeśli tak się pan martwi, może powinniśmy poczekać i zobaczyć, jak im pójdzie? Jeśli jest pan tak honorowy, jak pan twierdzi, panie kapitanie, ich obecność nie powinna budzić żadnych obaw.

Kapitan przeciąga ręką po karku, wyraźnie zdenerwowany. Mięśnie twarzy i ramion ma napięte.

Rocco znów przysuwa się bliżej.

Kilbourne też.

Sablo i Marchon także są dość blisko.

Po raz pierwszy zauważam, że napięcie udzieliło się innym i to już nie jest tylko pojedynek na silną wolę między nimi dwoma.

– Rian – zaczynam delikatnie – jeśli król wysłał statki, to po to, by chronić Corricka. Nie mają wrogich zamiarów.

Spogląda na mnie, ale po chwili znów odwraca wzrok w stronę księcia.

– W takim razie twój brat postawił mnie w trudnej sytuacji, wasza wysokość. Ponieważ lubisz mówić o przewadze, chciałbym przypomnieć waszej wysokości, że

mamy przewagę liczebną. Twój statek nie zacznie strzelać do mojego, dopóki jesteś na pokładzie. A twoje słabe punkty dla wszystkich są dość oczywiste...

Rocco przesuwają się tak zwinnie, że ledwo zauważam, że już jest przy nas, stając między mną i Corrickiem a kapitanem z wyciągniętą bronią. Kilbourne stoi tuż obok niego.

Sablo i Marchon też są blisko.

Lochlan wstał i przygląda się, to jednemu, to drugiemu.

Gwyn odciągnęła swoją córkę w tył, chowając ją za siebie. Słyszę piski protestującej dziewczynki, ale cała moja uwaga skupiona jest na konfrontacji rozgrywającej się przede mną.

Spodziewam się, że Rian każe się wszystkim cofnąć, tak jak wcześniej, ale ku mojemu zdziwieniu, to nie on się odzywa, a Corrick.

– Rocco, Kilbourne, cofnijcie się.

Jego głos jest cichy i spokojny, a mężczyźni słuchają rozkazu – do pewnego stopnia. Obaj robią krok w tył.

Sablo i Marchon nie ruszają się z miejsca, więc gdyby wyciągnęli broń, Corrick nie byłby w stanie się obronić.

– Kapitanie – zaczyna księżę – jeśli nie chce pan walki na swoim statku, sugeruję, żeby nie rzucał pan gróźb, których nie da się cofnąć.

– Nikomu nie groziłem. – Spogląda na statki. – To Kandala jest agresorem.

Patrzę na Corricka i myślę o tym, co mówił o buntownikach, o królu, o tym, jak słuchali mnie, kiedy potrzebne było zaufanie. Nie mam pojęcia, jak naprawić... to wszystko.

Robię krok naprzód, żeby jakoś przekonać Riana, że te statki to nie statki wojenne, ale nim zdołam się ruszyć, Corrick chwyta mnie za nadgarstek. Nie patrzy w moją stronę, ale w jego chwycie jest niepokój. Prośba, której do końca nie rozumiem.

Znów zastygam w bezruchu.

– Rian. – Mój głos jest zbyt łagodny. Oblizuję usta. – To nie są statki wojenne. Nie są. Wiem, że uważasz go za drania, ale Kandala naprawdę potrzebuje leku. Corrick może robił straszne rzeczy, ale oni nie płyną walczyć z Ostriarią. Nie miałyby to żadnego sensu. Nasz kraj ledwo uniknął rewolucji. Korona nie rozpoczęłaby wojny z innym krajem, naprawdę, Rian.

Milczy.

– Proszę – mówię cicho. – Proszę, uwierz mi.

– To prawda – wtrąca się Lochlan.

Rian odwraca wzrok w jego stronę.

Lochlan wzrusza ramionami.

– Może i życzyłem księciu, żeby spadł z tego masztu, ale naprawdę potrzebujemy leku. Ledwo wystarcza dla nich samych, kapitanie. Nawet gdyby chcieli zaatakować Ostriarię, trudno byłoby im zebrać armię, żeby walczyć.

Rian znów przeciąga ręką po karku. Wcześniej nie wydawał się aż tak zdenerwowany. Przypomina mi się moment, kiedy prosiłam, żeby kontynuował grę, a on spojrzał na mnie gniewnie.

Corrick nadal trzyma mnie za nadgarstek i nadal na mnie nie patrzy.

– Myślę, że daliśmy się ponieść emocjom w tej grze, kapitanie. – Jego głos jest gładki. Takim samym głosem przekonywał konsula Sallistera do uległości. Każde słowo brzmi absolutnie poważnie. – Daję panu moje słowo, kapitanie, że nie wiem, skąd pochodzą te statki, ale rozumiem pańskie podejrzenia. Może powinniśmy wcześniej się dzisiaj położyć, żeby pan i pana załoga mogli zdecydować, co dalej. Jeśli zechcecie nas odstawić do Port Karenin, zrozumiem.

Rian przegląda mu się uważnie, a mięsień na jego twarzy drga. Sablo i Marchon czekają u jego boku, gotowi wykonać każdy rozkaz, jaki wyda ich kapitan.

Corrick rozprostowuje dłoń i się krzywi.

– Szczerze mówiąc, byłbym wdzięczny, gdybyś poświęciła chwilę na znalezienie pęsety i może odrobiny balsamu. Najwyraźniej nie mam rąk marynarza.

Jeden z członków załogi chrząka. To chyba Tor. Wśród zebranych na pokładzie przebiega szmer cichego śmiechu.

Rian wygląda, jakby chciał wywrócić oczami, ale tego nie robi.

– Proszę bardzo, niech wasza wysokość wraca do swojej kajuty. – Odwraca się do Sablo. – Odsuń się – mówi do niego. – Pozwól mu odejść.

Corrick zwraca się do mnie:

– Panno Cade, czy nie zostało pani jeszcze trochę maści?

Napięcie na pokładzie jest tak wielkie, że nie wiem, jak zareagować na ten oficjalny ton. Waham się i po chwili kiwam głową.

– Tak... Tak, wasza wysokość. Mam w swojej kajucie.

Odpowiada skinieniem głowy.

– Doskonale, w takim razie chodźmy na dół. – Podaje mi ramię.

Atmosfera jest tak gęsta, że nie jestem pewna, gdzie ryzyko jest mniejsze – na dole z Corrickiem czy tu na górze z Rianem. Ale jeśli będę nad tym rozmyślać, tylko wszystko pogorszę. Czuję, że dynamika się zmieniła. Wstrzymuję oddech i kładę rękę na ramieniu księcia, a następnie razem w ciszy schodzimy pod pokład.

Cały czas czuję na sobie wzrok kapitana Blakemore'a.

Jestem zdziwiona, widząc obu strażników na służbie w wąskim przejściu. Co więcej, Kilbourne stuka do drzwi kajuty, którą dzielą strażnicy, i każe zaspanemu Silasowi stać na warcie u góry schodów.

– Poszukam balsamu i dam go Rocco – mówię do Corricka.

– Poczekam – odpowiada.

Coś w jego głosie przypomina mi ton, jakim nalegał, by pani Woolfrey nie przygotowywała dla niego nowego kubka czekolady.

Jest niespokojny. To mówi więcej niż cokolwiek, co powiedział do Riana na pokładzie.

Przełykam, potakuję głową i wchodzę do swojej kajuty. Kiedy wracam z niezbędnymi rzeczami, Corrick czeka. Podaję mu torbę, lecz on patrzy na mnie wymownie i otwiera drzwi do swojej kajuty.

– Proszę wejść, panno Cade.

Przekraczam za nim próg jego sypialni. W środku świecą się tylko dwie latarnie, więc wewnątrz jest pogrążone w półmroku. Oczy księcia spowija cień, w migoczącym świetle latarni widać tylko niebieskie tęczę.

Teraz, gdy tu jestem, nie bardzo wiem, co powiedzieć. Odwracam od niego wzrok i stawiam torbę na stole, szukając w niej balsamu.

– Opatrzę dłonie i sobie pójdę – informuję go szybko. – Pozwól mi tylko...

– Nie obchodzą mnie ręce – wtrąca się Corrick. – I nie chcę, żebyś sobie poszła. – Przerzywa i wpatruje się we mnie intensywnie. – Jeśli nie chcesz przebywać w mojej obecności, dołączę do strażników na korytarzu, ale wolałbym nie spuszczać cię z oczu.

Marszczę czoło.

– Dlaczego?

– Kiedy kapitan mówi o moich słabościach, to dość oczywiste, co miał na myśli.

Przeszywa mnie lodowaty dreszcz, a w moim sercu zagnieżdża się niepokój. Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Czuję się jak wtedy, w powozie, kiedy Corrick bał się, że Lochlan może mnie wykorzystać przeciwko niemu.

„To było co innego”, powiedziałam.

„Naprawdę? A czym się różniło?”, odparł.

Przypomina mi się jeszcze jedna chwila – moja pierwsza kolacja z Corrickiem, kiedy konsul Sallister groził odcięciem dostaw Księżycowego Kwiatu dla całego sektora. Wtedy też Corrick był spokojny i opanowany.

„Kto przed chwilą wygrał? Ty czy on?”, zapytałam.

„On, ale wygląda, że ja, i to się liczy. I to jest najważniejsze”, odpowiedział Corrick.

Myślę o chwili, kiedy chwycił mnie za ramię na pokładzie, kiedy kazał Rocco i Kilbourne'owi się odsunąć. O tym, jak załoga się śmiała, kiedy myśleli, że nie jest

w stanie wytrzymać drobnego otarcia od liny, podczas gdy ja widziałam, jak z zaciśniętymi zębami Corrick nie wydaje z siebie choćby jednego dźwięku, wytrzymując przeciąganie igły przez jego skórę, gdy zakładałam mu szew.

– Udałeś, że się poddajesz – mówię cicho.

– Tak – odpowiada Corrick. – Wiem, do czego zdolni są ludzie, kiedy wydaje im się, że nie mają innego wyboru. Te statki bardzo go martwią.

– Nie sądzę, by mógł mnie skrzywdzić – szepczę.

– Na pewno mu na to nie pozwolę.

W jego głosie kryje się obietnica przemocy. Znów przeszywa mnie dreszcz.

– Może wcale nie chodzi o statki. Może jest zły, że za wszelką cenę chcesz wiedzieć, co jest w tamtej kajucie.

– Mam prawo się tego domagać, kapitan coś ukrywa. Jeszcze nie zdecydowałem, czy warto zaryzykować konfrontację.

– Tak jak ty ukryłeś statki!

– Nie wysłałem tych statków – zapewnia. – I choć pewnie trudno ci to zaakceptować, kapitan Blakemore może rządzić na tym statku, ale nie rządzi w Kandali ani w Ostriarii. Jest tylko środkiem prowadzącym do celu.

– Wygląda na to, że kłamałeś.

– Jeśli obwinia się mnie o cierpienie każdego człowieka w Kandali od czasu zabójstwa moich rodziców, kłamstwo nie powinno być niczym zaskakującym.

Przyglądam mu się w półmroku.

Jego głos jest chłodny i gładki. To głos najwyższego sędziego królewskiego, ale wiem już od jakiegoś czasu, jak wiele różnych masek potrafi przywdziać. Był taki gwałtowny i drażliwy, odkąd wsiedliśmy na statek, że oceniałam go w ten sam sposób.

Jeśli obwinia się mnie za cierpienie każdego człowieka w Kandali.

Po pierwsze, dociera do mnie, że Corrick nie mówi tylko o tym, jak postrzega go kapitan Blakemore. Mówi o mnie, o Lochlanie, o ludziach w cukierni, o wszystkich.

Także o sobie.

Od nowa układam w głowie wszystko, co powiedział, odkąd weszliśmy na pokład. Byłam zbита z tropu uwagami Lochlana, a moje wątpliwości podsyciły opinie Riana na temat Corricka.

Ale książę wsiadł na statek, bo chciał coś zmienić.

Jeszcze nie zdecydowałem, czy warto ryzykować konfrontację.

Więc Corrick zaryzykował swoje życie, zamiast wdać się w bójkę. A kiedy walka wydawała się nie do uniknięcia, Corrick w zasadzie sam nadział się na własny miecz.

Dokładnie to samo zrobił w pałacu. Nie mógł walczyć z Allisandrem Sallisterem, nie ryzykując wszystkiego, więc uciekł do Dzicy, żeby pomagać ludziom w inny sposób.

I przez cały ten czas pozwalał innym myśleć, że jest najbardziej okrutnym człowiekiem w kraju.

Podchodzę do stołu i biorę słoiczek balsamu.

– Pozwolisz mi opatrzeć twoje dłonie?

– Mówiłem ci, że wszystko z nimi w porządku.

Wzdycham z irytacją, podchodzę do niego, upuszczam torbę na podłogę i biorę go za nadgarstek. Część mnie myśli, że się wyrwie, ale wcale się nie opiera. Wygląda nawet na rozbawionego.

– Twoje podejście do pacjenta stało się ostrzejsze.

Rozluźniam chwyt.

– Przepraszam... – Przerывam i zastanawiam się przez chwilę. – Nie wiem, co sobie myślałam.

– Myślałaś, że będę z tobą walczył.

Tak.

Ale nie mogę tego powiedzieć, bo odnoszę wrażenie, że mówimy o dwóch zupełnie różnych rzeczach. Moje serce podskakuje. Znajdujemy się tak blisko. Czuję jego zapach i przypomina mi się chwila, kiedy byliśmy razem w warsztacie, tylko my dwoje, na przekór nocy.

Rozprostowuję jego palce. Są czerwone i pokryte pęcherzami. Skóra po wewnętrznej stronie rąk jest prawie poprzecinana. Nie jest to nic poważnego, ale na pewno boli.

– Siadaj. Założę ci opatrunek na noc.

Przygląda mi się uważnie, jego oczy wpatrują się w moje. W końcu potakuje głową.

Wyjmuję z torby zwój muślinu i jeszcze trochę ziół. Oboje siadamy, a ja otwieram słoiczek z balsamem i nakładam trochę na najgorsze otarcia. Jego dłoń spoczywa na mojej, jest taka ciepła i spokojna. Wokół panuje cisza, słyszę jego oddech.

Kiedy podnoszę na niego wzrok, zauważam, że nadal się we mnie wpatruje.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś – mówię cicho.

– Uważasz, że powinienem był odpuścić? Na pewno nie tylko ty.

– Nie. Mam na myśli wspinaczkę, wyścig.

– Chciałem poznać odpowiedź... – urywa. – Ty też wspiłaś się na maszt.

– Ale nie na wyścigi, a i tak było to przerażające. – Moje serce podskakuje na samo wspomnienie wirującego nieba i wzburzonych fal w dole. – Dlaczego sugerował, że oszukiwałeś?

– Kiedy się poślizgnąłem, kapitan zatrzymał się, żeby mi powiedzieć, jak trafić z powrotem stopą na linę, a wtedy stracił szansę, żeby mnie wyprzedzić.

Marszczę brwi i kręcę głową.

– Nie rozumiem, dlaczego miałby ci pomagać, jeśli uważa, że ty i Harristan działacie przeciwko niemu. A może po prostu naprawdę się obawia, że możecie go wykorzystać?

– Nie. Myśli, że jestem bratem króla i gdybym spadł i zginął, trudno byłoby mu się z tego wytłumaczyć.

– Hmm... – Wcieram ostatnią porcję balsamu w ranę i zaczynam owijać jego rękę muślinem. – Może widzi w tobie kogoś, kto próbuje utrzymać swojego brata na tronie każdym możliwym sposobem, podczas gdy sam zwyczajnie próbuje pomóc każdemu, komu może?

– Już ci mówiłem, że odszedłbym z pałacu, gdybym mógł. Harristan pewnie też. I co dalej? Mamy zostawić rządy Allisandrowi? A może baronowi Pepperleafowi? Myślisz, że tak byłoby lepiej?

Nie. Wiem, że nie.

Kiedy zawiązuję supeł, zaciska swoje palce na moich, a ja podnoszę wzrok.

– Przepraszam – szepcze.

Zamieram pod wpływem jego spojrzenia i myślę o wszystkich tych rzeczach, za które może przepraszać.

Tymczasem on mówi dalej:

– Przepraszam, że nie potrafię być altruistyczny.

Tego nawet nie było na mojej liście. Marszczę brwi.

– Nie wygłupiaj się.

– Wiem, że wpadł ci w oko podczas kolacji. Wiem, że widzisz w nim wszystko, czego pragniesz.

Gładzi kciukiem mój nadgarstek, a moje serce zaczyna szaleńczo walić.

– Nie jest wszystkim, czego...

– Jest – przerywa mi Corrick. – Wiem, że jest.

– Skąd? – szepczę. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo jest tym, kim byłby Weston Lark, gdyby naprawdę istniał.

– Nie jest... – Czuję ucisk w piersi, muszę wziąć głęboki wdech. – Nie jest Westonem Larkiem.

– Jak też nim nie jestem, Tesso. – Zawiesza głos i zaczyna się nad czymś zastanawiać. – Wczoraj Rian porównał to, co robiłem jako najwyższy sędzia królewski, do zamknięcia kogoś w pokoju bez jedzenia lub wody i karania go za próbę ucieczki. Nienawidzę go, nienawidzę także za to, że wywołuje we mnie poczucie, że ma rację, że Harristan i ja nie rozwiązaliśmy żadnych problemów, a tylko stworzyliśmy nowe.

Przyglądam się siedzącemu naprzeciwko mnie mężczyźnie.

– Corrick, ty nie zamknąłeś nikogo w pokoju.

– Tesso. – Patrzy na mnie wymownie.

– Nie! To znaczy... tak, ale tu nie ma żadnej analogii. To nie ty wywołałaś chorobę. Nie przez ciebie ludzie znaleźli się w tej sytuacji. Nie ponosisz winy za gorączkę.

Marszczy czoło i odwraca wzrok.

– Rozumiesz? – pytam. – Wiele rzeczy mogłaś zrobić inaczej, ale to nie jest twoja wina. Jeśli przez gorączkę ktoś nie mógł wyjść z domu i umierał z głodu, ty byłaś strażnikiem, który przemycił dla niego jedzenie i wodę.

– Ty też. – Wreszcie puszcza moją rękę, ale tylko po to, by dotknąć mojego policzka i przesunąć palcem po linii mojej szczęki.

Przeszywa mnie dreszcz, a on marszczy czoło i się odsuwa.

– Przepraszam.

– Nie! Ty nie... Ja nie... To... Ty...

Kiedy tak się jąkam, próbując wydusić z siebie słowa, między jego brwiami powstaje głęboka zmarszczka.

Wypuszczam powietrze przez zęby.

Corrick jest okropny i cudowny, denerwujący i inspirujący. W jakiś sposób udaje mu się łączyć to wszystko. Pozwala innym myśleć o sobie jak najgorzej, a jednocześnie poświęca wszystko, czego sam pragnie, żeby poprawić los tych samych ludzi. Nie wiem, czy mam ochotę dać mu w nos, czy go objąć i przytulić.

Wydaję z siebie dźwięk frustracji i zarzucam mu ramiona na szyję.

– Tak strasznie cię nienawidzę.

Obejmuje mnie w talii, ale lekko, jakby nieśmiało.

– Zawsze ci powtarzałem, że to nawet lepiej.

Uświadamiam sobie, że jego ręce nie ruszyły się z miejsca. Uwiesiłam się na nim, jakby był tratwą ratunkową utrzymującą mnie na powierzchni, a on mnie trzyma, jakbym pomyliła go z kimś innym.

Odsuwam się, żeby spojrzeć mu w oczy. W ogóle nie czuję do niego nienawiści, ale przypominam sobie naszą wczorajszą kłótnię o wschodzie słońca. Każde słowo, które powiedział, było prawdziwe, lecz także bolesne, okrutne.

– Cały czas to robisz – mówię.

– Co robię?

– Ukrywasz to, kim naprawdę jesteś.

Odwraca głowę, ale kładę rękę na jego policzku.

– Robisz to – powtarzam. – Twierdzisz, że nie potrafisz być altruistyczny, a ja myślę, że potrafisz. Myślę, że chcesz być. Każdego, kogo spotkasz, traktujesz jak przeciwnika. Robisz sobie z ludzi wrogów, zanim zdążą dostrzec w tobie sojusznika.

Nawet kiedy zakradłam się do pałacu, gdy tkwiłam skuta w swojej komnacie, mogłeś być miły i delikatny, mogłeś wyjaśnić.

Zamyka oczy i zaciska zęby.

Przeciągam kciukiem po jego policzku w miejscu, gdzie kiedyś jego twarz zakrywała maska.

– Powiedziałeś, że nigdy nie zdejmowałeś w Dziczy maski, bo nie mogłeś ryzykować, że mogłabym cię rozpoznać. Myślę, że to nieprawda. Myślę, że się bałeś, że mogłabym się dowiedzieć, kim jesteś. Myślę, że najwyższy sędzia królewski boi się okazać słabość nawet przede mną.

Wzdryga się.

– Cory – szepczę, a on wstrzymuje oddech.

– Nie podoba ci się to, kim jestem, Tesso.

– Nie podoba mi się, kogo udajesz. – Przełykam i w tej chwili przeszywa mnie ból. – Kocham człowieka, którym myślę, że jesteś, ale czasem potrzebuję trochę czasu, żeby się zorientować, który jest prawdziwy, a który jest po prostu kolejną maską, jaką pokazujesz innym.

Wpatruje się we mnie, ale nic nie mówi.

– Tak jak wtedy, gdy wszedłeś na statek. Tej pierwszej nocy. – Moje policzki robią się czerwone, ale zmuszam się, żeby kontynuować. – W pałacu byłeś ostrożny, a kiedy znaleźliśmy się tutaj, pomyślałam, że może...

– Wiem, co pomyślałaś. – Jego głos jest ochrypły. – Wsiadłem na ten statek i uświadomiłem sobie, co zostawiam za sobą, czym ryzykuję. Myśl, że jesteśmy tu razem, przynosiła mi ulgę. Przypomniałem sobie, jak byliśmy razem w Dziczy i... i zacząłem żałować tych wszystkich chwil, kiedy mogliśmy być razem, a ja cię powstrzymałem, bo miałaś rację we wszystkim. Wiem, co powiedział ci Lochlan. Teraz widzę, jak to wyglądało, i przepraszam za to. Szczerze.

– Ja też przepraszam.

– Na litość, Tesso. Nigdy mnie nie przepraszaj. Dzięki tobie staję się lepszy.

– Naprawdę tak myślisz?

Marszczy brwi, więc mówię dalej:

– Wtedy w cukierni myślałam, że zabijesz tego mężczyznę.

– Nie zabiłem.

– Nie! Wiem, że nie. – Nie potrafię spojrzeć mu teraz w oczy. – Ale myślałam, że to zrobisz, a kiedy nie zrobiłeś, bałam się... bałam się, że nie zrobiłeś tego tylko dlatego, że stałam obok.

Kąciki jego ust się unoszą, jakby był nie tylko nieco skonsternowany, ale i rozbawiony.

– Mam wrażenie, że właśnie potwierdziłaś prawdziwość moich słów.

– Nie! Ja tylko... – Wzdycham przez zęby i wpatruję się w niego. Dokładnie wiem, co ma na myśli, mówiąc o słabości, bo tak trudno jest to powiedzieć, patrząc mu w oczy. Mój głos jest ledwo słyszalny. – Czasem... Czasem nadal jesteś przerażający.

Bierze głęboki wdech, a ja szybko podnoszę rękę.

– Czekaj. Proszę. Najgorsze w tym wszystkim jest to... że wiem, że musisz taki być. Widziałam to. Wiem, że najwyższy sędzia królewski nie może być dobroduszny. Wiem, czym ty i Harristan ryzykujecie. Wiem. – Przerywam. – Tylko... chciałabym, żeby te złudzenia, które tworzysz, nie były aż tak przekonujące.

– Żadnych złudzeń – zapewnia.

Już kiedyś powiedział do mnie te słowa. Był wtedy cały pokryty krwią i drżał po tym, co musiał zrobić z dwoma zbiegami z Twierdzy.

Ale teraz jest inaczej. Ta chwila jest inna.

Serce wali mi jak młotem, ale Corrick prostuje się i odsuwa ode mnie.

– Kiedy byliśmy w Kandali, powinienem był złożyć pewne deklaracje. – Przerywa i wpatruje się we mnie intensywnie. – Żałuję, że tego nie zrobiłem, bo teraz obawiam się, że może być już za późno.

– Nie jest za późno – zapewniam go delikatnie.

– Kocham cię, Tesso – mówi.

Biorę gwałtowny wdech, bo nie byłam gotowa na to, że powie to tak po prostu, a on kładzie palec na moich ustach.

– Pozwól mi skończyć.

Potakuję głową.

– Zawsze cię kochałem. Kocham twoją mądrość i twoją odwagę, twoją wiarę we mnie, twoją wiarę w mojego brata, twoją wiarę w Kandalę. – Przesuwa rękę na mój policzek. Spojrzenie jego błękitnych oczu łagodnieje, wypełniając cały mój świat. – Nie chcę, żebyś kiedykolwiek jeszcze się mnie bała. Chcę zrobić coś, z czego będziesz dumna. – Na chwilę zaciska zęby. – Ale nigdy nie będę w pełni altruistyczny. Nawet teraz mam ochotę wrócić na górę i sprawić, by pożałował insynuacji, jakie wysnuł wobec mnie...

– Corricku.

– Może działać dla dobra Ostriarii, Tesso, a jednocześnie zdawać sobie sprawę, że zdobywając twoje zaufanie, będzie mógł mną manipulować.

Nie odzywam się już. Nienawidzę poczucia, że to wszystko jest takie wyrachowane.

– Musisz zrozumieć, że twoje życie jest ważniejsze, niż myślisz – mówi Corrick. – Musisz zrozumieć, że jesteś ważna dla mnie, dla mojego brata, dla całej Kandali. Myślisz, że ktokolwiek inny zdołałby zakraść się do pałacu i przekonać Harristana,

żeby spróbował nowej dawki? Tesso, kiedy byliśmy więźniami buntowników, przez większość drogi myślałem o wszystkich okropnych rzeczach, jakie mógłbym im zrobić tylko dlatego, że zadali ci ból, bo wiem, jak bardzo ryzykowałeś, jak bardzo chciałeś pomóc ludziom w Kandali. Czasem, kiedy patrzę na Lochlana, przypominam to sobie i mam ochotę...

Wstrzymuję oddech, a serce mi wali, natomiast Corrick przerywa na kilka sekund.

– Cóż... – Ze smutkiem unosi brew. – Miałem na myśli to, że nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Znalazłeś sposób, by im przebaczyć, więc ja też im przebaczyłem. – Teraz jego głos staje się jeszcze poważniejszy. – Mówisz, że w każdym widzę przeciwnika. Ale od chwili, kiedy nasi rodzice zginęli, to jedyne, co mnie otaczało. Przeciwnicy. Musiałem walczyć o jedność Kandali. Musiałem walczyć o bezpieczeństwo mojego brata. A teraz, jeśli będzie trzeba, będę walczył o ciebie.

Podnoszę rękę i kładę ją na jego zabandażowanej dłoni przyciśniętej do mojego policzka.

Delikatnie gładzi kciukiem moją kość jarzmową.

– Gdybyś mi pozwoliła, chciałbym powiedzieć to wszystko i jeszcze więcej, gdy tylko wrócimy do Sektora Królewskiego. Chciałbym oficjalnie ogłosić nasz związek przed królem, ale tylko jeśli ty też tego chcesz, Tesso.

W słabym świetle latarni jego oczy są ciemnoniebieskie, bije z nich szczerłość, a cała ta sytuacja jest bardzo podobna do chwili, gdy pierwszy raz całowaliśmy się w chacie. Widzę, jak Wes i Corrick stapiają się w jedną osobę. Przypomina mi się moment, kiedy siedziałam na pokładzie i przyniósł mi jedzenie, choć byliśmy pokłóceni. Przypomina mi się nasza pierwsza przejażdżka powozem, kiedy bałam się go, a on zaoferował mi sakiewkę srebra, sztylet oraz powiedział, jak uciec.

Pod wpływem impulsu wyciągam ręce i znów obejmuję go za szyję.

Tym razem on także mnie obejmuje i kładzie ręce na moich plecach. Bije od niego ciepło, pachnie znajomo. Wtulam twarz w jego szyję.

Tęskniłam za tobą, mówię w myślach. Bo to prawda.

Mrugam i wszystko się rozmywa. Do moich rzęs przykleiły się łzy.

Corrick najwyraźniej wyczuwa zmianę moich emocji, ponieważ się odsuwa. Wstrzymuje oddech i dotyka kciukiem mojego policzka, ocierając łzę.

– Nadal mnie nienawidzisz? – pyta delikatnie.

– Nie – szepczę, jakby to była tajemnica. – Kocham cię.

Pochyla się bliżej.

– Co powiedziałaś? – drażni się. – Nie dosłyszałem.

– Powiedziałam, że jesteś jak wrzód... – urywam z piskiem, kiedy mnie całuje, a później roztapiam się w jego ramionach i przyciągam go bliżej.

– Zostaniesz dziś ze mną? – prosi cicho.

Zastygam w bezruchu. Nim zdołam odpowiedzieć, dodaje:

– Sytuacja z kapitanem Blakemorem jest tak niepewna, że gdyby coś zaczęło się dziać, wolałbym, żeby strażnicy nie musieli dzielić uwagi.

Jest tak cicho, tak ciepło, a statek kołysze się lekko pod naszymi stopami. Być może Corrick słusznie się martwi, być może nie.

Ale dziś wieczorem jesteśmy sami, tylko ciemność wdziera się przez okno. Dziś wieczorem, jak kiedyś, jesteśmy tylko my dwoje na przekór nocy.

– Zostaniesz? – pyta ponownie, muskając kciukiem moje usta.

Wpatruję się w jego niebieskie oczy i potakuję.

– Tak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tessa

W końcu musimy iść spać i naprawdę nie wiem, kiedy Corrick zaciąga mnie do łóżka. W pewnej chwili po prostu się orientuję, że tam jesteśmy.

– Będę spał na podłodze – mówi. – Chcę słyszeć, gdyby ktoś zaczepiał strażników.

– Jestem niemal pewna, że to przestępstwo pozwolić najwyższemu sędziemu królewskiemu spać na podłodze – drocę się, a moje serce podskakuje, bo brzmi to trochę zaczepnie.

Myślałam, że się uśmiechnie, ale tak nie jest.

– Wątpię. Nie pamiętasz, jak Harristan zostawił mnie, żebym spał w celi?

Przez chwilę myślę, że nie mówi poważnie, ale rozsznurowuje i zrzuca buty, następnie rozpina kaftan i przewiesza go przez oparcie krzesła. Kiedy jego ręce lądują na brzegu koszuli, wstrzymuję oddech.

Corrick zastyga, jego oczy błyszczą w mroku.

Wtedy też dociera do mnie, że się na niego gapię, a moje policzki płoną. Odwracam się na łóżku i przykrywam głowę poduszką.

– Przepraszam.

Śmieje się delikatnie.

– Nie przepraszaj.

– Już widziałam cię bez koszuli.

Słysząc szelest materiału.

– No tak, więc jesteś odporna.

– Całkowicie.

Odrobinę przesuwam poduszkę w dół, żeby podglądać.

Teraz jest już owinięty kocem. Leży na zimnej, twardej, drewnianej podłodze i na mnie patrzy. Też rozsznurowuję i zrzucam buty, rozwiązuję kamizelkę.

– Ty też nie będziesz miał przedstawienia.

– To dobrze, bo ja nie jestem odporny.

Ogień z moich policzków nie znika. Wskakuję pod koc i sięgam do latarni, żeby zmniejszyć płomień. Teraz pokój wypełnia już niemal wyłącznie blask księżyca i rytmiczne skrzypienie statku.

Jednak kiedy tak leżę w ciszy, myślę o wszystkim, co mówił książę.

Zawsze ryzykowałam życie, żeby pomagać innym, ale moje wybory były proste, bo miałam niewiele do stracenia. Gdybym trafiła do Twierdzy albo została zabita podczas roznoszenia leku w Dziczy, świat nadal nie stanąłby w miejscu.

Ale Corrick zawsze miał do stracenia dużo więcej. Oceniałam jego i Riana według tych samych kryteriów – kryteriów, które stosowałabym wobec siebie, ale teraz nie jestem pewna, czy to sprawiedliwe.

Corrick i Harristan mają do stracenia cały kraj. W ich wybory wpisane są zagrożenia i słabe punkty.

Po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, co do stracenia ma Rian.

Po drugiej stronie pokoju Corrick zmienia pozycję, więc spoglądam w jego stronę.

– Corricku – zaczynam łagodnie.

– Tesso?

– Chodź, połóż się w łóżku.

Jest zbyt ciemno, bym go stąd wyraźnie widziała, ale czuję ciężar jego spojrzenia. Zastanawiam się, czy odmówi, ale wtedy rozlega się szelest materiału. Słyszę, jak wstaje w ciemności i powoli się zbliża. Białe światło księżyca odsłania cienie i linie na jego ciele.

Przesuwam się, żeby zrobić mu miejsce. Łóżko jest wąskie, w sumie za małe dla dwojga, ale on mimo to kładzie się obok. Choć mam na sobie koszulę i spodnie, czuję jego ciepło, od którego przeszywa mnie dreszcz.

– Zimno ci? – pyta. Nie czeka na odpowiedź. Podnosi się na łokciu i poprawia koce.

– Nie – odpowiadam szybko. – Nie jest mi zimno.

Patrzy na mnie wzrokiem pełnym czułości, a jednak drapieżnym, łagodnym, lecz wciąż pierwotnym.

Czuję ucisk w piersi, tracę dech.

Corrick podnosi rękę, jakby chciał pogłodzić moją twarz, ale go powstrzymuję. Kładę palce na jego ramieniu, nim mnie dotknie.

– Zaczekaj – wykrztuszam, a on posłusznie reaguje. Zatrzymuje w połowie podniesioną rękę, drugą podpira się na łóżku. Teraz mam spektakularny widok na muskulaturę jego ramion, zwłaszcza w świetle ledwo tłącej się latarni.

Czeka. W jego oczach nie ma zniecierpliwienia.

Nie wiem, na co chciałam czekać. Może właśnie na to – pewność, że cokolwiek inni w nim widzą, on mówi prawdę.

Na jego bicepsie dostrzegam bliznę i przesuwam po niej palcem. Skóra jest gładka i ciepła.

– Skąd ją masz?

Przytrzymuje mój wzrok.

– Nocny patrol złapał przemytnika w Krainie Smutku. To dwa dni drogi od Sektora Królewskiego. Po drodze zdołał jakoś zrobić i ukryć prowizoryczne ostrze.

– Masz szczęście, że nie przeciął ścięgna.

– Mam szczęście, że nie dźgnął mnie prosto w serce, jak zamierzał.

Myślę o tym, jak szybko uchylił się przed atakiem w cukierni, ale nie chcę teraz przywoływać wspomnień o tym Corricku. Przeciągam palcami po kolejnej bliźnie – tym razem na brzuchu.

Oddech księcia staje się lekko drżący.

– A ta?

– To... pewien wielkolud ze Stalowego Miasta. Zabrał sztylet jednemu ze strażników Twierdzy.

Wygląda to na ranę kłutą.

– Dźgnął cię?

Przytakuje.

– Miałem szesnaście lat. Myślałem, że mnie załatwił. Okropnie długo się goiło.

Szesnaście.

Z całych sił staram się nie zmarszczyć brwi.

Od jak dawna to robi? Jak młody był, kiedy zmuszono go, by stał się kimś tak przerażającym?

Przypominam sobie, że u dołu pleców ma jeszcze jedną głęboką bliznę. Przeciągam palcami wzdłuż postrzępionej linii do miejsca, w którym znika pod paskiem spodni. Moje palce wsuwają się pod krawędź materiału.

Wciąga ze świstem powietrze i zamyka oczy.

– Wykończysz mnie, Tesso.

– Opowiedz mi o niej – proszę.

– Ta nie ma nic wspólnego z przemytnikami. – Uśmiecha się, trochę czule, trochę smutno. – To pamiątka po chłopięcych wygłupach z Harristanem.

– Spadliście z drzewa? – pytam tylko trochę zaczepnie.

– Ścigaliśmy się na koniach w śniegu. Prowadziłem, ale koń się poślizgnął i spadłem, a koń Harristana prawie mnie stratował. Miałem też złamane dwa zębra. Myślałem, że matka nas zabije. – Jego głos brzmi, jakby znalazł się niebezpiecznie blisko granicy, za którą wspomnienie stanie się zbyt bolesne. Przyciska rękę do mojego policzka i przesuwając kciukiem pod moim okiem. – A ty? Masz jakieś niebezpieczne blizny, które mógłbym odkryć?

– Tylko jedną. Nic ekscytującego.

– Hmm... – Jego palec nadal przesuwają się wzdłuż mojej twarzy, a jego błękitne oczy przytrzymują mój wzrok.

Statek się kołysze i buja nas, a ja cieszę się, że jestem tutaj i czuję zapach tego mężczyzny. Czekam, aż spróbuje czegoś więcej, bo jestem teraz tutaj, w jego łóżku. Nie mam pewności, czy miałabym coś przeciwko, gdyby spróbował, ale on tylko głaszcze moją twarz i nie posuwa się dalej.

Oczy zaczynają mi się zamykać.

– Boisz się? – pytam szeptem.

– Nie. Jestem gotowy.

Podnoszę na niego wzrok.

– Naprawdę myślisz, że coś nam grozi dzisiejszej nocy?

Pochyla się i lekko całuje moje czoło.

– Powiedzmy, że byłbym zdziwiony, gdyby Blakemore pozwolił nam spać do rana.

A jednak śpimy do rana.

Przynajmniej ja. Nie mam pojęcia, czy Corrick zmrużył oko. Kiedy się budzę, w kajucie panuje niemal całkowita ciemność. W lampie dopala się resztką oleju. Dziś rano trochę bardziej buja. Nie wiem, która godzina, ale musi być wcześnie, bo przez iluminator nie wpada nawet najmniejsza smuga światła. Jesteśmy zaplątani w koce. Czuję ciepły oddech Corricka przy moim uchu.

Zamknięta w tym pokoju, czując na plecach ciepło męskiego ciała, mogłabym zapomnieć o wszystkim, co dzieje się za tymi drzwiami.

Jedyną rzeczą, która przypomina mi o rzeczywistości, jest mocne kołysanie statku.

– Jednak dotrwaliśmy do rana – mówię.

– Dotrwaliśmy. Mam nadzieję, że kapitan nie czeka za drzwiami, żeby nas zabić. – W jego głosie słychać sarkazm, ale też nutę szczerości.

– A jeśli statki podpłynęły bliżej? – pytam.

– Jeśli podpłynęły, spodziewam się, że kapitan Blakemore spełni swoją groźbę i odstawi nas do Port Karenin. Zejdziemy na ląd i zarezerwujemy powrotny rejs do Sektora Królewskiego. Ale to przy założeniu, że statki wysłał Harristan i nic nam z ich strony nie grozi.

– Myślisz, że je wysłał?

– Nie. Naprawdę nie. – Zastyga w bezruchu. Jego oczy wpatrują się w moje. – Harristan nie miał powodu, by je wysłać. Poza tym on dotrzymuje słowa, Tesso.

– Co dokładnie widziałeś przez lunetę?

– Płyną pod banderą Kandali. Ktoś musiał je wysłać. Ktoś zamożny, bo wyposażenie dwóch brygantyn w tak krótkim czasie, w jakim wypłynęliśmy, byłoby bardzo kosztowne. To wskazuje na kogoś z konsulów.

– Allisander?

Krzywi się.

– Może? Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy Laurel Pepperleaf nie wybłągała u swego ojca, by pozwolił jej za nami popłynąć. Bardzo chciała się z nami zabrać.

– Więc tak po prostu... sobie popłynęła? Bo chciała?

– Jesteś zaskoczona?

Wzdycham, przypominając sobie, jak ta młoda kobieta wydawała mi się szczerze przejęta naszą wyprawą.

– Może trochę. Nie mógłbyś tego wytłumaczyć Rianowi?

– Mógłbym, ale jest zbyt zaniepokojony tymi statkami, a ja nie mam żadnych dowodów. Zresztą nie wiem, czy to miałyby jakiegokolwiek znaczenie. Myślę, że chodzi tu o coś więcej niż tylko obawy przed sprowadzeniem przez nas sił do Ostriarii.

– Co jeszcze mogłoby go niepokoić?

– Myślę, że niepokoi go to, co jest ukryte na pokładzie tego statku. – Corrick przeciąga ręką po włosach. – Jeśli te statki to sprawka Laurel, robi to wbrew woli Harristana, a już i tak mamy napięte stosunki z wszystkimi konsulami. Zastanawiam się, kto jeszcze może spiskować przeciwko niemu, kto może jej pomagać. – Bierze głęboki wdech. – Chcę po prostu bezpiecznie dopłynąć do Ostriarii, żebyśmy mieli szansę wynegocjować wymianę stali na zapas Księżycowego Kwiatu. Nie chcę się martwić zagrożeniami wobec mojego brata. Ani statkami wojennymi, które mogą chcieć nam przeszkodzić... – urywa.

– Co? – pytam. – O co chodzi?

Corrick podnosi się i siada na łóżku. Przeciąga dłonią po twarzy.

– Zanim wypłynęliśmy, krążyły plotki na temat strażników. Rocco wybrał Kilbourne'a i Silasa, bo powiedział, że nie można ufać kapitanowi Huxleyowi. Ale powiedział także, że Harristan podejrzewał mnie przez kilka miesięcy, zanim dowiedział się, co robiliśmy. – Patrzy na mnie. – Czy mój brat zrobił ze mną to samo, co z Lochlanem? Po prostu pozbył się mnie z Kandali?

Nim zdołam odpowiedzieć, on znów przeciąga ręką po włosach.

– Ale wtedy... w jakim celu Rocco miałby w tym uczestniczyć? Co miałby...

– Corrick. Corrick, przestań. – Siadam na łóżku i kładę rękę na jego nadgarstku. – Harristan się ciebie nie pozbył.

– Chciałbym wiedzieć, kto wysłał te statki. Może mój brat nie zamierzał się mnie pozbyć, ale wszyscy wiedzą, że jestem teraz sam pośrodku oceanu. Ktoś inny mógł tego chcieć. – Spogląda na mnie, a później na drzwi. – Tak bardzo chciałbym wiedzieć, co Rian trzyma w tej zamkniętej kajucie. – Wzdycha. – Jakoś nie chce mi się wierzyć, że to po prostu broń. Za bardzo martwi się tymi statkami, jak na kogoś, kto

ma na pokładzie cały arsenał. – Prycha. – Część mnie ma ochotę chwycić za młotek i rozwalić ten zamek.

– Jeśli to cię uspokoi, zrób to.

W jego oczach rozbłyska zdziwienie. Uśmiecha się z żalem.

– Weston Lark może jakoś by się z tego wywinął, ale ja nie potrzebuję, żeby nasz drogi kapitan Blakemore przywiózł do Ostriarii opowieści o tym, jak to nie można ufać bratu króla.

Marszczę brwi. Ma rację. Rian na pewno przedstawiłby księcia dokładnie w ten sposób, wspominając o jego reputacji i całej reszcie.

– Czułem napięcie na pokładzie – ciągnie Corrick. – Nawet gdybym chciał się włamać, nie mam wątpliwości, że każdy mój ruch jest czujnie obserwowany. Pierwszej nocy na statku Rocco wspomniał, że łatwo jest chronić nasze kajuty, ale także łatwo zauważyć, kiedy wychodzimy.

– Co, twoim zdaniem, może tam ukrywać? – pytam.

– Beczki z prochem do dział? Sztabki złota? Zwłoki ojca? Naprawdę nie mam pojęcia. – Wzdycha. – Teraz, kiedy płyną za nami te statki, zastanawiam się, czy ludzie na nich nie wiedzą o czymś, o czym nie wiem ja. Może Harristan odkrył coś po naszym wypłynięciu. Może te statki mają mnie uratować? Ale jeśli tak... dlaczego trzymają dystans? To brygantyny, z silnikami parowymi wspomagającymi żagle. Są zbyt duże, żeby być zwinne, ale są szybkie.

– Myślisz, że stanowią dla ciebie zagrożenie? – dociekam cicho.

– Nie chcę tak myśleć – odpowiada. – Ale jeśli nie stanowią zagrożenia dla mnie, stanowią zagrożenie dla Riana i jego załogi, a my jesteśmy razem z nimi na pokładzie. Widać wyraźnie, że ich obecność mocno go denerwuje.

Nie mamy jak się dowiedzieć, co to za statki. Nie, dopóki jesteśmy tutaj.

Wracam myślami do tajemniczej kajuty, do tego, co powiedział Corrick.

Weston Lark może jakoś by się z tego wywinął.

A może nie. Weston Lark mógł być wyjętym spod prawa, ale nie był złodziejem. Nie do końca. Wiedział, gdzie znaleźć płatki Księżycowego Kwiatu z racji swojej pozycji, albo je po prostu kupował i przynosił do naszej chaty.

Ja nie miałam tego luksusu.

– A jeśli nie uszkodziłbyś zamka? – Trochę zaschło mi w ustach, ale mój mózg pracuje jak dobrze naoliwiony mechanizm. – Gdybyśmy zdołali się dowiedzieć, co jest w środku, nie pozostawiając żadnych śladów?

– Kapitan Blakemore na pewno zlecił swoim ludziom obserwowanie mnie...

– Nie mówię o tobie, tylko o sobie.

Corrick wpatruje się we mnie, zaskoczony.

– O sobie?

– Może nie umiem kłamać i żaden ze mnie szpieg, ale być może zapomniałeś już, wasza wysokość – splatam swoje palce z jego i uśmiecham się – że zanim zostałam nadworną królewską zielarką, byłam całkiem niezłym złodziejem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Harristan

Zostajemy zatrzymani przy bramie.

W pierwszej chwili wcale mnie to nie dziwi. Nie mam przy sobie zegarka, ale jest jeszcze bardzo wcześnie i odkąd do Sektora Królewskiego przemycono ładunki wybuchowe, strażnicy przy bramie są ostrożniejsi w przypadku zamkniętych powozów.

Thorin i Seath są strażnikami pałacowymi, jednak ich mundury wskazują, że należą do mojej osobistej straży. Nasz postój przy bramie sektora nie powinien trwać długo. Najwyżej chwilę.

A jednak trwa dłużej.

Czas mija.

Spoglądam na Quinta siedzącego naprzeciw mnie. Stara się nie wyglądać na zmartwionego, ale widzę w jego oczach, że także zwrócił uwagę na przedłużający się postój.

Próbuję dosłyszeć rozmowę, ale głosy w oddali zlewają się w niezrozumiały szum. Okna powozu mają grube szyby, żeby zapewnić prywatność wewnątrz. Grube wełniane zasłony też są zaciągnięte, żeby nikt mnie nie zobaczył. Moje serce zaczyna walić coraz szybciej i nie chce się uspokoić.

Przysuwam się do okna, ignorując pulsujący ból w nodze. Wsuwam dłoń pod zasłonę i delikatnie podnoszę zasuwkę, a później naciskam końcem palca, żeby jak najwolniej opuścić szybę.

Quint przygląda się moim poczynaniom szeroko otwartymi oczami, ale nic nie mówi. Wygląda, jakby wstrzymywał oddech, i tak jak ja nasłuchuje.

– ...to sprawa króla – mówi Thorin, jego głos jest stłumiony i odległy, pewnie stoi po drugiej stronie powozu. – Nie masz prawa żądać przeszukania tego powozu.

Wbijam wzrok w Quinta. Jeśli ktokolwiek zobaczy mnie w tym stanie, rozejdą się nieprzyjemne plotki.

– Dostaliśmy rozkazy bezpośrednio z pałacu – oświadcza ostrym głosem strażnik. – Nikt nie wjeżdża do sektora bez przeszukania.

– Ja nie wydałem tych rozkazów – szepczę do Quinta. – Czy to z powodu mojej nieobecności?

Quint ma poważny wyraz twarzy.

– Nie. Nikt nie wiedział, że waszej królewskiej mości nie ma w pałacu. – Bierze głęboki wdech i zerka na mnie, na moją zranioną nogę, plamy krwi, które wydają się znajdować wszędzie. – Powinienem był pomyśleć o zabraniu jakiegoś ubrania.

Na zewnątrz powozu Thorin kłóci się ze strażnikiem.

– Nasze rozkazy są ważniejsze od twoich. Cofniesz się i pozwolisz nam przejechać.

– Pozwolisz nam przeszukać powóz albo będziesz miał do czynienia z kapitanem Huxleyem – grozi strażnik przy bramie.

W tym samym momencie drzwi do powozu grzechoczą.

Zastygam w bezruchu, wcisnąwszy się w kąt powozu, jakbym dzięki temu miał stać się niewidzialny.

Ale drzwi zatraskują się z powrotem i rozlega się głos Seatha:

– Jeśli będziesz próbował siłą przeszukać ten powóz, będziesz musiał stoczyć walkę, na jaką nie jesteś gotowy.

Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, dlaczego zostaliśmy zatrzymani ani dlaczego domagają się przeszukania powozu. Ale wiem, że moi strażnicy nie powinni ryzykować życia, bo ja obawiam się złośliwych plotek.

Prostuję plecy i pochylam się do przodu, żeby otworzyć drzwi i to zakończyć. Pokażę się i będziemy mogli odjechać.

Jednak w tym momencie strażnik prychnie i mówi:

– Co? Sami złapaliście króla? Nie czyham na waszą nagrodę, ja tylko wykonuję rozkazy.

Zamieram z ręką na kłamec, a ktoś znów szarpie drzwi, po czym ponownie rozlega się gniewny głos Seatha:

– Mówiłem, żebyś nie ruszał tych drzwi.

– Jaka nagroda? – rzucam bezgłośnie do Quinta.

Na jego czole pojawiła się bruzda. Kręci głową.

– Nie wiem – odpowiada w ten sam sposób.

– Jaką nagrodę? – pyta stanowczym głosem Thorin.

– Za złapanie króla – oznajmia strażnik, jakby to było oczywiste. – Za to, co zrobił.

Przez chwilę wokół powozu zapada absolutna cisza. Te ostatnie słowa wiszą złowieszczo w powietrzu.

Wpatruję się w Quinta, oddychając z trudem. Wiem, że moi strażnicy na zewnątrz próbują znaleźć najlepsze rozwiązanie.

Strażnik przy bramie musiał też na to wpaść, bo nagle słyszę szczęknięcie kuszy.

– Macie króla! Larriant, wezwij kapitana. Poślij po nocny pa...

Ktoś wymierza cios, coś ciężkiego uderza w powóz, na co ten kołysze się i rusza w przód, zwracając tak szybko, że gwałtowne szarpnięcie odrzuca mnie w tył. Czuję

ból nogi i z ust wrywa mi się krzyk. Powóz zaczyna kołysać się na boki, końskie kopyta uderzają o ziemię, nadal próbujemy zawrócić. Znow wpadam na ścianę. Za chwilę się przewrócimy. Za chwilę się rozbijemy. Żołądek podchodzi mi do gardła.

Quint chwyta mnie za ramię i pociąga w przeciwną stronę. Nasze gwałtowne przesunięcie sprawia, że powóz staje z powrotem na kołach. Mocno uderza o ziemię i chybocze się przez chwilę, by wreszcie się wyprostować.

Na zewnątrz wybuchają krzyki, a kilka strzał trafia w zewnętrzne ściany, ale pędzimy dalej.

Obaj z Quintem siedzimy na podłodze.

Dyszę ciężko, jakbym przebiegł maraton, i patrzę na niego. On także ciężko dyszy.

– Dziękuję – mówię. – Już drugi raz ocaliłeś mi życie.

– Wypadek nie wydawał się właściwym rozwiązaniem tej sytuacji, wasza królewska mość.

– Nadal możemy się rozbić.

– Powóz jedzie zbyt szybko, jak na warunki terenowe. Bujamy się i kiwamy za każdym razem, gdy koło uderza o cos twardszego.

Chcę informacji, ale Quint znajduje się w takim samym położeniu jak ja. Nie wiem, czy wjeżdżamy do sektora, czy jedziemy w przeciwną stronę.

Ignoruję ból w nodze i podnoszę się, żeby wyjrzeć przez okno. Odsuwam zasłonę. Szyba jest pęknięta, ale się trzyma. Drzewa za oknem umykają niepokojąco szybko.

Wracamy do Dziczy.

Spoglądam na Quinta.

– Nie wiem, dokąd jedziemy – mówię i krztuszę się. To gorsze, niż kiedy obudziłem się w stodole Violet, przerażony, kto może zaraz stanąć w drzwiach. Wtedy przynajmniej się nie bałem, że stodoła zawali się nam na głowy. – Nawet nie wiem, w czyich rękach jesteśmy.

Jaka nagroda?

Za złapanie króla. Za to, co zrobił.

Czuję, że za chwilę ledwo będę mógł oddychać i właśnie na łapaniu tchu się skupiam, podczas gdy ciało walczy o przetrwanie. Staram się spowolnić każdy oddech, aż wreszcie znow mogę myśleć.

– Ufam Thorinowi – oświadcza Quint.

– Ja także. Tylko nie wiem, czy to nadal on powozi. – Spoglądam za okno i zastanawiam się, czy nie powinniśmy zaryzykować wyskoczenia z powozu. Chyba niewiele zyskam, lądując na ziemi z połamanymi kośćmi.

Spoglądam na Quinta. Nie mam pojęcia, czy potrafi walczyć, a do tego nie ma broni. Ja też nie. Jednak większość pałacowych powozów wyposażona jest w skrytkę na

uzbrojenie – pozostałość z czasów, kiedy często musieliśmy podróżować poza Sektor Królewski, a bandyci i wyjęci spod prawa stanowili poważne zagrożenie dla królewskiej rodziny.

Wsuwam rękę pod aksamitne obicie tylnego siedzenia.

Nie ma tam nic prócz kurzu.

Quint szybko orientuje się, co robię, i sprawdza siedzenie po przeciwnej stronie, zanim go o to poproszę. Wyciąga dwa sztylety – małe i zakurzone. Na krawędziach ostrzy widać rdzę.

Quint wyciera je o podłogę powozu, a ja mam atak kaszlu.

– Przepraszam – mówi.

– Za co? – odpowiadam rzęzącym głosem. – Daj mi jeden.

Broń jest niewiele dłuższa niż szerokość mojej dłoni, ale chwytam za rękojeść i opieram się plecami o ścianę naprzeciw drzwi. Żadne strzały nie trafiły już w powóz, teraz tylko smagają go gałęzie.

Za wąskim okienkiem migają kolejne drzewa. Nadal jedziemy z niebezpieczną prędkością.

I nagle... to się zmienia. Powóz zwalnia, a ja spoglądam na Quinta.

– Spróbujemy wyskoczyć, bądź gotów do biegu.

Quint patrzy na moją zranioną nogę.

– Wasza królewska mość będzie w stanie biec?

Nie. Już sam skok stanowi wyzwanie, ale tego nie mówię.

– Po prostu się przygotuj.

– Nie zostawię rannego króla...

– To rozkaz.

Powóz jeszcze bardziej zwalnia. Oczy marszałka nie opuszczają moich.

– W takim razie wasza królewska mość będzie musiał kazać Corrickowi wydać dekret o poddaniu mnie karze.

– Quint!

Powóz się zatrzymuje, Quint zaciska rękę na sztylecie i odwraca ode mnie wzrok, ale się nie rusza.

Na wszelkie siły wyższe.

Zaciskam zęby.

Drzwi się otwierają i wewnątrz zalewa blask słońca. Niewiele widzę, bo Quint rzuca się naprzód. Ten drugi mężczyzna przeklina, słyhać szamotaninę, ale nim sam docieram do drzwi, Quint leży na ziemi z zakrwawionym nosem, a nad nim stoi Thorin wyglądający na nieco speszonego.

– Marszałku Quint, co konkretnie chciał pan zrobić?

– Gdy teraz na to patrzę – wykrztusza, krzywiąc się – nie jestem pewien.

– Bronić mnie – mówię i niezgrabnie wysiadam z powozu. Wyciągam rękę do Quinta, ale nadal patrzę na Thorina. – Nie byliśmy pewni, kto powozi. Gdzie jest Seath?

– Wyprzęga konie, wasza królewska mość. Dalej droga jest zbyt wąska, by jechać powozem, zresztą jest on zbyt łatwym celem.

Przeciągam ręką po karku i czuję, że pot miesza się z brudem z ostatniej nocy. Krzywię się z obrzydzenia.

– A dlaczego to ja jestem celem?

– Nie wiemy – mówi Thorin. – Gdyby wezwali nocny patrol, moglibyśmy nie zdołać uciec. Teraz najpewniej wyślą za nami pościg. Nie powinniśmy zwlekać. – Zerka na moją nogę. – Czy wasza królewska mość jest w stanie iść?

– Tak, ale nie za daleko. – Wciskam zakurzony sztylet za pasek i rozglądam się dookoła. Jesteśmy głęboko w lesie, otoczeni drzewami, z dala od głównych traktów, ale nic nie wydaje mi się znajome.

Tak czy owak, cztery osoby i dwa konie rzucają się w oczy, zwłaszcza bez powozu.

– Thorin, znasz drogę do starej chaty Tessa? Wiesz, jak tam trafić? – dopytuję.

Waha się, rozgląda wokół, tak jak ja przed chwilą. Kiedy jego wzrok powraca do mnie, potakuje głową.

– Tak.

– Dobrze.

Spoglądam za niego, w stronę Seatha odprowadzającego dwa konie od opuszczonego powozu. Ich skórzana uprząż wylądowała w błocie, przy dyszlu. Na zwierzętach zostały tylko uzdy, lejce i klapki na oczy. Już zaczynają się szarpać. Oddychają nerwowo, spocone i skonsternowane wszystkim, co się wydarzyło.

Jeśli natkniemy się na nocny patrol, daleko na tych koniach nie uciekniemy, ale pozostanie tu i zamartwianie się też niczego nie rozwiąże. Jeśli to jedyne, co nam pozostało, musimy spróbować.

Wzdycham głośno

– Thorin, sprawdź drogę przed nami. Będziemy tuż za tobą.

Minęło raptem kilka tygodni, ale droga prowadząca do chaty mocno zarosła. Gdy wchodzimy do środka, wszystko pokryte jest grubą warstwą kurzu. Przeciągam palcem po stole i kaszlę, kiedy tuman kurzu wzbija się w powietrze. Nikt tu nie zaglądał od ataku buntowników na pałac.

Wtedy to była dobra kryjówka i teraz też na pewno się sprawdzi.

Obok zimnego paleniska stoi wąska szafka, której szuflady przeszukuje Quint.

Każę Seathowi przywiązać konie i patrolować okolicę, a później wołam Thorina do chaty. Gdy już jest w środku, nie tracę czasu.

– To kolejna próba obalenia tronu, choć ta wydaje się działaniem bardziej podstępny. Myślisz, że Seath może być w zмовie z tym, kto działa przeciwko mnie?

Jeśli zaskoczyło go to pytanie, nie okazuje tego.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Najzupełniej. Służę z Seathem od ponad pięciu lat. Razem zostaliśmy wybrani do osobistej straży waszej królewskiej mości. – Robi krótką pauzę. – Gdyby działał przeciwko tobie, pomógłby strażnikom przy bramie. Mogli przejąć powóz. Było ich czterech.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę i próbuję znaleźć powód, dla którego korzystniej byłoby pozwolić mi uciec. Nic nie przychodzi mi do głowy.

Znów pocieram kark i biorę długi wdech.

Nie możemy zostać tu na zawsze.

Potrzebuję informacji.

Przenoszę wzrok z Thorina na Quinta i zastanawiam się, jak bardzo już rozeszły się plotki. Nie było ich w pałacu tylko kilka godzin, ale najwyraźniej Arella, Laurel i kapitan Huxley zdołali wykorzystać moją nieobecność. Quint mógł wyslizgnąć się niezauważony, ale jeśli ktoś przyszedł szukać mnie...

Wzdycham. Noga znów pulsuje bólem, a to przeszkadza mi myśleć. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz piłem czy jadłem.

Opadam ciężko na krzesło. Muszę być trochę zamroczony, bo ląduję niezdarnie i z trudem opanowuję okrzyk, kiedy raną uderzam o poręcz krzesła. Zaciskam zęby tak mocno, że czuję smak krwi.

Może przegryzłem sobie wewnętrzną stronę policzka. Czuję na czole kropelki potu. Powoli wciągam powietrze przez zęby, bo w przeciwnym razie zacznę przeklinać i nie będę mógł przestać.

Quint odchodzi od szafki. Zerka na mnie, a później na strażnika.

– Thorinie, sprawdź, czy w beczce na deszczówkę jest jakaś świeża woda. I powinniście z Seathem pozbyć się pałacowych mundurów. Czy w pobliżu znajduje się jakaś wieś? Przydałoby nam się chociaż coś do jedzenia.

– Tak, marszałku Quint. – Zawiasy skrzypią w proteście i Thorin znika za drzwiami.

Zamykam oczy i wzdycham.

W małej chacie nagle zapada kompletna cisza, którą w końcu przerywa Quint. Jego głos rozlega się bliżej, niż się spodziewałem.

– Wasza królewska mość znowu krwawi – zauważa cicho.

Mrugam i otwieram oczy. Spoglądam w dół. Ma rację. Wzdłuż rozdarcia w spodniach przesiąka świeża krew.

– W szafce Tessy są bandaże, trzeba opatrzyć ranę. – Waha się. – Jeśli mogę...

Przenoszę ciężar ciała na drugą stronę i krzywię się.

– Proszę.

Milczy, kiedy owija ranę bandażem, a ja staję się bardzo świadomy jego bliskości. To dziwny rodzaj intymności, choć nie do końca niekomfortowy.

Też kiedyś opatrywałem jego rany. W ten sam sposób. W tej samej chacie.

Teraz jesteśmy kwita, myślę.

Quint podnosi wzrok, jego ręce zastygają w bezruchu, a ja uświadamiam sobie, że powiedziałem to na głos. Potwierdza to jego pytanie:

– Słucham?

Nie powtarzam tego, co powiedziałem.

– Zignorowałaś mój rozkaz w powozie.

Bierze wdech, jakby chciał zaprotestować, ale później zmienia zdanie.

– Oczekuję twojej decyzji, wasza królewska mość, ale obiecałem Corrickowi, że zaopiekuję się...

– „Zaopiekujesz się”? Quint, nie jestem dzieckiem.

Zaciska bandaż z taką siłą, że aż wciągam z sykiem powietrze.

Patrzy na mnie, ale nie przeprasza.

– Mam tego świadomość.

Potem zawiązuje bandaż, prostuje się i odchodzi.

Jestem wytrącony z równowagi, zagubiony, jakby zbyt wiele osób kolejno wprowadziło mnie w konsternację. Nim zdołam wszystko sobie poukładać, wraca Thorin z wiadrem wody z beczki na deszczówkę. Nie ma już munduru, tylko koszulę, ale nadal jest tak samo uzbrojony.

– Seath pójdzie do Artis – mówi. – Ma pieniądze, więc spróbuje kupić jakieś jedzenie. Nie powinniśmy zostawać tu zbyt długo, w końcu odkryją powóz. Ostatnio sporo padało, łatwo będzie nas wytropić.

– Nie wiem, którzy konsulowie spiskują przeciwko mnie – oznajmiam. – Gdybym chciał szukać schronienia u któregoś z nich, równie dobrze możemy się poddać już teraz.

Quint rozpala pod małą kuchenką w kącie i nalewa wodę do czajnika, po czym stawia go na ogniu.

– Na pewno nie możemy wrócić do Sektora Królewskiego.

– Jeśli ogłosili nagrodę za schwytanie króla, trudno będzie nam znaleźć schronienie gdziekolwiek – dodaje Thorin.

Bo ludzie zrobią wszystko dla srebra albo leku. Wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. Przyglądam się im obu.

– Myślicie, że to był podstęp? Czy kapitan Blakemore mógł zostać wykorzystany, żeby rozdzielić mnie i Corricka? Żeby pozbyć się najwyższego sędziego królewskiego, zanim konsul Cherry i kapitan Huxley przejdą do działania?

– To możliwe – odpowiada bez zastanowienia Thorin.

Marszczę brwi. Czuję ukłucie strachu w sercu.

Uwierzyłem kapitanowi Blakemore'owi. Uwierzyłem w jego chęć pomocy ludowi Kandali. Podziwiałem lojalność jego załogi. Namawiałem Corricka, by wsiadł na ten statek.

Moje rozmyślenia przerywa Quint:

– Nie sądzę, aby kapitan Blakemore był częścią tego wszystkiego. Dokumenty, które przedstawił, były wiarygodne. Jego historia wydawała się wiarygodna. To byłaby zbędna komplikacja, gdyby chcieli po prostu rozdzielić waszą królewską mość i Corricka. Zwłaszcza że mieli po swojej stronie strażników. – Przerywa. – Raczej ktoś, kto od dawna spiskuje przeciwko koronie uznał, że nieobecność Corricka i przywódcy buntowników to idealny moment, żeby pozbawić króla tronu.

– I oto jestem – mówię gorzko. – Znow kryję się w małej chacie, podczas gdy inni próbują przejąć tron. – Krzywię się i usiłuję zignorować pulsujący ból w nodze. – Tyle że tym razem wyznaczono nagrodę za moją głowę i obrócono strażników przeciwko mnie.

– Nie wszystkich, wasza królewska mość – wtrąca Thorin.

Nie wszystkich.

Jestem za to wdzięczny, ale nie mam pewności, co nasza czwórka jest w stanie zdziałać przeciwko całemu królestwu.

Myślę o małej Violet, która błagała mnie, żebym wrócił.

Myślę o Maxonie. *Jestem pewien, że zrobiłbyś to samo na moim miejscu.*

Mam ściśnięte gardło.

Rozlega się gwizd czajnika.

Nie wiem, dokąd iść.

Na pewno nie do Allisandra. Nie mam wątpliwości, że cokolwiek robi Laurel Pepperleaf, robi to na jego polecenie. Lissa Marpetta nie opuszcza swojego sektora, odkąd stwierdzono, że współpracowała z Allisandrem przy fałszowaniu leku. Kiedyś uważałem za sprzymierzeńca Arellę Cherry, ale to się zmieniło. Podobnie rzecz ma się z Roydanem Pelhamem. Leander Craft zginął w pierwszym ataku.

Pozostaje więc tylko Jonas Beeching, konsul Artis, i Jasper Gold, konsul Mosswell.

Jasper mieszka po przeciwnej stronie Sektora Królewskiego, natomiast żeby dotrzeć do Jonasa, musielibyśmy przekroczyć Rzekę Królowej.

Obie opcje wydają się niewykonalne. Nawet gdybym dotarł do któregoś z nich, nie mam pojęcia, czy by mi pomogli.

Konsul Beeching prosił o pieniądze na budowę mostu przez rzekę i jego prośba została oddalona. Myślę, że nadal jest obrażony na sposób, w jaki Corrick mu odmówił, bo także rzadko bywa ostatnio na dworze. Z drugiej strony Buntownicy zabili jego kochankę na jego oczach, więc może jego unikanie wizyt na dworze ma swoje uzasadnienie.

Tak czy owak, większość konsulów współpracuje, żeby pozbawić mnie tronu. Zaufanie komukolwiek z nich to zbyt duże ryzyko.

Czy mogę liczyć na pomoc buntowników? Czuję, jakbym grał w grę, w której nie mam szansy wygrać. Na pewno każdy z nich połasi się na nagrodę zaoferowaną przez pałac – a i to pod warunkiem, że zdołam kogokolwiek z nich przekonać, że jestem tym, za kogo się podaję.

Myślę o tym, jak Violet śpiewała przez kilka godzin na pałacowych schodach, bosa, w poszarpanym ubraniu, i nikt nie chciał jej słuchać. Gdybym zapukał do czyichś drzwi i oświadczył, że jestem królem, większość ludzi by mnie wyśmiała. Znali Corricka i Tessę, lecz nie mnie. Lochlan wyjechał, a to jedyny buntownik, który kojarzy mnie na tyle dobrze, by mnie rozpoznać, nawet w tym stanie.

Moje myśli zatrzymują się w miejscu.

Lochlan nie jest jedyny.

– Quint – sapię. – Pamiętasz przyjaciółkę Tessy, Karri? Tę będącą na spotkaniu razem z Lochlanem?

– Tak.

– Wiesz, gdzie mieszka?

Marszczy czoło.

– W Artis, ale musiałbym mieć dostęp do swoich papierów, żeby znaleźć adres. – Nagle urywa, zastanawia się nad czymś i unosi brwi. – Ale pracowała dla tej samej pani Solomon co Tessa. Może uda nam się ją odszukać.

Serce znów zaczyna mi walić mocniej.

To także jest ryzykowne, bo nie znam jej zbyt dobrze, ale Karri na pewno rozpozna Quinta. Może zechcieć nas wysłuchać. Chciała, żeby wszystko było lepiej. Tak jak Tessa.

– Co zalecasz, wasza królewska mość? – pyta Quint, wrywając mnie z zamyślenia.

– Weź Thorina i spróbujcie ją odszukać.

– Wasza królewska mość...

– Nie – rzucam gniewnie. – Tym razem posłuchasz mojego rozkazu albo każę Thorinowi zaciągnąć cię tam siłą. Zostawcie konie, żebym w razie czego mógł uciec. Odszukajcie Karri jak najszybciej i postarajcie się nie rzucać w oczy.

– Co mam jej powiedzieć? – pyta Thorin.

Przenoszę ciężar ciała na drugą stronę i krzywię się z bólu.

– Powiedzcie, że król potrzebuje jej pomocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Tessa

Teraz, gdy już mamy plan, chcę go natychmiast zrealizować. Wszystko, co powiedziałam Corrickowi, mówiłam szczerze – byłby ze mnie okropny szpieg. Niestraszne mi kradzież i niebezpieczeństwo, ale nie umiem kłamać.

Corrick wychodzi z kajuty, żeby porozmawiać z Rocco, ale kiedy wraca, każe mi czekać.

– Załoga jest zbyt podenerwowana – mówi. – Rocco twierdzi, że przez całą noc byliśmy obserwowani. Musimy się dowiedzieć, czy statki się zbliżyły, i sprawić, by kapitan Blakemore znów opuścił gardę.

– Jak to zrobimy? – pytam.

Kiedy zapinam kamizelkę, księżę patrzy w iluminator, w którym niebo zaczyna przybierać blad różowy kolor.

– Może znów zaproponujesz mi wspólne wspinanie się na maszt? – Wygłasza to takim tonem, że zaczynam mu się przyglądać.

– Byłeś zazdrosny – zauważam.

– Byłem.

– Dalej jesteś?

Jego niebieskie oczy są ciemne w słabym świetle latarni.

– Teraz to coś więcej niż zazdrość.

Słyszę ostrzeżenie w jego głosie i przeszywa mnie dreszcz.

– Ufasz mi?

– Nigdy nie miałem problemu z zaufaniem tobie. Kazałem Rocco dopilnować, żeby jeden ze strażników cały czas był blisko.

Pewnie myślał, że te słowa mnie uspokoją, ale nie uspokoiły. Zapinam ostatni guzik kamizelki, po czym ją prostuję. Palcami przeczesuję włosy i zaplatam je w luźny warkocz.

Patrzę na Corricka, który zapina swój kaftan.

– Nie przeszkadza ci, że strażnicy wszystko widzą?

– Co masz na myśli? – Między jego brwiami pojawia się bruzda.

Wskazuję na drzwi.

– Widzieli, jak tu wchodziłam. Wiedzą, że nie wyszłam.

– Tesso, mam strażników pod drzwiami od momentu, kiedy zaczerpnąłem powietrza po raz pierwszy. – Ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie delikatnie. – Chwile prawdziwej prywatności są rzadkie i cenne.

Pewnie coś w tym jest, ale nie mogę opanować rumieńców wpływających na moje policzki.

– Chyba... Chyba nie powinniśmy iść na górę razem, jeśli chcesz, żeby kapitan Blakemore mi ufał.

– Masz rację. Idź pierwsza. – Puszczą moją twarz, a ja odwracam się do drzwi.

Wszyscy trzej strażnicy są na służbie. Rocco stoi między drzwiami moimi a Corricka, Silas w końcu korytarza, a Kilbourne u dołu schodów.

Zastanawiam się, czy wszyscy byli na służbie przez całą noc.

– Załoga jest podminowana. Kilbourne będzie towarzyszył panience na pokładzie – informuje Rocco.

Choć Corrick mnie uprzedzał, wzdłuż mojego kręgosłupa przechodzi dreszcz.

– Dziękuję, Rocco – szepczę i ruszam w stronę schodów.

Kiedy wychodzę na pokład z Kilbournem za plecami, poranne niebo jest ciemniejsze, niż się spodziewałam, ciężkie od różowych i fioletowych chmur, które zasłaniają wschód słońca. Czuję na policzkach wiatr szarpiący żaglami i takielunkiem. Wczoraj morze wydawało się takie spokojne, a dzisiaj jest wzburzone. Fale uderzają o kadłub ze wszystkich stron, jeszcze bardziej utrudniając chodzenie.

Dwie brygantyny na wschód od nas znów się przybliżyły. Teraz sama widzę banderę Kandali. Uczucie strachu, które przeszło mnie przed chwilą, jest jeszcze silniejsze.

Dostrzegam jakiś ruch, a później słyszę stuknięcie butów o pokład po mojej lewej stronie.

Podskakuję, wystraszona, ale to kapitan. Pewnie zaskoczył z takielunku, bo twarz ma czerwoną od wysiłku i wiatru, a jego jasne oczy są tak burzowe jak niebo.

– Rian – wykrztuszam, zaskoczona.

– Panno Cade – wita mnie ze skinieniem głowy i odchodzi bez słowa.

Och. No cóż.

Uczucie strachu nie znika.

Po chwili ruszam za kapitanem.

Zatrzymuje się nieopodal przy relingu, w miejscu, gdzie przywiązany jest bom. Pokład jest mokry od bryzy, ale Rian to ignoruje. Odwiązuje linę od stalowej knagi, a ja obserwuję jego ruchy – są zwarte i pewne.

Nie wiem, czy powodem jego zdenerwowania są statki, Corrick, czy ja. Ta niewiedza wytrąca mnie z równowagi.

Staram się być jak najbardziej bezpośrednia.

– Wróciliśmy do oficjalnych tytułów, kapitanie Blakemore?

– Powinniśmy chyba byli przy nich pozostać. Proszę uważać. – Wskazuje głową na reję.

Odsuwam się na bok, ale idę za nim.

– Denerwuję pana.

– Denerwują mnie kandalskie statki, które zbliżają się akurat w momencie, kiedy wpływamy na najtrudniejszy fragment oceanu. – Idzie za kołyszącą się belką, aż dochodzi do następnej knagi. Ze stęknieniem zapiera się butami o pokład i machinalnie zaplątuje linę wokół stalowego uchwytu. – Wystarczająco trudno się tu nawiguje. Nie potrzebuję jeszcze dodatkowo walczyć przy tym z dwiema dobrze uzbrojonymi brygantynami.

– Nie mam z tymi statkami nic wspólnego – mówię.

Wybucha śmiechem, ale nie jest rozbawiony. Zawiązuje węzeł i idzie do następnej liny.

Znów podążam za nim.

– Nie rób tego – proszę. – Nie traktuj mnie, jakbym...

Odwraca się tak szybko, że tracę dech. W tym momencie w statek uderza wielka fala popychając mnie w jego ramiona, tak jak pierwszej nocy, kiedy weszłam na pokład *Ścigacza Świtu*.

Chwyta mnie za barki.

Przez muślinowe rękawy koszuli czuję ciepło i siłę jego rąk, ale uchwyt jest trochę za mocny. Serce mi podskakuje.

– Jak mam cię nie traktować? – pyta.

Zasycha mi w ustach. Nie wiem, co nim kieruje – poczucie zdrady czy złość. Jednak wiem, że żadna z tych opcji mi się nie podoba.

– Kapitanie – odzywa się Kilbourne. – Proszę ją puścić.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że Rian nie posłucha, bo jego uścisk jest zbyt mocny, a burzowe chmury w jego oczach zbyt skłębione.

Ale jednak słucha; puszcza mnie, robi krok w tył i przeciąga ręką po szczęce.

– Powinna pani wrócić do swojej kajuty, panno Cade. Albo kajuty księcia Corricka, jak pani woli.

Nic nie zaszło między mną a Corrickiem, mimo to moje policzki robią się czerwone i nie potrafię tego powstrzymać.

– Dlaczego zachowujesz się, jakbym cię zdradziła? – rzucam stanowczym głosem. – W dniu, kiedy zaprosiłeś nas na pokład, wiedziałeś... wiedziałeś...

– Wiedziałem, że jesteś związana z mężczyzną, o którym mówi się, że jest zdradziecki i gwałtowny. Wiedziałem, że boisz się wyrażać własne zdanie.

Wiedziałem...

– To nieprawda! – wtrącam się, ale on mimo to kontynuuje.

– Wiedziałem, że za wszelką cenę chciałaś pomagać ludziom w Kandali, ryzykując własne życie, żeby dostarczać im lek. I podziwiam cię za to. Ale wiem także, co to znaczy być oszukiwanym i manipulowanym, i...

– Nie oszukuję cię i nie manipuluję tobą!

– Wiem – odpowiada. – Mówię o tym, co księżę Corrick zrobił z tobą.

– Nic ze mną nie zrobił. W ogóle go nie znasz.

– Nie muszę go znać. Wystarczy, że znam takich jak on. Gdyby chciał pomóc swoim ludziom, mógł wsiąść na ten statek z determinacją i odwagą. Ale dla niego każda interakcja to bitwa, z której ktoś musi wyjść zwycięsko. Miałem nadzieję, że Kandala i Ostriaria zdołają znaleźć nową drogę współpracy, korzystną dla obu stron, ale teraz boję się, że wiozę tam księcia, który zasieje tylko niezgodę i rozpocznie ponowną wojnę wyłącznie dlatego, że uraziłem jego dumę.

– To nieprawda – cedzę przez zęby.

– Nie? – Rian robi krok w moją stronę i ścisza głos. – Wczoraj przegrał ze mną bitwę, więc to żadne zaskoczenie, że szukał zwycięstwa w innej, zaciągając cię do swego łóżka.

To wystarczyło. Wymierzam cios, zanim zdołam pomyśleć, co robię.

Rian wyciąga rękę i chwyta mój nadgarstek. Jest tak szybki, że zapiera mi dech, zwłaszcza że znów chwyta mnie mocno i tym razem nie puszcza.

– Zaprosił mnie do swojej kajuty, bo bał się twoich gróźb wobec mnie.

– Więc nawet nie musiał użyć podstępu, wystarczyło cię przestraszyć.

Wyrywam rękę z jego uścisku, oddychając szybko. Nie byłam pewna, czego się po nim spodziewać, ale na pewno nie spodziewałabym się tego.

– Wiesz, że mam rację – mówi zachrypniętym głosem. – Miałem o pani lepsze zdanie, panno Cade.

Nie ma racji. *Nie ma.*

Ale w wielu kwestiach ma. Tak wiele rzeczy, które rzucił mi w twarz, brzmi identycznie jak to, co ja powiedziałam Corrickowi w mroku jego kajuty.

Rian się odwraca.

– Powiedz mu, że jeśli te statki płyną po to, żeby go schwytać, chętnie im go oddam.

Nawet go nie słucham, bo serce dudni mi w uszach, a oddech się rwie. Gdy zbliżam się do schodów, czuję na policzkach gorące łzy.

Wtedy uświadamiam sobie, że to idealny moment. Jest wcześnie. Większość załogi śpi. Rian myśli, że pobiegłam prosto w ramiona Corricka.

Myślę o tych statkach. Myślę o zamkniętej kajucie, o tym, jak dużo już zaryzykowaliśmy.

Zamiast pójść do naszych kwater, skręcam i schodzę na niższy pokład.

Kilbourne rusza za mną, ale go zatrzymuję.

– Musisz powiedzieć Corrickowi, żeby wyszedł na pokład – szepczę do niego nerwowo.

– Ale panienko Cade...

– Już – poganiam go. Ocieram łzy z policzków, a moje serce przepelniają tęsknota, poczucie zdrady i niepewność, ale teraz pora działać. – Księżę Corrick musi pójść teraz na pokład i pokłócić się z kapitanem. Natychmiast.

Kilbourne bierze wdech, chcąc mi przerwać, ale ja szybko dodaję:

– Pospiesz się. Stań w przejściu, zanim ktokolwiek z załogi mnie zauważy.

Już nie czekam. Wstrzymuję oddech i biegnę na dół.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Corrick

Wpatruję się podejrzliwie w Kilbourne'a.

– Chce, żebym wywołał awanturę z Blakemorem? – pytam. – Teraz?

– Tak, wasza wysokość.

Biorę głęboki wdech.

Wiem dlaczego. Ale to za szybko. Powinniśmy poczekać. Napięcie wczorajszego wieczoru było zbyt duże, by czuć się pewnie, a groźba realnej konfrontacji wisiała w powietrzu.

Ktoś może ją zauważyć i wszystko się posypie.

Jednak żeby jej to wszystko powiedzieć, musiałbym pójść za nią, a jedyną rzeczą gorzej widzianą na tym statku niż przyłapanie Tessy na włamywaniu się do zamkniętego pomieszczenia byłoby przyłapanie jej na tym w moim towarzystwie.

Przytakuję więc, wychodzę z kajuty i idę na główny pokład, a Rocco i Kilbourne podążają za mną. Mają dziś przy sobie więcej broni niż wczoraj. Rozumiem dlaczego, ale nie podoba mi się to. Im więcej broni, tym mniejsze szanse, że przeciwnik opuści gardę.

Kiedy przechodzimy obok drzwi Lochlana, te otwierają się, a buntownik przechodzi przez nie tak szybko, że prawie wpada na Rocco. Błyskawicznie się cofa, a na jego twarzy pojawia się irytacja. Wygląda, jakby chciał nas walnąć drzwiami, ale nie jest pewien, czy powinien się na to odważyć.

Ubiegłej nocy, gdy ściałem się z kapitanem, Lochlan stanął w obronie Tessy i – w pewnym sensie – także mojej. Cóż, w każdym razie w obronie Kandali. Może nie płakałbym po nim, gdyby wpadł do oceanu, ale potrafię docenić fakt, że odezwał się, kiedy było to bardzo potrzebne.

Tessa ma rację. Nigdy nie uda nam się zbudować zaufania między pałacem a ludźmi, jeśli najwyższy sędzia królewski nie potrafi dogadać się z jednym buntownikiem

– Wybierasz się na główny pokład? – pytam. – Chodź z nami.

Robi gniewną minę.

– Czy to rozkaz, wasza wysokość? – Strzela we mnie tymi słowami.

Widzę, że Kilbourne się prostuje. Wyciągam rękę, zanim znowu pchnie mężczyznę na ścianę.

– Nie – mówię najspokojniejszym głosem, na jaki mnie stać. – Chodź z nami, jeśli masz ochotę.

Widzę malujące się na jego twarzy emocje, kiedy zastanawia się, co zrobić. Chciałby odmówić, ale go zaskoczyłem. Nie chciałem, żeby moje słowa zabrzmiały prowokacyjnie, jednak chyba nie potrafię nad tym zapanować.

– Dobrze – cedzi wreszcie przez zęby.

Chwilę później idziemy razem w górę schodów. Jego ruchy są sztywne, wymuszone, ramiona napięte, a szczęki zaciśnięte tak mocno, że widzę, jak jego gardło porusza się przy przełykaniu.

Jestem przyzwyczajony do widoku ludzi, którzy się mnie boją, ale zwykle spotykam takich w Twierdzy, gdzie trafia się za popełnienie przestępstwa.

Lochlan powiedział Tessie, że wziąłem go w tę podróż tylko po to, żeby wyrzucić za burtę, gdy tylko nadarzy się sposobność. Nie przejąłem się tym, bo była to oczywista nieprawda. Do tej chwili nie myślałem jednak, że on w to wierzy.

Kiedy wychodzimy na pokład, wiatr rozwiewa mi włosy i szarpie kaftan. Spodziewałem się zastać tu kapitana Blakemore'a, ale nie ma nikogo.

Spoglądam na Lochlana.

– To naprawdę nie był rozkaz – zapewniam.

Nawet na mnie nie patrzy.

– Wasza wysokość jest najwyższym sędzią królewskim – oświadcza, jakby to wszystko tłumaczyło.

Może tłumaczy.

Marszczę brwi.

– I naprawdę nie zaprosiłem cię w tę podróż, żeby cię zabić.

– To pocieszające – mamrocze beznamiętnym głosem.

Mam swoje granice. Odwracam się do niego.

– Uwięziłeś mnie. Namawiałeś tłum, żeby skatował mnie na śmierć, wziąłeś konsulów i obywateli na zakładników i zabijałeś ich, gdy sprawy nie szły po twojej myśli. Mimo to Harristan zaprosił ciebie i resztę buntowników do negocjacji...

– A ty postawiłeś mnie na szubienicy – wchodzi mi w słowo. – Z workiem na głowie i kuszą wymierzoną w plecy.

Zmieniłem zdanie. Jednak mam ochotę wyrzucić go za burtę.

Nie do końca.

No, może trochę.

– Uciekłeś się do przemocy i zadawania śmierci, kiedy nie widziałeś innego wyjścia, ale wobec mnie jakoś stosujesz inne standardy.

– Owszem – odpowiada.

– Dlaczego? – pytam stanowczo.

Prycha i odwraca się, lecz łapię go za rękaw i trzymam mocno.

– Powiedz dlaczego.

Wrywa się, dłonie ma zaciśnięte w pięści, jakby miał ochotę mi przyłożyć.

– Bo jesteś bratem króla! – rzuca i urywa. Spogląda na strażników, jakby się bał, że spotka go coś z ich strony, jeśli powie choć słowo więcej.

– Mów – odpowiadam spokojnym głosem. – Mów dalej.

Stoi, najeżony, z zaciśniętymi pięściami, ale się nie odzywa.

– Nie tkną cię, jeśli będziesz się zachowywał w cywilizowany sposób.

Bierze krótki wdech i robi krok w tył. Odwraca wzrok w stronę morza, a ja przez chwilę myślę, że to koniec. Przepaść między nami jest zbyt wielka. Nie ufa mi, a ja nie ufam jemu. Czego byśmy teraz nie powiedzieli, nasze czyny z przeszłości zawsze będą kłaść się cieniem na naszej przyszłości.

I wtedy Lochlan odzywa się zachrypniętym głosem:

– Król nie zaprosił wyłącznie mnie do tego stołu. Zaprosił też konsula Sallistera, mimo tego wszystkiego, co zrobił. – Przerywa. – Benefaktorzy obiecywali nam pieniądze i lek. Wiedzieli, że jesteśmy zdesperowani. Wierzyliśmy, że naprawdę chcą nam pomóc. Ale koniec końców nie okazali się lepsi od ciebie, Westonie Larku. Mogli coś zmienić, ale zamiast tego patrzyli, jak nocny patrol otacza i wyłapuje kolejnych z nas, żebyśmy później trafili na szubienicę.

Wzdrygam się. Nie potrafię tego opanować.

– Lochlan, to nie dlatego roznosiłem lek... – Mój głos też jest zachrypnięty.

– Wiem! – rzuca gniewnie. – Wiem. Myślisz, że nie wiem? Myślisz, że ludzie tego nie wiedzą? Tamtej nocy, kiedy zajęliśmy sektor, złożyliśmy broń ze względu na Tessę. Ale nie tylko na nią.

Przyglądam mu się uważnie.

– Więc zaryzykowaliśmy. Uwierzyliśmy, że to szansa na prawdziwą zmianę. – Przeklina i odwraca wzrok, ale chyba szybko bierze się w garść, bo podchodzi krok bliżej. Jego głos brzmi jak niski pomruk. – A potem musieliśmy siedzieć przy jednym stole z człowiekiem, który był prawdziwym przestępcą, ale za jego czyny nie spotkała go żadna kara. Żadna! Gdzie worek na głowie Sallistera, wasza wysokość? Gdzie szubienica? Gdzie pętla? Gdzie kusza? Dalej chcesz wiedzieć, dlaczego stosuję wobec ciebie inne standardy?

W innym miejscu statku Tessa próbuje właśnie otworzyć zamek, a ja powinienem zająć uwagę pozostałych, tymczasem zastygam w bezruchu, rozważając implikacje słów Lochlana.

Bo ma rację. W każdym słowie.

Nim zdołam się odezwać, coś porusza się nad nami i nagle Rian zeskakuje tuż obok na pokład.

Oczywiście. Powinienem był spojrzeć w górę.

Ciekaw jestem, ile słyszał. W jego oczach widać napięcie i mrok. Jestem prawie pewien, że słyszał wszystko. Spodziewam się, że na mnie naskoczy albo będzie mnie prowokował, albo otwarcie skrytykuje sposób rządzenia mojego brata, zwłaszcza teraz, kiedy ma więcej amunicji.

Jego wzrok spotyka mój. Ma w oczach tę samą iskrę wojowniczości co zawsze, ale teraz więcej w niej mroku, gniewu.

– I po tym wszystkim i tak udało ci się zwabić Tessę do swojej kajuty? – Unosi brew i mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Ufam, że wasza wysokość dobrze wypoczął.

Nie. Bynajmniej.

Dlatego robię krok w przód i wymierzam cios.

To lekkomyślne i niemądre. Gdybyśmy kłócili się tylko o pojawienie się statków, nigdy bym tego nie zrobił, ale jego wredna uwaga o Tessie przelała czarę goryczy.

Kapitan orientuje się w sytuacji na tyle szybko, by uniknąć pełnego uderzenia. Wielka szkoda, bo to daje mu szansę na wyprowadzenie ciosu w mój brzuch.

Na chwilę tracę dech. Chwytam go za kaftan, więc traci równowagę, i zaciskam rękę na jego szczęce. W oddali słyszę, jak Lochlan przeklina i odsuwa się na bok. Ta bójka wisiała w powietrzu od wielu dni. Możliwość zadania w końcu ciosu jest przerażająco przyjemna. Dłonie nadal bolą mnie od wspinania się po linie, ale nie zwracam na to uwagi. Uderzam i siłuję się z nim, aż obaj upadamy od nagłego przechylenia się statku. Nie wiem, który z nas runął pierwszy, ale czuję zderzenie z deskami pokładu chwilę przed tym, jak strażnicy próbują nas rozdzielić.

Obaj dyszymy. Czuję odrobinę ponurej satysfakcji, kiedy widzę krew na wardze kapitana, ale to uczucie szybko znika, kiedy przełykam i czuję smak własnej krwi.

Kilbourne puszcza mnie niemal natychmiast, ale Rocco nadal trzyma ręce Riana za jego plecami. Kapitan się nie wyrywa, jedynie patrzy na mnie gniewnie.

Lochlan także.

Spoglądam na Rocco, który czeka na mój rozkaz. Pamiętam moment, kiedy staliśmy w Twierdzy i kazałem mu połamać ręce Sallistera. Mam ochotę zrobić to samo z kapitanem Blakemorem. To moje najgorsze oblicze. To, którego nienawidzi Tessa, którego boi się Lochlan.

Myślę, że Rian to wie. Nie jestem pewien, czy spodziewa się, że strażnik będzie go trzymał, podczas gdy ja będę go bił do nieprzytomności, czy że Rocco zrobi to na mój rozkaz. Tak czy owak, widzę w jego oczach oczekiwanie. Przygotowuje się.

– Jak już mówiłem, kapitanie – zaczynam ochrypłym głosem – z pogardą panu nie do twarzy. Jakies inne mądre uwagi?

– Na pewno potrafię wymyślić z jedną czy dwie.

Robię krok w przód, ale on ani drgnie. Przytrzymuje mój wzrok.

– Puść go – mówię do Rocco, ale nie spuszczam spojrzenia z kapitana. Ocieram dłońią twarz i widzę ślady krwi. – Tylko się bronź.

Kapitan wyciera krew ze swoich ust. Przygląda mi się przez chwilę i tym razem to ja przygotowuję się na to, że znów podejmie walkę.

Tymczasem on mówi:

– Statki się zbliżyły.

Nie tego się spodziewałem, ale ma rację. Są znacznie bliżej.

– Jeśli są tutaj z rozkazu mojego brata, każę im przejąć twój statek i mozesz biadolić do samej Ostriarii.

– Są w zasięgu dział – ciągnie. – Jeśli nie są tu z rozkazu twojego brata, oddam cię w ich ręce.

– Jesteś sam na pokładzie. Mógłbym kazać moim strażnikom cię zabić.

Wszyscy czujemy napięcie wiszące w powietrzu.

Rian wbija we mnie wzrok.

– Jeśli mnie zabijesz, nie zdołasz uciec przed dwiema brygantynami. Zatopią statek albo wezmą cię siłą.

– Może będziemy musieli zaryzykować.

– Zbliżamy się do najbardziej niebezpiecznych wód – niemal warczy. – Jesteś pewien?

Spoglądam na Rocco.

– Co radzisz?

– Ma rację, jeśli chodzi o brygantyny. Jeśli nie są tutaj z rozkazu króla Harristana, to ryzyko.

– Czy dasz radę kontynuować rejs do Ostriarii?

Waha się.

– Nigdy nie byłem za południowym cyplem Sunkeep. Oczywiście mogę spróbować, ale nie mam pojęcia, czego się spodziewać na kolejnym odcinku drogi.

Oczy Riana płoną furią, gdy dociera do niego sens tych słów. Przeklina.

– Więc mimo wszystko wzięłeś na pokład marynarza?

– Wziąłem strażnika z doświadczeniem na statku – prostuję.

– Nie uda mu się przepłynąć koło Wyspy Chaosu. Prąd jest tam zbyt silny, a tuż pod powierzchnią kryją się skały. Jeśli nie znasz ich położenia, *Ścigacz Świtu* pójdzie na dno.

– Przekonamy się. Jakie masz zamiary, jeśli nie będą żądać wydania mnie?

– Minąć Wyspę Chaosu i mieć nadzieję, że ich zgubimy. – Przerzywa, a jego spojrzenie robi się mroczniejsze. – Powinieneś mnie puścić, dopóki jestem jeszcze skłonny zachować resztkę uprzejmości podczas goszczenia cię na moim statku.

Biorę głęboki wdech, żeby odpowiedzieć, ale w tym momencie, gdzieś na dole, rozlega się krzyk kobiety.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tessa

Otwarcie zamka było w tym wszystkim najłatwiejsze. Minęło ledwie kilka tygodni, odkąd ostatni raz to robiłam. Do tego to prosta kłódka, a ja mam kilka lat doświadczenia we włamywaniu się do domów w Sektorze Królewskim.

W korytarzu prowadzącym do tajemniczej kajuty jest cicho i ciemno. Nikt się tu nie kręci o tak wczesnej porze. Jak podejrzewałam, kapitan jest jednym z niewielu, którzy nie śpią na statku, a jeśli Kilbourne poszedł do Corricka, książę zajmie go, podczas gdy ja dowiem się, co tak ważnego ukrywa w tym małym zamkniętym pomieszczeniu.

Nie wiem, co znajdę. Jakieś szczegółowe dokumenty? Tajną broń? Beczki prochu? Po prostu nie mam pojęcia, co takiego Rian może tam ukrywać, a co byłoby warte wszystkich tych spięć z księciem.

Gdzieś w głębi duszy jestem przerażona, że się mylę, że to zdrada, że ujawnię coś potwornego. Ale z drugiej strony cały czas myślę o każdej chwili, kiedy patrzyłam w oczy Riana. Nie jest okropny. Nie jest. Jeśli ukrywa coś przed Corrickiem, to tylko dlatego, że mu nie ufa.

Żałuję, że nie wzięłam ze sobą latarni. Na dole jest bardzo ciemno i cokolwiek tam znajdę, być może będę potrzebowała wziąć to ze sobą i przemknąć do swojej kajuty. Oby to było coś małego.

Klik.

Zamek puszcza, a drzwi się otwierają.

Czuję zapach morskiej wody, pleśni i czegoś zaskakująco kwiatowego, ale wewnątrz panują kompletne ciemności. Nic nie widzę.

Nagle w drzwiach pojawia się jakaś postać. Jest zbyt ciemno, bym mogła widzieć dokładnie, ale dostrzegam rozczochrane blond włosy, szeroko otwarte ciemne oczy i brudną twarz. To kobieta, może dziewczyna, nie wiem.

Ryczy z wściekłością, a potem rzuca się na mnie z taką siłą, że prawie powala mnie na ziemię.

Krzyczę, zaskoczona, po czym wyciągam rękę w górę, kiedy jej pięść zmierza w kierunku mojej twarzy. Czuję ból za oczami, później w przedramieniu. Padam na plecy. Zbyt wiele dzieje się naraz. Nie pomaga fakt, że nieznajoma okłada mnie pięściami, jakby chciała złamać każdą moją kość. Mam szczęście, że uderza jak dziecko. Każdy cios jest słaby, czuć tylko kościste dłonie.

– Przestań! – krzyczę.

Może nie jest silna, ale za to szybka. Nie jestem w stanie chwycić jej nadgarstków ani jej odepchnąć. Przypominam sobie o tych wszystkich okazjach, kiedy Corrick sugerował, że powinnam wziąć kilka lekcji walki u zbrojmistrza, a ja za każdym razem odpowiadałam, że to może poczekać.

– Przestań! Dość, przestań!

Wreszcie udaje mi się zebrać myśli i wymierzam cios w jej brzuch. Wydaje się lekka jak piórko. Gdy ją trafiam, czuję jej żebra.

Jęczy z bólu i zsuwa się na bok, a wtedy podrywam się na nogi i wybiegam do ciemnego korytarza.

Ona też błyskawicznie się podnosi i biegnie za mną. Wczepia się w moje plecy, wbijając paznokcie w moje ramiona.

Próbuję się jej wyrwać, by zrobić krok naprzód.

– Corrick! – wołam w chwili, gdy przebija moją skórę. – Straże! Pomocy!

Dziewczyna za moimi plecami syczy mi do ucha:

– Zabiję was wszystkich.

Teraz już rozumiem, dlaczego trzymał te drzwi zamknięte na klucz.

Robię zamach łokciem w tył i słyszę jej jęk, jednak na niewiele się to zdało. Szarpie się do przodu, ciągnąc ją za sobą.

Przede mną pojawia się błysk światła.

Biorę gwałtowny wdech.

Latarnia.

Oddycham z ulgą.

Ale to nie Corrick. Nie strażę. To Marchon, a za nim Gwyn.

W migoczącym świetle latarni ich twarze wyglądają karykaturalnie, jak z koszmaru. Zwłaszcza kiedy Marchon odrywa ode mnie dziewczynę, po czym wykręca jej rękę za plecami, aż piszczy z bólu.

Gwyn celuje do mnie z kuszy, na co podnoszę ręce w geście poddania.

– Proszę – wykrztuszam, oddychając szybko. Ramiona pieką mnie w miejscu, gdzie dziewczyna wbiła pazury. – Proszę. Nie wiem...

– Jak się wydostała? – pyta Gwyn stanowczym tonem.

Nim zdążę odpowiedzieć, Marchon podnosi latarnię i zauważa, że kłódka leży na podłodze.

Oboje patrzą na mnie.

– Otworzyła zamek – oświadcza Marchon. – Sabło! – woła.

Młoda kobieta – bo teraz widzę, że to jest młoda kobieta, wychudzona tak bardzo, że ubranie z niej zwisa – wije się i próbuje kopać Marchona.

– Zabiję was wszystkich – rzuca z wściekłością. – Oren podpali ten statek i wtedy wszyscy... – urywa i bierze gwałtowny wdech, kiedy uścisk Marchona staje się jeszcze mocniejszy.

Oren. Oren Crane?

Przełykam i patrzę na Gwyn.

– O co tu chodzi? – pytam. – Kim ona jest?

Na twarzy Tagas widać smutek i rezygnację. Wzdycha, potem wskazuje kuszą na schody.

– Ruszaj, Tesso. Rian będzie musiał zdecydować, co z tym robić. Ją też przyprowadź, Marchon.

Młoda kobieta charczy i szarpie się.

– Podetnę Rianowi gardło...

– Dosyć. – Marchon zakrywa jej usta ręką, ale po chwili zabiera ją z krzykiem. – Ugryzła mnie!

Kobieta robi jeszcze coś lepszego – uderza go prosto w gardło.

Marchon krztusi się i ją puszcza, a kobieta błyskawicznie ucieka.

Mam ochotę zrobić to samo, ale Gwyn podchodzi bliżej z kuszą.

– Nie rób tego, Tesso.

– Kto to jest? – pytam jeszcze raz. – Kto to jest, Gwyn?

Dziewczyna znika w ciemności, ale chwilę później słychać łupnięcie, a potem z jej ust wyrывa się krótki krzyk, który przechodzi w szloch bólu.

Z mroku wyłaniają się postaci. Rozpoznaję potężną sylwetkę Sablo; mężczyzna przytrzymuje dziewczynę dużo skuteczniej niż Marchon, a ona rzuca przekleństwami i pluje na Gwyn, kiedy przechodzi obok. Później zaczyna kaszleć, jej oddech zmienia się w rżenie. W jej szarpaninie z Sablo widać panikę.

– Puść ją! – wołam. – Ona nie może oddychać!

Sablo spogląda na Gwyn, a gdy ta wzrusza ramionami, odrobinę rozluźnia uchwyt.

Dziewczyna łapie dech, a później odchyła gwałtownie głowę w tył, jakby chciała mu zmiażdżyć czaszką twarz.

Sablo odskakuje i znów trzyma ją mocniej.

– Mój ojciec powinien był uciąć ci nie tylko język – mówi ochrypłym głosem. – Wiem, od czego zacznę, gdy będę miała okazję.

Mój ojciec.

Nie potrafię poskładać tej układanki wystarczająco szybko.

– Twój ojciec to Oren Crane – wykrztuszam.

– Tak. – Wyszczera zęby. – Mam nadzieję, że powiesi Riana na dziobie statku, a mewy będą powoli objadać jego kości.

Patrzę na nią, później na Gwyn, Sablo i Marchona.

– Rian więzi córkę Orena Crane’a?

– Nic nie rozumiesz – mówi Gwyn. – Idź, Tesso.

Nie mam pewności, czy dam radę iść, jestem zbyt oszołomiona. To coś znacznie więcej niż ukryta broń, tajne dokumenty czy cokolwiek innego, co mogłabym sobie wyobrazić. Nie rozumiem tylko dlaczego. To tak bardzo nie pasuje do wszystkiego, czego dowiedziałam się o Rianie w ciągu ostatnich kilku dni, że po prostu nie potrafię sobie tego wszystkiego poukładać w głowie.

Nie myśli mi się łatwiej, gdy mam przed sobą kuszę wycelowaną w swoją pierś.

W ciemności rozlega się kolejny głos:

– Opuść broń, Gwyn, mamy twojego kapitana.

Corrick.

Prawie upadam z poczucia ulgi.

Gwyn nie opuszcza broni. Przeciwnie, przysuwa ją bliżej, aż grot wciska się w moją skórę.

Czuję każde uderzenie własnego serca.

– Gwyn – szepczę. – Proszę. Nic z tego nie rozumiem.

Z półmroku wyłaniają się kolejne postaci. Corrick, za nim Rocco, prowadzący przed sobą Riana i trzymający nóż przy jego szyi.

Spodziewam się, że nastąpią negocjacje. Rozmowa, kłótnia. Bo Corrick najwidoczniej używa Riana jako karty przetargowej. Ale Gwyn odwraca kuszę i teraz zamiast we mnie celuje w Corricka. Słyszę kliknięcie i trzask, nim dotrze do mnie, co to znaczy.

Rocco jest szybszy. Puszczą kapitana wystarczająco szybko, by zdążyć jeszcze odepchnąć Corricka z toru lotu bełtu. Jednak strzała w coś trafia, bo słyszę uderzenie i jęk w ciemności. Nie wiem, kto został trafiony.

Wtedy pojawia się Kilbourne. Wyrывa mnie z rąk Marchona tuż przed tym, jak marynarz wyciąga nóż.

Słysząc dźwięk rozbijanego szkła, latarnia gaśnie i dookoła zapada ciemność.

Ktoś popycha mnie na ścianę. Tracę orientację, chcę biec, ale nie wiem, w którą stronę.

– Corrick?! – wołam.

Nie odpowiada.

Zasycha mi w ustach. Słyszę dźwięk ostrza przebijającego skórę, krzyki mężczyzn, świst strzał, a ponad tym wszystkim kobietę wrzeszczącą w szale. Nie potrafię tego wszystkiego poukładać. Panika sprawia, że serce wali mi jak oszalałe.

Nagle czuję uderzenie z pięści w ramię i padam na podłogę. Przygniata mnie czyjeś ciało. Krzyczę. Ktoś błyskawicznie obraca mnie na brzuch i wygina mi ręce w tył.

– Proszę, proszę – bełkoczę. Wrzask kobiety przeszywa moje myśli. – Proszę... ja tylko chciałam...

– Dość – odpowiada charczącym głosem mężczyzna. To chyba Marchon.

Rozlega się dźwięk ciosu i krzyk kobiety cichnie.

Teraz słyszę już tylko własny oddech. Ktoś krępuje mi ręce, a później podciąga w górę, aż klękam. Czuję, jakby wrywano mi ramiona ze stawów.

W ciemności rozbłyska zapałka, zapala się nowa latarnia.

Widok jest gorszy, niż się spodziewałam.

Corrick klęczy, zgarbiony, oparty plecami o ścianę. Z jego skroni spływa krew. W pierwszej chwili myślę, że jest tylko zamroczony, ale po chwili dociera do mnie, że ma zamknięte oczy, a jego ręce są związane z tyłu, tak jak moje. Z przodu kaftan ma ochlapany krwią.

– Corrick? – szepczę.

Nie rusza się.

Serce wali mi ze strachu, ale przyglądam się księciu uważnie i widzę, że jego pierś wznosi się i opada. Oddycha.

Obok niego na podłodze leży nieprzytomna młoda kobieta, z rozrzuconymi rękami. Nie jest zakrwawiona.

Teraz patrzę na lewo i rozpoznaję jednego ze strażników. Jasne włosy, mocna budowa – Kilbourne. Leży twarzą do ziemi. Dwie strzały sterczą z jego pleców. Przyglądam się uważnie, czekam chwilę, ale jego ciało się nie porusza.

„Nie chciałem zostawiać Sary. Chcę jej kupić dom”, powiedział na nabrzeżu.

Widziałam już niejedną śmierć, ale ta jest inna. Z trudem powstrzymuję szloch, który ściska mi gardło.

Rocco też leży na podłodze, ale żyje. Dyszy, krwawi z rany w boku.

Sablo i Rian mierzą do niego z kuszy. Twarz i ubranie Sablo są zakrwawione. Strużka krwi spływa z rozcięcia na szyi Riana, wsiąka w koszulę i kaftan. W półmroku jego oczy są ciemne i przerażające.

Sablo spogląda na kapitana, później przeciąga palcem po swoim gardle, unosząc przy tym brew. To pytanie.

– Nie! – krzyczę. – Rian, nie. Proszę. Proszę. – Nie potrafię wydobywać z siebie słów wystarczająco szybko. Już zabili jednego strażnika, nie mogę patrzeć, jak zabijają też Rocco. *Nie mogę*. – Proszę, Rian. – Głos mi się łamie. – Proszę, to dobry człowiek.

– Jest marynarzem. To dowód, że książe Corrick nie dotrzymał warunków umowy.

– Nie – odpieram z trudem. – Jest strażnikiem. Lojalnym strażnikiem, który już nieraz ryzykował życie dla księcia i króla. Proszę, Rian. Nie krzywdź go.

Rocco podnosi wzrok i patrzy gniewnie na obu, ale mówi do mnie:

– Proszę nie błagać o moje życie, panno Tesso. On wie, co zrobił. Wie, co się stanie, gdy go złapią.

Rian patrzy na mnie.

– Powinnaś była wyjść z tamtego pomieszczenia sama, Tesso. Nie da się cofnąć tego, co się stało.

– Proszę – mówię. – Proszę, po prostu... Po prostu wyjaśnij, o co tu chodzi. Chcę zrozumieć. Czy to był tylko podstęp, żeby porwać księcia dla okupu? Chodziło... Chodziło o... – urywam.

Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Wszystko wydaje się tak niepotrzebnie zagmatwane.

Mój wzrok znów pada na nieprzytomną kobietę. Nie mam pojęcia, jaki ona ma związek z tym, co się tu dzieje.

– Rian, nie powinniśmy zostawiać strażników przy życiu – odzywa się Gwyn głosem cichym i zrezygnowanym.

– Proszę – szepczę.

Kapitan stoi nieruchomo, drga tylko mięsień na jego twarzy.

Załoga czeka.

– Nie chcesz tego robić. Wiem, że nie chcesz. Nie pozwolisz swojej załodze walczyć. Nie chcesz go zabić. Wiem, że musi być jakiś powód, pozwól mi zrozumieć... – Szarpie sznur, którym mam spętane ręce.

– Tessa – odwraca wzrok w moją stronę – to przerasta ciebie i mnie.

Wstrzymuję oddech, bo kusze nadal są wymierzone w cel. Jednak po chwili, która wydaje się wiecznością, Rian opuszcza swoją broń.

– Zwiążcie go – rozkazuje. – Zaprowadźcie wszystkich na główny pokład, przykujcie do masztów. Jeśli pozostali żyją, zróbcie z nimi to samo.

Pozostali.

Lochlan i Silas. Czuję ucisk w sercu.

Powiedz Karri, że ją kochałem.

– Rian – szepczę ze ściśniętym sercem.

– Nie chodziło o okup – rzuca do mnie. – Naprawdę. – Chwyta Corricka za ramię i ciągnie go w górę na tyle mocno, że książkę wydaje z siebie jęk i otwiera oczy.

W tej samej chwili dociera do niego, kto go trzyma, i zaczyna się szarpać.

Rian potrząsa nim mocno.

– Ruszaj – rzuca gniewnie, po czym zerka na mnie. – Przynajmniej nie miało być dla okupu, ale teraz... – Wzdycha. – Teraz nie mamy wyjścia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Corrick

Kiedy zbliżamy się do głównego pokładu, nie myślę jasno. Nawet nie wiem, czy wpłynęliśmy na wzburzone wody, czy po prostu nie jestem w stanie utrzymać równowagi.

Rian cały czas szarpie mnie i próbuje prostować, a ja nie robię nic, by mu to ułatwić, ale tylko do pewnego stopnia celowo. Nie wiem, kto mnie uderzył. Założę się, że to Sablo, bo uderzenie pięścią w moją twarz było tak silne, że mogę mieć nawet złamaną szczękę.

Tak niedawno stałem na tym pokładzie, grożąc kapitanowi Blakemore'owi. A teraz mają nas wszystkich.

Poza pełnymi wściekłości wrzaskami dziewczyny w zamknięciu niewiele dotarło do mnie z tego, co chciała przekazać, ale oczywiste jest, że była więziona. Jest słaba, wygląda na niedożywioną i bladą.

Rian wlecze mnie do grotmasztu.

– Wiedziałem, że to podstęp – mówię do niego.

– To nie był podstęp. – Rzuca mnie na pokład.

W głowie mi się kręci, ale patrzę na niego ze złością.

– Oczywiście, że nie. Wszystko to pokaz uprzejmości i dyplomacji, kapitanie Blakemore.

Ignoruje mnie.

Sablo niesie nieprzytomną dziewczynę do następnego masztu i przywiązuje ją mocno do poprzecznej belki. Marchon pęta w tym samym miejscu Rocco.

Gwyn przywiązuje Tessę dwie belki dalej, tyłem do mnie. Nie mam wątpliwości, że robi to celowo.

Przynajmniej wiem, że nic jej nie jest. Chciałbym negocjować jej bezpieczeństwo, ale nie mam zamiaru dawać im jeszcze silniejszej karty przetargowej. Mają wystarczającą przewagę.

Nie powinienem był się zgodzić, by to zrobiła.

Za każdym razem, gdy przełykam, czuję smak krwi. Cały czas boli mnie też bok. Patrzę gniewnie na Riana.

– Powinienem był kazać Rocco wyrzucić cię przez reling.

– I tak nie zdołałbyś przejąć mojej załogi. Mieliśmy przewagę liczebną.

– Celowo.

– Cóż... Tak. – Klęka koło mnie, żeby przywiązać moje związane z tyłu ręce do masztu.

– Harristan nie będzie z tobą negocjował – syczę z wściekłością.

– Będzie, jeśli chce odzyskać brata.

– Jest królem – rzucam gniewnie. – Dlaczego miałby negocjować z tobą? Nie masz żadnej władzy.

Wydaje z siebie ponury śmiech i pociąga linę.

– A tak, prawda. Jestem tu tylko po to, żeby płynąć statkiem. – Robi krok w tył, żeby spojrzeć mi w oczy. – Król Harristan wyraźnie zaznaczył, że masz wrócić cały i zdrowy.

– Na pewno nie ulegnie szantażom zwykłego pirata. – Rian się nie rusza, więc mówię dalej: – Kim jest ta kobieta? Dlaczego trzymałeś ją w zamknięciu?

– To bez znaczenia.

– Przywiązałeś mnie do masztu, zabiłeś jednego z moich strażników. Wzięłeś mnie jako zakładnika. – Czuję, jak wzbiera we mnie coraz większy gniew, a serce z każdą chwilą wali mi mocniej. Biorę głęboki wdech, żeby się uspokoić. – Mam wrażenie, że to jednak jest ważne.

– Gdybyś po prostu zachowywał się w cywilizowany sposób, aż dopłyniemy do Ostriarii, nic by się nie wydarzyło.

– Mam wrażenie, że to ma niewiele wspólnego z prawdą. Kolejny raz powtarzam, że pogarda do ciebie nie pasuje.

– To nie pogarda. Ona nie ma nic wspólnego z tobą ani z Kandalą. Mówiłem ci, żebyś trzymał się od tej kajuty z daleka, a ty zmanipulowałeś Tessę, żeby włamała się tam zamiast ciebie.

– Jeśli poprawi to twoje samopoczucie, postanowiła się tam włamać, żeby udowodnić, że nie spiskowałeś przeciwko nam. Więc chyba obaj nią manipulowaliśmy.

Zerka na mnie spode łba, ale milczy. Nie podoba mu się to, co słyszy. I dobrze, bo jeszcze nie skończyłem.

Spoglądam na młodą kobietę przywiązaną obok Rocco.

– Gdzie ją schowałeś, kiedy moi strażnicy przeszukiwali statek?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Pewnie nie, ale jestem ciekaw.

Kręci głową.

– Bella nie ma z tym nic wspólnego. Od samego początku zwróciłem się do ciebie w dobrej wierze.

– W dobrej wierze? Wygłosiłeś mi kazanie o etyce, krytykując kandalskie prawo, podczas gdy sam głodziłeś więźnia na pokładzie własnego statku.

– Nie głodziłam jej! – warczy, ale szybko się opanowuje. Prostuje się i patrzy na mnie z góry. – Mogliśmy pomóc obu naszym krajom, wasza wysokość, ale przeszkodziła w tym twoja duma. Od chwili, gdy postawiłeś stopę na pokładzie *Ścigacza Świtu*, traktowałeś mnie jak przeciwnika.

– Obu naszym krajom? – powtarzam za nim. – Ty naprawdę sprzymierzyłeś się z Ostriarią, prawda?

Nie odpowiada, a ja przyglądam mu się uważnie, próbując zrozumieć, o co w tym chodzi. Głowa mi pęka, myślenie sprawia ból, ale mówię:

– Ten nowy król obiecał ci coś w zamian za dobiecie targu z Kandalą? – pytam. – Dlaczego się narażasz?

– Nikt mi niczego nie obiecał. To ja złożyłem obietnicę im. – Przeciąga ręką po włosach i wzdycha.

Na tego twarzy, w miejscu, gdzie go uderzyłem, pojawił się siniak.

I dobrze. Mam nadzieję, że boli jak diabli.

– Dlaczego? – naciskam stanowczym głosem. – Sam powiedziałeś, że byłeś tylko chłopcem. Znalazłeś się tam za sprawą ojca. Nic im nie byłeś winien.

Patrzy na mnie, po czym cicho prychnie.

– Tak samo jak ty znalazłeś się w tym miejscu za sprawą swojego ojca.

Wpatruję się w niego, zaskoczony. Pamiętam dzień, w którym się spotkaliśmy. Zapytałem o jego ojca.

Nie żyje, tak samo jak twój.

– Co mu się stało? – pytam. – Powiedziałeś, że zginął na wojnie. Nie sądzisz, że to powinno raczej wzmocnić twoją lojalność wobec Kandali, a nie osłabić?

Przykuca i patrzy mi prosto w oczy.

– Nie jestem lojalny wobec Kandali. Nigdy nie byłem. – Mówi to tak wprost, że jego słowa uderzają mnie jak pięść.

Zostawia mnie przywiązanego do masztu i odchodzi.

Jest tu wiele zmiennych, tak wiele, że nie potrafię tego wszystkiego poukładać. Chciałem dostać się do tej kajuty, bo szukałem dowodu, że Rian nie mówi prawdy. I chyba już go mam.

Jednak nie spodziewałam się, że tym dowodem będzie nieprzytomna dziewczyna, która wygląda, jakby nie jadła od tygodni.

Ale nie mogę jej w żaden sposób pomóc. Nie mogę pomóc nawet nam samym.

Mrugam w porannym słońcu i rozważam naszą sytuację.

Nie jest dobrze.

Zerkam na dziewczynę. Ma bardziej rzęzący oddech niż Harristan podczas napadu kaszlu.

Tessa wydaje się cała i zdrowa – to dobrze. Jednak kapitan Blakemore nie jest głupi, nie bez powodu kazał ją przywiązać po drugiej stronie pokładu. Mam nadzieję, że wystarczy jej rozumu, żeby mu się nie stawiać. Niezależnie od wszystkiego ona ma największe szanse na uwolnienie.

Rocco klęczy, przywiązany do masztu pomiędzy nami. Nie wiem, czy został raniony bełtem z kuszy, czy nożem. Jest trochę skulony, jakby więzy były jedynym, co trzyma go w pionie. Niepokoi mnie ilość krwi na jego mundurze.

Nigdzie nie widzę Silasa ani Lochlana. Nie wiem, co z nimi zrobili. Czy cokolwiek z nimi zrobili.

Znów z trudem przełykam. Mam zaciśnięte gardło.

Patrzę na rozciągający się błękit wody.

Jedna brygantyna jest bliżej, ale wątpię, by nawet przez lunetę byli w stanie zobaczyć, że jesteśmy przywiązani na pokładzie. Jeśli są tu z rozkazu mojego brata, nie miałbym nic przeciwko, by nam pomogli. Ale gdyby zaczęli strzelać z dział, Rian równie dobrze może podciąć mi gardło. Moja jedyna karta przetargowa to fakt, że jeśli chce mnie wykorzystać przeciwko Harristanowi, potrzebuje mnie żywego. Ale to najwyraźniej nie znaczy, że będzie się o mnie troszczył.

Jednak jeśli ten statek ma jakieś nieczne zamiary, wolałbym nie stawiać mu czoła z rękami przywiązanymi do drewnianej belki. Nie żebym miał jakiś wybór. Znając moje szczęście, złączą strzelać do *Ścigacza Świtu* i wszyscy pójdziemy na dno.

Teraz na pokładzie pojawiło się więcej członków załogi i jest oczywiste, że wiedzą, co się stało, choć można by pomyśleć, że nas tutaj nie ma, bo zabierają się za swoje poranne obowiązki, prawie na nas nie zerkając.

Rian poszedł do kajuty kapitańskiej, ale kręci się niedaleko okna. Widzę, jak się nam wszystkim przygląda. Gwyn też nie jest daleko, stoi przy sterze, a Sablo i Marchon tkwią po przeciwnej stronie.

Załoga może i pracuję jak zwykle, ale główni gracze znajdują się pod wpływem ogromnego napięcia.

Spróbuję to jakoś wykorzystać. Może się uda.

Nie wiem kogo próbuję oszukać.

Sprawdzam swoje więzy – nie puszczają ani na centymetr. Klęczę na kolanach, ale Rian przywiązał mnie zbyt mocno, bym mógł opaść na nogi całym ciężarem. Ręce już mi cierpną, więc zmieniam pozycję, żeby trochę zmniejszyć obciążenie. Nie pomaga. Zaczynam wpadać w panikę, ale udaje mi się opanować. Już bywałem związany, bywałem uwięziony. Przetrwałem. Teraz też przetrwam.

Nie wiem, co się stanie, jeśli spróbujemy rozmawiać, ale dużo gorzej już być nie może.

– Rocco! – wołam.

Mruga i podnosi wzrok. Trwa to o sekundę dłużej, niż powinno.

– Wasza wysokość?

– Jesteś ranny?

– Dostałem ostrzem pod żebro. Rana nie jest głęboka. – Jego oddech wydaje się płytki, co przeczy jego słowom.

– Wiesz, co z Silasem?

– Mogli go zamknąć w kajucie.

Słyszę w jego głosie to, czego nie mówi: *Albo mogli go zabić.*

Nawet gdyby udało nam się uwolnić, będzie nas trzech przeciwko całej załodze Riana. Nieuzbrojonych i rannych. Jeśli Silas żyje, będzie nas nadal tylko czerech.

– Lochlan był z nami na pokładzie. Co się z nim stało?

– Nie wiem. Pewnie też został zamknięty w kajucie.

– Twój chłopak jest w kambuzie! – woła jeden z członków załogi. Chyba Tor. – Dabriel zagoniła go do obierania krabów.

Jest w kambuzie. Jakby był członkiem załogi. Krzywię się. Chyba nie powinienem być zdziwiony.

Rocco marszczy brwi z bólu, przenosi ciężar ciała na drugą stronę. Na jego czole pojawia się pot. Powinienem zapytać, czy nie jest bardziej ranny, niż to przyznaje, ale pewnie wolę nie znać odpowiedzi. Wszyscy wiedzą, że jest ranny, że go boli, ale Gwyn żądała od Riana, żeby go zabił. Jestem pewien, że nie znajdzie się w korzystniejszym położeniu, jeśli uznają, że mógłby stanowić dodatkowy ciężar.

Biorę głęboki wdech i próbuję wymyślić jakiś plan. Bez skutku. Zamiast tego myślę o moim bracie, co wcale nie jest lepsze.

Harristan. Zawiodłem. Przepraszam.

Z trudem przełykam. Próbuję ostudzić myśli, zanim emocje wezmą górę, kiedy jestem przywiązany na pokładzie. Zdecydowanie wpływamy na bardziej burzliwe wody, bo statek się buja. Z całej siły zaciskam powieki i zaczynam szarpać liny.

Jeden z członków załogi wylewa wiadro wody na pokład. Kiedy wilgoć dopływa do moich kolan, mam wrażenie, że jest lodowata.

Otwieram gwałtownie oczy i patrzę ze złością, jak Tor szczotką przesuwają brud po pokładzie.

Widzi moje spojrzenie i wzrusza ramionami.

– Nic na to nie poradzę. Rozkaz to rozkaz.

W pobliżu rozlega się jęk kobiety.

Odwracam gwałtownie głowę, myśląc, że to Tessa, ale nie. To blondynka, która leży na deskach obok Rocco.

Włosy ma rozczochrane, ubrania luźne i niedopasowane. Jej skóra przybrała kolor mokrego piasku, a oczy są tak ciemne, że mogłyby być czarne. Z powodu wychudzenia nie potrafię ocenić jej wieku, ale na pewno jest niewiele starsza od Tessy.

Podciąga się na linach, którymi została związana, żeby się wyprostować. Później mruga gwałtownie, oślepią słońcem. Wyciąga szyję, żeby spojrzeć na Rocco, na mnie, na załogę.

Tor uśmiecha się do niej szeroko.

– Wyglądasz wyjątkowo pogodnie dzisiejszego poranka, Bella.

Bella bierze głęboki wdech, kaszle, a potem pluje w jego stronę.

– Zrób sobie zupę z własnych flaków, Tor.

Mężczyzna ze śmiechem rozprowadza szczotką po pokładzie kolejne wiadro wody.

– Dama jak zawsze.

Bella oddycha ciężko, ze świstem. Spogląda na mnie.

– A ty to który?

Nie jestem pewien, czy moje tytuły zrobią na niej dobre, czy złe wrażenie, ale mam nadzieję, że zdołam wydobyć z niej więcej informacji, niż kapitan chce mi udzielić.

– Nazywam się Corrick – mamroczę.

– A, książę – szydzi w odpowiedzi. – To ty jesteś taki głupi, żeby dać mu stal.

Nie. Jestem taki głupi, że wsiadłem na ten statek.

– Przywiązał mnie do masztu. Raczej nie będę skłonny dać mu niczego. – Przerywam. – A ty kim jesteś?

Przygląda mi się oceniająco, jakby się zastanawiała, ile mi powiedzieć. Zaczyna grzebać palcami przy więzach i chyba dochodzi do wniosku, że tajemnice nie mają znaczenia.

– Jestem Bella – odpowiada. – Rian trzyma mnie jako kartę przetargową.

– To jest nas już dwoje. Dlaczego jesteś kartą przetargową?

– Dzięki temu, że mnie ma, mój ojciec nie pošle tego jego statku na dno. – Znowu kaszle i rzezi. – Odwraca głowę i krzyczy w stronę Gwyn: – A powinien! Mam nadzieję, że to zrobi! Mogę utonąć razem z nim! Będę to do niego krzyczeć całą... – Znowu przerywa z powodu kaszlu.

Później rzezi, próbując zaczerpnąć powietrza. Jej urywany oddech nie przypomina tylko przewlekłej choroby Harristana, on brzmi dokładnie tak samo jak objawy gorączki. Rian twierdził, że ta zaraza nie występuje w Ostriarii. Bella zaraziła się jakoś od nas czy może kapitan kłamał? A może mają tak dużo Księżycowego Kwiatu, że nikt nigdy nie choruje? Może nie dawał jej leku? Czy to dlatego była zamknięta?

Wtedy dociera do mnie, co powiedziała Bella.

– Dlaczego twój ojciec chciałby zatopić ten statek? – pytam. Rozważam wszystkie konsekwencje polityczne. Nagle się prostuję. – Twój ojciec jest królem? Dlatego on cię więzi...?

Kobieta wybucha niemal histerycznym śmiechem.

– Moim ojcem jest Oren Crane i powinien być królem. Gdyby był, Rian już dawno by nie żył. – Szybko się otrząsa. Jej oczy robią się trochę dzikie. Wrzeszczy w stronę kajuty kapitańskiej: – Powinien był poderżnąć ci gardło, Rian! Powinien był utopić twojego bachora, Gwyn! Powinien był...

Na pokład wchodzi Blakemore.

– Dość, Bella.

– Bo co? – pyta prowokacyjnie. – Zamkniesz mnie z powrotem? Dalej będziesz mnie karmił trucizną? Proszę bardzo.

Rian rusza w jej stronę, ale ona nie przestaje.

– Już dobrze wiesz, kim jesteś, ty kłamliwy, podstępny su...

– Ja nie wiem – mówię szybko, w obawie, że Rian zaraz zasłoni jej usta i niczego nowego się nie dowiem. – Powiedz mi.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Nie wiesz, kim jest?

Rian idzie szybkim krokiem przez pokład.

– Powiedział, że był szpiegiem wysłanym przez Kandalę – mówię pośpiesznie. – Powiedział, że chciał przedstawić mnie królowi Ostriarii, żeby negocjować zakup stali. Chciał pośredniczyć w kontaktach z dworem.

Kobieta znów wybucha śmiechem.

– „Pośredniczyć w kontaktach z dworem”? – Jej śmiech przerywa dławiący kaszel.

Rocco patrzy na mnie z niepokojem.

– Bella – upomina ją ostrym tonem Rian.

Spoglądam to na nią, to na niego. Nadal nie jestem pewien, co się dzieje.

– Nie ma dworu królewskiego?

– Ależ jest. – Spluwa na buty Riana, a następnie podnosi na niego wzrok. Na jej podbródku widać strużkę śliny. – Ale nie potrzebujesz pośrednika. Możesz negocjować z królem tu i teraz.

Myśli wirują mi w głowie, ale po tych słowach zatrzymują się gwałtownie. Mam wrażenie, jakby moje serce też się zatrzymało. Cała załoga także zamiera. Szczotki przestały szorować pokład. Rozmowy ucichły.

Patrzę na Riana oświetlonego od tyłu przez słońce. Wiatr szarpie jego ubranie, smaga czerwone policzki, ale on nadal wpatruje się we mnie nieustępliwym wzrokiem.

Nie jestem lojalny wobec Kandali. Nigdy nie byłem.

– No dalej, wasza królewska mość – drwi Bella, znów krztusząc się ze śmiechu. –
Dlaczego wasza królewska mość się nie przedstawi?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Harristan

Mam wrażenie, że siedzę sam w chacie już od godziny, ale pewnie nie minęło nawet trzydzieści minut. Dopiero po wyjściu Quinta i Thorina przychodzi mi do głowy, że może powinienem był kazać im poczekać do powrotu Seatha.

Choć nie jestem pewien, co by to zmieniło. Na razie czas działa na naszą niekorzyść. Przeraza mnie myśl, że nocny patrol może w każdej chwili wyłonić się z lasu, zaciągnąć mnie z powrotem przed oblicze tego, kto wystąpił przeciwko koronie. Kimkolwiek jest.

Albo – co gorsza – zabije mnie na miejscu.

Kuśtykając, idę do koni. Widzę, że są już trochę spokojniejsze, strużki potu zaschły na ich bokach. To dość smukłe konie pociągowe, przywykłe do uprzęży, nie do siodła. Przez chwilę martwię się, że w ogóle nie potrafią utrzymać jeźdźca. Pewnie niedługo się o tym przekonam. Gniady wałach wydaje się bardziej przyjazny, więc luzuję uzdę, żeby zdjąć mu kłapki z oczu, a później sztyletem przycinam lejce do długości odpowiedniej do jazdy wierzchem i związuję je razem. Mam teraz kilka metrów skórzanych pasków, które związuję w coś na kształt napierśnika i przywiązuję je na kłębie konia. Przy braku siodła w razie potrzeby będę miał się czego chwycić.

Gdzieś w lesie rozlega się trzask łamanej gałęzi.

Zastygam w miejscu, czekam chwilę trwającą wieczność, ale nic się nie dzieje.

Jeśli nocny patrol jest w pobliżu, nie chcę, żeby Seath tracił czas na przygotowywanie drugiego konia, więc szybko robię to samo z drugą uprzężą i wykonuję drugi napierśnik.

Noga boli przeraźliwie.

Myślę o Corricku i czuję ucisk w sercu.

„Ten statek to farsa. Nigdy nie dopłynie do Ostriarii”, poinformowała Arella.

Powiedziała tak, bo wie? Czy tylko grała pod publiczność? Nie ma sposobu, by się upewnić.

Biorę głęboki wdech i próbuję uporządkować myśli. Martwy nie pomożę bratu, muszę wsiąść na tego konia, żeby mnie nie złapali.

Dwa lata nie jeździłem na oklep. Zaciskam zęby, chwytam się lejców i skózanego paska, po czym pochylam w przód, żeby wskoczyć na wierzch.

Koń odsuwa się na bok.

Zraniona noga nie daje rady utrzymać mojego ciężaru i ląduję na ziemi. Przeklinam, używając słów, jakich nigdy nie użyłbym w pałacu.

Gdy druga próba kończy się tak samo, rozważam, czy może lepiej nie zacząć iść przed siebie.

Za trzecim razem wreszcie się udaje.

Czuję taką ulgę, że niemal zapominam o wszystkim, co wiem o jeździe konno. Zwierzę najwyraźniej ma już dość tych wygłupów, bo szarpie głową i zaczyna wierzgać. Chwytam za lejce i podciągam jego głowę, na co stąpa w bok, grzebiąc kopytami w ziemi.

– Spokojnie – wykrztuszam trochę bez tchu. Wsuwam rękę pod pasek na wypadek, gdybym potrzebował się chwycić. Koń zamiata ogonem, ale stoi, z irytacją gryząc wędzidło. – Dla mnie to też żadna frajda – mamroczę, gładząc konia ręką po szyi, na co wzdycha.

Rozlega się kolejny trzask gałęzi.

Znów chwytam lejce, a oba konie jednocześnie podnoszą głowy i nadstawiają uszu. Przyciskam pięty do żeber wałacha, gotowy do galopu albo upadku, jednak spomiędzy drzew wyłania się Seath.

Wzdycham z ulgą.

Jest zaskoczony, widząc mnie na koniu, ale nie czekam na pytania.

– Posłałem ich do Artis – informuję szybko. – Powinniśmy ruszyć za nimi. Udało ci się dostać jakieś jedzenie?

– Tak, wasza królewska mość.

– Dobrze. Nie możesz mnie teraz tak nazywać, Seath.

Bierze głęboki wdech. Przez moment wydaje się skonsternowany. Pewnie dlatego, że nie bardzo może mnie też nazywać „Harristanem”.

Kiedy jako chłopiec wymykałem się do Dziczy z Corrickiem, używałem imienia Sullivan. Prawie zdradzam je Seathowi, jednak coś mnie powstrzymuje. Z jakiegoś powodu tu i teraz wydaje mi się ono... szczególne. To imię, którym mogę dzielić się tylko z moim bratem.

Cory. Mam nadzieję, że masz się dobrze.

Czuję zbliżający się ucisk w sercu, więc otrząsam się z tej sentymentalności i wracam myślami do tu i teraz.

Myślę o Violet. O Maxonie.

– Mów do mnie „Lis” – proszę. Wskazuję głową na kasztana. – Wsiadaj. Musimy ruszać.

Seathowi udało się zdobyć plasterki suszonej wołowiny obtoczone w cynamonie i gałce muszkatołowej oraz dwie prawie nieobite brzoskwinie. Nie jadłem nic od czasu, gdy rozkoszowałem się chlebem orzechowym, który przygotował Maxon, więc mam ochotę pożreć to wszystko, ale połowę oddaję Seathowi.

Patrzy, zaskoczony, i marszczy brwi.

– Nie, dziękuję.

Mimo to wyciągam w jego stronę brzoskwinę i dwa kawałki wołowiny. Jak głodny bym nie był, nie mogę sobie pozwolić na osłabionego strażnika.

– Jedz – mówię. – Nie wiemy, kiedy zdołamy znaleźć więcej.

Nie sprzeciwia się więcej.

Jedziemy wolno, z dala od głównych traktów, przekraczając strumyki, zataczając koła i zacierając ślady, żeby nie dało się nas wytropić. Spodnie nadal mam lepkie od krwi, zwłaszcza po tym, jak próbowałem wsiąść na konia, bo rana znów się otworzyła. Nikt nie rozpozna we mnie króla, ale takie uszkodzenie ciała zwraca uwagę.

Jednak bardziej martwi mnie strażnik u mojego boku, szczególnie jeśli rozeszły się już plotki, że zbiegłemu królowi towarzyszy dwóch pałacowych zbrojnych. W ciemności może nie byłoby się czym martwić, ale w pełnym świetle dnia Seath wygląda podejrzanie. Większość munduru zostawił w chacie, jednak nadal ma na sobie intensywnie niebieskie spodnie oraz wypastowane czarne buty, błyszczące w słońcu. Każdy element uzbrojenia ozdobiony jest złotem, aż po rękojeść sztyletu i sprzączkę od paska.

Myślę o Quincie, o jego pałacowym stroju. O Thorinie, który jest ubrany podobnie do Seatha. Może w ogóle nie zaszli zbyt daleko.

Zaczyna mnie ogarniać niepokój, lecz staram się go odpędzić.

Kiedy zbliżamy się do Artis, za drzewami zaczynamy dostrzegać ludzi, rodziny i robotników zajmujących się swoimi sprawami.

– Trzymaj się w cieniu – upominam go cicho.

– Tak, wasza... – urywa, gdy posyłam mu ostre spojrzenie, i po chwili potakuje głową. – Tak, Lisie.

W końcu docieramy do miejsca, gdzie Dzicz ustępuje miejsca rozległemu głównemu miastu Artis. Większa część sektora leży na drugim brzegu Rzeki Królowej, ale tu także jest dość ludzi, by miasto tętniło życiem.

Mężczyźni i kobiety, obładowani paczkami lub workami, przechodzą wzdłuż muru, ciągnąc za sobą dzieci, niosąc piszczące niemowlęta przyciśnięte do piersi. Powozy i wozy towarowe turkoczą na drodze.

Uważnie rozglądam się za pojazdami mogącymi pochodzić z Sektora Królewskiego, ale na razie żadnego nie widzę.

Po jakimś czasie w oddali słyszę tętent kopyt, więc cofamy się głębiej w cień lasu. Zaraz potem rozlega się dźwięk rogu i ludzie usuwają się z drogi.

Znam ten dźwięk. To pałacowi strażnicy. Każdy z nich nas rozpozna.

Zatrzymuję konia i wymieniam spojrzenie z Seathem. Nie potrafię podjąć decyzji, czy powinienem zejść i schować się za nim, czy raczej zostać, pozostawiając sobie w razie potrzeby możliwość ucieczki.

Koń szarpie za lejce i grzebie kopytem w ziemi, przesuwał się w bok. Jest podenerwowany.

– Ciii – mruczę, cały czas wpatrując się w drogę.

Nie ma się czym martwić. Dziesięciu strażników pędzi galopem, nie zatrzymując się ani nawet nie rozglądając.

Odwracam się do Seatha.

– Rozpoznałeś któregoś?

Przytakuje.

– To strażnicy zewnętrzni. Żaden nie miał insygniów twojej osobistej straży. – Waha się chwilę, aż wreszcie na mnie spogląda. – Do tej pory kapitan Huxley już na pewno wie, że Thorin i ja jesteśmy z tobą. Możliwe, że resztę twojej osobistej straży zamknęli w pałacu, a może nawet w Twierdzy.

Marszczę czoło. Nie pomyślałem o tym.

– Nie możemy też wykluczyć, że schwytano Thorina i marszałka Quinta, a tych strażników wezwano, by odprowadzili ich do pałacu – dodaje Seath.

O tym też nie pomyślałem.

– Co radzisz? – pytam.

Zastanawia się przez chwilę. Patrzy na drogę, na miasto przed nami, potem znowu na mnie i na moją zranioną nogę.

– Moglibyśmy pojechać za nimi.

– Pojechać za nimi?!

– Tak. Nikt się nie spodziewa, że król pojedzie za własnym pościgiem. Na pewno nie na otwartym terenie. – Znów patrzy na moją nogę, a później na twarz, na której na pewno także widać strużki zaschniętej krwi. – Nikt nie wie, że jesteś ranny. Zresztą jeśli zdołałbyś jechać szybciej, nikt nie zauważyłby, jak bardzo jesteś ranny.

Nie zauważyłby też jego broni.

– A co zrobimy, gdy już będziemy w Artis?

– Jeśli marszałek Quint poszedł szukać sklepu zielarskiego, pewnie znajduje się on gdzieś przy głównym placu. Strażnicy nie mają powodu się ukrywać. Jeśli jechali do Artis, zobaczymy ich na tyle wcześnie, by zawrócić do Dżicy.

Nie tracę czasu na dalsze rozmyślenia.

– Jedziemy – decyduję.

Dzień jest ciepły. Słońce świeci, grzejąc nas coraz mocniej, gdy tylko wyjeżdżamy spod osłony drzew. Konie są chętne do cwału, jednak podskakiwanie wałacha sprawia mi ból przy każdym kroku. Jest jeszcze gorzej, odkąd wjechaliśmy na brukowane ulice Artis. Przy tym tempie moja głowa nigdy nie przestanie boleć, noga już zamieniła się w jedno pasmo nieustającego bólu od pasa do kolana, ale mimo to nie zwalniam, bo to oznaczałoby zdemaskowanie.

Zaczynam się pocić. Mój oddech staje się płytki, nierówny, lecz staram się to ignorować.

Dojeżdżamy do głównej drogi prowadzącej na plac. Nigdzie nie ma śladu strażników, ale na pewno gdzieś tu są.

Rzadko bywam poza Sektorem Królewskim, więc nie bardzo orientuję się w terenie. Gdy Seath daje znak do zatrzymania przy końcu rzędu budynków, cieszy mnie to. Jedną rękę mam zaczepioną o prowizoryczny napierśnik – nie wiem, jak długo tak jadę, ale mam wrażenie, że tylko to trzyma mnie w pionie.

Seath rozgląda się dookoła, a kiedy jego wzrok pada na mnie, spogląda jeszcze raz.

– Wasza wy... Lisie, nie powinieneś jechać dalej.

Muszę wyglądać gorzej, niż się czuję.

– Mogę jechać – odpowiadam, jednak mój słaby, przerywany głos zaprzecza słowom. – Jedźmy. Daleko jeszcze?

Kolejny raz rozgląda się dookoła i ponownie ocenia sytuację. Wskazuje głową na wąską ulicę między budynkami.

– Zostań z końmi w zaułku, w cieniu, a ja pójdę pieszo zobaczyć, czy uda mi się znaleźć marszałka Quinta i Thorina.

Pot zalewa mi oczy, ale potakuję głową.

Seath zeskakuje z konia i podaje mi lejce. Waha się.

– Nie powinienem cię zostawiać.

– Nie możesz wlec mnie po ulicy – mówię, dysząc ze świstem. – Uliczka jest pusta. Idź.

Wykonuje moje polecenie.

W zaułku jest chłodno i ciemno. Zatrzymuję konie pod rozłożonymi markizami. Zwierzęta dostrzegają beczkę z deszczówką wcześniej niż ja i z zapamiętaniem zanurzają pyski w wodzie.

Tak bardzo chce mi się pić, że zsiadam z wałacha i zanim przyjdzie mi do głowy, że to może nie najlepszy pomysł, już nabieram rękami wodę i piję razem z końmi. Jednak

kiedy próbuję z powrotem wsiąść na grzbiet konia, ten macha ogonem, wykręca szyję i przesuwa się w bok. Już wystarczająco mocno kuleję, nie mam zamiaru upaść na bruk.

Na końcu uliczki rozlega się krzyk, a moje serce podskakuje.

Kasztan się płoszy, po czym oba konie puszczają się pędem wzdłuż ulicy, a ja zamieram z plecami przyciśniętymi do ściany, częściowo zasłonięty beczką na deszczówkę.

Jednak nikt nie pojawia się w uliczce.

Nie jestem w stanie dogonić koni, więc nawet nie próbuję. Zsuwam się po murze, siadam i rozprostowuję zranioną nogę. Kolejny raz jestem unieruchomiony, ranny i zastanawiam się, co lepsze: siedzieć tu i czekać, co przyniesie los, czy ryzykować próbę ucieczki.

Słyszę każdy oddech, który napełnia moje płuca powietrzem. Oczy zamykają mi się wbrew mojej woli. I tak piekły mnie od spływającego po twarzy potu.

Może to wszystko nie ma sensu? Może umrę w tym brudnym zaułku?

Korona jest twoja, Corricku.

Ale mojego brata tu nie ma.

Przypominam sobie czasy, gdy byłem dzieckiem. Mam wrażenie, jakbym śnił.

Miałem wtedy dziewięć czy dziesięć lat, może mniej. Chorowałem. Pielęgniarka odeszła od łóżka. Nagle coś zimnego dotknęło mojego czoła, później policzka, a ja otworzyłem oczy i zobaczyłem brata ocierającego moją twarz mokrym kompresem.

– Dobrze to robisz? – wyszeptał i wycisnął wodę prosto do moich oczu.

Wspomnienie jest tak wyraźne, że niemal czuję na twarzy chłodną wilgoć.

– Świetnie, Cory – mruczę.

– Odzyskuje przytomność – mówi z ulgą męski głos.

Biorę głęboki wdech i kaszlę spazmatycznie, po czym gwałtownie otwieram oczy.

Quint klęczy przede mną na jednym kolanie z mokrą chusteczką w dłoni. Za nim stoją Thorin i Seath.

Obok nich zauważam Karri – przyjaciółkę Tessy. Ma splecione ręce i przygryza wargę. Jej szeroko otwarte oczy są pełne niepokoju.

Próbuję przysiąść na zdrowej nodze i wstaję, zaciskając palce na brzegu wystającej ze ściany cegły. Powinienem obiecać coś tej dziewczynie w zamian za pomoc, a ona nie powinna widzieć króla w takim stanie. Złamanego. Krwawiącego. Na wpół przytomnego. W ciemnym brudnym zaułku Artis.

Głowa mi pęka, boli mnie noga, nie ma mojego brata... skończyły się inne opcje.

– Wiem, że wyznaczono nagrodę za moją głowę – mówię ochryplym głosem. – Wiem, że prościej byłoby mnie wydać.

Karri milczy i tylko splata ze sobą palce.

Znów kaszlę, później mówię dalej:

– Pewnie myślisz, że na to nie zasługuję, ale jestem gotów błagać o twoją pomoc, Karri.

Słucha tych słów i przygląda mi się uważnie, później spogląda na moich strażników i na Quinta. Wreszcie jej spojrzenie wraca do mnie. Kiedy się odzywa, jej głos jest cichy, ale słychać pobrzmiwającą w nim siłę.

– Wysłałeś Lochlana na tym statku razem z księciem Corrickiem, żeby go zabić?

– Nie – mówię. – Przysięgam. Naprawdę był to akt dobrej woli.

Przytrzymuje mój wzrok. W jej oczach jest chłód.

Dobrze.

Biorę długi wdech.

– I... także pewien rodzaj zabezpieczenia, że nie przeprowadzi kolejnego buntu podczas nieobecności Corricka. Miał to być sposób, by chronić królestwo. By chronić wszystkich. Nie tylko elity.

Znowu spogląda na strażników i na Quinta.

– Wierzę ci. – Rozplata palce i prostuje ramiona. – Nie musisz mnie błagać o pomoc. Możesz iść? Rana wygląda, jakby potrzebowała szycia. – Odwraca wzrok do Thorina. – Mieszkam dwie przecznice na zachód stąd. Musicie mu pomóc. Ciągle kogoś zszywam, więc nikt nie powinien się dziwić. – Waha się. – Musicie trzymać się zaułków. Strażnicy pałacowi przeszukują sklepy.

Potakuję głową i zaciskam zęby. Ulga to bardzo silny motywator. Tak samo jak strach. Wiem to lepiej niż ktokolwiek, ale nigdy nie byłem po tej drugiej stronie.

– Prowadź – proszę cicho.

Karri ma własne małe mieszkanie nad lokalami należącymi do szewca i rzeźnika. To tylko dwie izby, ale jest bieżąca woda i piec na drewno – elementy wyposażenia, które najwyraźniej są powodem do dumy, bo wspomina o nich, kiedy Thorin pomaga mi wejść do środka.

Po chwili dziewczyna oblewa się nieśmiałym rumieńcem i tłumaczy:

– Wiem, że jak na pałacowe standardy, to nic szczególnego, ale to wszystko, na co mogłam sobie pozwolić.

Zgodziła się mi pomóc. To lepsze niż pałac.

– Jestem ci bardzo wdzięczny za twoją zyczliwość – wyznaję.

Thorin staje przy drzwiach.

Seath podchodzi do okna od frontu i zaciąga zasłonę.

– Da się stąd dostać na dach? – pyta. – Wolałbym nie stać na warcie na ulicy.

W oczach Karri widać zdziwienie, ale potakuje głową.

– Przy oknie w sypialni od tyłu jest drabina. – Patrzy na mnie, później spogląda na moją nogę. – Pójdę po rzeczy. Może zechciałbyś usiąść przy umywalce? – Jej brązowe policzki jeszcze bardziej się rumienia. – Będzie trzeba zdjąć bandaż i... trzeba też będzie zdjąć spodnie, wasza królewska mość.

Jakby to było najgorsze, co mnie dzisiaj spotkało. Doszedłem do momentu, kiedy jest mi już wszystko jedno.

– Dobrze.

Quint pomaga mi usiąść na niskim krześle, ale spodnie udaje mi się zdjąć samodzielnie. W tym czasie Karri przygotowuje potrzebne rzeczy. Kiedy wraca, obawiam się, że może być zbyt onieśmielona, ale gdy ma już igłę w rękę, zachowuje się jak zawodowiec.

Rana jest zaklejona brudem, potem oraz kilkoma warstwami zaschniętej krwi, ale dziewczyna oczyszcza ją delikatnie wilgotną szmatką.

Nadal piecze, więc zaciskam zęby.

Karri podnosi na mnie wzrok.

– Przed zszyciem powinnam posmarować uszkodzoną skórę maścią. Rana jest mocno zabrudzona, może wdać się zakażenie.

– Rób, co uważasz za konieczne – oświadczam, kiwając głową.

– Będzie bolało. – Krzywi się.

– Już boli, Karri.

– Wiem. – Podnosi rękę, żeby dotknąć mojej twarzy, i gwałtownie ją cofa, po czym otwiera szerzej oczy. – Przepraszam, wasza królewska mość, ale twoje ucho raczej także wymaga szycia.

– Powtarzam: rób, co uważasz za konieczne.

Patrzy mi w oczy, a po chwili odwraca wzrok i kiwa głową. Kiedy idzie po buteleczki z ziołami, a potem miesza susz z pachnącym kremem, w pokoju panuje cisza.

Bierze łyżkę i bez ostrzeżenia nakłada maść na ranę.

Wyrywa mi się krzyk, wbijam palce w brzeg krzesła.

Thorin pojawia się przy nas, ale Quint podnosi rękę, żeby go powstrzymać. Strażnik jednak czeka na moje rozkazy.

Kręcę głową, zaciskając zęby.

– Wszystko w porządku – chrypię z trudem.

Karri nawleka igłę.

– Mogę zapytać, jak to się stało?

Wypuszczam głośno powietrze, bo moje myśli nadal są skupione wokół palącego bólu wywołanego przez maści.

– Postrzelił mnie nocny patrol.

Patrzy mi w oczy.

– Naprawdę?

Przytakuję i przelękam.

– Nie wiedzieli, że jestem królem. – Przerywam. – Dowiedziałem się o planowanym spotkaniu w Dzicy. Pomyślałem, że dowiem się, kto spiskuje przeciwko mnie.

Spogląda na mój strój.

– Więc, ponieważ nie ma księcia Corricka, wasza królewska mość osobiście wymknął się do Dzicy?

– Mniej więcej.

Przykłada igłę do mojej skóry.

Przygotowuję się na ból, ale Karri nie zaczyna.

– Czy wasza królewska mość chciałaby coś do przygryzienia?

Nie mam pojęcia.

– Nie trzeba.

Patrzy na mnie wymownie, a po chwili uśmiecha się ponuro i mówi:

– Obaj musicie mieć żelazną wolę.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Książę Corrick udawał, że *śpi*, kiedy Tessa zszywała ranę na jego twarzy.

Wbija igłę w moją skórę, na co mimowolnie odskakuję. Z całej siły staram się znów nie krzyknąć. Świadomość, że mój brat potrafił podczas szycia rany udawać, że *śpi*, jest wystarczająca, bym był cicho. Obie dłonie zaciskam na tym, co akurat mam w zasięgu.

Karri robi pętelkę i ponownie przeciąga igłę obok.

Wstrzymuję oddech i mocniej napinam mięśnie ręki. Przyglądam się ranie i oceniam jej długość. To będzie trwało godzinę, dzień, rok, całe życie. Pot zaczyna płynąć mi po plecach. Z trudem powstrzymuję jęk.

– Mówiłaś, że żołnierze przeszukują sklepy – zaczyna Quint spokojnym głosem, stojąc tuż przy mnie, jakbym nie był o krok od skomlenia jak ranne zwierzę. – Szukali króla?

– I ciebie – odpowiada, podnosząc na chwilę wzrok znad rany. – Pani Solomon, właścicielka sklepu zielarskiego, mówiła, że wie od posłańca, że król jest winny truciu swoich poddanych.

– Chodzi o te nowe dawki leku? – pytam. – Karri, przyrzekam ci... – Biorę świszczący wdech, gdy igła znów wbija mi się w skórę. Zaciskam mocniej palce. – To

nie trucizna. Tessa zaproponowała nowy eliksir...

– Wiem – przerywa mi Karri, marszcząc czoło. – To samo powiedziałam pani Solomon. Ale ona odparła, że jestem głupia. Bardzo wyraźnie wspomniała o truciznie, która wywołuje gorączkę.

Muszę to sobie powtórzyć w myślach, ale to nie ma najmniejszego sensu.

– Co?

– Twierdzą, że wasza królewska mość truł ludzi, żeby wywołać gorączkę.

– W jaki sposób król mógłby otruć całą Kandalę? – pyta Quint.

– Nie wiem – Karri podnosi wzrok – ale tak powiedziała.

Igła znów przebija moją skórę.

– Huxley wmówił ludziom, że ich oszukuję – informuję Quinta. – Tuż przed tym, jak zebrani na tej polanie zaczęli uciekać.

Kolejne ukłucie.

Z trudem zmuszam się do wymówienia kolejnych słów.

– Arella powiedziała, że ma dowód.

– Ze mną się nim nie podzieliła – mamrocze Quint. – Ale Arella i Roydan od wielu tygodni odbywali prywatne spotkania. – Marszczy brwi i kręci głową. – Szczerze mówiąc, trudno mi uwierzyć, że konsul Pelham jest w to zamieszany.

To prawda. Ma prawie osiemdziesiąt lat i ze wszystkich konsułów on jeden zawsze okazywał sympatię mnie i Corrickowi. Jest ostatnią osobą, którą podejrzewałbym o spiskowanie przeciwko Koronie. Jednak widziałem Arellę na własne oczy. Słyszałem każde jej słowo na własne uszy.

– Gotowe – obwieszcza Karri.

Spoglądam w dół. Widzę na udzie jakieś dwanaście szwów, ale rana jest czysta. Czuję się trochę oszołomiony. Zaczynam rozprostowywać dotąd kurczowo zaciśnięte palce i dopiero w tym momencie uświadamiam sobie, że cały czas ścisnąłem rękę Quinta. Natychmiast ją puszczam i przeciągam wilgotną dłońią po swojej twarzy.

– Przepraszam, Quint.

Karri spogląda na nas obu, następnie moczy nową szmatkę i sięga do mojej twarzy.

– Pewnie przydałyby się jakieś nowe ubrania. Lochlan czasem tu zostaje, więc w szafie leżą jakieś jego rzeczy. W łazience jest zestaw do golenia... – waha się – jeśli wasza królewska mość sobie życzy.

– Dziękuję, Karri.

Ostrożnie wyciera krew z mojej twarzy. Jest delikatniejsza niż Quint.

– Czy wasza królewska mość jest głodny?

– Nie.

– Do południa na pewno to się zmieni. Nie jestem pewna, czy mam dość jedzenia, żeby wykarmić was czterech przez dłuższy czas. – Zawiesza głos. – Mogę zapytać, jakie macie plany?

Do tej chwili praktycznie nie byłem w stanie myśleć, ale to nie jest właściwa odpowiedź.

– Na razie zostaniemy tutaj – odpowiadam. – Na ulicy nie jest bezpiecznie, jeśli pałacowa straż mnie szuka. Ale nie mogę zbyt długo pozostać w ukryciu, bo kiedy plotki się rozejdą, moja nieobecność zostanie odebrana jako przyznanie się do winy. Nie mogę pozwolić, by kapitan Huxley i konsul Cherry narzucili wszystkim swoją wersję.

Chciałbym wiedzieć, o jakim dowodzie mówili.

Karri przysuwa się bliżej. Kładzie rękę na mojej szczęce, żeby przytrzymać mi twarz w miejscu. Jest tak blisko, że ciepło jej oddechu ogrzewa moją skórę. Dziewczyna pachnie jabłkami i miodem.

Powinienem czuć się nieswojo, ale jest tak profesjonalna, że wcale się tak nie dzieje. Co najwyżej przypomina mi się dzieciństwo, kiedy lekarze i pielęgniarki stukali mnie i naciskali, jakbym był wypchaną lalką do badania.

– Jeśli się ujawnisz, jak ich powstrzymasz przed pojmaniem cię?

– Nie jestem pewien – przyznaję. – W jaki sposób Benefaktorzy zdołali tak szybko zorganizować ludzi?

– Obiecywali pieniądze i lek. – Ociera ranę szmatką. – Czy wasza królewska mość wie, jak wiele osób w pałacu uczestniczy w spisku?

– Wielu, jeśli przejęli kontrolę nad pałacową strażą – odpowiadam. – Czy to znaczy, że mają kontrolę nad nocnym patrolem? Może nie udało im się zbyt szeroko rozprzestrzenić wieści o mojej rzekomej winie, ale nie zajmie im to długo. Po zmroku może będę chciał, żeby Seath i Thorin skontaktowali się z pozostałymi, ale to może nie być warte ryzyka. Nie chcę stracić także ich.

– Jeśli lek nie jest oszukany, to dlaczego to robią? – drąży Karri.

– Nie wiem. Ale podejrzewam, że Allisander próbuje siłą przywrócić status quo. Nigdy nie chciał dostarczać więcej leku – odpowiadam.

– Żeby mógł nadal żądać bajorńskich kwot, które mogą zapłacić tylko elity?

– Tak.

– A wtedy umrze więcej ludzi.

– Tak. Bardzo możliwe, że właśnie dlatego postanowili działać teraz. Jeśli Corrick wróci z zapasami Księżycowego Kwiatu, Allisander nie będzie nam potrzebny.

Ten statek to farsa. Nigdy nie dotrze do Ostriarii.

Próbuję przegonić z głowy słowa Arelli. Nie mogła tego wiedzieć na pewno.

Chyba że wysłali za nimi statki.

Ta myśl prawie odbiera mi dech. Nie ma zbyt wielu osób, które mogłyby sobie na to pozwolić, ale ojciec Laurel jest jednym z najbogatszych posiadaczy ziemskich sektora Allisandra.

I nic nie jestem w stanie na to poradzić.

– Muszę znaleźć sposób, by odzyskać pałac, ale nie jestem pewien, jak to zrobić, skoro konsulowie obrócili straż i żołnierzy przeciwko mnie.

– Jeśli mógłbym się wtrącić... – zaczyna Quint. – Nie wierzę, że przeciągnęli na swoją stronę wszystkich. Może teraz strażę wykonują rozkazy, dlatego że nie ma tam ciebie, żebyś je podważył, wasza królewska mość?

– Słyszałeś strażników przy bramie – mamroczę. – Mają ich wystarczająco dużo.

– Myślę, że jednak ucha nie trzeba będzie szyć – wtrąca nagle Karri. – Ale posmaruję je maścią.

– Nie mogę ufać elitom – zauważam. – I boję się, że zwykli ludzie wydadzą mnie dla nagrody.

Karri prycha i nabiera trochę maści na palec.

– Proszę mi wybaczyć, wasza królewska mość, ale myślisz, że ludzie zaufają konsulowi Sallisterowi?

– Cóż... – Waham się. – Może?

– Myślę, że wasza królewska mość mógłby się zdziwić. Chwilowo zajmiecie moją kuchnię.

– Jeśli przeżyję, dopilnuję, żebyś została wynagrodzona, Karri.

Uśmiecha się, ale w jej oczach widzę smutek.

– Nie pomagam wam dla nagrody, tylko dlatego, że tak należy. – Przerywa. – Z tego samego powodu Lochlan pomagał buntownikom. Nie chodziło nam o srebro, wasza królewska mość. Chcieliśmy tylko leku.

– Wiem. Przrzekam ci, że wiem.

Karri opiera się o krzesło.

– Wiem, że wasza królewska mość wie. Nawet kiedy ksiązę Corrick był przerażający, widziałam, że chcecie pomóc ludziom. Słyszałam to w głosie waszej królewskiej mości, kiedy byliśmy w kręgu.

Kiedy próbowali przejąć Królewski Sektor. Kiedy nieomal im się to udało.

– Violet też to wiedziała – wtrąca Quint. – Jak już mówiłem, śpiewała całą noc.

Śmieję się ponuro.

– Jaka szkoda, że Violet nie ma armii.

– Kim jest Violet? – pyta Karri.

– Dziewczynką – mówię. – Zaoferowała mi schronienie, gdy mnie postrzelili, a potem ryzykowała własne życie, żeby sprowadzić marszałka Quinta.

Karri otwiera szeroko oczy.

– Wiedziała, że jesteś królem?

– W końcu musiałem jej powiedzieć, ale wcześniej nazywała mnie Lisem, bo...

– Czekał. – Karri upuszcza szmatkę. – To byłeś ty? – pyta głosem domagającym się odpowiedzi. – Ty byłeś Lisem? Tessa o tym wiedziała?

– Nie – wyznaję cicho. – Nawet Corrick nie wiedział.

Wypuszcza powietrze przez zęby.

– Więc przez cały ten czas, kiedy kłóciliśmy się przy stole, ty potajemnie wmykałeś się i rozdawałeś ludziom srebro?

Po chwili wahania potakuję głową.

– Dobrze. – Jej głos brzmi pewnie. – Spróbuję zebrać dziś ludzi na błoniach. Na razie musisz zostać tutaj. – Wygląda przez okno. – A ja muszę niedługo wrócić do pracy, bo inaczej pani Solomon stanie się podejrzliwa. – Karri wstaje i zaczyna porządkować swoje rzeczy.

– Czekał. Po co chcesz zebrać ludzi?

Zatrzymuje się i spogląda na mnie.

– Żeby znów przejąć Sektor Królewski. – Uśmiecha się, a w jej oczach rozbłyska mroczne światło. – Może Violet nie ma armii, wasza królewska mość, ale zapomniałeś chyba, że Lochlan ją ma.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Tessa

Co za idiotka ze mnie.

Tyle czasu spędziłam na przekonywaniu Corricka, że Rian jest dobry, że to nie żaden podstęp ani pułapka, a teraz Kilbourne nie żyje, Rocco ledwie oddycha, a wszyscy jesteśmy przywiązani na pokładzie. Pot leje się z nas w południowym słońcu, brygantyny są coraz bliżej, na wpół zagłodzona kobieta twierdzi, że Rian jest królem Ostriarii, a on nawet nie próbuje zaprzeczać.

Pewnie nie powinnam się sama sobie dziwić. Przez lata myślałam, że Weston Lark to przyjazny wyjęty spod prawa.

I dokąd mnie to zaprowadziło?

Przed moimi oczami pojawia się ręka z plastrem owocu. To tak nieoczekiwane, że się wzdragam.

– Jedz – rozkazuje Rian cichym głosem. – Wiem, że nie jadłaś śniadania.

Wiatr szarpie moimi włosami.

Zaciskam usta, a wzrok wbijam w pokład. Przypomina mi się, jak Corrick karmił mnie owocami. Tamten gest był jak zawarcie pokoju. Ten jest jak wypowiedzenie wojny.

– Nie, wasza królewska mość – rzucam szorstko.

Ignoruje pogardę w moim tonie.

– Mów mi Rian.

– Przecież to nawet nie jest twoje imię!

– Poniekąd tak. To przydomek z dzieciństwa. Jedyne faktyczne kłamstwo to nazwisko „Blakemore”. Możesz mnie tak nazywać, jeśli wolisz. Przyzwyczailem się do niego. Możesz mnie nazywać, jak chcesz.

Podnoszę gwałtownie głowę.

– Jestem pewna, że nie chciałbyś tego usłyszeć. Czy było w tym wszystkim choć ziarno prawdy? – pytam stanowczym tonem. – Czy całą tę historię o szpiegu też wymyśliłeś?

– Wszystko to było prawdą – odpowiada.

Mrugam gwałtownie.

– Co takiego?

– Wszystko – odpowiada. – Istnienie kapitana Blakemore’a i jego podróż z Kandali była prawdą. Ten statek, dokumenty, pierścień, syn, który podróżował z ojcem...

– To wszystko nie ma sensu!

– Ma doskonały sens – mówi Rian. – Tylko... ja nie jestem Blakemorem. Po prostu pożyczyłem jego tożsamość.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

– Jesteś straszny.

– Zachowujesz się, jakbym to ja był przestępcą – odpowiada Rian. – A to ty włamałaś się do kajuty, która miała pozostać zamknięta. Wyraziłem się co do tego zupełnie jasno.

– Więziłeś tam kobietę.

– Chroniłem ją.

– Odnoszę wrażenie, że jest innego zdania.

– To skomplikowane.

– To nie jest skomplikowane. Zabiłeś Kilbourne’a. – Emocje ściskają mi gardło, kiedy wypowiadam te słowa.

Próbuję przełknąć, ale to nie pomaga. Muszę mocno zacisnąć powieki. Czekam, aż Rian powie, że walka zawsze niesie za sobą ofiary, że cel uświęca środki.

Tymczasem mówi coś innego.

– Wiem, Tesso. – Jego głos jest delikatny i niski. Rozlega się bliżej, jakby mężczyzna przy mnie przykucnął. – Jest mi przykro. Naprawdę. Wydawał się dobrym człowiekiem.

Nie chcę słyszeć smutku w jego głosie, ale słyszę. Nienawidzę go za to.

– Jego żona jest w ciąży – mówię. Biorę drżący wdech, przypominając sobie błysk w oczach Kilbourne’a, kiedy Rocco drażnił się z nim na ten temat. Tak bardzo cieszył się, że zostanie ojcem. – Kilbourne przyjął to zadanie, bo chciał większą...

– Panno Tesso.

Słyszając zachrypnięty głos Rocco mówiącego z wyraźnym wysiłkiem, gwałtownie otwieram oczy. Jestem przywiązana tyłem do niego. Tak jak podejrzewałam, Rian kuca przy mnie.

– Proszę mu nie dawać tej satysfakcji – prosi.

Ma rację. Zamykam usta, a Rian nadal trzyma rękę z jedzeniem wyciągniętą w moją stronę.

– Był strażnikiem, Tesso. Zginął na służbie, robiąc to, co do niego należy. Książę żyje.

– Zginął, bo go zabiłeś.

– Nikt by nie zginął, gdybyś posłuchała jednego prostego rozkazu. – Po raz pierwszy w jego głosie pobrzmiwa nuta złości.

Odwracam od niego twarz.

– To twoja wina. Jesteś kłamcą i oszustem.

– Nie pozwolę przypisać sobie tej winy. Nie pomyślałaś, żeby zapytać mnie o tę kajutę. Może tobie bym powiedział.

Dreszcz przebiega po moich plecach. To na pewno jeszcze jedno kłamstwo.

– Ale oczywiście tego nie zrobiłaś – gniew w głosie Riana jest coraz wyraźniejszy – bo książę Corrick przekonał cię, że nie należy mi ufać, choć to każda jego decyzja podszyta jest podburzaniem do konfliktu i niepotrzebnym ryzykiem. Popatrz, dokąd cię to doprowadziło.

Równie dobrze mógłby mi dać w twarz.

– Prawdę mówiąc... skłamałem w bardzo niewielu sprawach. Tylko tyle, ile było konieczne.

– Kłamałeś we wszystkim!

– Jedz, Tesso.

Nie chcę wziąć od niego jedzenia, ale nie potrafię też opluć go jak Bella, więc tylko patrzę na niego z wściekłością.

– Co z nami zrobisz?

– Mam zamiar trzymać was do czasu, aż będę pewien, że jesteśmy poza zasięgiem tych brygantyn i minęliśmy twierdzę Orena Crane'a. Później będziecie mogli robić, co chcecie, z wyjątkiem księcia Corricka.

Czuję, że krew odpływa mi z twarzy.

– Zabijesz go?

– Nie. Ludzie chcą cię zabić, tylko jeśli jesteś królem. Jako książę zwykle jesteś więcej wart żywy. Znam różnicę, możesz mi wierzyć.

Mam ochotę oświadczyć, że Harristan nigdy nie zapłaci okupu za Corricka, ale przecież wiem, że to nieprawda. Wiem, że zapłaci. Za brata oddałby królestwo.

Rian też to wie. Widzę to w jego twarzy.

– Więc cały czas chodziło tylko o pieniądze – syczę przez zęby. – Władzę i pieniądze. Okazywałaś konsulom tyle pogardy, a wcale nie jesteś od nich lepszy!

– Nie! – krzyczy prosto w moją twarz, zirytowany. – Tu także niewiele skłamałem. Ostriaria bardzo potrzebuje stali. Złożyłem obietnice, których muszę dotrzymać. Pokój, który zdołałem zaprowadzić, jest bardzo kruchy. Gdybym wrócił z pustymi rękami, ludzie mogliby dosłownie w chwilę przestać we mnie wierzyć, a wtedy władzę przejąłby Oren.

– I tak to zrobi! – krzyczy piskliwym głosem Bella, zanim znów dostanie napadu kaszlu. – Mam nadzieję, że powiesi cię na dziobie głową w dół... – Kaszlnięcie. – Nagiego, wysmarowanego miodem, żeby zwabić mewy.

Rian przewraca oczami.

– Ostatnia szansa – mówi do mnie, trzymając plaster owocu.

– Nie.

– Jak chcesz.

Zjada go sam i odchodzi.

Znów czuję wzbierającą falę emocji; muszę wziąć głęboki wdech, żeby ją opanować. Pewnie powinnam była zjeść ten owoc. Jaki sens tracić siły, skoro mogą mi się jeszcze przydać?

Wtedy znów statkiem rzuca potężna fala. Wiatr szarpie żaglami tak mocno, że takielunek grzechocze z każdym podmuchem. Jedyną rzeczą gorszą niż bycie unieruchomionym z rękami z tyłu byłoby zwymiotowanie na siebie w tej pozycji.

Mimo że przywiązano nas na pokładzie, załoga niezmordowanie robi swoje: przestawia żagle, wiąże liny, reguluje łańcuchy, a Gwyn wydaje rozkazy.

Pepełniam błąd i spoglądam na ocean dokładnie w momencie, kiedy wielka fala zbliża się do burty. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym stanęła oko w oko z oceanem, jakby jedyną rzeczą, która trzyma mnie na statku, była lina zawiązana wokół moich nadgarstków.

Statek się prostuje, a ja wbijam wzrok w falujący horyzont.

Jedna z tych brygantyn jest zdecydowanie bliżej.

Wysoko nade mną rozlega się gwizd, więc zadzieram głowę w kierunku dźwięku.

Na szczycie masztu siedzi Marchon, przyciśnięty do najwyższej części takielunku – w miejscu, z którego prawie spadł Corrick. Jego nogi zaplątane są w liny, a te trzymają go w miejscu.

Niemal od razu zaczyna mi się kręcić w głowie od samego patrzenia.

– Kapitanie! – krzyczy. Mimo szumu wiatru słyszę niepokój w jego głosie. – Proszę spojrzeć przez lunetę.

Nadchodzi następna fala i woda rozbryzguje się na pokładzie.

Wstrzymuję oddech.

– Czy to normalne?! – wołam do kogokolwiek, kto jest w pobliżu.

Tor patrzy na mnie z miejsca, gdzie przywiązuje linę do knagi. Śmieje się.

– Wyspa Chaosu potrafi być dużo gorsza, panienko.

Cudownie.

Rian idzie przez pokład do kajuty kapitańskiej po lunetę. Spogląda i przeklina.

– Brock! – woła. – Ustaw działa. Tor, skompletuj obsadę. Ustaw kogoś przy pompie rządowej.

Kolejna fala wzbiera na oceanie i nawet Rian musi złapać się takielunku. Kiedy statek się przechyla, rozlegają się krzyki.

Jednak teraz mam nowe zmartwienie: działa.

– Co się dzieje?! – wołam, szarpiąc się. – Dlaczego ustawiacie działa?!

– Bo oni ustawiają działa. – Patrzy w stronę masztu za mną, do którego przywiązany jest Corrick. – Chyba jednak ten statek nie ma przyjaznych zamiarów, wasza wysokość.

– Może wiedzą, że jesteś kłamliwym draniem – odpowiada Corrick.

Moje serce podskakuje, gdy słyszę, że w jego głosie pobrzmiwa taka siła.

– Jeśli mnie uwolnisz, możemy spróbować z nimi porozmawiać. Mogę się za tobą wstawić – proponuje Corrick.

Rian przez krótką chwilę sprawia wrażenie, jakby to rozważał.

– Nigdy bym ci nie zaufał.

– Możesz zaufać temu, że nie chcę pójść na dno z rękami przywiązanymi do masztu.

– Proszę! – wołam.

Przypomina mi się chwila w ciemnym korytarzu, kiedy chciał zabić Rocco. Gwyn go do tego przekonywała, ale nie pociągnął za spust.

Bo poprosiłam.

Corrick miał rację – kapitan słucha moich prośb.

– Proszę, Rian – błagam. – Pomyśl o swojej załodze.

Przygląda mi się, a w jego oczach szaleje burza.

– Zawsze myślę o swojej załodze.

Wzdycha krótko, potem puszcza takielunek i wyciąga sztylet zza paska.

Nie wiem, co to znaczy; czy zamierza rozwiązać Corricka, czy zrobić coś innego.

Nie mam jednak okazji, żeby zapytać, bo głośny trzask niesie się ponad wodą dokładnie w chwili, gdy Marchon zeskakuje na pokład.

– Kula! – krzyczy.

W tym momencie kula z czarnej stali uderza prosto w niego, niesie go przez pokład i wybucha, pokrywając pokład deszczem drzazg i krwi.

Jestem przerażona, oszołomiona, a Bella wybucha histerycznym śmiechem.

– Och, Rian – wykrztusza między kolejnymi wybuchami śmiechu – tego chyba nawet mój ojciec by nie wymyślił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Corrick

Nagle wybucha chaos. Załoga krzyczy, ludzie wrzeszczą, działa strzelają.

Widziałem, jak Marchon przelatuje przez pokład i zostaje rozerwany przez pękające drewno. Zapach krwi i dymu ściska mój żołądek. To najbardziej przerażająca rzecz, jakiej kiedykolwiek byłem świadkiem, a to wiele mówi.

– Rian! – krzyczę. – Rian, uwolnij nas!

Nie odpowiada. Nikt nie odpowiada.

– Tessa! – wołam.

Nic.

Tak wiele osób wykrzykuje sprzeczne rozkazy, że nie słyszę nawet własnych myśli. Bella cały czas śmieje się histerycznie, statek kołysze się i pochyla, a woda rozpryskuje o burty.

Mógłbym przysiąc, że widziałem jednego z członków załogi wypadającego przez reling.

Może te więzy nie są takie złe.

Ale wtedy widzę Lochlana wyłaniającego się spod pokładu. Zaczyna się czołgać. Statek kołysze się mocno, więc nie może ustać na nogach.

Ponad wodą leci kolejna kula wystrzelona z działa, lecz tym razem przelatuje przez reling i wpada w spienione fale.

Ludzie krzyczą.

Lochlan dalej czołga się przez pokład. Ma zaciśnięte zęby, a na twarzy wymalowaną determinację. Podnosi wzrok i patrzy na mnie.

Wtedy dostrzegam sztylet w jego ręku.

Czuję ucisk w piersi. Jestem przywiązany do masztu – idealny cel. Wstrzymuję oddech. Fala unosi statek, ale buntownik cały czas się czołga.

– Rocco, dziękuję za twoją służbę – wykrztuszam.

Spogląda na mnie surowo, a później wędruje wzrokiem za moim spojrzeniem w kierunku Lochlana.

Buntownik jest już blisko.

Nad naszymi głowami przelatuje kolejna kula; wznosi się, przelatuje pomiędzy masztami i o włos mija żagiel.

Na sekundę krzyki milkną.

– Tessa! – wołam, ale ona znów nie odpowiada. Nie mam pojęcia, czy mnie słyszy, ale mimo to krzyczę: – Kocham cię!

Lochlan dociera do mnie, łapie mnie za koszulę i podnosi się na kolana.

Wiatr szarpie jego włosami, uderzając nimi w twarz. Od sztyletu odbija się światło.

Statek najprawdopodobniej i tak zatonie, ale moje życie zakończy się tu i teraz. Widzę nienawiść w jego oczach.

– Skończ z tym dramatyзмом – rzuca tuż przed tym, jak popycha mnie w przód, żeby rozciąć więzy krępujące moje ręce.

Razem z Lochlanem zaczynamy uwalniać pozostałych, z wyjątkiem Belli, która jest zbyt nieprzewidywalna. Wiem, że wołałaby, żeby statek zatonął.

Bycie *nieprzywiązanym* przy tak gwałtownym kołysaniu także jest niebezpieczne. Nie mogę ustać na nogach, więc muszę się czołgać, tak jak Lochlan. Kiedy docieram do Tessy i widzę krew na jej skroni, moje serce niemal zamiera.

Oddycha, jest tylko ogłuszona. Żyje.

Gdy tylko uwalniam jej ręce, obejmuje mnie mocno za szyję. Przypomina mi się inna noc, kiedy także uwolniłem ją z więzów. Wtedy objęła mnie z taką samą desperacją. Wtedy chciała, żebym wszystko naprawił.

Nie mogłem.

Teraz też nie mogę.

– Atakują nas – wykrztusza. – Zatonimy.

– Mam nadzieję, że Rian jest lepszym marynarzem niż królem – mówię w momencie, kiedy kolejna kula przeszywa jeden z żagli, a wokół wybuchają krzyki.

Kolejny ogłuszający huk i statek przez chwilę drży.

Myślę, że Tessa ma rację – rozniosą nas w drzazgi. Wtedy widzę wybuch na bliższej brygantynie, co oznacza, że *Ścigacz Świtu* odpowiedział ogniem.

– Chodź – mówię do Tessy. – Rocco, musimy się ukryć!

Z trudem przedzieram się przez pokład, żeby doprowadzić ją do kajuty kapitańskiej Riana, gdzie na skutek wstrząsów towarzyszących wybuchom mapy i znaczniki pospadały na podłogę.

Odsuwam od siebie Tessę.

– Zostań tu – proszę w chwili, gdy w drzwiach staje Rocco. Jest strasznie blady, a jedną rękę przyciska do swojego pasa. – Pomóż Rocco.

Otwiera usta, żeby zaprotestować, ale dodaję:

– Tym razem poczekaj.

Wychodzę, zatraskując za sobą drzwi, i próbuję ustalić, gdzie bardziej przyda się moja pomoc.

Brygantyna cały czas strzela, ale my nie pozostajemy jej dłużni. Duża część załogi znajduje się pod pokładem, ale dwóch ludzi przestawia żagle. Jednak nigdzie nie widzę Gwyn i Sablo. Część mnie ma nadzieję, że Rian wypadł za burtę, ale widzę go przy sterze, trzymającego mocno koło.

– Mów, co mam robić! – wołam do niego ze schodów.

Spodziewam się, że każe mi wyskoczyć za burtę, ale tego nie robi. Może jest mu wszystko jedno, kto pomaga, kiedy statek jest zagrożony.

– Przejmij ster – rozkazuje. – Trzymaj prosto. Muszę im pomóc.

Biorę ster. To jak łapanie kopyt wierzgającego konia.

Rian z powrotem chwyta za koło, zanim za bardzo się obróci.

– Musisz trzymać prosto – rzuca gniewnie. – Jeśli nie potrafisz, zejź z dziobu.

– Dam radę – wykrztuszam bez tchu, zapierając się stopami o pokład.

Wskazuje ręką na wprost.

– Musisz tylko utrzymać kurs, nic innego się nie liczy. Prąd będzie cię spychał. To właśnie tu rozbiły się statki z Kandali. Tu rozbijają się oni, jeśli będziemy mieć szczęście.

– Kto? Brygantyny?! – krzyczę.

Ale już go nie ma. Schodzi na główny pokład. Sprawia wrażenie, jakby nie miał problemu z utrzymaniem się na nogach, co wydaje się niemal nadnaturalną zdolnością, kiedy statek tak mocno przechyla się i kołysze.

Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie zaczęliśmy tonąć. Minął też jakiś czas od ostatniego wystrzału.

Na niższym poziomie Rian wykrzykuje rozkazy do kilku ludzi na pokładzie, ale nie wiem, co mówi. Załoga natychmiast rozchodzi się do przeciwnych masztów. Odpinają łańcuchy, odwiązują liny.

Ocean wznosi się i opada, woda przelewa się przez obie burty, a ja z całych sił trzymam ster. Nie jestem pewien, czy robię to dobrze, ale staram się, jak mogę, utrzymać równowagę na mokrym pokładzie.

Spoglądam na wzburzoną wodę i widzę wrogie brygantyny. Są teraz dalej, niż się spodziewałem, kołysane kłębiącymi się falami tak samo jak my. Jakoś udaje nam się zwiększyć dystans.

Nagle na moich oczach jeden ze statków jakby zaczął drżeć, a po upływie chwili zaczyna rozpadać się na kawałki. Później to samo spotyka drugą jednostkę.

W ciągu kilku minut szczątki obu statków unoszą się na powierzchni oceanu, a my odpływamy dalej.

Patrzę na tę scenę, przerażony.

Nami nadal mocno kołysze, woda wdziera się wszędzie, wiatr nie słabnie i ciągle słyszę krzyki. Czuję uderzenie na kole sterowym i prawie je puszczam, a wtedy świat wydaje się odwracać do góry nogami. *Ścigacz Świtu* drży jak tamte brygantyny.

Gdzieś ponad wiatrem słyszę krzyk Riana:

– Trzymaj ster!

Więc trzymam.

Woda oblewa nas ze wszystkich stron, ręce mam śliskie, stopy przesuwają się po pokładzie. Zaciskam zęby tak mocno, że czuję smak krwi, ale gdy już zaczynam się bać, że nie zdołam utrzymać steru, zjawia się Rian. Włosy ma mokre od wody morskiej. Idzie z trudem, powstrzymywany przez silny wiatr.

– Zwykle mam tu Sablo! – woła. – Będziemy musieli zrobić to razem.

Odsuwam się trochę na bok, żeby zrobić mu miejsce.

Wyciąga rękę, by chwycić za ster w chwili, kiedy fala uderza w burtę, przechylając nas niebezpiecznie na bok. Popycha go podmuch wiatru, a ja widzę panikę w jego oczach, gdy jego stopy ślizgają się na deskach. Zaraz spadnie.

Wyciągam rękę i chwytam brzeg jego kaftana. Przez jedną przerażającą chwilę odnoszę wrażenie, że nie dam rady, że materiał się oderwie i zostanie mi w rękach, i to będzie koniec fałszywego kapitana.

Jednak wtedy statek prostuje się, a Rian na mnie wpada.

– Mówiłem, żebyś trzymał ster! – wrzeszczy mi prosto w ucho.

– Ależ nie ma za co! – wrzeszczę w odpowiedzi.

Wtedy czuję, że tracę ster.

Obaj chwytamy za koło mocno z obu stron, starając się wspólnymi siłami pokonać wzburzone morze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Corrick

Wyspa Chaosu wypuszcza nas ze swoich szponów dopiero pod wieczór. Nagle ocean staje się łagodny, a nad jego powierzchnią unosi się mgła.

Na statku zapanowała niesamowita cisza.

Ofiar jest wiele, wśród nich Silas, który najpewniej wypadł za burtę podczas ataku brygantyn, co czyni Rocco moim jedynym strażnikiem.

Bella także zniknęła. Nie jest już przywiązana do masztu, gdzie ją zostawiliśmy.

Nie widziałem Gwyn. Boję się zapytać o małą Anyę, ale słyszę od Lochlana, że porucznik łąta dziurę w kambuzie i że córka jest z nią.

W pokładzie, w miejscu, gdzie zginął Marchon, powstała dziura. Druga znajduje się na wysokości niższego pokładu, ale powyżej linii wody, dlatego nie zatoniliśmy. Większość relingu wzdłuż dziobu została zniszczona.

Większość załogi, która przeżyła, wróciła do swoich kajut, żeby trochę odpocząć. Kazałem Rocco zrobić to samo.

Ja raczej nieprędko się położę.

O północy Tessa ma za sobą wiele godzin opatrywania i szycia ran. Udaje mi się ją przekonać, by się położyła, sam natomiast idę na górę, żeby odszukać Riana.

Znów jest przy sterze, co nie powinno mnie dziwić, ale dziwi. Nie mam pojęcia, w jakim stanie są nasze relacje, ale nie przywiązał mnie znów do masztu, co całkiem dobrze wróży na przyszłość.

Zatrzymuję się u stóp schodów prowadzących na podest za sterem.

– Proszę o pozwolenie na podejście, wasza królewska mość.

– Bardzo śmieszne – rzuca zdawkowo. – Czego chcesz?

– Miałem nadzieję, że może wreszcie będziesz ze mną szczery.

– Po tym, jak twoi rodacy zabili mojego nawigatora?

Wzdrygam się. Nie pomyślałem o tym, że niezależnie od tego, kto je wysłał, to statki Kandali zaatakowały jego statek i zabiły jego ludzi.

Ale nie tylko Kandala ponosi tu winę.

– Tak – mówię. – Po tym, jak ukryłeś swoją prawdziwą tożsamość, skłamałeś na temat swoich motywów, a twoi rodacy zabili moich strażników.

Patrzy na mnie.

Jest zbyt ciemno, bym mógł cokolwiek wywnioskować z wyrazu jego twarzy. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą latarni.

– Powinniście byli trzymać się z daleka od tamtej kajuty – oświadcza dobitnie.

Przyglądam mu się przez chwilę. Może być dobrym marynarzem, ale jeśli jakakolwiek część jego historii jest prawdziwa, królem Ostriarii nie jest długo. Ciekawe, ile z tego, co się ostatnio wydarzyło na tym statku, jest skutkiem braku doświadczenia.

– Powinieneś był zwrócić się do Harristana jako król, który zamierza nawiązać relacje handlowe z sąsiednim władcą. Niezależnie od tego, co o mnie myślisz, mój brat jest rozsądnym człowiekiem. Wysłuchałby cię. Podjąłby negocjacje. Już moja obecność tutaj powinna być tego dowodem.

Spogląda na mnie w milczeniu.

– Zabrałeś mnie na pokład, żeby doprowadzić do negocjacji między Kandalą a Ostriarią.

Prycha nieco szyderczo.

– I twoim zdaniem, jak nam idzie?

– Jestem tutaj, prawda?

Czekam. Jedynym dźwiękiem wypełniającym ciszę między nami jest chlupot wody uderzającej o kadłub.

W końcu Rian wzdycha i przeciąga ręką po twarzy.

– Powiedziałeś, że powinienem był zwrócić się do twojego brata jako ja. Sam o tym myślałem. Ale na początku nawet nie wiedzieliśmy, że rządzi król Harristan. To, co powiedziałem o królu Lucacie, było prawdą. Na przestrzeni dekad relacje między Ostriarią a Kandalą nie były dobre. Stary król może być moim ojcem, ale... – Prycha. – Stary król był ojcem wielu osób. Wychowano mnie jako dalekiego kuzyna rodziny królewskiej. Nawet po jego śmierci nie chciałem objąć tronu, ale wszyscy inni chcieli, a wyspy zaczęły zwracać się przeciwko sobie. Naprawdę niewiele skłamałem. Naprawdę podczas wojny zbierałem rozbitków. Chciałem tylko pomóc. Jednym z nich był kapitan Blakemore. Poznałem jego historię. Poznałem jego syna. Pomogłem mu odbudować statek, a później razem pomogliśmy kolejnym ludziom. Powoli udało mi się zebrać załogę. Im większej liczbie ludzi pomagaliśmy, tym częściej prosili mnie, bym ich bronił. Nie minęło wiele czasu, a na każdej wyspie znaleźli się ludzie przyrzekający mi wierność, proszący, bym zgłosił pretensje do tronu. Ale Oren Crane nadal miał w ręku południowy cypel i wszyscy czuli się już zmęczeni walką. Bardzo potrzebowaliśmy stali do odbudowy. Obiecałem ludziom, że spróbuję zawrzeć nową umowę handlową z Kandalą, ale wszystko, czego dowiedziałem się od kapitana

Blakemore'a, skłaniało mnie do przekonania, że powinienem zachować najwyższą ostrożność. – Jego głos staje się pusty, aż w końcu Rian milknie.

– Co się stało?

– Oren próbował nas powstrzymać. Zaatakował statek, a prawdziwy kapitan Blakemore zginął w walce. – Zawiesza głos. – Oren wziął do niewoli jego żonę i syna.

– Znowu zawiesza głos. – Ale ja wziąłem jego córkę, Bellę.

– Jako zabezpieczenie. Żebyś mógł wrócić.

– Tak.

Zastanawiam się przez chwilę.

– To nadal nie tłumaczy, dlaczego po prostu nie powiedziałeś, kim jesteś.

– Powtarzam: myślałem o tym. Naprawdę taki był mój plan. Najpierw zatrzymaliśmy się w Port Karenin. To było proste, *Ścigacz Świtu* miał możliwość pływać pod banderą Kandali, więc nikt nie zwrócił na nas uwagi. – Przerywa i spogląda na mnie. – Tam dowiedzieliśmy się o gorączce, która wydawała się niszczyć kraj, o surowych karach za kradzież i przemyt Księżycowego Kwiatu, który uważacie za lek.

– Ale mieliście Księżycowy Kwiat! – wołam. – Skoro nie widzieliście o chorobie, dlaczego mieliście go ze sobą tak dużo?

– Nie przywieźliśmy go jako lekarstwa. – Patrzy na mnie, jakbym był szalony. – W Ostriarii uważamy Księżycowy Kwiat za truciznę, bo tym naprawdę jest.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę i pytam:

– W jaki sposób Księżycowy Kwiat może być trucizną?

– Napar z ugotowanych łodyg wywołuje gorączkę i kaszel. W ten sposób udało mi się utrzymać w ryzach Bellę. Jeśli podaje się truciznę wystarczająco długo, potrafi trwale otępić, ale ja potrzebowałem tylko kilku tygodni. Elikzir z płatków ma przeciwne działanie.

Przyciskam rękę do ust.

Potrzebuję Tessy. Potrzebuję jej wiedzy.

Ale Rian mówi dalej, więc muszę zostać tu, gdzie jestem.

– Chcesz powiedzieć, że Kandalczycy są truci? – przerywam mu szybko. – W jaki sposób?

– Nie wiem, ale przyznaję, że zaciekało mnie to, gdy dowiedziałem się, że dwa sektory zajmują się wyłącznie uprawą Księżycowego Kwiatu. Wydaje mi się, że sprzedawanie płatków, które leczą „chorobę” to całkiem intratne zajęcie. Wiem tylko od kapitana Blakemore'a, że jeszcze kiedy Harristan był bardzo młody, udaremnilo zamach na jego życie, ale dopiero...

– Jaki zamach?

– Wasz konsul Montague próbował otruć go, żeby zmusić waszych rodziców do żądania wyższych cen za stal, ale Ostriaria czuła się zdradzona i odmówiła transakcji. Może Montague znalazł nowy sposób na zabicie fortuny... albo ktoś inny.

Konsul Montague, który później próbował zamordować moich rodziców.

Przeciągam rękami po włosach.

Potrzebuję nie tylko Tessy. Potrzebuję też Quinta i Harristana.

Muszę wrócić do Sektora Królewskiego, ale teraz jestem na statku, na środku oceanu.

– Przez cały ten czas myślałeś, że trujemy własnych obywateli? – rzucam ostrym głosem. Nic dziwnego, że tak mnie nienawidzi. To rzeczywiście jak zamknięcie kogoś w pokoju.

– Nie byłem pewien – przyznaje. – Król Harristan tak bardzo zaangażował się w znalezienie nowego źródła dostaw Księżycowego Kwiatu, że nie sądziłem, że to on. Przez dłuższą chwilę podejrzewałem ciebie, ale ty i Tessa traktowaliście temat podawania naparu z Księżycowego Kwiatu swoim ludziom z taką nabożnością, gdy tylko wsiedliście na statek. Musiał to być jednak ktoś z waszego najbliższego otoczenia.

Nadal nie potrafię sobie tego poukładać w głowie.

– Ale po co?

Rian wzrusza ramionami.

– Żeby zapobiec powstaniu? To oczywiste, że nastroje są gorące. – Przerywa. – Kiedy dopłynęliśmy do Artis i dowiedziałem się o twojej reputacji, stało się dla mnie jasne, że nie możemy zaczynać z równej stopy. W twoim kraju panoszą się prowokatorzy i sabotażyści.

Nawet nie mogę zaprzeczyć, bo ma rację.

– I co teraz? – pytam.

– Teraz mam zamiar zrobić dokładnie to, co powiedziałem. Dopłyniemy do Ostriarii, obiecasz mi umowę handlową albo zażądam za ciebie okupu i zmuszę Harristana do zawarcia takiej umowy.

– Ale... przecież ocaliłem ci życie.

– Nie musiałbyś, gdyby te statki za nami nie popłynęły. Z mojego punktu widzenia był to wrogi atak.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę.

– Więc zamierzasz teraz brać odwet za uszkodzenia statku?

– Nie potrzebuję brać odwetu. Potrzebuję stali. Jak już mówiłem, od początku byłem prawie całkiem szczery. Nic mnie nie obchodzi Kandala, nie mam zamiaru wszczynać wojny. Żaden z naszych krajów jej nie podoła. Potrzebuję stali, a ty

potrzebujesz pomóc swoim ludziom, ale nie dam się wplątać w twoje polityczne intrygi. Zawrzemy umowę albo nie, ale musisz podjąć decyzję, zanim dopłyniemy. Na razie musimy przepłynąć obok Orena Crane'a. – Na jego twarzy pojawia się napięcie. – Na poważnie uszkodzonym statku, z nadwyrężoną załogą i bez Belli, która gwarantowała bezpieczeństwo.

– Kiedy wpłyniemy na jego wody? – pytam.

– To moje wody – odpowiada gniewnie.

– W porządku. Kiedy wpłyniemy na twoje... – urywam, gdy w oddali słyszę świst i dostrzegam płonącą strzałę wyłaniającą się z mroku, żeby uderzyć w żagiel.

Rian przeklina.

– Właśnie wpłynęliśmy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Tessa

Budzą mnie nawoływania i krzyki. Siadam na łóżku w chwili, kiedy statkiem wstrząsa wybuch.

Znów zostaliśmy zaatakowani.

Jestem bosa. Mam na sobie tylko koszulę i spodnie, ale rzucam się do drzwi i spotykam w korytarzu Rocco. Zszyłam ranę po nożu w jego brzuchu kilka godzin temu, ale jego twarz nadal jest blada, a nie śniada jak zawsze. Boję się, że stracił zbyt wiele krwi.

Kolejna eksplozja.

Przytrzymuję się ściany, żeby złapać równowagę. Mamy teraz większe problemy.

– Czy to kolejna brygantyna? – pytam.

– Musimy wyjść na pokład – oświadcza Rocco.

Idąc po schodach na górę, muszę pomagać sobie rękami, bo ocean jest lekko wzburzony. Gdy wychodzimy na pokład, Rocco jest tuż za mną. Jeden z mniejszych żagli płonie. Czerwone języki pełzają wzdłuż jego krawędzi na tle nocnego nieba. Brock wspina się po takielunku z wiadrem wody.

– Ugaś ten ogień! – krzyczy Rian. – Dopóki płonie, mają nas jak na celowniku!

Brock chlusta wodą na ogień, ale udaje mu się ugasić go tylko w połowie.

Kiedy tak się przyglądam, kolejna płonąca strzała przecina powietrze.

Rocco popycha mnie w bok, a grot wbija się w pokład dokładnie w miejscu, gdzie stałam. Strażnik przeklina, chwyta za brzechwę, wrywa strzałę z deski i wyrzuca za burzę.

Kolejna strzała leci prosto w kierunku żagla. Gorzej – trafia Brocka w plecy. Jego ciało wygina się gwałtownie, ręce osuwają się z takielunku i pada na pokład. Nie rusza się. Wiadro spada zaraz po nim i toczy się w bok.

Na dole rozlegają się kolejne krzyki; mam wrażenie, że dobiegają gdzieś z lewej strony.

Ścigacz Świtu drży, kiedy jedno z dział strzela. Chwilę później słyszę, jak kula uderza w statek gdzieś na wodzie.

– Corrick... – wykrztuszam z desperacją do Rocco. – Gdzie jest Corrick?

Lecz strażnik patrzy w górę, na żagiel. Część ognia udało się ugasić, ale krawędzie nadal płoną.

– Trzeba opuścić ten żagiel. On ma rację. Wskazuje cel, do tego pozostałe mogą się od niego zająć.

Brock właśnie zginął od strzały, gdy wspinał się po takielunku. Połowa załogi nie żyje albo jest przy działach na dolnym pokładzie.

Pamiętam, co Rian mówił mi o takielunku, o splątanych linach. Raz już byłam na maszcie. Mogę zrobić to znowu.

– Daj mi sztylet. – Ucinam nasze rozmyślania. – Odetnę go.

– Panno Tesso...

Kolejna płonąca strzała ląduje na pokładzie.

Rian dostrzega mnie i woła:

– Tesso, zejź pod pokład!

Rocco łapie strzałę i wrzuca ją do wody, tak samo jak poprzednią.

Mam dość przytomności umysłu, by złapać za jego sztylet, ale wtedy zjawia się przy mnie Corrick. Wiatr szarpie jego włosy.

– Tesso... Tesso, musisz zejść pod pokład.

Pokazuję do góry.

– Żagiel. Trzeba go opuścić...

– Wiem, ja pójdę. – Ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie. Później spogląda na Rocco. – Zaprowadź ją pod pokład.

– Corrick! – krzyczę, ale już go nie ma.

Tak jak wtedy, gdy ścigał się z Rianem, chwytą się lin i w mgnieniu oka jest już trzy metry nad pokładem. W pobliżu płonącego żagla jest łatwym celem, tak jak Brock.

Oddech więźnie mi w gardle. Nie ma mowy, żebym dała się sprowadzić pod pokład. Rocco nawet nie próbuje.

Nadlatuje kolejna strzała, tym razem zmierza w kierunku Riana, a on puszcza ster i się uchyła. Płonący pocisk wbija się w pokład u jego stóp. Wyciąga go i wyrzuca za burtę, tak jak wcześniej zrobił to Rocco.

Widzi mnie i wskazuje na Corricka.

– Przytrzymaj reję! – woła. – Kiedy odetnie żagiel, reja się obróci.

Przytrzymaj reję. W ciemności wpatruję się w skomplikowaną plątaninę żagli, lin i takielunku.

– Ta. – Wskazuje Rocco, ciągnąc mnie w stronę jednej z belek.

Trochę dyszy, co przypomina mi, że pewnie on też nie powinien być teraz na pokładzie.

Wokół nas sypią się iskry.

Łapię kawałek drewna, mocno zapierając się stopami o pokład.

– Kazałem ci sprowadzić ją pod pokład! – krzyczy z góry Corrick.

Rocco go ignoruje.

– Tu, panno Tesso. Proszę zaprzec się stopami o maszt.

Corrick musi już przecinać linę, bo natychmiast czuję, jak belka zaczyna napierać. Mocno podskakuje, czym prawie powala mnie na deski.

Stękam z wysiłku.

Rocco jest dużo silniejszy, ale jego twarz także pobladła, a śniade palce pobieleły mu z wysiłku, jaki wkłada w ściskanie belki.

Nagle reja się stabilizuje.

Mrugam i podnoszę wzrok.

Obok mnie stoi Lochlan.

– Uważaj – mamrocze. – Nie chcemy, żeby żagiel spadł nam na głowę.

Ostrzeżenie jest odrobinę spóźnione, bo nagle płótno i liny spadają. Ktoś łapie mnie w pasie i pociąga w bok w chwili, kiedy belka obraca się i z wielką siłą uderza mnie w ramię.

Po chwili jestem wolna. Leżę na pokładzie i czuję zaciśnięte wokół pasa męskie ramię. Odwracam głowę, spodziewając się zobaczyć Rocco.

Ale to Lochlan. Jego twarz pokryta potem i siniakami jest blisko, a oczy wpatrują się we mnie.

– Nic ci się nie stało? – upewnia się.

Jestem tak oszołomiona, że potrafię tylko potrząsnąć głową. Podnoszę się na kolana w chwili, kiedy Corrick zeskakuje na pokład. Od kilku minut nie widziałam żadnych płonących strzał i myślę, że może to dobry znak, aż ktoś z dołu krzyczy:

– Szykują działa!

– Kto? – pytam, ledwo łapiąc dech.

– Oren Crane – odpowiada Lochlan, jakby to wszystko tłumaczyło. Puszczą mnie i idzie w stronę Corricka, po czym wskazuje na otchłań. – Wypatruj błysku z działa. W ciemności nie zobaczymy kuli.

Ścigacz Świtu drży i się kołysze, a pod nami słychać wybuch.

P i J a F k a. P l

Wystrzeliliśmy.

Chwilę później słyszę uderzenie.

Krzyki niosące się po wodzie wskazują, że trafiliśmy w statek. Nagłe wiwaty na dole to potwierdzają.

– Musimy ich tylko minąć! – woła Rian. – Teraz nie będą w stanie popłynąć za nami!

Wtedy głośne skrzypnięcie rozchodzi się echem po wodzie. Widzę błysk ognia na tyle jasny, by dostrzec, że tamten statek tonie.

Powracają do mnie słowa Lochlana.

W ciemności nie zobaczymy kuli.

Ścigacz Świtu przyjmuje uderzenie. Drewno rozpryskuje się na wszystkie strony.

Upadam na pokład; tym razem to Rocco mnie łapie i przyciska do pokładu, osłaniając swoim ciałem, kiedy opadają na nas kawałki drewna i stali. Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. W uszach słyszę tylko dudnienie własnego serca. Nad moją głową trzepoczą żagle i brzęczą łańcuchy.

Wszystko trwa chwilę. Minutę. Godzinę. Wieczność.

Wreszcie Rocco mnie puszcza, siadamy na pokładzie w blasku księżyca.

Czuję zapach spalonego drewna i płótna żaglowego. Przed sobą dostrzegam trzymetrową dziurę w pokładzie. Brak całego relingu. Widzę pod sobą dolny pokład – patrzę prosto do kajut strażników.

Moje serce się zatrzymuje.

– Corrick – szepczę ledwie słyszalnie, ale po chwili już krzyczę: – Corrick! Corrick! Corrick!

Ruszam w stronę relingu, wpatrując się w ciemną wodę. Nie mogę przestać krzyczeć jego imienia, nawet kiedy mój głos robi się ochrypły. Jest w wodzie. Muszę go odszukać.

Z tyłu obejmują mnie czyjeś ramiona.

– Panno Tesso, panno Tesso. Płyniemy zbyt szybko. Nie ma go tutaj.

Przypominam sobie, jak kula poniosła Marchona przez cały pokład, i wyobrażam sobie, że to samo spotkało Corricka. Wyobrażam sobie, jak tonie.

Z piersi wyrywa mi się szloch, próbuję uwolnić się z ramion Rocco.

– Corrick! – krzyczę. – Rian, zawracaj! Zawracaj! Musisz zawrócić!

Ale nie zawraca, a Rocco mnie nie puszcza.

Corrick nie żyje.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Harristan

Jest już dobrze po północy. Las jest cichy, gdy idę za Karri po pogrążonych w kompletnej ciemności ścieżkach. Między drzewami gdzieś w oddali widać blask.

Serce podskakuje mi w piersi.

Quint jest obok mnie, a dwóch strażników podąża za nami. Wszyscy mamy na sobie ciężkie, długie, czarne płaszcze z kapturami, które bardzo ograniczają widok. Prawie żałuję, że je założyliśmy, ale nie mogę pozwolić, by mnie rozpoznano. Jeszcze nie teraz.

Kiedy podchodzimy bliżej, spośród drzew dobiega nas szmer rozmów.

Spodziewałem się kilkudziesięciu osób, może setki, ale to, co zastaję... wygląda na ponad tysiąc.

Zatrzymuję się gwałtownie.

– Zobaczą nas – mówię do Karri.

– Nie – odpowiada. – Mamy ludzi, którzy odciągną nocny patrol. W ten sposób byli w stanie zaatakować tak wiele transportów Księżycowego Kwiatu.

Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia, ale idę dalej.

Karri wychodzi przed tłum i bierze pochodnię od stojącego tam człowieka.

My kryjemy się w cieniu, między drzewami; Thorin stoi po mojej lewej stronie, Quint po prawej, a Seath tuż za nami.

Nadal głośno dyszę, jakbym walczył o każdy oddech. Nie piłem eliksiru z Księżycowego Kwiatu od czasu, gdy Maxon oddał mi swój. Czuję lekki przyływ paniki, ale odsuwam ją od siebie. Ludzie w Dzikim czasem przez wiele tygodni nie biorą leku, więc chyba zdołam przetrwać dzień czy dwa dni.

Karri staje na szerokim pniu i woła do ludzi. Jej głos niesie się daleko.

– Wiecie, że Lochlan popłynął statkiem razem z księciem Corrickiem...

– Konsulowie powiedzieli, że te statki zatonięły! – woła kobieta z tłumy. – Że król zabił ich obu!

– To kłamstwa! – zaprzecza gwałtownie Karri. – Konsulowie znów próbują obalić króla, wykorzystując nieobecność księcia Corricka i Lochlana.

Wśród tłumy rozchodzi się pomruk.

Serce wali mi jak oszalałe. Czuję obok siebie napięcie Thorina. Mam tylko jego i Seatha. Nie posiadamy koni i jesteśmy wyjątkowo skromnie uzbrojeni.

Cokolwiek się tu zdarzy, moi strażnicy nie zdołają powstrzymać tysiąca buntowników, którzy mogą chcieć mojej śmierci.

Jednak Karri podnosi rękę i ucisza tłum. Widać, że ją lubią. Że ją szanują.

– Teraz gra toczy się o zupełnie inną stawkę. Mamy kolejną szansę na rewolucję.

– Bo nie ma najwyższego sędziego królewskiego? – docieka jakiś mężczyzna. – Myślisz, że tym razem król nie wyśle swoich żołnierzy, żeby nas pozabijali?

– Król zniknął! – woła ktoś z tyłu. – Wyznaczono nagrodę za jego głowę!

– Bo kłamał! – krzyczy kobieta. – Kłamał w sprawie Księżycowego Kwiatu!

Wśród tłumu znów rozchodzi się pomruk, tym razem bardziej gniewny.

Biorę głęboki wdech, przygotowując się, żeby wyjść naprzód, ale Quint łapie mnie za nadgarstek.

– Proszę zaczekać, wasza królewska mość – prosi cicho. – Proszę jej pozwolić zapanować nad tłumem.

Spoglądam na jego rękę na mojej. Jego oczy wpatrzone są w ludzi, w Karri.

– Nie kłamał! – woła Karri. – To konsulowie was okłamali. Król próbuje chronić swoich ludzi.

– To prawda – rozlega się dziecięcy głos. – To król był Lisem!

Violet.

Nie powinna się tu znaleźć. To zbyt niebezpieczne.

W tłumie rozlegają się śmiechy, ale Karri się nie śmieje.

– Król był Lisem. Tak jak ksiązę Corrick był Westonem Larkiem.

Zapada kompletna cisza, aż wreszcie odzywa się jakiś mężczyzna:

– Jeśli król próbuje ochronić nas przed konsulami, dlaczego się ukrywa?

– Teraz – szepcze Quint i ściska mój nadgarstek.

Odnoszę wrażenie, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Stawałem przed moim ludem wiele razy. Ale nigdy bez brata u boku.

Corricku, obyś miał się dobrze.

Wtedy przypominają mi się słowa Quinta w powozie: „Może już czas, żebyś przemówił sam za siebie?”

Zdejmuję kaptur płaszcza i kulejąc, wychodzę naprzód, by dołączyć do Karri.

Na początku nikt mnie nie rozpoznaje, co nie jest niespodzianką, ale po chwili w tłumie zaczynają rozchodzić się szept.

Zanim przerodzą się w krzyki, mówię:

– Nie ukrywam się. Jestem tu. Z wami. Dla was.

Znów zapada cisza.

Stoję przed nimi wszystkimi. Ze zdjętym kapturem. Zdany na ich łaskę, a pochodnie i latarnie świecą w ciemności. Przygląda mi się tak wiele par oczu, a we wszystkich

widać niepokój. Obawę.

Chcą tylko być zdrowi i bezpieczni.

Ja chcę tego samego.

– Wiecie, co ludzie tacy, jak konsul Sallister, zrobią, gdy zdobędą władzę? – podejmuję. – Wiecie, co się stanie, jeśli zdoła przejąć tron? Musimy go powstrzymać.

– I co?! – woła ktoś z tłumu. – Chcesz nam kazać walczyć przeciwko własnym ludziom?

– Nie – odpowiadam, czując, jak mocno wali mi serce. – Chcę was poprowadzić.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Tessa

Jestem przemoknięta i zziębnięta. Siedzę na pokładzie statku, a dookoła mnie jest tylko mgła.

Nie czuję nic.

Corrick nie żyje. Znów go straciłam.

Lochlan nie żyje.

Tak mi przykro, Karri.

Czyjaś ręka dotyka mojego ramienia.

– Tessa?

To Rian.

Odskakuję. Nie ufam swojemu głosowi. Szlocham.

– Proszę – wykrztuszam z ogromnym trudem. – Proszę, odejdz.

Podchodzi bliżej.

– Tesso, ja...

– Proszę się odsunąć – mówi ostrym głosem Rocco.

Nie zdawałam sobie sprawy, że cały czas jest przy mnie. Lekko odwracam głowę i widzę, że stoi przed Rianem.

Spodziewam się, że kapitan naskoczy na strażnika, ale tego nie robi. Prostuje się i cofa o krok.

– Przed świtem dopłyniemy do Fairde. Teraz jesteśmy już na bezpieczniejszych wodach. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Nic mnie to nie obchodzi. Sama chcę zatopić ten statek. Nie odpowiadam Rianowi ani słowem.

– Mówiłem, żeby się pan odsunął – powtarza Rocco.

Kapitan bierze wdech, ale po chwili zastanowienia chyba zmienia zdanie, bo robi krok w tył.

– Dziękuję, Rocco – szepczę.

– Nie ma za co, panno Tesso.

Przełykam. Oboje straciliśmy zbyt wiele.

– Nie musisz... Nie musisz mnie strzec.

Nic nie odpowiada, a po chwili siada obok mnie. Mijają kolejne minuty. Bierze mnie za rękę i ściska. To miły, braterski gest.

– Nie mam już kogo strzec – mówi cicho.

Chowam twarz w dłoniach.

– Myślisz, że kiedykolwiek zdołamy wrócić?

– Nie wiem.

Jest w tym coś przerażająco smutnego.

Przed świtem dopłyniemy do Fairde. Pomyślałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

Biorę kolejny drżący wdech i ocieram łzy z policzków. Zbyt długo byłam naiwna. Za bardzo ufałam zbyt wielu osobom. Chciałam tylko pomóc ludziom wokół, a doprowadziłam jedynie do bólu i cierpienia.

Siadam prosto i spoglądam na Rocco.

– Nie wiem, czego możemy się spodziewać w Fairde, ale zostaliśmy tylko my, Rocco. Musimy trzymać się razem. Ty i ja.

– Tak, panno Tesso.

Kręcę głową.

– Żadnego „panno Tesso”. Jestem po prostu Tessa.

Przystaje na moją propozycję.

– Jestem po prostu Erik. – Wyciąga do mnie rękę.

– Erik – szepczę i wkładam swoją dłoń w jego.

Jego uścisk jest prawie miażdżący.

Na chwilę mgła znika, odsłaniając długi pas błyszczącej wody.

W oddali widzę kilka świateł odbijających się w tafli i moje serce podskakuje z obawy przed kolejnym atakiem, ale to nie statki. To ogniska lub latarnie, lub coś innego, co wskazuje na obecność lądu.

Kiedy tak się przyglądam, księżyc oświetla ogromną budowlę w oddali – zamek sięgający nieba.

Czuję, jakby mój kręgosłup zamienił się w żelazo. Odsuwam od siebie cały ból, który wydaje się obezwładniający.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię do Rocco. Do Erika.

– Oczywiście – odpowiada.

– Kiedy dotrzemy do Ostriarii, chcę, żebyś nauczył mnie walczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Corrick

Kiedy odzyskuję przytomność, wymiotuję wodą morską. To nieprzyjemne, ale lepsze niż bycie kopanym w żebra, co następuje chwilę później.

– Zapytałem, jak się nazywasz! – wrzeszczy mężczyzna nad moją głową.

Nie mogę złapać tchu. Nie mogę myśleć, dlatego odpowiadam skrzeczącym głosem:

– Co?

– Jak się nazywasz?

Próbuję otworzyć oczy, ale wszystko jest ciemne. Poruszam rękami i czuję piasek skrzypiący pod moimi dłońmi. Leżę twarzą w dół i próbuję podnieść się na kolana.

Ktoś znów powala mnie kopniakiem.

– Jak się nazywasz?

Otwieram usta, żeby odpowiedzieć „Corrick”, ale kaszlę i wypluwam z płuc kolejny haust morskiej wody, która rozlewa się po moich rękach.

– Powiedziałem ci! – rzuca inny mężczyzna.

Dopiero po chwili dociera do mnie, czyj to głos.

Lochlan.

– To jeden ze służących księcia.

– To prawda? – Trąca mnie butem w bok.

Oddech mam drżący.

Jeden z służących księcia?

Nic nie rozumiem. Nie potrafię myśleć.

– No, Wes – mamrocze Lochlan, a w jego głosie słychać napięcie. – Powiedz panu Crane’owi, jak się nazywasz.

Panu Crane’owi.

No, Wes.

Opieram rękę o piasek i podnoszę się o kilka centymetrów.

Stoi nade mną kilkanaście mężczyzn i kobiet. Wszyscy są uzbrojeni po zęby. Czuję zapach krwi w powietrzu i desperacko trzymam się nadziei, że to nie moja.

Jeden klęczy na kolanie tuż przy mnie i przykłada mi sztylet do brody. Jest najwyższym człowiekiem, jakiego w życiu widziałem, z bliznami od brwi po szyję,

– Właśnie – warczy – powiedz panu Crane’owi, jak się nazywasz.

Z trudem przełykam. Moje oczy lądują na Lochlanie stojącym na brzegu kręgu.

– No, Wes. Zabiją cię, jeśli zaraz im nie powiesz.

Znów kaszlę i spoglądam na mężczyznę z bliznami.

Wszystko chyba trwa za długo, bo znów przymierza się, żeby mnie kopnąć.

– Jak się nazywasz?!

Wyciągam rękę i łapię go za kostkę. Pociągam mocno, wykorzystując moment, by powalić go na ziemię, a on upada, przeklinając. Spodziewam się, że ktoś mnie złapie, ale wszyscy tylko śmieją się i gwizdzą, więc obracam się na kolana, wyrywam mężczyźnie sztylet z dłoni i przykładam do piersi, zanim zdoła się odturlać.

Wypluwam kolejną porcję morskiej wody tuż obok jego twarzy.

– Nazywam się Weston Lark – przedstawiam się ochrypłym głosem. – A ty?

PODZIĘKOWANIA

Pewnego dnia napiszę krótsze podziękowania, ale jeszcze nie dziś.

To powiedziawszy, ponieważ jest to moja piętnasta wydana książka, zamierzam skorzystać z funkcji „kopiuj wklej”.

Jak zawsze, jestem ogromnie wdzięczna mojemu mężowi Michaelowi. Jestem mu tak bardzo wdzięczna za każdą chwilę, którą razem przeżyliśmy i nie mogę się doczekać kolejnych. Dziękuję, że przez te wszystkie lata byłeś moim najlepszym przyjacielem.

Mary Kate Castellani jest moją wspaniałą redaktorką w Bloomsbury. Naprawdę myślałam, że nie uda nam się wydać tej książki, ale stale powtarzała mi „Jest dobrze! Będzie dobrze!”. Nawet wtedy, gdy pod koniec dwa tysiące dwudziestego pierwszego roku, posyłałam jej płaczliwe e-maile, że nie jestem w stanie napisać słowa. Ale udało się. Mary Kate, praca z Tobą przy każdej książce była cudownym przeżyciem. Jesteś niesamowita. (Skopiowałam to zdanie z poprzedniej książki, ALE TO SZCZERA PRAWDA!)

Suzie Townsend – moja cudowna agentka. Jestem niezmiernie wdzięczna za to, jak prowadzisz mnie za rękę, dzień po dniu, zwłaszcza kiedy o piątej trzydzieści rano wysyłam ci przepełnione paniką e-maile. To ogromne szczęście mieć Ciebie, Sophie, Kendrę i cały zespół New Leaf u swojego boku. Dziękuję Wam za wszystko.

Zaangażowania i oddania całego zespołu wydawnictwa Bloomsbury każdej książce, nad którą pracują, nie da się porównać z niczym. Wielkie dzięki dla Kei Nakatsuka, Lily Yengle, Erici Barmash, Faye Bi, Phoebe Dyer, Beth Eller, Valentyny Rice, Diane Aronson, Jeffreya Curry, Jeannette Levy, Donny Mark, Adrienne Vaughan, Rebekki McNally, Ellen Holgate, Pari Thompson, Emily Marples, Jet Purdie i każdego z Bloomsbury, kto przyczynił się do sukcesu moich książek.

Ogromne dzięki dla Cursebreaker Street Team! Jeśli jesteście jego częścią, dziękuję. Świadomość, że są was *tysiące* – *tysiące* osób zainteresowanych moimi książkami znaczy dla mnie bardzo dużo. Nigdy nie zapomnę wszystkiego, co zrobiliście, by promować moje książki. Wszystkim Wam serdecznie dziękuję.

Ogromny dług wdzięczności mam wobec moich drogich przyjaciół – autorów: Melody Wukitch, Dylana Roche, Gillian McDunn, Jodi Picoult, Jennifer Armentrout, Phila Stampera, Stephanie Garber, Isabel Ibañez, Avy Tusek, Bradleya Spoona

i Amalie Howard. Naprawdę nie wiem, jak dałabym sobie radę bez Waszego wsparcia. Jestem niezmiernie wdzięczna, że stanowicie część mojego życia.

Kilka osób czytało fragmenty książki jeszcze na etapie jej powstawania i dzieliło się ze mną uwagami. Chciałabym podziękować przede wszystkim Jodi Picoult, Gillian McDunn, Rebie Gordon, Avie Tusek i Heather Garcia.

Wielkie dzięki dla moich czytelników i czytelniczek, blogerów i blogerek, bibliotekarzy i bibliotekarek, artystów i artystek, księgarzy i księgarek, aktywnych w mediach społecznościowych, którzy poświęcili swój czas, by zamieszczać i przesyłać innym posty, recenzje, tweety i informacje o mojej książce. Moją karierę zawdzięczam właśnie takim ludziom, z wielką pasją i sercem dla moich bohaterów, o których nie mogą przestać mówić. Dziękuję Wam.

I ogromne podziękowania dla WAS! Tak dla Was – którzy trzymacie tę książkę w rękach. Dziękuję. Jak zawsze jestem zaszczycona, że poświęciliście swój czas, by zaprosić do swojego serca moich bohaterów.

Wreszcie – morze miłości i podziękowań dla chłopców Kemmerer. Każdego dnia mnie zaskakujecie. Być waszą mamą to wielkie szczęście. Tak, skopiowałam ten fragment z podziękowań do poprzedniej książki (gdzie także go skopiowałam z poprzedniej), ale to dlatego, że nadal tak uważam, a poza tym jeszcze nie czytaliście żadnej z moich książek. Jeśli któryś z Was natrafi na ten fragment przed swoimi osiemnastymi urodzinami, ma u mnie lody.